TYGODNIK POWSZECHNY

MOC CZYTANIA NA MAJÓWKĘ

Natalia de Barbaro: nasza nowa felietonistka
Tomasz Rożek: dzieci lubią naukę
Kama Wojtkiewicz: w sidłach samorozwoju
Rafał Stec: szachy bez króla Carlsena
Sabina Jakubowska: kobiety i wiara w maju
Jacek Dukaj w MAGAZYNIE CONRAD

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 28 kwietnia – 5 maja 2026 | nr 18 (4008)
cena 18 zł (w tym 8% VAT)

JEŻDŻĘ, BO MUSZĘ

**FILIP SPRINGER:
DLACZEGO POLACY NIE WYSIADAJĄ
Z SAMOCHODÓW**
STR. 10-14



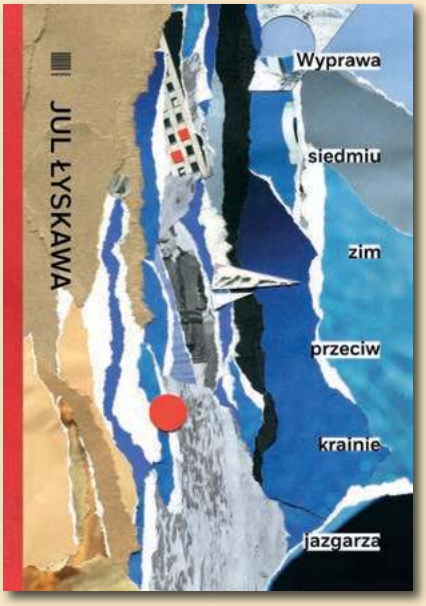


ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 997335f986

Majówka z Poezją

NOWOŚCI WYDAWNICTWA WARSTWY



Jul Łyskawa
Wyprawa siedmiu zim przeciw krainie jazgarza



Joanna Bociąg
malta



Marcin Baran
Pełna morfologia

www.wydawnictwowarstwy.pl

warstwy · Wrocławski Dom Literatury · Wrocław Miasto Literatury UNESCO · Wrocław miasto spotkań · Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

REKLAMA
REKLAMA

eprasa.pl 997335f986

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Zaklęte tokeny
MAREK RABIJ

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Prekariusze wszystkich krajów, łączcie się
MAREK RABIJ: *Co dzisiaj słychać u robotnika*

20 Mistrz mistrzów
ROZMOWA Z RYSZARDEM SZUBARTOWSKIM: *Jak się wychowuje mistrza świata w programowaniu i współtwórcę Chata GPT?*

24 Bitwa o rozwój
JAKUB DYMEK: *Prawdziwym przeciwnikiem Morawieckiego nie jest Kaczyński czy Czarnek, ale Tusk*

28 Pozory równości
WOJCIECH ŚMIEJA: *Czy męskość jest dyskryminowana: w odpowiedzi Michałowi Gulczyńskiemu*

■ ■ PSYCHE

30 Sidła samorozwoju
KAMA WOJTKIEWICZ: *Jest branża, która żeruje na naszym braku zaufania do własnych doświadczeń*

■ ■ ŚWIAT

36 Maraton Gavina
MARTA ZDZIEBORSKA: *W 2028 r. demokratyczny gubernator Kalifornii chce walczyć o urząd prezydenta USA*

40 Wioska na sprzedaż
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Dwoje Holendrów próbuje przywrócić życie kawałkowi Hiszpanii, który nie istnieje*

44 Cena najwyższa
JACEK TARAN: *Polscy reporterzy opisują ukraińskie życie. Mimo wojny*

■ ■ SPORT

46 Szachy bez króla
RAFAŁ STEC: *Cały świat błaga Magnusa Carlsena: wracaj!*

■ ■ WIARA

52 Chwalcie, łąki umajone

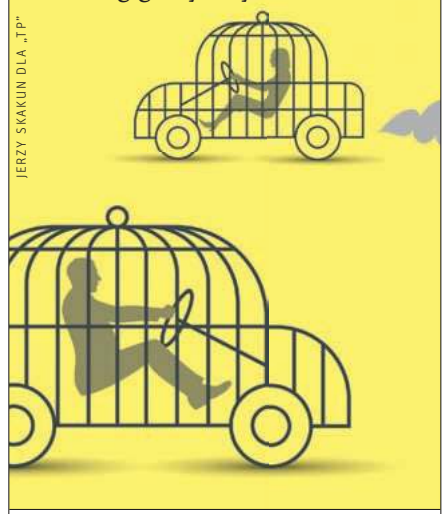


GRAŻYNA MAKARA

SABINA JAKUBOWSKA: *Kobiecość, natura i kult splatają się w opowieść o maju*

TEMAT TYGODNIKA

10
Jeżdżę, bo muszę
FILIP SPRINGER:
Własne auto dawno przestało być tylko środkiem transportu i narzędziem prestiżu. Stało się złotą klatką, z której nie umiemy wyjść, nawet jeśli stoimy w gigantycznym korku.



JERZY SKAKUN DLA „TP"

■ MAGAZYN CONRAD 01 ■

85 Literatura Nie
Paulina Frankiewicz

88 Zniewolony umysł
Rozmowa z Jackiem Dunajem

92 Im więcej, tym więcej
Piotr Siemion o Belce Rothfeld

95 Kobieta z Sarajewa
Magdalena Koch o Melise Varesenović

96 Nie ma co czekać na rewolucję
Agnieszka Wenderska o Mahsie Mohebali

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
29 NATALIA DE BARBARO
45 OLGA DRENDA
77 WOJCIECH BONOWICZ
116 PAWEŁ BRAVO
122 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
JERZY SKAKUN DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MICHAŁ OKOŃSKI

58 Ewangelia kontra wojna
ARTUR SPORNIAK: *Czy wojna dziś może być sprawiedliwa?*

60 Skąd się wziął mindfulness
MACIEJ BIELAWSKI: *Jak medytacja wyszła z zamkniętych klasztorów i stała się dostępna dla każdego*

62 CZYTANIA
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ ROZMOWA

64 Nad rzeką bez końca
ROZMOWA Z AGĄ KIEPUSZEWSKĄ: *Śpiew to strumyczek, który w nas płynie. Niekiedy jest wąziutki. Aż pewnego dnia zamienia się w rwącą rzekę*

■ ■ HISTORIA

70 Dwa zamachy
WALDEMAR ŁAZUGA: *Falstart grudniowy 1922 i reset majowy 1926: co łączy zabójstwo prezydenta z obaleniem rządu cztery lata później?*

74 Niczyj
ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM GLUZĄ: *Mało kto pamięta o Zdzisławie Najderze. Chcemy to zmienić*

■ ■ NAUKA

78 Dzieci nie mają nauki w nosie
ROZMOWA Z TOMASZEM ROŻKIEM: *Do szkolnego podziału na fizykę, biologię czy geografię zawsze czułem nieufność. Na szczęście moja działalność sprawia, że mogę na ten podział gwizdać*

■ ■ KULTURA

102 Manga dla początkujących
PAWEŁ DYBAŁA: *Bogata oferta mang i anime na naszym rynku wykiełkowała z nieposkromionej radości*

106 Przyszłość już była
ROZMOWA Z ŁUKASZEM STOKŁOSĄ: *Interesuje mnie moment zmierzchu. Z niego bierze się gasnące światło w moich obrazach*

110 Gra na remis
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Dlaczego w naszym kinie historycznym dominują militaria*

114 Awanturka
ANITA PIOTROWSKA *o „Dramie" Kristoffera Borgliego*

115 W świecie podziałów
LEKTOR *o książce „Nasze wieczory" Alana Hollinghursta*

■ ■ ZMYSŁY

118 Powrót planszy
DOROTA MALINA: *Znowu lubimy grać w gry*

eprasa.pl 997335f986

KS. ADAM

Boniecki: *Maj, majowe*

Oczywiście, lubimy wiosnę. Wiosna to nadzieja, wiosna – jak ktoś powiedział – to wielka oszustka. Wszystko rodzi się do życia, by na jesieni... no dobrze, nie będziemy mówić o jesieni.

Popatrzyłem na zestaw historycznych wydarzeń w maju. Była Konstytucja 3 maja, był przewrót majowy, było robotnicze święto 1 maja, różni ważni ludzie urodzili się lub umarli w maju. W sumie wszystko jak w innych miesiącach... ale niezupełnie. Bo w maju jest jeszcze nabożeństwo majowe.

Pamiętam je z czasów młodości, kiedy nie było mszy wieczornych. Pamiętam, że kościół św. Michała w Warszawie (jeszcze ten stary, odbudowany w miejscu zniszczonego, dość zgrzebny) był wypełniony ludźmi. Wszyscy przychodzili na te nabożeństwa, choć przecież nieobowiązkowe. Przychodzili, by śpiewać litanię do Matki Boskiej i wysłuchać „czytanki" (bo na nabożeństwach majowych nie było kazania, tylko „czytanka"). Nie pamiętam, żeby księża jakoś specjalnie zachęcali do udziału. Po prostu, na „majowe" się chodziło. I, o ile wiem, w wielu miejscach wciąż się chodzi.

Nie wszędzie jednak: są miasta, gdzie na tym nabożeństwie tłumów nie ma. Czego znakiem jest to przerzedzone uczestnictwo? Czy tego, że ludzie przestali przywiązywać taką jak niegdyś wagę do Matki Boskiej? Litania jest ułożona z biblijnych obrazów i metafor,



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MICHAŁ

Okoński: *Pochwała komunikacji*

A kiedy skończyliśmy pracę nad tym numerem i Andrzej Leśniak zamknął za nami drzwi do redakcji, poszedłem w kierunku Ronda Grunwaldzkiego. Złapałem tramwaj, którym podjechałem cztery przystanki w kierunku małej stacji na skraju Kazimierza, gdzie mniej więcej co pół godziny zatrzymują się pociągi Kolei Małopolskich. Dwadzieścia kilka minut później odpiąłem rower na kolejnej stacji i w niecałą godzinę po wyłączeniu komputera w „Tygodniku" byłem w domu.

Oczywiście jestem, podobnie jak autor otwierającego ten numer tekstu **FILIP SPRINGER**, uprzywilejowany: mieszkam w miejscowości świetnie skomunikowanej, mam też chyba tę cechę charakteru, że dobrze się czuję w gronie współpasażerów komunikacji zbiorowej. Samochodu, o którym pisze Filip, nie traktuję jak bezpiecznej, prywatnej przestrzeni, która ma chronić mnie przed tym, co inne, nieznane i zmienne. No nie mam ochoty tracić tych setek godzin rocznie w korku.

Inna sprawa, że lubię korzystać ze środków komunikacji zbiorowej także dlatego, że – inaczej niż w samo-

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 15

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 997335f986

które współczesnemu człowiekowi mówią coraz mniej? Sposób modlenia się jest dziś inny? A może po prostu laicyzacja społeczeństwa poczyniła takie postępy, że na „majowe" już nie ma miejsca?

Nie wiem. Przestrzegam jednak przed uproszczoną odpowiedzią. Bo maj bez „majowego" jest trudny do wyobrażenia. Litania zaś jako forma modlitwy nie wydaje się zwietrzała. Nawet człowiek, który nie jest w stanie długo utrzymać uwagi na jednym przedmiocie, jest w stanie skupić ją przynajmniej na kilku czy choćby na jednym wezwaniu.

Nie piszę tego gwoli przyciągnięcia kogokolwiek do praktyk religijnych, które same z siebie nie przyciągają. Ale nie mogę się powstrzymać od napisania tego dla tych, którzy sami nie zdając sobie z tego sprawy, zaniechali czegoś, co było w ich życiu dobre i piękne. Nie wiem, czy śpiew litanii był czymś takim. Gorzej, że nie wiem, jaki rodzaj nabożeństwa jest odpowiedni dla dzisiejszego człowieka. Praktyka litanii do Matki Boskiej z pewnością nie jest warunkiem bycia dobrym chrześcijaninem ani zbawienia. Ale jeśli jest coś, np. śpiew w rytmie kontemplacyjnym, co pomaga w uczynieniu dalszych kroków, albo co jest sposobem nawiązania łączności z Matką Jezusa, nie należy tego lekceważyć. Dlatego to wszystko dziś, na początku maja, napisałem. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego".

chodzie – mogę w nich poczytać. I wiem już, że w ciągu najbliższych dni będę zabierał ze sobą ten numer „Tygodnika", żeby do pewnych autorów i tematów wrócić. Będę wracał np. do tekstu **RAFAŁA STECA** o Magnusie Carlsenie czy do rozmowy **ŁUKASZA LAMŻY** z **JACKIEM DUKAJEM** w „Magazynie Conrad"; albo do wywiadu **MONIKI OCHĘDOWSKIEJ** z **AGĄ KIEPUSZEWSKĄ** (której mogę zresztą w podróży również posłuchać).

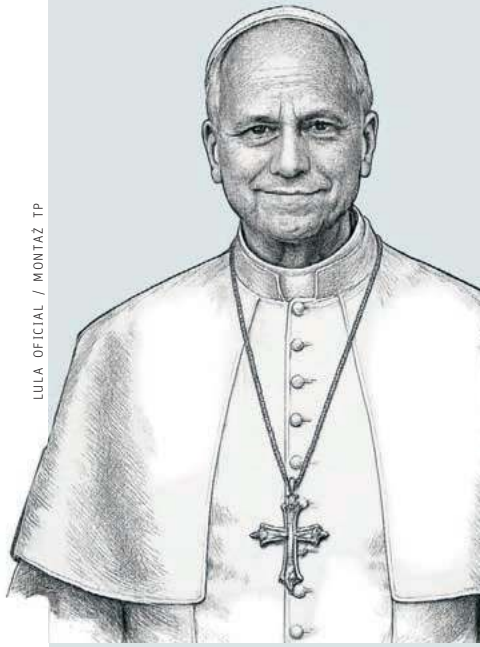
Numer jest na majówkę, więc sporo w nim o naturze. Tej, którą widzę, wracając do domu. „Wreszcie dłuższy dzień. Najpiękniejsze, złociste światło przedwieczoru. Uwypukla ekstatycznie ukwiecone drzewa, jasność pobielonych pni, świeżą zieloność lip otaczających przydrożne kapliczki i figurki maryjne" – pisze **SABINA JAKUBOWSKA**, która mieszka skądinąd na trasie tej samej kolei i zdarzyło nam się spotkać w pociągu.

Bo pociąg – oprócz tego, że daje przestrzeń do lektury – może być miejscem, by podnieść wzrok i zadać sobie tytułowe pytanie z felietonu (debiutującej u nas w roli felietonistki!) **NATALII DE BARBARO**. ©℗

Michał Okoński, zastępca redaktora naczelnego „TP", autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

PAULINA GUZIK
Rok Leona: dlaczego papież zaczął być potrzebny światu. To kwestia jego osobowości czy sytuacji geopolitycznej?



LULA OFICIAL / MONTAŻ TP

MAREK RABIJ
Pojechałem na Kongres Mężczyzn w Warszawie. Sprawdziłem, jak to z nami jest naprawdę. Kilka rzeczy mnie zaskoczyło.

ALEK HUDZIK
Joanna Rajkowska – artystka, która stawiała palmę w centrum Warszawy i tworzyła Pasaż Róży w Łodzi – zmienia właśnie dziedziniec Zamku Wawelskiego.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 997335f986

OBRAZ TYGODNIA

20–24 KWIETNIA 2026

PAŃSTWA CZŁONKOWSKIE UE jednomyślnie zaakceptowały udzielenie Ukrainie 90 mld euro pożyczki i nałożyły na Rosję kolejny pakiet sankcji. Wcześniej obie decyzje były blokowane przez Węgry. ■■■ **NA WĘGRY** znów płynie rosyjska ropa. Przerwa w dostawach trwała blisko trzy miesiące, w trakcie których – jak twierdziły władze w Kijowie – trzeba było naprawić uszkodzony w trakcie bombardowań, idący przez terytorium Ukrainy rurociąg Przyjaźń. ■■■ **UKRAINA CHCE ROZMAWIAĆ** z Rosją: jej szef dyplomacji poinformował, że o zorganizowanie spotkania Wołodymyra Zełenskiego z Władimirem Putinem poproszono Turcję. ■■■ **OPENAI MA KŁOPOTY:** prokurator generalny Florydy wszczął śledztwo przeciwko firmie w związku z analizą rozmów między ChatemGPT a sprawcą strzelaniny na uniwersytecie stanowym w kwietniu 2025. Śledczy twierdzą, że system zaoferował sprawcy znaczącą pomoc, a w efekcie śmierć poniosły dwie osoby. ■■■ **NIEMCY SIĘ ZBROJĄ**: minister Boris Pistorius mówi, że za 9 lat Bundeswehra będzie mieć 460 tys. żołnierzy gotowych do walki (w służbie czynnej i rezerwistów). ■■■ **IZRAELSKI ŻOŁNIERZ,** który zniszczył figurę Jezusa w południowym Libanie, został ukarany 30 dniami aresztu. Incydent, który rozpalił media społecznościowe, potępiły władze kraju i dowództwo armii, przepraszając chrześcijan na całym świecie. ■■■ **LEON XIV** przypomniał podczas pielgrzymki do Afryki, że nie wolno nigdy wzywać imienia Boga, by usprawiedliwiać wybory i działania niosące śmierć. ■■■ **DONALD TRUMP** przedłużył zawieszenie broni z Iranem; ze sprzecznych komunikatów płynących z Białego Domu wynika, że warunkiem kluczowym zakończenia konfliktu jest – raczej mało prawdopodobne – przekazanie przez Iran wzbogaconego uranu. ■■■ **ZONDACRYPTO,** platforma do handlu kryptowalutami, wstrzymała wypłaty klientom, jej strona nie działa, zarząd zrezygnował, prezes schronił się w Izraelu, a katowicka prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie oszustw i prania brudnych pieniędzy. ■■■ **ŁUKASZ LITEWKA,** znany z akcji charytatywnych na rzecz zwierząt poseł Lewicy, zginął potrącony przez samochód w trakcie jazdy na rowerze. Miał 36 lat. ■■■ **PRZEMOC RÓWIEŚNICZA** dotyka 62 proc. uczniów polskich szkół – wynika z sondażu omawianego przez „Gazetę Wyborczą". Część młodych deklaruje, że woleliby być pobici niż wykluczeni z grupy. ■■■ **PIS BEZ ROZŁAMU:** po spotkaniu Jarosława Kaczyńskiego z twórcą stowarzyszenia Rozwój Plus Mateuszem Morawieckim europoseł Adam Bielan ogłosił w mediach społecznościowych, że „jest porozumienie i wspólny kierunek". ■■■ **SŁAWOMIR CENCKIEWICZ** zrezygnował z szefowania Biuru Bezpieczeństwa Narodowego. Twierdzi, że pełnienie funkcji uniemożliwił mu rząd, odmawiając dostępu do informacji niejawnych. Dodał, że „nie ma żadnych złudzeń co do tego, że celem złych ludzi rządzących Polską jest delegitymizacja prezydenta". ■■■ **EMMANUEL MACRON** spotkał się podczas wizyty w Polsce z Donaldem Tuskiem, a nawet z Lechem Wałęsą, ale nie znalazł czasu na rozmowę z Karolem Nawrockim. ©℗



WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

POWYŻEJ:
Briefing prasowy Przemysława Piesiewicza, prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego, którego sponsorem generalnym było Zondacrypto. Warszawa, 20 kwietnia 2026 r.

ZAKLĘTE TOKENY

Aż kusi, by – zamiast naprędce tworzonych regulacji – zostawić rynek kryptowalutowy bez nadzoru. Z jedną regułą: wchodzisz na własne ryzyko. Tylko co z tymi, którzy trafią tam nieświadomie?

MAREK RABIJ

Czy – a jeśli tak – to ile pieniędzy mogą odzyskać inwestorzy poszkodowani przez Zondacrypto? To pytanie oczywiście rozpala dziś internet, ale odpowiedzi nie poznamy szybko. Historia postępowań upadłościowych kilku giełd kryptowalutowych pokazuje, że do klientów wracało czasem nawet 70-80 proc. zainwestowanego kapitału, ale skuteczność windykacji zależała od szeregu

eprasa.pl 997335f986



Jak powstaje bitcoin?

- Blockchain, technologia nieodłącznie związana z kryptowalutami, umożliwia zdecentralizowany zapis danych: zgrupowane w bloki transakcje są odnotowywane jednocześnie na wielu niezależnych od siebie komputerach. Każdy kolejny zapis odnosi się do poprzedniego, potwierdzając wiarygodność operacji.
- Istniejący od 2009 r. bitcoin jest „emitowany" właśnie w ramach nagrody za dodawanie bloków. W uproszczeniu tzw. kopanie bitcoinów polega na wykonywaniu przez komputery obliczeń, które pozwalają potwierdzać transakcje i zabezpieczają sieć.
- Przy obecnej mocy sieci bitcoinowej i kosztach energetycznych jej utrzymania „wykopanie" jednego bitcoina na zwykłym laptopie zajęłoby kilkadziesiąt tysięcy lat. Podaż bitcoina jest ograniczona do 21 mln tokenów, a tempo jego emisji spada w czasie – mniej więcej co cztery lata zmniejsza się nagrody za wydobycie.
- Ostatni bitcoin zostanie wykopany około 2140 r.

czynników. Jeśli poszkodowani mają dobrze udokumentowane roszczenia, syndyk i organy ścigania działają sprawnie i nade wszystko – dopóki w kasie są pieniądze, dopóty jest jakaś nadzieja.

PROBLEM W TYM, że w tej chwili nie wiemy, czy Zondacrypto w ogóle dysponuje kapitałem, który mogłyby namierzyć i odzyskać organy ścigania. Prezes spółki Przemysław Kral w kuriozalnym wystąpieniu przekonywał niedawno, że do spółki należy portfel kryptowalut o wartości ponad 330-350 mln dolarów, a problem leży jedynie w dostępie. Elektroniczne klucze ma bowiem posiadać twórca giełdy Sylwester Suszek, który na rok przed tajemniczym zaginięciem rzekomo zobowiązał się (w umowie przekształcającej giełdę BitBay w spółkę Zonda) do przeniesienia tego kapitału do nowego podmiotu.

Mamy więc inwestora, którego nikt nie widział żywego od 2022 roku. Umowę, którą Przemysław Kral jedynie zamachał przed ekranem, oraz jakiś portfel kryptowalutowy, w którym faktycznie są pieniądze, ale nie wiadomo czyje. I na tej podstawie mamy wierzyć, że sytuacja w firmie, do której z niepokojem dobijają się tysiące klientów, jest pod kontrolą. A prezes nie uciekł do Izraela (ma obywatelstwo tego kraju), tylko pojechał tam w celach turystycznych.

Oczywiście, za wcześnie przesądzać, czy klienci Zondacrypto padli ofiarą oszustwa, ale jedno już dziś nie ulega wątpliwości. Tłumaczeniom, które słyszą od szefa giełdy, niebezpiecznie blisko do argumentacji ucznia, który gorączkowo szuka wymówki, dlaczego znowu zaspał na pierwszą lekcję. Przyjmijmy jednak z dobrodziejstwem inwentarza zapewnienia prezesa, że ma w sejfie skarb i tylko zgubił klucze. Plus minus 350 mln dolarów, które leżą zdeponowane w owym portfelu w postaci 4500 bitcoinów – przy obecnym kursie wystarczyłyby do pokrycia mniej więcej 42 proc. z 843 mln dolarów łącznych zobowiązań Zondacryto wobec inwestorów na koniec roku 2024. W sprawozdaniu za ten rok widnieje także informacja o 75 mln euro pożyczki z kapitału klientów, udzielonej przez giełdę... nieznanemu podmiotowi. A w bilansie zobowiązań trzeba przecież uwzględnić jeszcze rok 2025, kiedy aż do jesieni bitcoin i inne płynne kryptowaluty dynamicznie zyskiwały na wartości, kusząc obietnicą zysku.

RAPORT ZA ROK 2025 giełda musi opublikować do końca czerwca. Śledztwo, które niedawno przeprowadzili dziennikarze Wirtualnej Polski, ujawniło tymczasem, że w tzw. gorącym portfelu, czyli w uproszczeniu na rachunku służącym do obsługi bieżących transakcji, Zondacrypto ma obecnie mniej niż 1 bitcoin. To suma, za którą w śródmieściu Warszawy można by z trudem kupić najwyżej kawalerkę.

Podsumujmy to jeszcze raz. Tylko na koniec roku 2024 Zondacrypto miała wobec klientów zobowiązania na ponad 843 mln dolarów – tymczasem straty spowodowane tzw. aferą Amber Gold wyniosły około 851 mln zł.

Czy tej katastrofy można było uniknąć? Raczej nie. Rządowa ustawa regulująca rynek kryptowalutowy w Polsce weszłaby w życie zbyt późno, by uchronić przed stratami inwestujących za pośrednictwem Zondacrypto. Nie przewidywała też powstania branżowego odpowiednika Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, czyli polisy ubezpieczeniowej, na którą zrzucają się wszystkie banki w Polsce, by pokryć klientom straty powstałe przez ewentualne bankructwo któregoś z nich. Poza tym Zondacrypto, jako podmiot zarejestrowany w Estonii, podlega i tak tamtejszym regulacjom.

Z DRUGIEJ STRONY trudno też mówić o zaskoczeniu. Polska Komisja Nadzoru Finansowego już w lipcu 2019 r. wpisała BitBay, poprzedniczkę Zondacrypto, na tzw. listę ostrzeżeń publicznych, na której umieszcza podmioty z branży finansowej potencjalnie groźne dla klientów. Postępowanie dotyczyło jednak wyłącznie prowadzenia działalności bez wymaganego zezwolenia. Giełda przeniosła się więc za granicę, zmieniła nazwę oraz strukturę właścicielską, i to wystarczyło katowickiej prokuraturze, żeby w 2023 r. z ulgą zamknąć postępowanie, które musiała wszcząć po zawiadomieniu KNF.

W kryptoświecie organy ścigania z trudem nadążają za ściganymi. Brakuje specjalistów, którzy rozumieliby, czym są kryptowaluty i gdzie czają się zagrożenia. Wśród samych kryptoinwestorów też nie ma wielkiej tęsknoty za regulacjami i kontrolą państwa. Aż kusi, żeby – zamiast naprędce pisanych ustaw – zostawić ich bez nadzoru. Jedynie z jasno wytyczoną granicą odpowiedzialności: wchodzisz na własne ryzyko.

To rozwiązanie ma tylko jeden minus. Oznacza milczące przyzwolenie, by ofiarami nadużyć padali dalej przypadkowi klienci, którzy nie wiedzą, z czym naprawdę mają do czynienia. ©℗

eprasa.pl 997335f986



Niemcy nareszcie się zbroją

JACEK STAWISKI

Rosja bezustannie przygotowuje się do starcia z krajami NATO, gdyż uważa, że wojna to uprawnione narzędzie do realizacji jej celów. Główne cele Kremla to rozbicie NATO i doprowadzenie do rozpadu sojuszu USA i Europy. Dla większości polityków w Polsce i większości Polaków to oczywiste. Ale nadal nie jest to oczywiste dla wielu w Europie Zachodniej, w tym dla wielu Niemców. Dlatego dobrze, że niemiecki minister obrony Boris Pistorius przedstawił, po raz pierwszy od zjednoczenia Niemiec, strategię wojskową RFN.

Wygląda ona sensownie i jest rezultatem mentalnej zmiany, jaka dokonała się w Niemczech po pełnoskalowej inwazji na Ukrainę. Minione cztery lata pokazały Niemcom, że wojna w Europie to nie kwestia z przeszłości. I że w nieodległej przyszłości może objąć kolejne kraje, w tym Niemcy. Takie myślenie w Niemczech odsuwano na bok, choćby z racji historycznych. Z kolei ostatnie miesiące pokazały, że dotychczasowe myślenie o bezpieczeństwie Europy w oparciu o protekcję USA może być anachroniczne, wręcz naiwne.

Strategia militarna RFN zakłada, że w ciągu dekady Bundeswehra ma być największą konwencjonalną armią w Europie (podobne ambicje ma Polska). Pistorius, polityk bardzo popularny w Niemczech oraz ceniony w Europie i USA, rysuje perspektywę, w której Niemcy w 2035 r. wystawią wojsko w sile 260 tys. żołnierzy (dziś to 185 tys. żołnierzy) i 200 tys. rezerwistów.

Dalej: jeśli spełnią się zapowiedzi, za trzy lata Niemcy będą wydawać 160 mld euro rocznie na obronność, prześcigając w wydatkach militarnych Wielką Brytanię i Francję (te są mocarstwami nuklearnymi i zachowują zdolności wysyłania wojsk poza granice Europy). Niemcy chcą skupić się na obronie własnego terytorium i terytorium NATO. Na dalekim miejscu znalazło się myślenie o wyprawach ekspedycyjnych, choćby dla kontroli cieśniny Ormuz.

Niemcy silne militarnie i zarazem gotowe (także mentalnie) do walki w obronie całego NATO – to dobra wiadomość dla Polski oraz naszych sąsiadów, jak Litwa, Łotwa i Estonia. Ale jest wiele niewiadomych: czy Niemcy wytrwają w postanowieniach budowy silnej i nowoczesnej armii? Czy gospodarka niemiecka udźwignie tak wielkie wydatki, jeśli koniunktura gospodarcza w Niemczech będzie kiepska? Czy Niemcy będą na tyle innowacyjne, by unowocześniać armię także technologicznie i sprzętowo?

Oraz: co będzie z tymi planami, jeśli rosnąć w siłę będzie prokremlowska i antynatowska AfD? ©℗



CHRISTOPHER NEUNDORF / EPA / PAP

Minister Pistorius (z prawej) wśród żołnierzy Bundeswehry, 2024 r.



Brzegi Dunaju

PIOTR OLEKSY

Bułgaria ma szansę zakończyć okres destabilizacji, trwający pięć lat. Sukces partii Postępowa Bułgaria, stworzonej przez eksprezydenta Rumena Radewa, budzi jednak niepokój o stanowisko Sofii wobec Rosji i UE. Za to w sąsiedniej Rumunii rozpada się proeuropejska koalicja rządząca. Na tym kryzysie mogą skorzystać nacjonaliści, którzy podważają prozachodni kurs Bukaresztu.

W Bułgarii od 2021 r. siły reformatorskie walczyły ze starą elitą, reprezentującą interesy oligarchów. W tym czasie 8 razy wybierano parlament. W efekcie w wyborach, które odbyły się 19 kwietnia, aż 44 proc. Bułgarów poparło polityka będącego w tym czasie jedynym stałym punktem odniesienia: Radewa, który z urzędu ustąpił w styczniu 2026 r. (w ostatnim roku drugiej kadencji), zapowiadając budowę nowej partii. Teraz ma samodzielną większość.

Ten były oficer lotnictwa pozycjonuje się jako ostry krytyk dotychczasowej elity. Czas pokaże, czy jego celem jest faktycznie demontaż patologicznego systemu, czy też zajęcie w nim centralnej pozycji. Na razie zapowiada wznowienie zakupu gazu z Rosji, odmawia przekazania broni Ukrainie (za to chętnie ją sprzedaje), często krytykuje UE i wzywa do pragmatyzmu w relacjach światowych.

Wśród Bułgarów, konserwatywnych i tradycyjnie sympatyzujących z Rosją, to poglądy i tak umiarkowane. Nie wydaje się przy tym, by w unijnej układance Radew zastąpił Orbána; kraj jest bardziej zależny od rynków i środków z UE. Radew deklaruje niepodważalność zobowiązań w NATO, ale nie będzie zwolennikiem projektów, które pozwoliłyby zwiększyć siłę Sojuszu na Morzu Czarnym.

Tymczasem po drugiej stronie Dunaju, w Rumunii, Partia Socjaldemokratyczna opuściła koalicję rządzącą, którą tworzyła z ugrupowaniami centroprawicowymi. Powstanie tej koalicji na koniec 2024 r. było odpowiedzią na zagrożenie przejęcia władzy przez skrajną prawicę. Teraz PS doszła do wniosku, że polityka rządu, zmierzająca do zmniejszenia deficytu budżetowego, uderza w jej bazę wyborczą. Pozostałe partie koalicyjne, ciesząc się poparciem prezydenta Nicușora Dana,, nie zamierzają ustępować.

Dziś rząd mniejszościowy w Bukareszcie to scenariusz bardziej prawdopodobny niż przyśpieszone wybory. Gra o partyjny interes odbiera jednak Rumunii chwilową stabilność polityczną. A to wszystko na rok po zakończeniu kilkumiesięcznego kryzysu, związanego z wyborami prezydenckimi. Ich niedoszły zwycięzca, George Simion z nacjonalistycznego Związku Jedności Rumunów, może teraz tylko zacierać ręce. ©

eprasa.pl 997335f986

Cena i scena



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Fani przed koncertem Billie Eilish w Krakowie, 3 czerwca 2025 r.

KONCERTY ■ Kiedy 20 kwietnia UOKiK ogłosił decyzję o nałożeniu ponad 15 milionów złotych kary na firmę Live Nation Entertainment, na forach i grupach skupiających fanów muzyki zapanowała radość. Praktyki tej firmy sprawiały, że uczestnictwo w koncertach gwiazd stało się ciągiem monetyzacji, gdzie cena biletu jest jednym z licznych kosztów, na które można po drodze narazić się nie zawsze świadomie.

Urząd zakwestionował zapisy regulaminów, pozwalające organizatorowi w sposób niejasny kształtować warunki uczestnictwa. Live Nation Entertainment wprowadzał zakaz wnoszenia „bagażu", nie precyzując jednak, co kryje się pod tym pojęciem. W praktyce prowadziło to do uznaniowości decyzji podejmowanych przy wejściu. Uczestnicy nie mieli pewności, czy zostaną wpuszczeni nawet z drobnymi przedmiotami osobistymi.

Często kończyło się to koniecznością skorzystania z płatnych depozytów albo rezygnacją z udziału w wydarzeniu. Ponadto regulamin dopuszczał odmowę przyjęcia rzeczy do depozytu, co mogło skutkować wykluczeniem z imprezy.

Lista grzechów wymieniana przez uczestników jest jednak o wiele większa niż ta, za którą karę nałożył UOKiK. Począwszy od dynamicznie zmieniających się cen biletów, wygórowane opłaty serwisowe, przez rozrastające się strefy premium i nadmierne zagęszczenia w strefach, do których wstęp jest tańszy.

Live Nation Entertainment od lat buduje swoją pozycję monopolisty, łącząc działalność promotorską z kontrolą nad sprzedażą biletów przez Ticketmaster. Połączenie tych dwóch podmiotów w 2009 r. stworzyło strukturę, w której ten sam gracz odpowiada za produkcję wydarzeń, jak i dostęp do nich.

Udział w koncercie idola przez dekady był doświadczeniem może nieidealnym, czasem chaotycznym, ale wspólnym. Publiczność, niezależnie od zasobności portfela, uczestniczyła w tym samym wydarzeniu, dzieląc przestrzeń i emocje.

Dziś coraz częściej mamy do czynienia z procesem segmentacji. Koncert stał się ciągiem decyzji zakupowych: wybór biletu, dopłata za lepszą strefę, zakup napojów, dostęp do infrastruktury, czasem nawet komfort fizyczny. Wszystko ma swoją cenę.

Na szczęście wciąż istnieją wydarzenia, które, choć nie wolne od presji rynku, wciąż próbują zachować wspólnotowy charakter. Festiwale jak OFF Festival, Open'er Festival czy bezpłatny Pol'and'Rock Festival starają się budować narrację wspólnoty i dostępności. Pytanie, na ile jest to jeszcze autentyczne przeżycie, a na ile marketingowa otoczka. Tu też wdziera się komercjalizacja: niebosiężne ceny w strefach gastro, nachalna obecność sponsorów, płatne prysznice i pola namiotowe.

To, że koncerty się zmieniły, wydaje się oczywiste. Pytanie brzmi raczej: czy zmiana ta ma jeszcze granice. I czy w świecie, w którym każde doświadczenie można podzielić na poziomy cenowe, pozostaje miejsce na coś, co nie jest produktem. **© JACEK TARAN**

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 997335f986

TEMAT TYGODNIKA

JEŻDŻĘ, BO MUSZĘ

Własne auto dawno przestało być tylko środkiem transportu i narzędziem prestiżu. Stało się mobilną twierdzą, chroniącą przed dyskomfortem i obcymi. Złotą klatką, z której nie umiemy wyjść, nawet jeśli stoimy w gigantycznym korku.

FILIP SPRINGER

Zacznę od przedstawienia się. Mam na imię Filip, mam 43 lata, żonę i trójkę dzieci. Mieszkam w Warszawie – ani w jej centrum, ani na obrzeżu. Jestem przedstawicielem tzw. wolnego zawodu. Moje zajęcie polega na przesiadywaniu przed komputerem w miejscu zamieszkania oraz na licznych podróżach po Polsce.

Egzamin na prawo jazdy zdałem w wieku lat 40. Zdobyłem je, bo na świat przyszło moje drugie dziecko. Posiadanie prawa jazdy wpłynęło znacząco na mój sposób podróżowania po kraju i prawie w ogóle nie wpłynęło na sposób poruszania się po mieście.

Uwielbiam jeździć rowerem – to mój domyślny środek transportu w mieście, również zimą. Na długich dystansach preferuję podróż pociągiem, ze względu na wygodę, możliwość pracy w trakcie i koszty (posiadam Kartę Dużej Rodziny).

Samochód jest zawsze moim trzecim wyborem – decyduję się na niego tylko, gdy mam do przewiezienia dużą ilość sprzętu fotograficznego i rower, gdy planuję spać w aucie po drodze lub gdy wybieram się w podróż łączącą kilka odległych celów, z których część nie jest dogodnie skomunikowana transportem zbiorowym.

Kierowanie samochodem sprawia mi dziką przyjemność.

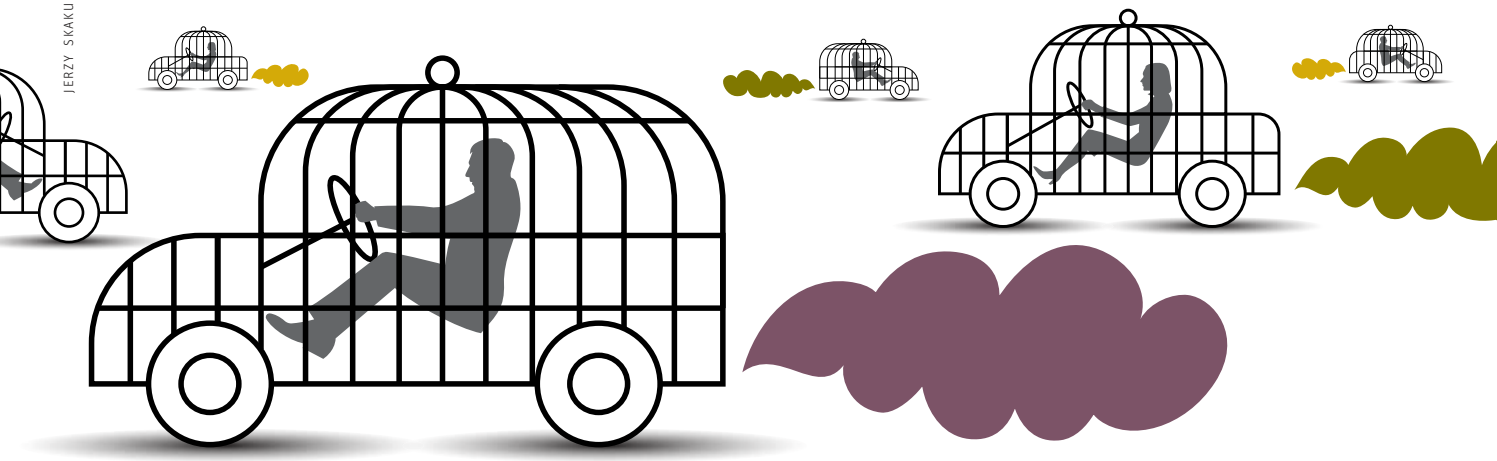
Oto miejsce, z którego piszę. Wiele osób nazwie je uprzywilejowanym, ale wiele innych na hasło „uprzywilejowanie" wzdrygnie się z irytacją.

To w głównej mierze o nich będzie ten tekst.

Coraz więcej

Na początek liczby. W Polsce jest coraz więcej samochodów. W 2015 r. mieliśmy ich ok. 540 na 1000 mieszkańców, dziś mamy ok. 600. W Warszawie z 600 samochodów w 2015 r. dobiliśmy do ok. 720. Wrocław – skok z 600 do 650, Kraków – z 550 do ponad 600, niektóre dane mówią, że w Poznaniu może być nawet 700 aut na 1000 mieszkańców.

Nie ma w Polsce dużego miasta, w którym liczba samochodów by spadała. Nie dzieje się to nawet w tych ośrodkach, których populacje się kurczą w związku z kryzysem demograficznym i odpływem



JERZY SKAKUN DLA „TP"

eprasa.pl 997335f986

mieszkańców na przedmieścia, takich jak Łódź czy Katowice.

Dlaczego zatem Polki i Polacy nie rezygnują z samochodów?

Gdy spojrzymy poza duże miasta, odpowiedź stanie się prosta: bo nie mogą. Wykluczeniem komunikacyjnym w Polsce objętych jest ok. 11-12 milionów osób. Jedna trzecia populacji. To ludzie, dla których samochód jest jedynym sposobem na dotarcie do pracy, szkoły, lekarza, po zakupy czy do urzędu.

To już wiemy. Opowiedzieliśmy sobie tę historię wielokrotnie, mamy o tym świetne reportaże, choćby „Nie zdążę" Olgi Gitkiewicz. Problem dostrzegli nawet politycy. Niektórzy próbowali go rozwiązać, inni gorliwie zapewniali, że spróbują. Wyszedł z tego pomysł na CPK, ale może liczą się intencje.

Gdy spojrzymy na duże miasta, sprawa się zacznie komplikować. Wszak tam ostatnia dekada to przecież epoka rozwoju transportu zbiorowego. Nowe linie tramwajowe i autobusowe, centra przesiadkowe, wymiana taboru, integracja systemów biletowych, warszawskie metro. Wraz z tymi inwestycjami idą nakłady w infrastrukturę rowerową – nowe ścieżki, publiczne systemy rowerów miejskich, strefy ograniczonej prędkości i uspokojonego transportu.

Nawet pieszych ginie mniej na ulicach niż dekadę temu. A elektryczne hulajnogi stoją w każdym supermarkecie obok worków z węglem drzewnym na sobotniego grilla, kusząc coraz bardziej przystępnymi cenami.

Polska rzeczywistość komunikacyjna w największych ośrodkach jest wciąż daleka od ideału – ale można się chyba zgodzić, że jest lepiej niż 10 lat temu. I że kosztowało to nas wszystkich (oraz Unię Europejską) niemało miliardów.

A samochodów i tak jest więcej.

Można ten przyrost odczytywać jako dowód bogacenia się społeczeństwa. Polaków w końcu stać na własne auta – czy nie o tym marzyliśmy przez dekady PRL-u? W tej narracji to po prostu element pogoni za Zachodem, nadrabiania cywilizacyjnych zaległości.

I niespecjalne ma znaczenie fakt, że cel, za którym zgodnie z tą opowieścią gonimy, już dawno przestał istnieć. Amsterdam, Barcelona, Berlin, Madryt, Londyn, Berlin, Kopenhaga, Paryż, Wiedeń to miasta, w których samochodów jest zdecydowanie, niekiedy nawet dwukrotnie mniej.

Pożyteczny kryzys

Tu warto się na chwilę zatrzymać i zapytać, kiedy ta Kopenhaga zaczęła się stawać jednym z najbardziej przyjaznych miejsc dla ludzi, kiedy stał się taki Amsterdam i inne holenderskie miasta? Przecież jeszcze w latach 50. Strøget – dziś reprezentacyjny, handlowy deptak Kopenhagi, pełen był aut.

Z pomocą przychodzi lekcja najnowszej historii i kryzys paliwowy roku 1973, spowodowany wybuchem wojny Jom Kippur. Państwa OPEC nałożyły wtedy embargo na paliwa dla krajów wspierających Izrael, ceny w Europie wzrosły o kilkaset procent. Wiele krajów wprowadziło wtedy obowiązkowe niedziele bez samochodu, limity (a nawet talony!) na paliwo, zakazy używania kanistrów na stacjach, a także dni, kiedy po ulicach mogły się poruszać tylko auta z parzystymi lub nieparzystymi numerami rejestracyjnymi. Mieszkańcy europejskich miast w końcu mogli się przekonać, jak miejsca, w których żyją, wyglądają i działają, gdy usunie się z nich samochody. I to, co zobaczyli, bardzo im się spodobało.

Wszystkie te, wymuszone wielką polityką ograniczenia zgrały się z ruchami, które zaczynały dochodzić do głosu od początku lat 60. W Holandii od 1971 r. działał Stop de Kindermoord, który domagał się poprawienia bezpieczeństwa na drogach. Inicjatywa powstała po tym, jak w wypadku zginęła sześcioletnia córka wybitnego dziennikarza, Vica Langenhoffa. Zrozpaczony i wściekły, napisał na pierwszej stronie gazety „De Tijd" niezwykle emocjonalny artykuł zatytułowany właśnie „Stop de Kindermoord". Oskarżył w nim społeczeństwo i władze o to, że w imię wygody kierowców i fałszywie pojętego postępu poświęcają życie niewinnych dzieci. W tamtym czasie na holenderskich ulicach i drogach ginęło co roku ponad trzy tysiące pieszych, z czego 400 ofiar było dziećmi. Dla porównania, w 2025 r. na holenderskich drogach zginęło ponad 670 osób, z czego tylko 70 było pieszymi.

Również w 1971 r. duński urbanista Jan Gehl opublikował książkę „Życie między budynkami". Było to podsumowanie prowadzonych od 1965 r. badań nad miastami włoskimi i próba aplikacji ich wyników na grunt duński. Od 1968 r. Gehl wraz z władzami Kopenhagi ograniczał ruch samochodowy w centrum, ↦



eprasa.pl 997335f986

↦ co spotykało się z oporem mieszkańców. Jedno z haseł przeciwników reform brzmiało: „Jesteśmy Duńczykami, a nie Włochami. Nie będziemy przesiadywać na ulicach".

Wraz z kryzysem paliwowym w 1973 r. zaczęła się więc rozpadać modernistyczna wizja miast całkowicie uzależnionych od samochodów. Mieszkańcy metropolii zaczęli odzyskiwać podmiotowość. Zmiany, która wtedy się zaczęła, nic już nie mogło zatrzymać. Późna miejska nowoczesność w Europie Zachodniej to już nowoczesność, która auto trzyma w cieniu.

Dziś, gdy dopadł nas kolejny kryzys paliwowy, a katastrofa klimatyczna puka do drzwi, zasadnym wydaje się pytanie: czy skorzystamy z okazji jak wtedy Duńczycy, Niemcy i Holendrzy? Miasta, w których współczynnik liczby aut na tysiąc mieszkańców spada poniżej czterystu, są zwykle w czołówce rankingów najlepszych miejsc do życia. I wiemy o tym doskonale, bo z jakichś powodów to te miejsca odwiedzamy w ramach urlopów lub city breaków.

400 samochodów na 1000 mieszkańców. Albo nawet mniej. W Polsce nie ma ani jednego miasta wojewódzkiego, które mogłoby się pochwalić takim wynikiem.

Czy kiedyś będzie? Nie, już raczej nie.

Szkopuł w międzymieściu

W 1997 r. niemiecki architekt, urbanista i badacz przestrzeni Thomas Sieverts opublikował książkę „Zwischenstadt: zwischen Ort und Welt, Raum und Zeit, Stadt und Land" (Międzymieście: pomiędzy miejscem a światem, przestrzenią a czasem, miastem a wsią). Opisał nowy typ krajobrazu kulturowego, właściwy dla późnego kapitalizmu. Klasycznie rozumiane przedmieście ustępuje w nim miejsca właśnie międzymieściu – amorficznej, zdecentralizowanej przestrzeni pozbawionej wyrazistego centrum, w której funkcje życiowe – praca, handel, rozrywka – są rozrzucone na ogromnych dystansach.

Tworzy ona chaotyczny archipelag, gdzie zamknięte osiedla sąsiadują z halami logistycznymi, dyskontami i polami uprawnymi. Z powodu rzadkiej zabudowy i braku spójnej infrastruktury pieszej obszar ten wymusza na mieszkańcach całkowitą zależność od samochodu, czyniąc organizację transportu zbiorowego nieefektywną i wręcz niemożliwą. W efekcie miasto traci swoją tożsamość, stając się jedynie „sypialnią" i pozbawioną charakteru przestrzenią tranzytową, którą trzeba jak najszybciej pokonać.

Według opracowań opartych m.in. na danych z III Kongresu Demograficznego GUS i raportach Instytutu Rozwoju Miast i Regionów, w międzymieściu żyje dziś ok. 8,3 mln Polek i Polaków. Część tak chciała – realizuje marzenie o domku z ogródkiem „za miastem". Inni musieli, bo kalkulator zdolności kredytowej wskazał im lokalizację, z którą musieli się pogodzić, chcąc w końcu zamieszkać na „swoim". Wszyscy ci ludzie muszą dojechać do szkół, zakładów pracy, po zakupy. Jeden samochód na rodzinę to często za mało.

600
samochodów
przypada na 1000 mieszkańców Polski. Od 2015 r. liczba ta wzrosła z 540.

Prawdopodobieństwo posiadania auta rośnie wraz ze wzrostem odległości od centrum miasta – zauważają autorki i autorzy badania „Zachowania transportowe mieszkańców polskich miast: przyczynowość, zmiany zachowań i wpływ na klimat". Zostało ono zrealizowane na Wydziale Socjologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i Centrum Europejskich Studiów Regionalnych i Lokalnych (Euroreg) na UW. Na warsztat wzięto dwa ośrodki – Poznań i Trójmiasto, podobne pod względem liczby mieszkańców, ale inne ze względu na strukturę. Stolica Wielkopolski to klasyczne, monocentryczne miasto z pęczniejącym obwarzankiem przedmieść. Aglomeracja trójmiejska ma wiele centrów, jej rozwój przestrzenny zaś ograniczony jest z jednej strony linią brzegową, a z drugiej porośniętym lasem skrajem moreny. Badacze i badaczki przez kilka lat rozmawiali z mieszkańcami obu ośrodków na temat ich nawyków, wyborów i możliwości korzystania bądź rezygnacji z samochodów. Wnioski, do których doszli, rzucają światło na przyszłość innych miast.

Lata zaniedbań polskiego systemu planowania przestrzennego, rozlewania się miast, zabudowy łanowej, patodeweloperskich praktyk i zaniechań samorządów doprowadziły do tego, że międzymieście stało się naturalnym, choć na dłuższą metę nieznośnym środowiskiem życia. Wielu z tych zaniedbań nie da się już naprawić, a jedynym remedium na ten stan rzeczy będą samochody.

Tryb domyślny

„Gdy miasta rozlewają się, a infrastruktura i gospodarka podporządkowane są mobilności samochodowej, każdy kolejny element – nowe drogi, parkingi, decyzje planistyczne, polityczne kompromisy – tworzy blokadę strukturalną, którą trudno przełamać" – pisze Dawid Krysiński w jednym z tekstów podsumowujących wspomniane badanie. – Powiązanie przemysłu motoryzacyjnego, infrastruktury drogowej, charakteru zabudowy i kultury konsumpcji aut tworzy spójny, samopodtrzymujący się system, prowadzący do trwałego »uwięzienia« w wysokoemisyjnym transporcie samochodowym. W efekcie takiego stanu rzeczy auto przestaje być wyborem, a staje się domyślną praktyką".

Ta domyślność samochodu rozlewa się także na tych, którzy obiektywnie nie muszą z niego korzystać, bo nie są mieszkańcami międzymieścia. Całkiem niedawno poseł Krzysztof Bosak biadolił w mediach społecznościowych nad tym, jak to jest wykluczony, bo nie może zaparkować swobodnie w centrum miasta. Swój film nagrywał na tle wielopoziomowego, tyle że płatnego parkingu.

Nieco wcześniej prezenterka telewizyjna Anna Kalczyńska narzekała, stojąc w korku na Alejach Jerozolimskich, że miasto jest nieprzejezdne i że to generalnie absurd. Komentariat szybko jej podpowiedział, że miejsce, w którym stoi, jest skomunikowane z innymi częściami stolicy tramwajami, autobusami, metrem, systemem roweru miejskiego i kolejką podmiejską. Nie ma sensu się tamtędy przebijać samochodem.

Słowem: nie narzekaj na korki, gdy sama jesteś korkiem.

Wyblakły prestiż

Codziennie pakuję dwoje dzieci do roweru cargo i jedziemy do oddalonych o półtora kilometra placówek – szkoły

eprasa.pl 997335f986

i przedszkola. Zwykle zastajemy podobny widok: samochody zaparkowane „na chwilę" na chodnikach, przejściach dla pieszych, podjazdach prywatnych posesji albo wręcz na skrzyżowaniach. To rodzice kolegów i koleżanek moich dzieci przywieźli swoje pociechy.

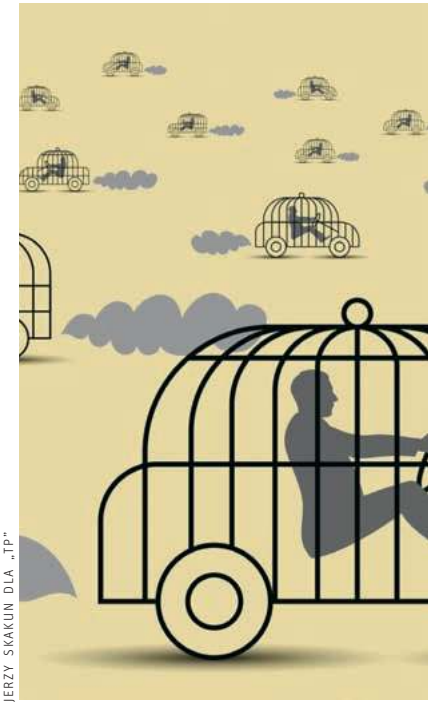
W szkole syna problem wraca w kolejnych mailach od dyrekcji, apelującej o odpowiedzialność. W dyskusjach między rodzicami pojawił się nawet temat zagrożeń, jakie czyhają na dzieci próbujące przedostać się przez ulicę między zaparkowanymi samochodami. Jednym z desperackich rozwiązań miały być dyżury na skrzyżowaniu – ubrany w jaskrawy płaszcz rodzic z wielkim znakiem stop miał pomagać dziatwie dotrzeć bezpiecznie do szkoły. Argument, że można sobie odpuścić przyjeżdżanie samochodem, jakoś się nie przyjął.

A ci, którzy tak parkują, nie są, z drobnymi wyjątkami, mieszkańcami międzymieścia. Żyją w tej samej albo sąsiednich dzielnicach, i dysponują świetną komunikacją miejską. To przedstawiciele uprzywilejowanej wyższej klasy średniej, która nie tyle nie może, co nie chce i nie zamierza rezygnować z samochodu.

Przez ostatnie lata utożsamiano niechęć do rezygnacji z samochodu z obowiązującymi w społeczeństwie wzorcami prestiżu. Auto miało być jednym z jego wyznaczników. Wraz z umasowieniem się samochodu czynnik ten musi jednak tracić na znaczeniu. Konkurować i wyróżnić się można wprawdzie marką, wielkością (SUV ponad wszystko!), modelem i wyposażeniem. Ale musi tu chodzić o coś jeszcze – w mniejszym stopniu o prestiż, a w coraz większym o luksus i specyficznie pojmowany komfort.

Bezpieczna przyjemność

Być może chodzi też o przyjemność, to wszak najwyższy cel ponowoczesnego człowieka Zachodu. Byung Chul-Han, niemiecki filozof koreańskiego pochodzenia, twierdzi, że żyjemy w epoce chronicznej algofobii – paraliżującego lęku przed jakimkolwiek bólem, cierpieniem czy dyskomfortem. W eseju „Społeczeństwo paliatywne" stawia tezę, że przyjemność stała się wszechobecnym środkiem znieczulającym. Ma tłumić egzystencjalne lęki i społeczne tarcia. Unikamy trudnej sztuki, trudnych relacji (stąd popularność Tindera,



JERZY SKAKUN DLA „TP"

11-12 mln

Polaków jest objętych wykluczeniem komunikacyjnym.

gdzie odrzucenie ogranicza się do bezbolesnego przesunięcia palcem) i dyskomfortu fizycznego. A jeśli nie możemy ich uniknąć, to przynajmniej chcemy je mieć pod kontrolą.

Samochód iluzję takiej kontroli buduje. Jego wnętrze jest przestrzenią całkowicie prywatną, przy pomocy której poruszamy się przez publiczne. Jest jak bezpieczny kokon, chroniący nas przed tym, co nieznane, inne i zmienne. Autobus, tramwaj albo spacer ulicą tego nie zapewnią.

„Przyjemność stanowi rodzaj filtra percepcyjnego. Jeśli ktoś lubi prowadzić samochód, a jednocześnie odbiera transport publiczny jako niekomfortowy, wolny, nieprzewidywalny, to niezależnie od tego, czy alternatywy wobec auta faktycznie takie są, będzie interpretował rozwiązania ograniczające ruch aut jako zagrożenie dla swojej jakości życia – piszą autorzy projektu „Co nas porusza". – Z tego powodu przyjemność staje się kluczową barierą polityczną i psychologiczną – działa jak czynnik wzmacniający przywiązanie do samochodu na poziomie emocji, których nie da się szybko zmienić edukacją, informacją czy apelami klimatycznymi".

Czas pod kontrolą

Ale nie bez znaczenia musi być też kwestia czasu.

„Być panem własnego czasu: to jest właśnie luksus. Jestem przekonany, że życie też jest dużo prostsze, kiedy sami zarządzamy naszym czasem" – mówi David Jenkins, mieszkający w Londynie wydawca książek w rozmowie z architektem i projektantem Jakubem Szczęsnym. To jedna z wypowiedzi, jakie znalazły się w książce „Luksus kontra proste życie", opublikowanej przez Szczęsnego pod koniec 2025 r. Sonda, którą autor przeprowadził wśród bliższych i dalszych znajomych, prowadzi do zaskakujących wniosków – wiele z zawartych w niej odpowiedzi dotyczy właśnie temporalnego, a nie materialnego aspektu życia.

Czas jest jedną z najważniejszych przestrzeni kapitalistycznego podboju i to o niego (oraz naszą uwagę) toczy się dziś najbardziej zaciekła walka. Wraz z końcem wielkich cywilizacyjnych i religijnych opowieści stracił swój narratyw (jak napisałby Byung Chul-Han) – stał się bezcelowy, wypełniony zdarzeniami, które nie prowadzą do żadnej puenty, spełnienia czy zbawienia. Polega na pracy albo przerwach w pracy, w których konsumujemy. Z każdej strony czujemy jednak, że mamy go coraz mniej, że wszędzie musimy się spieszyć, że zawsze jesteśmy o dwa kroki za innymi. I że gdy tylko się zatrzymamy, to *de facto* zaczniemy się cofać, na co w cywilizacji osiągnięć nie możemy sobie pozwolić.

Samochód może tu być pomocny w dwójnasób. Z jednej strony jest postrzegany jako technologia, która zwiększa naszą wydajność. Pozwala zrobić więcej w jakimś przedziale czasu. Nie zawsze i nie wszędzie, ale trudno mu odmówić tej umiejętności. Mniejsza z tym, że jak w przypadku każdej technologii zwiększającej naszą efektywność nie uwalnia naszego czasu, ale po prostu zmusza do robienia większej ilości rzeczy jednocześnie.

Z drugiej strony auto oferuje większą kontrolę lub jej przekonującą iluzję – nie tylko nad przestrzenią, ale także nad czasem właśnie. Zaczyna jechać wtedy, gdy chcemy. Zatrzymuje się tam i wtedy, gdy je zatrzymamy. W transporcie publicznym musimy się ↦

eprasa.pl 997335f986

↦ podporządkować zewnętrznej temporalności wyznaczanej rozkładem jazdy. W samochodzie definiujemy ją sami. I nie ma znaczenia, że kierowcy w najbardziej zakorkowanych miastach, takich jak Wrocław, Łódź, Kraków, Warszawa (według TomTom Traffic Index 2022-2024) tracą w zatorach drogowych od 150 do nawet 235 godzin, czyli 6-10 dób rocznie. Jeśli tracić czas, to tylko w prywatnym zaciszu swojego „ekologicznego", hybrydowego SUV-a.

6-10
dób rocznie
mieszkańcy najbardziej zatłoczonych miast spędzają w korkach.

Droga donikąd

Co by się musiało stać, abyśmy zrezygnowali z samochodów i przekonali do bardziej zrównoważonych środków transportu? Z pewnością nie pomoże tu ekologiczna perswazja. Polska klasa średnia ma ekologię w głębokim poważaniu. To znaczy deklaratywnie jest przejęta stanem planety, ale praktycznie niewiele z tym przejęciem robi. Zwracał na to uwagę w swoich badaniach prof. Przemysław Sadura, podobnie jak autorzy raportu „Ziemianie atakują", publikowanego co dwa lata przez pracownię Lata Dwudzieste.

Oto podręcznikowy przykład hipokryzji: z jednej strony to właśnie wykształcona i zamożna klasa średnia wykazuje największą deklaratywną troskę o planetę i piętnuje egoistyczne zachowania innych. Z drugiej strony, to osoby o wysokim kapitale i wyższych dochodach emitują najwięcej gazów cieplarnianych, głównie ze względu na częste loty długodystansowe i intensywne korzystanie z samochodów. Kiedy dyskusja o ekologii przechodzi od ogólnych postulatów do konkretnych ograniczeń (np. limitów lotów, ograniczeń w konsumpcji mięsa czy zużycia paliwa), przedstawiciele klasy średniej reagują najbardziej zdecydowanym oporem. Konsumpcyjny i mobilny styl życia traktują jak nagrodę i zdobycz po latach wyrzeczeń z czasów PRL i wczesnej transformacji.

Badania pokazują, że klasa średnia chętnie popiera restrykcje, które uderzają w osoby mniej zamożne (np. zakazy używania starych pieców węglowych czy wjazdów starych samochodów diesla do miast), ale kategorycznie odrzuca ograniczenia dóbr luksusowych, z których sama korzysta. Najbardziej absurdalnym przykładem jest aktorka Grażyna Wolszczak, która wraz z grupą celebrytów pozwała Ministerstwo Środowiska i Skarb Państwa w głośnym procesie o smog, a sama jeździła po Warszawie wielkim, paliwożernym SUV-em z silnikiem diesla. W przypadku klas uprzywilejowanych samochód i ekologia po prostu się nie łączą.

Tylko uczynienie samochodu skrajnie niewygodnym i nieopłacalnym środkiem transportu w mieście może nas zmusić do masowego pozostawienia aut w domach. Trudno jednak zakładać, by politycy rwali się do tego zadania. Ograniczenia dla ruchu samochodowego udaje się wprowadzać tylko tam, gdzie służą estetyzacji przestrzeni i zwiększeniu jej komercyjnej atrakcyjności.

Polacy będą więc jeździć samochodami. Jedni dlatego, że muszą, bo utknęli w międzymieściu albo żyją z dala od dużych miast. Inni dlatego, że nie wyobrażają sobie alternatyw. Dorasta też pokolenie dzieci wszędzie wożonych samochodami. One nie znają innego modelu.

W wygłuszonych wnętrzach klimatyzowanych SUV-ów posłuchamy więc podkastów o uważności i odzyskiwaniu kontroli nad własnym życiem. A potem z uśmiechem na ustach i poczuciem moralnej wyższości wjedziemy w przepaść klimatycznej katastrofy. Przed ostatecznym uderzeniem w ziemię sprawdzimy tylko kątem oka, czy w trakcie spadania nie przestała działać dwustrefowa klimatyzacja. Oby nie przestała. Bo wtedy zrobi się upiornie. © FILIP SPRINGER

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. rozwoju: Michał Bagiński
Marketing i promocja: Sławomir Bieniek, Jacek Napora, Michał Sowiński, Jakub Starzyk
Sklep: Karolina Biały
Dyrektorka ds. reklamy: Justyna Hernas
Reklama i sprzedaż: Mateusz Gawron, Michalina Kościelny, Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 502 499 878
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 997335f986

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”

W świecie, w którym informacje coraz częściej przybierają formę skrótów, nagłówków i emocjonalnych impulsów, warto sięgnąć po medium, które proponuje coś więcej niż szybkie reakcje. „Tygodnik Powszechny” to przestrzeń dla tych, którzy chcą rozumieć, a nie tylko wiedzieć – dla czytelniczek i czytelników szukających pogłębionej refleksji nad rzeczywistością. To tygodnik społeczno-kulturalny, który buduje wspólnotę ludzi myślących samodzielnie i niebojących się zadawać trudnych pytań. Wybierając prenumeratę, inwestujesz nie tylko w dobre czytanie, ale również w stały kontakt z myśleniem, które wykracza poza codzienny informacyjny szum.



Tylko **do 5 maja** kupując lub przedłużając prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” otrzymujesz **specjalną ofertę**

- nawet **4 zł TANIEJ** za numer niż w kiosku
- **Moc Relacji** – wydanie specjalne o psychologii relacji **W PREZENCIE**

OFERTA CENOWA

InPost	Roczna	~~cena 686 zł~~ **nowa cena 616 zł** z kodem: **10kwi26** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 366 zł~~ **nowa cena 346 zł** z kodem: **5kwi26** --> **5% zniżki**
Odbiór w Żabce	Roczna	~~cena 688 zł~~ **nowa cena 618 zł** z kodem: **10kwi26z** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 368 zł~~ **nowa cena 348 zł** z kodem: **5kwi26z** --> **5% zniżki**

Zamówienie prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost oraz z odbiorem w Żabce można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	~~cena 687 zł~~ **nowa cena 617 zł** z kodem: **10kwi26p** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 367 zł~~ **nowa cena 347 zł** z kodem: **5kwi26p** --> **5% zniżki**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 997335f986

PREKARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ

Szukając mitycznej klasy średniej, warto częściej spoglądać w stronę postaci, którą do niedawna stawiano na piedestale każdego 1 maja. No właśnie, co dziś słychać u robotnika?

MAREK RABIJ

Odkąd przestał być oparciem dla „przewodniej siły narodu", nie jest też bohaterem polskiej codzienności. Na ulicach miast o poranku nie gromadzą się na przystankach grupki zaspanych mężczyzn, zabijających kolejnym papierosem oczekiwanie na transport. Nawet jeśli w okolicy działa jeszcze wielki zakład górniczy, huta czy rafineria, wielu pracowników dojeżdża na miejsce własnym samochodem.

Z polskich rozmów zniknął właściwie całkowicie: z rzadka tylko pojawi się w karykaturalnej formie „robola" z pobliskiej budowy, który nowy dzień wita ćwiartką lub piwem pod szybkie śniadanie. Polityczną reprezentację musi współdzielić z innymi grupami – jakby nie należał do społeczności dostatecznie dużej i skonsolidowanej, by mieć tylko dla siebie choćby koło poselskie. Nie rozpala już takich emocji, jak niegdyś. Coraz rzadziej zdarza mu się palić opony przed ministerstwami.

Odebrano mu nawet święto 1 Maja, które dziś jest po prostu początkiem dłuższej lub krótszej majówki.

We współczesnym polskim społeczeństwie jest więc bohaterem drugoplanowym, ale w każdym porządnym scenariuszu to przecież postaci tła górują liczebnością nad głównymi. Podobnie jest z robotnikiem. Nie widać go i nie słychać, ale bez zrozumienia, kim dzisiaj jest, nie da się też zrozumieć współczesnej Polski.

Klasa – tak. Byle nie robotnicza

Według ostatnich danych GUS z lipca ub.r. w firmach z sektora przemysłowego pracowało w całym kraju ponad 2,7 mln osób. Gdyby dodać milion pracowników budowlanki, ponad 100 tysięcy górników i tyle samo osób związanych z wytwarzaniem i przesyłaniem energii, zbliżymy się do czterech milionów – i około 22 proc. wszystkich pracujących. To jednak o połowę mniej niż w latach 70., kiedy na każdych stu czynnych zawodowo przypadało statystycznie aż 47 robotników.

Dane GUS – jak podkreśla dr hab. Adam Mrozowicki, wrocławski socjolog pracy – w tym przypadku mogą być mylące. Obejmują bowiem wszystkie etaty w firmach działających w branżach przemysłowych, a więc np. personel biurowy. Jednocześnie pomijają zatrudnionych na stanowiskach *stricte* robotniczych w branżach pozaprzemysłowych.

– Jeśli spojrzymy na profesje związane z pracą fizyczną lub fizyczno-umysłową, o niskich lub średnich wymaganiach kwalifikacyjnych, ujęte w Międzynarodowej Standardowej Klasyfikacji Zawodów, sytuacja wygląda już inaczej. Bo w ten sposób zarabia dziś na życie około 48 proc. pracujących Polaków – mówi Mrozowicki.

Socjologowie pracy, dodaje badacz, nad nieprzystające do współczesnych realiów słowo „robotnik" przedkła-



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

eprasa.pl 997335f986

dają pojęcie „zawodu robotniczego". Czyli o relatywnie niskich kwalifikacjach potrzebnych do zatrudnienia, wykonywanego nie na własny rachunek, lecz na zlecenie i charakteryzującego się powtarzalnością czynności.

– Do tych kwalifikacji formalnych dodałbym punkt czwarty, czyli brak wpływu na kształt wykonywanych zadań – kontynuuje Mrozowicki. – A to nam już komplikuje obraz, bo zawody robotnicze przestają być tożsame z pracą fizyczną. Konsultantka z infolinii dla klientów towarzystwa ubezpieczeniowego, po studiach magisterskich, wedle klasycznej definicji nie ma nic wspólnego z robotnikiem. Jednak powtarzalny, niemal taśmowy charakter jej pracy, ściśle zdefiniowany przez procedury firmy, w rzeczywistości lokuje ją blisko przedwojennego pracownika obsługującego taśmę w fabryce Forda.

Osobną kwestią jest pytanie, czy takie osoby same siebie nazwałyby robotnikami, a to w tym przypadku kluczowe.

XIX-wieczna klasa robotnicza, ów „wyklęty lud ziemi", który dał początek późniejszej klasie pracującej, była przecież owocem społecznej i ekonomicznej autoidentyfikacji. Tysiące pracowników fabryk, kopalń i szwalni łączyło poczucie, że jadą na jednym wózku. W Wielkiej Brytanii, ojczyźnie ruchów robotniczych, taka identyfikacja jest dziś niemal odruchem pamięci mięśniowej. Z danych rządowej Komisji Mobilności Społecznej z 2025 r. wynika, że choć tylko 25 proc. Brytyjczyków wykonuje zawód mniej lub bardziej związany z pracą fizyczną, to aż 53 proc. społeczeństwa wciąż uważa się za członków szeroko rozumianej „working class".

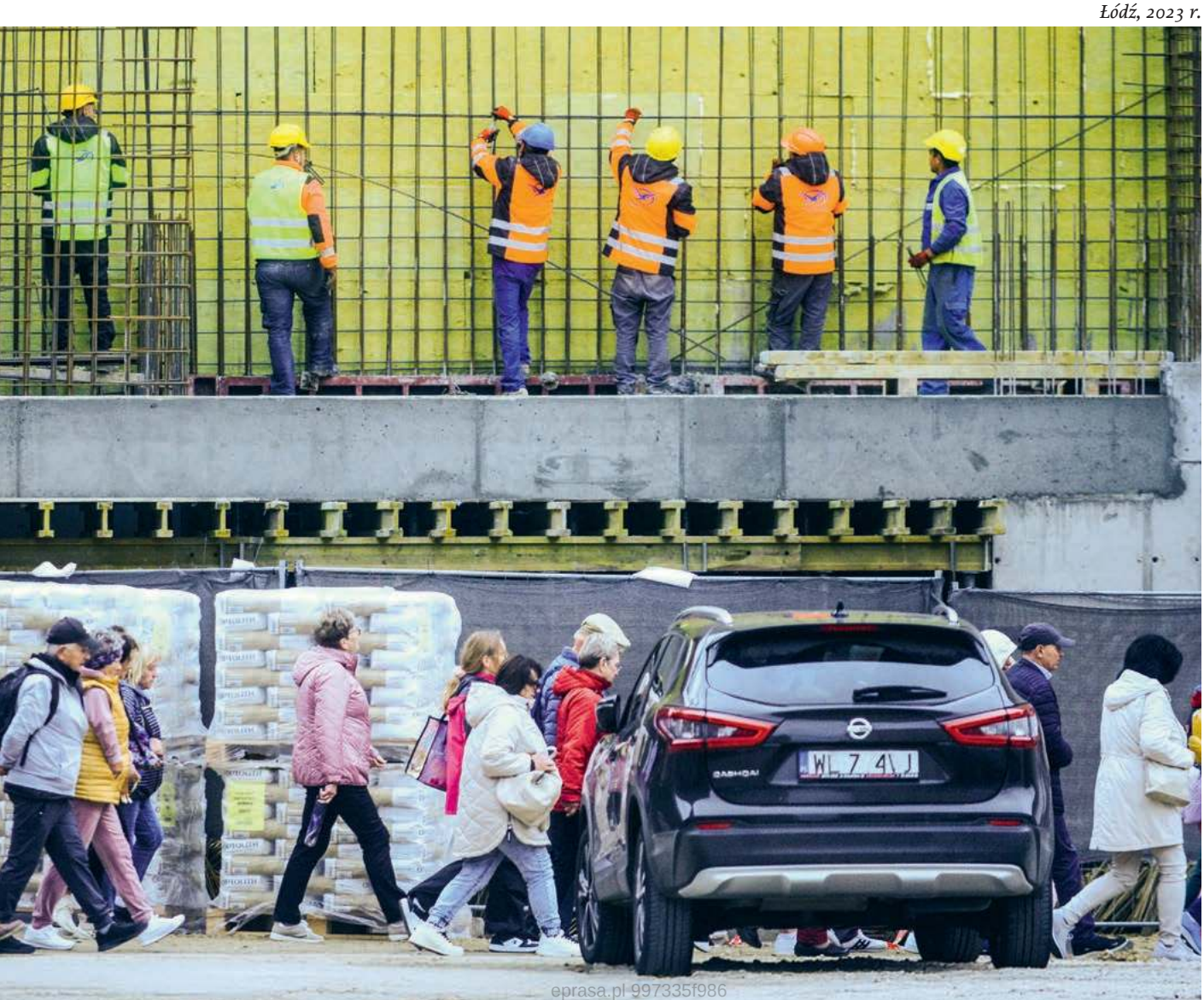
W Polsce nikt podobnych pytań nie stawia. Na zamówienie mediów ścigających upiora „polskiej klasy średniej" systematycznie pojawiają się za to ankiety szacujące jej odsetek na poziomie nawet 60-77 proc. W kulturze popularnej, w badaniach historycznych i w socjologii widać z kolei iście młodopolski zwrot w stronę ludowości.

Robotnik tymczasem został na peronie. Nie po raz pierwszy w najnowszej historii Polski, dlatego przypomnijmy sobie, jak do tego doszło.

„Za stare na wolny rynek"

Gdy 12 września 1989 r. premier Tadeusz Mazowiecki zasłabł w Sejmie podczas *exposé*, udział produkcji przemysłowej w PKB Polski przekraczał 50 proc. W kraju działały 6202 zakłady przemysłowe zatrudniające co najmniej sto osób. Do 2015 r. nie dotrwało 1657 spośród nich – czyli średnio co czwarty. Aż 424 fabryki zamknięto tuż po rozpoczęciu reform Balcerowicza. Jak szacował ↦

Łódź, 2023 r.



eprasa.pl 997335f986

↦ w 2016 r. ekonomista prof. Andrzej Karpiński, „majątek w zlikwidowanych zakładach stanowił 33 proc. całego majątku produkcyjnego w przemyśle istniejącego w roku 1988".

Terapia szokowa zaordynowana polskiemu przemysłowi, poza doraźnym zgnieceniem inflacji, miała ograniczyć jego znaczenie w gospodarce na rzecz usług i handlu.

Jej społeczne efekty uboczne były jednak upiorne. Do roku 2000, jak pisze Karpiński, poskutkowała likwidacją prawie 1,8 mln miejsc pracy, co doprowadziło do „pogorszenia materialnych warunków życia, licząc łącznie z członkami rodzin, dla około 5 mln osób". Polska, która w dekadę lat 90. wchodziła z 37 proc. aktywnej zawodowo populacji zatrudnionej w przemyśle, XXI wiek witała z mniej niż jedną trzecią pełnoletnich obywateli, którzy mogliby nazwać siebie robotnikami.

Słownictwa do opisu tych, którzy boją się wypadnięcia z zakrętu transformacji, nie brakowało za to wielu ówczesnym liderom opinii. Stoczniowcom, hutnikom, górnikom, którzy protestowali przeciw planowanym ograniczeniom produkcji i zatrudnienia, przypinano łatkę „hamulcowych transformacji". Pracownicy cukrowni wyznaczonych do wygaszenia dowiadywali się z gazet, że są „roszczeniowi" i „nieelastyczni".

Na nieco więcej współczucia mogły liczyć bezrobotne łódzkie szwaczki i włókniarki (tylko w 1990 i 1991 r. w mieście i w okolicy pracę straciło 81 tys. osób z branży odzieżowej i włókienniczej). „Bieda ma twarz kobiety" – pisała w 1995 r. „Gazeta Wyborcza", relacjonując upadek łódzkiej „Iwony", jednego z najdłużej działających zakładów dziewiarskich w regionie. Konkurencja medialna nie miała aż tyle empatii. „Za stare na nowy rynek" – zatytułował notkę o problemach szwaczek dziennik „Prawo i Gospodarka".

Zemsta Maliniaka

Spychanie robotnika ze społecznego piedestału zaczęło się jednak już za Gierka. Późny PRL oficjalnie wciąż trwał przy opowieści o przewodniej sile narodu, jaką stanowiła PZPR, „reprezentująca" klasę robotniczą, ale w latach 1975-1986 zatrudnienie w przemyśle wzrosło w Polsce już tylko o 17 proc. W tym samym czasie liczba etatów w usługach, edukacji i ochronie zdrowia skoczyła aż o 50 proc.

Elektryk wysokich napięć z kompletem certyfikatów pozwalających pracować na kopalnianym przodku **uczy się obecnie zawodu nie krócej od architekta.**

Dla podtrzymania tego trendu władze ograniczyły liczbę miejsc w szkołach zawodowych na rzecz liceów ogólnokształcących i techników, które miały regularnie zasilać świeżą krwią szeregi tzw. inteligencji pracującej.

Nowym bohaterem Polski ludowej miał być raczej inżynier Karwowski z serialu „Czterdziestolatek", inteligent z awansu, a nie cwany brygadzista Maliniak. Za tymi przetasowaniami poszły zmiany rozpiętości zarobków. Widoczna jeszcze w latach 60. przewaga wynagrodzeń robotników nad dochodami inteligencji najpierw zaczęła maleć, a pod koniec rządów Gierka wręcz zanikła.

W 1986 r. średnie wynagrodzenie robotników w przemyśle stanowiło 92 proc. przeciętnego wynagrodzenia w sektorze niematerialnym; do roku 2000 stopniało do niespełna 61 proc.

Wtedy przyszło otrzeźwienie. Wybuch kryzysu finansowego przyniósł pierwsze ostrzeżenie, że rynki kapitałowe są zbyt słabym kręgosłupem dla gospodarki, jeśli nie stoi za nimi także wydajny sektor produkcyjny. Tę pierwszą diagnozę z 2008 r. potwierdziła druga, w czasie pandemii, gdy okazało się, że bez własnej produkcji przemysłowej nawet największe gospodarki składają się jak domek z kart przy większym podmuchu dekoniunktury.

Świat, w tym i Polska, zaczął znów mówić o stawianiu fabryk, liniach produkcyjnych, łańcuchach dostaw. Do debaty publicznej weszły takie pojęcia jak *decoupling* (uniezależnienie od dostaw z Dalekiego Wschodu) i reindustrializacja.

Niejako przy okazji okazało się, że Polska, która po wejściu do Unii szybko wyrosła na głównego poddostawcę dla niemieckiej gospodarki, jest pod tym względem w lepszej sytuacji niż większość sąsiadów. W latach 2020-2022 udział produkcji przemysłowej w naszym PKB zbliżył się do 22 proc., co oznaczało wzrost o blisko 5 punktów procentowych od początku stulecia. Polska była jednym z nielicznych krajów rozwiniętych, w którym znaczenie przemysłu w gospodarce nie tylko nie zmalało, lecz wręcz wzrosło.

Ten trend świetnie odzwierciedlają dziś płace. W 2025 r. mediana zarobków w polskim przemyśle wyniosła 8,8 tys. zł brutto, czyli ok. 1,8 tys. zł więcej niż w handlu i 1,2 tys. zł ponad medianę wynagrodzeń w sektorze usług (bez sektora IT). W ubiegłorocznej edycji badania „Barometr Rynku Pracy 2025" grupą, która najczęściej deklarowała, że w ciągu ostatniego roku dostała podwyżkę, byli pracownicy szczebla fizycznego i produkcyjnego (42,4 proc.).

Maliniak po latach wreszcie odegrał się na Karwowskim.

Kompot zamiast surówki

Trudno jednak mówić o renesansie przemysłu: to raczej korekta kursu w stronę większej samowystarczalności. Gdy przyjrzeć się bliżej strukturze zatrudnienia w produkcji, widać też, że nie ma mowy o powrocie do peerelowskiego *ancien régime*'u, w którym polskim przemysłem trząsło górnictwo i hutnictwo.

Kopalnie węgla kamiennego kończą w Polsce swój żywot. Ostatnia ma przestać działać do 2049 r., ale najpewniej pożegnamy się z nią już na początku przyszłej dekady. Wielkie zakłady hutnicze zostały zamknięte albo są cieniami dawnych potęg; rynkowy test przeszły jedynie zakłady dolnośląskiego KGHM.

Największym pracodawcą w sektorze produkcji przemysłowej jest dziś przetwórstwo spożywcze, które zapewnia utrzymanie ponad 500 tys. osób. Dopiero druga jest branża metalowa (350-400 tys.), a podium zamyka sektor motoryzacyjny i samochodowy (380 tys. osób). Statystycznie to wciąż pokrewne gałęzie gospodarki związane z produkcją.

W rzeczywistości odrębne światy, których na co dzień nie łączą nawet rytuały i zwyczaje, nie mówiąc o celach i możliwościach. Zarobki górników czy pracowników sektora rafineryjnego mogą się najwyżej przyśnić personelowi magazynów centrów logistycznych. Przynależność do związków zawodowych, tradycyjny wyznacznik robotników, wśród zatrudnionych w polskim przetwórstwie przemysłowym należy nadal do wysokich, ale daleko mu do notowanych wśród lekarzy, nauczycieli oraz służb mundurowych.

eprasa.pl 997335f986

Poziom specjalizacji w niemal każdej branży znacznie ogranicza migracje pracowników z sektora do sektora. Serwisant linii produkcyjnej z fabryki silników nie odnajdzie się w nowoczesnej mleczarni już tak łatwo, jak jego odpowiednik w latach 80. Próg wejścia do niektórych *stricte* robotniczych profesji podniósł się tak wysoko, że ich przedstawicielom bliżej obecnie do kogoś, kogo dwa pokolenia wcześniej nazywano inteligencją techniczną. Elektryk wysokich napięć z kompletem certyfikatów uczy się zawodu nie krócej od architekta.

Czy w tej sytuacji można się dziwić, że wykonujący zawody robotnicze nie tylko często nie czują się robotnikami, ale też nie mają poczucia przynależności do jednej grupy społecznej?

Grochem o ścianę fabryki

Wreszcie ostatnie, już nie czysto retoryczne pytanie. Skoro, jak stwierdziliśmy, Polska jest dziś krajem *de facto* robotniczym, to dlaczego tak słabe wyniki w wyborach notują nad Wisłą ugrupowania lewicowe? Jesienią minie 25 lat od ostatniego demokratycznego rozdania władzy, które przyniosło wygraną partiom odwołującym się, przynajmniej w nazwie, do tradycji socjaldemokratycznej.

Odpowiedź zredukowana do obserwacji o przejęciu klasycznego lewicowego języka socjalnego przez partie konserwatywne jest oczywiście trafna. Zarazem będzie jednak niepełna i przez to płytka.

W drugiej turze zeszłorocznych wyborów prezydenckich aż 69,3 proc. pracowników fizycznych oddało głos na Karola Nawrockiego, który w trakcie całej kampanii unikał obietnic z klasycznego koszyka ofertowego lewicy: nie obiecywał rozdawnictwa, zapowiadał raczej drobne systemowe korekty, które zostawią obywatelom więcej pieniędzy w kieszeniach. W wyborach parlamentarnych w 2023 r. krzywiąca się na państwo opiekuńcze i interwencjonizm Konfederacja zauważalnie wyższe poparcie odnotowała w niemal wszystkich okręgach z dużymi zakładami sektora motoryzacyjnego (Katowice, Bielsko-Biała, Kielce, Kalisz).

Dlaczego pracownicy branży, z której już za kilka lat mogą pozostać w Polsce strzępki, zamiast lewicy woleli partię głoszącą skrajnie libertariański program? Być może dlatego, że również z lewej strony sceny politycznej coraz częściej padają postulaty *de facto* antypracownicze.

Zielona transformacja jako priorytet. Czterodniowy tydzień pracy. *Zero waste* i cała retoryka postwzrostowa, głosząca konieczność zmniejszenia konsumpcji dla ratowania środowiska naturalnego – każde z tych haseł, poza porcją często trafnych diagnoz, niesie ze sobą także rozwiązania, które oznaczają milczącą zgodę na zmniejszenie zapotrzebowania na pracę najemną, zwłaszcza w przemyśle.

Nie chodzi tylko o górników węgla kamiennego, dla których OZE to często faktycznie „sroze". Pracując w fabryce części samochodowych, również trudno w pełni utożsamiać się z postulatem dalszego ograniczania ruchu aut na rzecz rowerów, nawet jeśli samemu do pracy dojeżdża się na dwóch kółkach. Gdy jedyną realnie dostępną ofertą pracy w okolicy jest sortowanie paczek w magazynie Amazona, można po lewacku nie trawić globalizacji, ale w ugrupowaniu przekonującym, że „*less is more*" (ang. mniej znaczy więcej), ciężko dopatrzeć się sojusznika. Zwłaszcza gdy w ślad za takimi postulatami idą poglądy obyczajowe nie do przełknięcia dla przeciętnego konserwatywnego wyborcy z „klasy pracującej".

Programisto, pokochaj AI

Pod jednym względem współczesny polski robotnik wpisuje się więc w klasyczną definicję klasy średniej. Na co dzień towarzyszy mu poczucie kruchości statusu, który wywalczył. Reindustrializacja, która osłodziła mu gorycz pierwszych lat transformacji, odbywa się wciąż na wolnorynkowych warunkach.

Fabrykę, która dziś opłaca się pod Krakowem czy w Jeleniej Górze, za dwa lata może zastąpić w łańcuchu dostaw zakład gdzieś w rumuńskiej Bukowinie albo w chińskim Sinciangu. Poczucie tymczasowości potęguje szybki rozwój technologii. Marks, który w XIX w. przewidywał, że postęp technologiczny doprowadzi do zmniejszenia liczebności klasy robotniczej, ze zdziwieniem przyjąłby pewnie do wiadomości, że dzieje się na odwrót: to część profesji tradycyjnie utożsamianych z pracą umysłową upodabnia się do zawodów robotniczych.

Na przykład... programiści. Przedstawicielom tej grupy, która była niemal emanacją klasy średniej, zaczynają zaglądać w oczy zagrożenia, które przypominają bardziej sytuację XIX-wiecznych tkaczy niż mieszkańców bogatych przedmieść USA z lat 50. i 60. Według firmy doradczej McKinsey&Company nawet 30 proc. programistów wykonujących najprostsze prace, jak pisanie bazowych kodów, wykonywanie podstawowych testów i dokumentacja procesu, zostanie w najbliższych latach zastąpiona przez narzędzia AI. Autorzy raportu podkreślają, że najbardziej zagrożone będą osoby, które nie znają dokładnie architektury systemu, nad którym pracują, i procesów, które im zlecono (w branżowym slangu dosadnie nazywa się je „code monkeys", czyli „kodującymi małpami").

Co w sprawie przyszłości takiej pracy ma do powiedzenia polska lewica, która obsadziła ministerstwo cyfryzacji? Niewiele. Znamienne, że bardziej niż los pracowników obchodzi ją rynkowa dominacja amerykańskich Big Techów i brak państwowej kontroli nad narzędziami AI. Miejsce robotnika w jej programie zajął robot.

©℗ MAREK RABIJ

TP

„Dom chłopaków" w Broniszewicach: to nie jest prosta historia o dobru psutym przez „bezduszne państwo"

W naszym serwisie internetowym rozmowa z **BEATĄ POTOCKĄ** i **ANNĄ KRAWCZAK**, matkami dzieci z niepełnosprawnościami i ekspertkami od praw dzieci, o tym, dlaczego reforma placówek jest nam potrzebna i dlaczego została źle przygotowana. A także o tym, że dzieci z nawet najcięższymi niepełnosprawnościami nie są skazane na domy pomocy społecznej.
Czytaj na tyg-pow.pl/broniszewice

eprasa.pl 997335f986

Mistrz mistrzów

RYSZARD SZUBARTOWSKI, NAUCZYCIEL INFORMATYKI:

EDUKACJA | Emocje są najważniejsze. I polska szkoła doskonale o tym wie, tylko wykorzystuje nie te emocje, co trzeba.

ANNA GOC: Zacznę od sukcesów.
RYSZARD SZUBARTOWSKI: Sukcesów?! Pani chyba żartuje.

Wśród Pana uczniów są Filip Wolski, mistrz świata w programowaniu, i Jakub Pachocki, współtwórca Chata GPT, jeden z głównych naukowców OpenAI. Pana licealiści zdobyli ponad sto medali na międzynarodowych olimpiadach informatycznych. Zgadza się?
Tak. Ale to nie są moje sukcesy. Jedyne, co zrobiłem, to stworzyłem moim uczniom odpowiednie warunki do nauki. Powiedziałem, na co mają zwracać uwagę, a co odpuścić. I podsuwałem kolejne wyzwania.

Wyzwania?
Tak, wyzwania. Proszę nie mylić z zadaniami.

Bo jest różnica?
Jeśli ma pani zadanie do zrobienia albo wyzwanie do podjęcia, co pani wybiera?

Wyzwanie.
Właśnie! Bo z wyzwaniami wiążą się emocje. Z zadaniami też, ale prędzej te negatywne.

Emocje są ważne?
A co to jest za pytanie? Emocje są najważniejsze. I polska szkoła doskonale o tym wie, tylko wykorzystuje nie te emocje, co trzeba. Kartkówki, przepytywania, wzywanie do tablicy. Jakie to są emocje? Negatywne. Każą brać się do roboty, sprostać wymaganiom, uczyć się według podstawy programowej, która jest taka sama dla wszystkich.

I co? I mają wyniki! Ale to są wyniki krótkotrwałe. Dzieci uczą się na pamięć, i to wszystkiego, zamulają wiedzą mózgi, zdają egzaminy i zapominają. Nie pracują twórczo. Nie wykorzystują tego, co dała im natura.

Ma Pan na myśli talenty?
Talenty też i od razu powiem: nie ma dzieci nieutalentowanych. Ale talenty trzeba odkrywać i rozwijać. A można je rozwijać tylko pracą twórczą. I wyborem kierunku pracy twórczej. Nie da się być najlepszym ze wszystkiego. Dzieci mają dostawać wyzwania i samodzielnie szukać rozwiązań. Nikt w ten proces nie ma prawa się wtrącać.

Pan, jako nauczyciel, też się nie wtrąca?
Jeśli przychodzi do mnie uczeń i chce się rozwijać z informatyki, to przedstawiam mu moje metody pracy i plan działania, a on się na to decyduje albo nie.

Przychodzą do Pana uczniowie i tak mówią?
Filip Wolski był w drugiej klasie gimnazjum, gdy przyszedł i powiedział, że chce być najlepszy w Polsce z informatyki.

I co Pan na to?
Wyjaśniłem mu, na czym polega praca twórcza. Że będzie dostawał wyzwania i rozwiązywał je indywidualnie, co oznacza, że nie będzie mógł ich z nikim konsultować.

Został najlepszym informatykiem na świecie. I był nim przez sześć lat.

Od czego zaczęliście?
Od rozmowy z dyrektorem szkoły, który nam sprzyjał, żebyśmy mogli pracować indywidualnie.

Dostaliśmy niewielki cichy pokoik, wnieśliśmy tam komputery i wzięliśmy się do roboty. Filip przychodził o siódmej, wracał do domu po dziewiętnastej. Raz nawet była awantura, bo jakieś zbiry go pogoniły, jak wychodził późnym wieczorem ze szkoły.

Co z pozostałymi lekcjami?
Na część chodził, inne zaliczał w ramach indywidualnego toku nauczania. Na przykład angielski zaliczył tak, że pobierał zadania z międzynarodowych olimpiad informatycznych i tłumaczył je na język polski, a potem oddawał tłumaczenia do sprawdzenia anglistce.

Załóżmy, że zaczyna Pan pracę z uczniem. Co najpierw?
Wyzwanie. Uczeń dostaje zadanie do rozwiązania. Są trzy poziomy trudności. A – ekstremalnie trudne. B – bardzo trudne. C – trudne.

Uczeń czyta zadanie i analizuje je przez 55 minut.

Dlaczego akurat przez 55 minut?
Dlatego że po tym czasie, tak wynika z badań, nasza umiejętność skupienia uwagi gwałtownie spada i efektywność dalszego uczenia staje się zerowa. Uczeń przez maksymalnie 55 minut się koncentruje, analizuje, szuka rozwiązania. Potem – bardzo ważne – daje swojej podświadomości znać, że skończył analizę.

Podświadomości? W jaki sposób?
Robi sobie przerwę. I w tym czasie nie myśli nad wyzwaniem. Idzie po herbatę albo na krótki spacer. Ważne, żeby był w ruchu, bo wtedy nasze myśli mogą skoncentrować się na czymś innym.

Aż?
Aż będzie miał olśnienie i będzie znał następny krok rozwiązania zadania.

Olśnienie?
Tak, i musi je natychmiast zanotować oraz zaplanować analizę.

A jeśli olśnienie się nie pojawi?
To po trzech dniach planujemy następną analizę. Jeśli ten cykl trwa ponad trzy tygodnie i znajdziemy rozwiązanie wyzwania, to uznajemy, że praca była twórcza.

Niepokoi mnie Pan.
Proszę pani, ja tu niczego nowego nie odkrywam. To są naturalne cykle natury. Oczywiście, że na niektóre rozwiązania uczniowie potrzebują i pół roku,

eprasa.pl 997335f986



ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

RYSZARD SZUBARTOWSKI jest profesorem oświaty, prezesem Stowarzyszenia Talent, absolwentem cybernetyki na Wojskowej Akademii Technicznej, nauczycielem w III Liceum Ogólnokształcącym im. Marynarki Wojennej RP w Gdyni.

ale w międzyczasie analizują inne zadania. Przez cały ten czas ich myśli mają być twórcze i pozytywne.

Uczeń ma wierzyć w to, że znajdzie rozwiązanie?

Więcej, ma być tego pewien.

W gimnazjum albo na początku liceum daję uczniom zadania maturalne, ale nie mówię im o tym, że były kilka lat temu na maturze. Dopiero gdy je rozwiążą, chwalę ich: ty zdałeś maturę, ty zdałeś, ty też. Gdybym im powiedział, że to maturalne, być może nawet by się ich nie podjęli.

Kiedy wysiłek jest daremny?

Gdy siedzimy godzinami nad wyzwaniem, którego nie potrafimy rozwiązać. Powinniśmy je analizować do skutku, ale robić też przerwy, żeby nasz mózg mógł odpocząć, a potem podpowiedzieć nam rozwiązanie.

Ważne, żebyśmy wyznaczali sobie czas na wyzwania i dbali o to, żeby nam wtedy nikt nie przeszkadzał.

Sądzi Pan, że niektórzy mają do tego predyspozycje większe, inni – mniejsze.

Jeśli ktoś potrafi pracować twórczo, ma predyspozycje do wszystkiego. Czy pracuje twórczo? Łatwo to sprawdzić. Jeśli ktoś wstaje rano, ma pełno pomysłów, jest wypoczęty i chce iść do szkoły – pracuje twórczo. Jeśli wstaje rano i ciągle powtarza, że coś musi – musi iść na lekcje, musi odrobić zadania, musi, musi – to raczej nie czuje radości z tego, co go czeka.

Dzieci pracują twórczo i potrafią się z tego cieszyć. Tę radość mają z natury. Praca twórcza ma być jak twórcza zabawa. Nie można na ludzi działać strachem. Ani w szkole, ani w pracy. To przeciwskuteczne, bo będą pracowali coraz gorzej.

I Pan dba o tę radość twórczą uczniów?

To jest też moja rola jako nauczyciela.

Podobnie nie możemy wyręczać dzieci w ich zadaniach. Jeśli robimy wszystko za uczniów – my, nauczyciele, albo my, rodzice – to potem ci dorośli ludzie nie myślą samodzielnie i nie potrafią odnaleźć się w życiowych wyzwaniach. Wszystko jest dla nich za trudne. Wszystko ich przerasta. No i nie mają radości z tego, że coś sami osiągnęli.

Zastanawiam się, co inni nauczyciele myślą o Pana metodach.

Niektórzy się chyba nawet dziwią, bo niektórym z moich uczniów nie wróżyli dobrej przyszłości. Mówili, że szkoły nie skończą, matury nie zdadzą.

Przyszła do mnie pewnego razu nauczycielka i powiedziała, że mój olimpijczyk nie chodzi na matematykę, więc nie zda do następnej klasy. Miałem właśnie zadanie, które ten uczeń rozwiązał. Poprosiłem, by je przeczytała. „Nie rozumiem go" – przyznała. A ja na to, że uczeń, o którym mówi, potrafi je rozwiązać. Dała mu trójkę na koniec roku.

Ale różnie to bywa, niektórzy nauczyciele są wściekli.

I co Pan na to?

Czy panią jest w stanie ktoś zdenerwować? No więc właśnie, nie denerwują nas inni, tylko to, jak sami na nich reagujemy. Ja jestem spokojny. Robię swoje.

Od lat powtarzam, że szkoły zajmują się sztuczną edukacją i tzw. edukacją patriotyczną – tak ją nazwałem. Polega ona na tym, że uczniowie mają na przykład wiedzieć jak najwięcej o ważnych wydarzeniach z historii Polski, o bohaterach, o bitwach i o tym, jakiej broni ci bohaterowie w czasie tych bitew używali. Wszyscy mają czytać te same książki. Muszą wiedzieć, co z tą Maryną, i jakie miała...

I potem jak wyjeżdżają za granicę, to się dziwią, że tam o tych wszystkich rzeczach nikt nie wie. Myśli pani, że mają prawo czuć się trochę głupio?

Myślę, że jeśli ktoś chciałby być historykiem, to jednak te wszystkie bitwy...

...ale ja przecież nie mówię, że przyszli historycy nie powinni znać dobrze historii Polski, albo że literatura to zło. Mówię tylko, że nie wszyscy uczniowie powinni uczyć się wszystkiego. I to jeszcze na pamięć. Z każdej dziedziny można mieć wyzwania, w zależności od tego, w jakim kierunku uczeń chce się rozwijać. Jednak dzisiejsza szkoła podchodzi do mózgów dzieci jak do magazynów. Ładuje tam na potęgę, zaśmieca je. A my mamy ↦

eprasa.pl 997335f986

↦ wykorzystywać nasze mózgi. Mamy nauczyć i wiedzieć, jak to robić.

W przeciwnym razie będziemy kształcili przyszłych d... Nie mogę używać słowa na „d", a chciałbym.

To co jest ważne?

Rozwój człowieka. Żeby człowiek się rozwijał, umiał dostosowywać do nowych warunków, do zmieniającego się świata i żeby w tym coraz to innym świecie czuł się dobrze.

Młodzi ludzie często nie wiedzą, jaki mają cel w życiu.

Trudno. Nie wszyscy muszą mieć. Jeśli ucznia coś interesuje, może się tym zająć, a potem – zmienić zainteresowanie. Ważne, żeby nauczył się pracować twórczo. Z pracą twórczą związana jest też intuicja. Moi najlepsi uczniowie siedemdziesiąt procent zadań na międzynarodowych olimpiadach rozwiązują dzięki intuicji.

To znaczy?

Jeśli pracują twórczo i rozwijają intuicję, to dostają od niej obraz rozwiązania. Jeśli ktoś ich zapyta, dlaczego tak rozwiązali zadanie albo jak na to rozwiązanie wpadli, mogą odpowiedzieć, że nie wiedzą.

I Pańscy uczniowie po tej naszej rozmowie się na Pana nie obrażą?

Obrażą? Przecież są twórcami, wiedzą doskonale, jak działa intuicja.

Może to jest wiedza? Mądrość? Spryt? Ciężka praca? Żeby rozwiązać tak trudne zadania, trzeba mieć przecież wiedzę.

I myśli pani, że to by wystarczyło, żeby rozwiązać zadania na międzynarodowej olimpiadzie informatycznej? Otóż nie, nie wystarczyłoby.

Jeśli ktoś chce się nauczyć rozwiązywać zadania z międzynarodowych olimpiad informatycznych i myśli, że to jest „do nauczenia się", to zapewniam, że nie jest. Zadania te dzięki zdobyciu samej wiedzy są nie do rozwiązania. Więc to nie jest tylko mądrość. To jest także natura. A częścią tej natury jest intuicja. Natura dała nam intuicję. Trzeba ją tylko umieć rozwijać.

Do każdego zadania na olimpiadzie trzeba podejść jak do nowego wyzwania i zapomnieć o wszystkim, co się do tej pory wiedziało. Powtarzam moim uczniom, że do każdego wyzwania mają podejść tak, jakby robili to po raz pierwszy. Na tym polega praca twórcza.

> Dzisiejsza szkoła podchodzi do mózgów dzieci jak do magazynów. Ładuje tam na potęgę, zaśmieca je. **A my mamy wykorzystywać nasze mózgi.** I mamy wiedzieć, jak to robić.

Od kiedy można zacząć pracować twórczo?

A jak pani myśli? Co jest pierwszą twórczą nauką?

Nauka języka?

Też, ale wcześniej – nauka chodzenia. Przecież nikt nam nie mówił, jak mamy to zrobić. Sami sprawdzaliśmy możliwości, podnosiliśmy się, podchodziliśmy do stołu, trzymaliśmy się brzegu blatu i decydowaliśmy, czy stoimy, czy wracamy na czworaki. Każda zabawa dziecka jest twórcza i nie wolno tego ograniczać. Podobnie jak nie można dziecka uczyć schematów, rozwiązywać za nie zadań. Im dziecko się więcej bawi, tym łatwiej mu w dorosłości pracować twórczo.

Nad programowaniem informatycznym można zacząć pracować z dzieckiem, które myśli abstrakcyjnie. Czyli wtedy, gdy ma dziesięć lub jedenaście lat. Choć zdarzali się dziewięciolatkowie, którzy już myśleli abstrakcyjnie.

Czyli...

...pani ciągle zadaje pytania i nie pozwala mi dojść do sedna sprawy.

Proszę.

Pierwszy element rozwoju – jak już mówiłem – to praca twórcza. Kolejny to tzw. tutoring młodzieżowy.

Jeśli uczeń rozwiąże zadanie, staje się ekspertem od tego zadania i omawia je dla pozostałych uczniów. Dodatkowo, jeśli uczeń jest podekscytowany, bo rozwiązał bardzo trudne zadanie i chce o tym opowiedzieć pozostałym, robi to w pozytywnych emocjach. Wszyscy do niego podchodzą, zadają kolejne pytania. A on jest dumny, bo wie, co odpowiedzieć! Dzięki temu zapamiętuje je jeszcze lepiej.

A ci, którzy chcą się od niego czegoś nauczyć – zawsze im to powtarzam – muszą się maksymalnie skoncentrować na tym, co kolega mówi, i patrzeć na niego, gdy wyjaśnia zadanie. Mieć z nim kontakt wzrokowy.

Po co nam kontakt wzrokowy?

A jaka jest największa kara, którą można wymierzyć innemu człowiekowi? Zignorować go – nie odzywać się do niego, nie patrzeć na niego, gdy do nas mówi. Kontakt wzrokowy pomaga w koncentracji.

Bardzo Pan zwraca uwagę na pozytywne emocje.

Bo one nam pomagają każdego dnia. Wzmacniają nasz układ nerwowy, odpornościowy. Pozwalają wyjść ze stanu, który dla pracy twórczej jest najgorszy – obaw, lęku, czy jak nazywa to psychologia: reakcji „walcz albo uciekaj".

Dzięki pozytywnym emocjom informacje są zapamiętywane, ale w taki sposób, że nie obciążają umysłu – nie są wyuczone. Uczeń nie musi ich powtarzać, ma je w nadświadomości. I jeśli przy kolejnym wyzwaniu potrzebuje tej wiedzy, umysł sam podpowiada mu rozwiązania.

To jest Pana metoda?

Proszę pani, ja jestem z zawodu cybernetykiem. I to nie jest moja metoda, tylko naturalna metoda uczenia się. Sporo się nauczyłem w Wojskowej Akademii Technicznej, a potem gdy pracowałem w Akademii Marynarki Wojennej. Wcześnie przeszedłem na emeryturę i dzięki temu mogę uczyć w szkole. A może zawsze chciałem być nauczycielem?

Pana metody są odporne na czasy?

Dość modne jest takie podejście, że im wyższa technologia, tym więcej pokus, by się nie rozwijać. Po co my mamy się uczyć, skoro sztuczna inteligencja zrobi za nas, co trzeba? Bzdury. Teraz tym bardziej powinniśmy pracować twórczo, choćby po to, żeby mieć intuicję i wyczuwać, co jest wiarygodne, a co jest kłamstwem.

© Rozmawiała ANNA GOC

eprasa.pl 997335f986

TYGODNIK POWSZECHNY





MOC RELACJI

Najnowsze wydanie specjalne o psychologii relacji

Zamów: sklep.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 997335f986

Bitwa o rozwój

JAKUB DYMEK

POLITYKA | Prawdziwym przeciwnikiem Morawieckiego nie jest Kaczyński czy Czarnek, ale Tusk. Gra idzie o to, kto ma prawo do roli lidera polskich ambicji.

Sprint, trójbój czy maraton – w jakiej dyscyplinie startuje Mateusz Morawiecki? Zostawmy rozstrzygnięcie fanom sportowych metafor w polityce. Pewne jest, że w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy porwał się na rzecz w historii III RP niespotykaną.

Metamorfoza

Morawiecki odbył całą serię dyskusji na tematy dotyczące rozwoju, globalizacji i gospodarki – także z oponentami z innych partii albo środowisk spoza PiS. Udzielił tuzina wywiadów na „nieswoim" gruncie. Spierał się z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz i Adrianem Zandbergiem; nie zapominajmy też o „Piwie z Mentzenem", które miało być grillowaniem nielubianego przez wyborców Konfederacji byłego premiera, a skończyło się raczej wrzuceniem na ruszt gospodarza.

Były premier pisał eseje, występował na konferencjach, powoływał zespoły i tworzył raporty z receptami dla Polski. Słowem: podjął próbę powrotu na szczyt krajowej polityki poprzez debatę, a nie przez partyjne intrygi. Nie wiadomo, czy zyskał dzięki temu więcej szacunku, czy zazdrości partyjnych kolegów, ale z pewnością wykreował coś na kształt mody na siebie samego. Podczas gdy w świecie tradycyjnych mediów wyobraźnią rządzą Tusk i Kaczyński, w okienku YouTube dużo częściej gości Morawiecki.

Czy ta metamorfoza – z byłego szefa rządu obciążonego porażkami w analityka i wizjonera – ma szansę powodzenia? Jaka przyszłość czeka powołane przez niego stowarzyszenie „Rozwój Plus"?

Dyskusja wokół ruchów Morawieckiego zdążyła się już stoczyć na poziom partyjnych personaliów. Która frakcja w PiS wyjdzie z tego mocniejsza i co zrobi prezes? Fakt, że jedno słowo Kaczyńskiego (albo potknięcie Czarnka) może wszystkie te spekulacje przekreślić, nie przeszkadza w ich dalszym tworzeniu. Niektórzy liczą mandaty w przyszłym Sejmie, inni analizują ruch taksówek w drodze na Nowogrodzką. Jednak oglądając przedwyborcze ruchy w polityce jak kolejny sezon „Sukcesji", możemy przegapić coś ważnego. To, że jesteśmy już w nowych czasach.

Obiegi równoległe

Gdy wygasł podział postkomunistyczny, osłabła polaryzacja PO-PiS, a partia Kaczyńskiego straciła pewne miejsce przy prawej ścianie, konflikty w naszym życiu publicznym nie zniknęły, ale muszą zawiązać się na nowo. Czas temu sprzyja.

Po pierwsze, zmieniają się media, dzięki którym społeczeństwo wchodzi w kontakt z polityką (YouTube, podkasty, sterujące emocjami algorytmy oburzenia i narzędzia masowej propagandy zasilane AI). To tworzy obiegi równoległe. Dzięki nim z jednej strony na Węgrzech wygrywa Péter Magyar, który nie miał dostępu do publicznych mediów, z drugiej w Polsce Karol Nawrocki. Tematy, którymi żyje YouTube – będący faktycznie masową, ludową telewizją – niekoniecznie są tożsame z tym, co widzimy w TVP albo nawet co omawiają portale. Po latach dominacji Tuska i Kaczyńskiego pojawiają się nowe archetypy polityka nowej epoki: nie tylko wspomniany wyżej Nawrocki.

Po drugie, w czasach Trumpa 2.0 dawne kategorie i świętości upadają. A okoliczności międzynarodowe zmuszają polskich polityków do redefinicji naszego miejsca w świecie oraz pojęć, którymi się posługujemy. Już widać, że choćby stosunek do członkostwa w Unii Europejskiej i do dalszego opierania się na USA będą przestrzenią ostrych sporów. Nie tylko między, ale i wewnątrz różnych obozów. To brzmi jak banał, ale wcale banalne nie jest. Polityka zagraniczna – od spotkań premiera Tuska z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem, po poparcie udzielone Orbánowi czy wizyty na konwencjach amerykańskich trumpistów – stała się polem rywalizacji. I budowy, mówiąc językiem socjologii, nowych kapitałów, po które można sięgnąć. Polscy politycy aspirują do ważnej roli w ponadnarodowych ruchach i lewarują w kraju swoją pozycję w UE albo w międzynarodówce MAGA.

Nieaktualne podziały

Po trzecie zaś, co po części wynika i z dwóch powyższych punktów, dawne podziały na modernizatorów i tradycjonalistów nie oddają dzisiejszej rzeczywistości. Tak samo jak podział na obóz pro- i antyzachodni. I to nie tylko dlatego, że nie ma już jednej nowoczesności i jednego świata Zachodu. Lewica straciła monopol na postęp, liberałowie nie jawią się zaś jako odpowiedzialni strażnicy gospodarki i dobrobytu w niepewnych czasach. Giorgia Meloni, Jordan Bardella, J.D. Vance, Péter Magyar – wszyscy oni próbują pokazać, że można połączyć nacjonalizm i nowoczesność, polityczny realizm i ideologiczną elastyczność z konserwatyzmem, międzynarodowe sojusze i brylowanie na globalnej scenie z krytyką globalizacji.

To także przypadek Morawieckiego. Dał Polsce twarz prawicowej modernizacji i wypełnił ją treścią. A później przegrał z Tuskiem i monopol na konserwatywną nowoczesność stracił. Co więcej: wyrosła mu konkurencja po prawej stronie, która nie tylko odrzuca go personalnie, ale w ogóle uważa, że Morawiecki i jemu podobni odeszli zbyt daleko od korzeni. Albo nigdy nie byli tak naprawdę „swoi".

No i wreszcie: zmienia się to, czego i my sami oczekujemy od polityków, oraz horyzont, w którego stronę, naszym zdaniem, elity powinni zmierzać. W tym nowym świecie pojęć szczególne miejsce zajmuje „rozwój".

Stać nas na wszystko

Rozwój stał się polem, na którym rozgrywa się bitwa o przyszłość Polski. Nie dzieli nas spór o to, czy powinniśmy się jeszcze bardziej ambitnie rozwijać – co do tego wszyscy ważni w krajowej poli-

eprasa.pl 997335f986



ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS

Mateusz Morawiecki na obchodach rocznicy pogrzebu Lecha Kaczyńskiego. Kraków, 18 kwietnia 2026 r.

tyce są zgodni. Podobnie jak nie ma już większego sporu o to, w co powinniśmy inwestować. Armię czy hojne wsparcie dla rodzin i programy prodemograficzne? W twardą infrastrukturę i bazę przemysłową czy może w najnowocześniejsze technologie i usługi nowej generacji? W rozwój narodowych czempionów i wielkich państwowych graczy czy w rozwój rynku kapitałowego i innowacyjne start-upy? Odpowiedź brzmi: chcemy tego wszystkiego i stać nas na to wszystko. Jak nie teraz, to nigdy.

10 lat temu politycy, którzy obiecywali zbyt dużo, ryzykowali. Mogło bowiem okazać się, że rodacy przestraszą się nieuchronnego wzrostu długu, a konsekwencją brania na państwo zbyt wielu ambitnych projektów będzie wyborcza porażka.

Weźmy za przykład projekt elektrowni jądrowej, której budowę obiecano jeszcze w 2008 r. Premier Tusk przekonywał wówczas, że inwestycja zostanie sfinansowana przez kapitał prywatny. W pewnym momencie mówił nawet wprost, że nie sądzi, aby państwo współcześnie mogło „za swoje pieniądze" pozwolić sobie na podobne wydatki. Rządzący, świadomi globalnego kryzysu gospodarczego i wyczuleni na zarzuty o rozrzutność czy rozwój na kredyt w stylu Gierka, dobierali słowa uważnie. A zapewnienia premiera i tak nie uspokoiły ekspertów. Ci bowiem latami dopytywali – pomimo że elektrownia i tak nie była budowana – skąd państwo znajdzie na nią pieniądze i kiedy w końcu udowodni, że ma te kilkanaście miliardów. Ostatecznie elektrownia jądrowa nie powstała przez cztery kadencje ani z publicznych, ani z prywatnych pieniędzy. Choć w tym samym czasie udało się wydać setki miliardów na świadczenie 500+ i państwo nie zbankrutowało.

Lekcja, jaką można było z tego fiaska wyciągnąć, jest taka, żeby nie obiecywać i nie ryzykować, a ambicje rozwojowe ograniczyć. Najlepiej do rzeczy, które obywatel widzi na co dzień – ławeczka, orlik, stadion, dworzec.

Ale to już przeszłość.

Atomowa repolonizacja

Dziś mamy rok 2026 i premier znów zapowiada szybką budowę elektrowni jądrowej. Tym razem nie mówi jednak, że państwa polskiego nie stać, albo że trzeba poczekać na decyzje prywatnego – czyli zagranicznego – kapitału. Przeciwnie! Teraz słyszymy nie tylko o tym, że państwo to zrobi, zmobilizuje własne zasoby, ale że co najmniej 50 mld zł trafi do polskich spółek.

Przy okazji niedawnej wizyty Macrona premier dawał też do zrozumienia, że to nie my będziemy starać się o cudze względy, ale to inni – jak Francja – powinni nam pokazać, co mają do zaoferowania. My zaś nie tylko budujemy i inwestujemy, ale naszą rękę prowadzi świadomy gospodarczy patriotyzm.

„Musimy zadbać w sposób bezwzględny, egoistyczny o interes polskich przedsiębiorców. Zawsze w interesie polskich przedsiębiorców, polskich firm, polskiego kapitału" – przekonywał premier w swoim wystąpieniu poświęconym repolonizacji gospodarki. A na radzie ministrów mówił w tym kontekście nawet o „atomowej repolonizacji".

Jednak „wielkie zerwania" i „nowe początki" to już chleb powszedni – od 2023 r. premier obiecywał „rok przełomu", „trójskok w nowoczesność", „Polskę stuminutową", „nową doktrynę piastowską", „rok przyspieszenia" oraz „rok ↦

eprasa.pl 997335f986

↦ turboprzyspieszenia" i „wielki skok w przyszłość". Rozwojomania – nawet „w czasach przedwojennych" – przeszła najśmielsze oczekiwania. Bez przyjęcia do wiadomości tej olbrzymiej zmiany, jaka zaszła od czasów „niedasizmu" oraz „pieniędzy nie ma i nie będzie", nie sposób zrozumieć, jak wyglądają nowe podziały i o co walczą różne obozy.

Wszyscy jesteśmy patriotami

Choć bowiem na powierzchni obserwujemy walkę frakcji Morawieckiego o miejsca na partyjnych listach, głębiej gra toczy się o coś innego. Prawdziwym przeciwnikiem nie jest w niej ten czy inny partyjny konkurent, ale Donald Tusk. Pytanie brzmi: kto ma prawo być liderem polskich ambicji.

Wielkie projekty – jak CPK (dziś „Port Polska"), atom, zbrojenia, graniczne fortyfikacje – dalej organizują wyobraźnię elit. Różnica między rokiem 2026 a 2023 jest taka, że ówczesna opozycja była wobec nich krytyczna. Dziś przeciwnie: trwa wyścig na to, kto skuteczniej owe projekty zawłaszczy.

Co ciekawe, centrolewicę czy neoliberałów dawno z niego wypchnięto. Z Polski 2050 uchowała się jedynie, niedająca się wpisać w oczywiste podziały, Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Z lewicy w rządzie widać Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk. Obie proponują jakąś wizję państwa regulacyjnego i socjaldemokratycznej gospodarki na europejskim wspólnym rynku. I obie są w mniejszości. Dziś w Polsce konkurują raczej różne wariacje na temat nacjonalizmu i patriotyzmu gospodarczego oraz narodowego i indywidualnego egoizmu. Różnice między nowymi liderami – Nawrockim, Bosakiem, Mentzenem, Braunem – dotyczą proporcji, w jakiej mieszają te składniki.

Przykładowo: można uważać, że państwo powinno chronić polskie firmy przed zagraniczną konkurencją, ale w kraju znosić dla nich wszelkie regulacje i wprowadzić wolnorynkową utopię. Albo inaczej: że należy nam się państwo socjalne i bogate świadczenia, ale tylko dla Polaków, podatki i obostrzenia zaś będziemy egzekwować od zagranicznych firm i pracujących u nas Ukraińców. Albo że za polskie zbrojenia zapłacą Niemcy z reparacji, a Polska wzmocni się dzięki protekcjonizmowi Trumpa, kosztem reszty UE. Możliwości „remiksowania" wariantów tych propozycji są naprawdę bogate.

> Bez przyjęcia do wiadomości zmiany, jaka zaszła od czasów „niedasizmu" oraz „pieniędzy nie ma i nie będzie", **nie sposób zrozumieć nowych podziałów politycznych**.

Musimy grać asertywnie

Tusk i Morawiecki powtarzają, że czas „naiwnej globalizacji" się skończył, a Polska ma grać asertywnie. Na tym jednak podobieństwa się kończą. Tusk, w czym wspiera go szef MSZ Radosław Sikorski, broni członkostwa w UE jako mnożnika polskiej siły. Obaj dowodzą, że tylko w ramach Unii możemy realizować swoje ambicje. I że właśnie teraz cała wspólnota uznaje nasze racje – w sprawie zbrojeń, migracji, ochrony granic – więc głupotą byłoby się obrażać na Brukselę akurat w najkorzystniejszym dla Polski momencie. Tym bardziej że USA są partnerem nieprzewidywalnym i kapryśnym. A skoro Polska była mistrzem rozwoju i liderem wzrostu w tym układzie, więc powinna dalej – jeszcze bardziej gorliwie – czerpać z dobrodziejstw i szans zjednoczonej Europy, która się z nami liczy.

Morawiecki przekonuje, że jest odwrotnie. UE przegrywa globalnie, a Polska przegrywa w UE. Obecne ramy instytucjonalne i model funkcjonowania wspólnoty nie tylko nie pomogą nam dalej się rozwijać, ale skazują nas na status gospodarki zależnej. System handlu emisjami, nadmierne regulacje i przywiązanie do niedzisiejszych idei tworzą, zdaniem byłego premiera, receptę na porażkę. USA i Chiny nie tylko zostawiają Europę w tyle, ale zwiększają dystans. Pozostawanie przez Polskę w tej relacji na dłuższą metę nie tylko nie pozwoli na rozwój – ale trwale pozbawi szans na realizację naszych ambicji. Miejsce, jakie widzą bowiem dla nas Niemcy czy Francuzi w tej relacji, zawsze będzie niewiele lepsze od kolonii – miejsca, gdzie można sprzedawać swoje towary, drenować mózgi, prywatyzować cudze zasoby oraz przechwytywać dywidendę z lukratywnych sektorów.

Różne wizje wolności

Ten spór dotyczy więc polskiego miejsca w globalizacji. A w bardziej doraźnym wymiarze – stosunku do polexitu i narastającej antyunijnej emocji. Bo równolegle ze sporem Tusk–Morawiecki rozgrywa się spór wewnątrz prawicy, między różnymi wariantami eurosceptycyzmu.

Z nich Morawiecki reprezentuje i tak frakcję gołębią. Były premier jest przeciwnikiem wyjścia z UE, choć ostro Unię krytykuje, występując na imprezach trumpistów i Orbána. Na prawo od niego są jednak narodowcy i libertarianie od Bosaka i Mentzena, którzy chcą rozmawiać o wyjściu z UE, nawet jeśli uważają je za praktyczną niemożliwość. A jeszcze za nimi Braun, którego z kolei nie interesuje praktyczny wymiar i szanse wyjścia z „eurokołchozu", lecz domaga się tego natychmiast.

Tym podziałom kolorytu dodaje fakt, że tak naprawdę każdy z nich ma inną wizję wolności i odmienny stosunek do rozwoju – Morawiecki jest szczerze zainteresowany ideami państwa rozwojowego, Bosak szuka swojej formuły merytorycznej europrawicy, ale inni nie ukrywają, że interesują ich wyłącznie pognębienie „lewaków" i niskie podatki.

Bohatera tego tekstu stawia to w ciekawej sytuacji. Podobnie jak 20 lat wcześniej Kaczyński – żeby zdobyć władzę oraz podjąć próbę unowocześnienia polskiego konserwatyzmu i zakorzenić swoją wizję prawicowości w centrum – potrzebował Radia Maryja, Leppera i Giertycha, tak dziś Morawiecki potrzebuje oprzeć się na antyeuropejskiej i trumpowskiej emocji.

Czy to na dłuższą metę możliwe? Czas pokaże – tę samą próbę przechodzą dziś inni politycy w Europie. Między Trumpem, globalizacją, niechęcią do migracji i UE, szukaniem suwerenności oraz surowymi wyrokami słabnącego wzrostu gospodarczego i starzejących się społeczeństw.

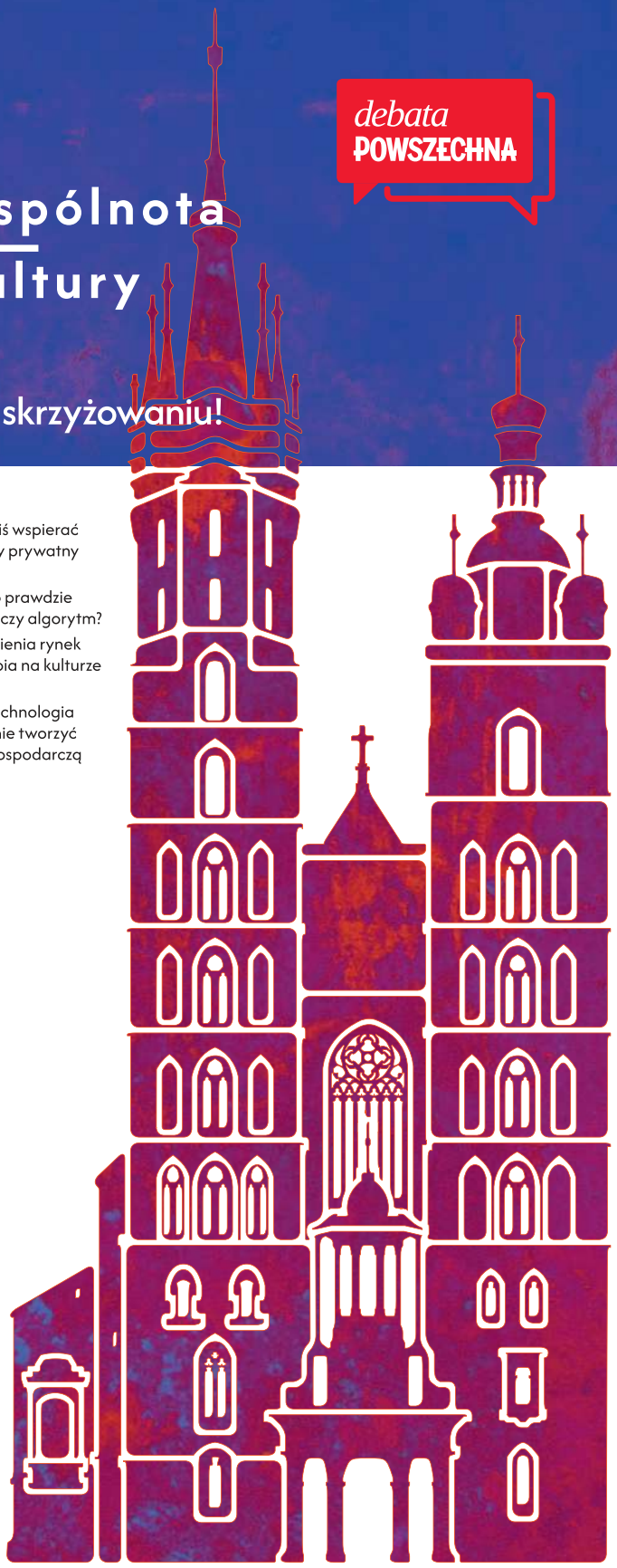
Ale sam fakt, że dziś spór o twarz polskiego rozwoju i ambicji rozgrywa się raczej na prawo niż na lewo od centrum, też coś nam o zmieniającej się Polsce i Europie mówi. © JAKUB DYMEK

eprasa.pl 997335f986

debata POWSZECHNA

KRAKÓW wspólnota kultury

biznes, technologia i sztuka na jednym skrzyżowaniu!



Czy w świecie zdominowanym przez algorytmy i sztuczną inteligencję jest jeszcze miejsce na klasyczny mecenat? Jak budować nowoczesny i sprawiedliwy ekosystem kreatywny w mieście takim jak Kraków?

Zapraszamy na kolejną odsłonę debaty **Kraków – wspólnota kultury** organizowanej przez **„Tygodnik Powszechny"** i **Miasto Kraków**.

Już **29 kwietnia** w krakowskim Bunkrze Sztuki spotkają się liderzy opinii, wybitni eksperci i praktycy biznesu, aby wspólnie nakreślić wizję Krakowa jako laboratorium przyszłości.

W programie m.in.:

Nowy mecenat: Kto powinien dziś wspierać niszową twórczość – państwo czy prywatny kapitał?

Ekonomia uwagi: Kto decyduje o prawdzie w epoce postprawdy – redakcja czy algorytm?

Kultura po algorytmie: Jak AI zmienia rynek pracy twórczej i kto realnie zarabia na kulturze cyfrowej?

Dołącz do rozmowy o tym, jak technologia i przedsiębiorczość mogą wspólnie tworzyć mierzalną wartość społeczną i gospodarczą naszego miasta.

PROGRAM:

9.00 – 9.20 Powitanie

Justyna Hernas, dyrektorka marketingu i sprzedaży „Tygodnika Powszechnego"
Jacek Stawiski, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego"

9.20 – 10.30 Nowy mecenat. Państwo, samorząd, kapitał biznesowy

Dominika Walec, pełnomocniczka Prezydenta Miasta Krakowa ds. współpracy ze środowiskiem biznesowym
Krzysztof Bajołek, CEO Answear.com
Michał Niezabitowski, dyrektor Muzeum Krakowa
Robert Piaskowski, dyrektor Narodowego Centrum Kultury
Moderator: Michał Kuźmiński, publicysta „Tygodnika Powszechnego"

10.40 – 11.40 Media i ekonomia uwagi – dezinformacja a demokracja

Agnieszka Lichnerowicz, dziennikarka, reporterka, pisarka, autorka podkastów „Rozumieć Ukrainę", „Świat na zakręcie"
Marek Kęskrawiec, publicysta, kierownik działu Kraj w „Tygodniku Powszechnym"
Sławomir Mokrzycki, dziennikarz TVP3 Kraków
Moderatorka: Ewelina Burda, zastępczyni redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego"

12.00 – 13.00 Kultura po algorytmie – AI i gospodarka kreatywna

Michał Krok, członek Rady Okręgowej Izby Radców Prawnych, specjalizujący się w prawie autorskim
Katarzyna Nicholson, Sano Centre for Computational Medicine, ekspertka AI
Paweł Schmidt, dyrektor Wydziału Centrum Obsługi Informatycznej Urzędu Miasta Krakowa
Moderator: Wojciech Brzeziński, publicysta „Tygodnika Powszechnego"

13.00 – 13.30 Kraków jako laboratorium przyszłości

Katarzyna Olesiak, prezeska zarządu ARMK sp. z o.o.
Łukasz Sęk, zastępca Prezydenta Miasta Krakowa
Jacek Stawiski, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego"

13.30 – 14.30 Lunch i rozmowy

KIEDY: 29 kwietnia 2026 r., godz. 9.00

GDZIE: Galeria Bunkier Sztuki, Plac Szczepański 3a, Kraków

Wstęp wolny – zarejestruj się już dziś!

https://evenea.pl/pl/wydarzenie/debatapowszechna

ORGANIZATOR: Tygodnik Powszechny
PARTNER GŁÓWNY: Kraków
PARTNERZY: Agencja Rozwoju Miasta Krakowa; bunkier sztuki; mpec kraków
PATRONAT MEDIALNY: Radio Kraków; 65 TVP3 Kraków; TVP info

eprasa.pl 997335f986

Pozory równości

WOJCIECH ŚMIEJA

POLEMIKA | Michał Gulczyński był łaskaw odpowiedzieć na część uwag dotyczących jego książki, zbywając najbardziej kłopotliwe milczeniem. Postaram się odpowiedzieć jak najzwięźlej, nie sprowadzając dyskusji do przepychanki.

Recenzja „Mężczyzn. O nierówności płci" była krytyczna: skupiłem się na tym, co budzi moje wątpliwości. Fundamentalna dotyczyła tego, że termin „dyskryminacja" i wyrażona w tytule książki „nierówność" w odniesieniu do mężczyzn *in toto* budują przekonanie, że mamy do czynienia z płcią dyskryminowaną. Trudno się z tym zgodzić w kraju, w którym kobiety umierają na oddziałach położniczych, ich prawa reprodukcyjne względem innych Europejek są drastycznie zawężone, a ginekolożka Gizela Jagielska jest atakowana i nachodzona w miejscu pracy tylko dlatego, że dokonała zabiegu aborcji zgodnie z prawem i wskazaniem medycznym.

Gulczyński nie zakwestionował mojej tezy, że jego książka stanowi fundament ideowy działań Stowarzyszenia na Rzecz Chłopców i Mężczyzn, warto więc zobaczyć, jak jego tezy tam pracują. Odsłania się wówczas coś, przed czym przestrzegam: tworzenie uwodzicielskiej opowieści o „dyskryminacji mężczyzn", służące rzeczywistej polaryzacji, a nie, jak deklaruje mój polemista, depolaryzacji.

Licytacja w kąpieli

Stowarzyszenie na swojej stronie wymienia aż 11 obszarów prawnej dyskryminacji mężczyzn. Przykładowo, dyskryminacja ma dotyczyć tego, że: „§ 27. 3. Skazany korzysta co najmniej dwa razy w tygodniu z ciepłej kąpieli. (...) a 4. Skazana kobieta korzysta co najmniej raz dziennie z ciepłej wody i dwa razy w tygodniu z ciepłej kąpieli". Jednokrotny dostęp kobiety do ciepłej wody, związany choćby z higieną podczas okresu, przedstawiany jest zatem jako dyskryminujący mężczyzn. Możemy dyskutować o warunkach odbywania kar, ale naprawdę: uznajmy fakt, że fizjologia kobiety jest inna niż mężczyzny.

Wytwarzanie nowego języka, w obrębie którego to mężczyźni są dyskryminowani względem kobiet, prowadzi wprost do „licytowania się", więc nie przekonuje mnie wyrażony w odpowiedzi apel Gulczyńskiego: „nie licytujmy się", skoro tę licytację on i Stowarzyszenie uprawiają na różnych polach. Jasne, w jego organizacji podejmowane są i inne działania, które oceniam jednoznacznie pozytywnie, niemniej uważam, że strategiczny sojusz na rzecz równości między ruchami feministycznymi a ich męskim odpowiednikiem jest dla tych pierwszych ryzykowny właśnie ze względu na zarysowaną wyżej asymetrię i „licytację".

Pruskie dziewczynki

Nie jest możliwy także z innego względu. Wśród moich zastrzeżeń wobec książki Gulczyńskiego znalazło się i to, że pod pozorem języka równościowego przemyca dość subtelną formę backlashu. Z tego zastrzeżenia mogę się wycofać: backlash i mizoginia nie są subtelne. Gulczyński pisze np. tak: „Może w takim razie szkoła jest *ustawiona pod dziewczynki*? W pewnym sensie może tak być. Pruski system szkolny w założeniu miał przygotowywać żołnierzy i usłużnych biurokratów – jest więc nakierowany na ograniczanie kreatywności czy niestandardowości. Również w dzisiejszej, polskiej szkole docenia się raczej systematyczność i wszechstronność niż wyjątkowe umiejętności czy szczególne zainteresowania. Takie zachowania są częstsze i stereotypowe u dziewcząt".

Wywód autora wywraca się o własne nogi: pruski model szkoły dla żołdaków i biuralistów kończy się „szkołą ustawioną pod dziewczynki", którym raczej brak „wyjątkowych umiejętności i szczególnych zainteresowań", a tymi, jak się domyślamy, cechują się chłopcy.

Lepiej szukać w Szwecji

W swoim tekście zwróciłem uwagę na to, że kraje najbardziej równościowe, a przy tym – jak wskazują raporty mierzące szczęście obywateli – najszczęśliwsze, to kraje skandynawskie. Każdy z nich cechują silne tradycje feministyczne w polityce i życiu społecznym.

Niezwykle ważną postacią dla budowania równości w Szwecji był Olof Palme, socjaldemokratyczny polityk i premier, którego słynne wystąpienie o emancypacji mężczyzny, wygłoszone 8 czerwca 1970 r. na zaproszenie Women's National Democratic Club w Waszyngtonie, nie było próbą naśladowania czy przejęcia języka feminizmu. Wynikało z uznania go za własny i budowania z nim prawdziwej równościowej koalicji, a nie jej pozorowania. ©



„Braun, Czarnek, autorytarna Rosja, teorie spiskowe, denializm klimatyczny – to przychodzi na myśl Wojciechowi Śmiei, gdy czyta, że mężczyźni żyją krócej, a chłopcy mają słabsze wyniki w szkole" – napisał Michał Gulczyński o swoim recenzencie. Dziś odpowiedź tego ostatniego.

eprasa.pl 997335f986

NATALIA

de Barbaro:

Kto ty?



Poznałam kiedyś kobietę, która lunatykowała. Opowiedziała mi o jednym ze swoich nocnych epizodów: pewnego ranka obudziła się nie w swoim łóżku, a na dywaniku w łazience. Kiedy się podniosła, zobaczyła na lustrze wielki, nabazgrany szminką napis: „KTO TY?". Szminka była tłusta i trudno było domyć lustro. Pytanie nie chciało zniknąć. Zawijas nad kropką był niewyraźny. „Może to była kropka, a nie znak zapytania? – zastanawiała się. – Jakby samo pytanie było odpowiedzią".

Kto ty. Kto ty? Kobieta powiedziała, że to pytanie wracało do niej na życiowych rozdrożach; flashbacki tamtego napisu z lustra. „Chyba lepiej wybierałam dzięki temu", powiedziała.

Coraz więcej z nas zadaje sobie to pytanie na jawie. Kto ty? Kto ty jesteś, człowieku patrzący na mnie z lustra? Coraz więcej z nas czyta książki, które mają pomóc nam szukać, zawsze chwiejnej i wieloznacznej, odpowiedzi na to pytanie. Słuchamy podkastów, jeździmy na warsztaty, gadamy z tymi, dla których to pytanie też jest ważne.

Są też tacy, którzy mówią: po co o to pytać? Po co się w to zagłębiać, grzęznąć w sobie samym, pępku świata rzekomym? Czy naprawdę nie masz ciekawszych tematów niż ty sam? Po co ci ten psychobełkot? Popatrz, co się dzieje na świecie, wzrok podnieś na półkę z książkami, Heideggera poczytaj, Bonhoeffera, Habermasa poczytaj, Levinasa! Albo chociaż włącz BBC News, bo ci angielski zardzewieje.

A jednak, jeśli siebie nie znamy, jeśli poruszamy się po świecie bez rozpoznania, kim jesteśmy, jeśli lunatykujemy przez swoje dni, pędzimy przez nie samochodem bez przeglądu – jaka jest wtedy jakość naszych decyzji, naszych relacji? Kiedy siebie nie znamy, rządzą nami ukryte przed nami samymi psychologiczne motywy, impulsy, nad którymi nie mamy kontroli. I budzimy się jak tamta kobieta, nie we własnym łóżku. Albo w pracy, która nie przynosi nam radości, albo we wszechogarniającym chłodzie związku, który kiedyś ogrzewał. Albo w środku kłótni, zdumiewając się własną wrogością wobec kogoś, kogo przecież kochamy. Tak, dajemy siebie światu, „poświęcamy się", ale nie ma w tym radości, nie ma iskry. I świat to wie – tak jak i my wiemy, kiedy ktoś daje, ale daje ze złością, frustracją, bez życia.

Stanięcie wobec pytania, kim jestem, nie jest aktem jednorazowym: to bardziej stawanie niż stanięcie. I wymaga odwagi. Że tak jest, możesz sprawdzić od razu – odłóż ten tekst, nastaw minutnik w telefonie na pięć minut, włącz tryb samolotowy i zamknij oczy. Posiedź sobie w ciszy.

Ciszy? W środku nie ma ciszy, w każdym razie nie pojawia się od razu. W środku bywa nudno, trudno, dziwnie smutno i właśnie – hałaśliwie, chociaż jeszcze chwilę wcześniej wydawało się, że hałas pochodzi tylko z zewnątrz. A jednak, dopóki się nie spotkamy z tym wszystkim, co w nas trudne, to niespotkanie będzie nami rządzić. I będziemy swój własny zamęt przypisywać światu. Pozornie łatwiej, ale tak naprawdę to właśnie zasłania nam świat i ludzi wokół nas. Bo trudno jest serdecznie zobaczyć innych, kiedy nie wkłada się pracy w budowanie wewnętrznego ładu. A tego ładu nie da się zbudować bez spotkania za sobą. Nie opędzi się tego pohukiwaniem na siebie, sztorcowaniem siebie. W dorosłości tak to nie działa.

Taki paradoks: potrzebuję zobaczyć siebie, żeby móc zobaczyć świat i zamieszkujących w nim ludzi.

Świat oczywiście roi się od tych, którzy siebie samych nie rozpoznają. I to znać. Wiemy, że polityk, który mówi o pokoju, przesiąknięty jest zastygłą wściekłością, przeczuwamy głęboki smutek w kobiecie, która na swoim instagramie opiera się o pień palmy na białej plaży, w środku listopada. Wiemy. I ci, którzy na nas patrzą, też wiedzą to o nas – czy jesteśmy sami ze sobą pojednani, czy somnambulicznie miotamy się po swoim życiu.

Kto ty? Nie pytam, co masz w cv, nie pytam o role, jakie pełnisz. Ale tak w sercu, w czuciu, w tej drżącej tkance, która składa się na twoje „jestem" – kto ty?

Czy nie czynilibyśmy więcej dobra, którego chcemy, i mniej zła, którego nie chcemy, gdybyśmy, kiedy gasną światła scen, stawali do tego pytania? ©

Natalia de Barbaro jest psycholożką, poetką, prowadzi autorskie warsztaty dla kobiet. Autorka bestsellerowej „Czułej przewodniczki", „Przędzy" i „Przejść".

eprasa.pl 997335f986



ANDREY BANDURENKO / ADOBE STOCK

PSYCHE

SIDŁA SAMOROZWOJU

Jest branża, która żeruje na naszym braku zaufania do własnych doświadczeń. Kiedy zaczynamy zawierzać sobie, okazuje się, że kolejna praktyka, usługa czy produkt przestają być jedyną odpowiedzią na cierpienie.

KAMA WOJTKIEWICZ

eprasa.pl 997335f986



Po czym poznać, że samorozwój przestaje mi służyć, a zaczyna szkodzić?" – pyta jedna z osób z widowni podczas spotkania autorskiego w Nowym Teatrze w Warszawie. Parę dni później, na spotkaniu w Łodzi, słyszę: „Skąd mam wiedzieć, że terapia nie działa?". Ile sesji powinna trwać rzetelna psychoterapia? Jak rozpoznać, że dana technika czy zajęcia nie przynoszą korzyści? Jak nie wpadać w pułapki branży rozwojowej?

Takie i podobne pytania słyszę w trakcie wywiadów wokół mojej książki „Sobą zajęci. O pułapkach samorozwoju i kultury terapeutycznej". Choć są różne, coś je wyraźnie scala. Jak to się stało, że przestaliśmy zawierzać własnym doświadczeniom i intuicjom? Czy to nie na braku zaufania do swoich przeżyć zbudowany został biznes usług i produktów samorozwojowych? Czy gdyby od małego uczono nas wsłuchiwania się we własne preferencje, potrzeby i intuicje, nie byłoby tak silnego zwrotu ku „Ja" w dorosłości? Może potrafilibyśmy w sposób zdroworozsądkowy zawierzać sobie, jak i orientować się ku innym, bez wpadania w sidła samorozwojowych obietnic bez pokrycia?

Ale od początku. Kiedy myślimy o branży samorozwojowej, mówimy o usługach, które mają na celu rozwiązać ludzkie problemy: poprawić jakość naszych relacji, wzmocnić poczucie własnej wartości, pomóc odnaleźć sens istnienia, uwydatnić kompetencje i mocne strony. Samorozwój to proces zdobywania wiedzy, nowych umiejętności, doskonalenia siebie, aby żyć pełniej. Zachodni rynek oferuje szereg usług, które odpowiadają na wspomniane kwestie – kursy online, e-booki, sesje 1:1 z mentorem czy mentorką.

Z pewnością są obszary życia, które nie wymagają leczenia czy interwencji terapeutycznej, a usługa rozwojowa jest wystarczająca. Przecież z brakiem pewności siebie nie trzeba natychmiast udawać się do psychoterapeuty czy psychiatry. Schody zaczynają się, kiedy usługi te opowiadane są językiem jednoznacznych korzyści, okraszonych myśleniem magicznym i nieznoszącą sprzeciwu dyrektywnością. Bo przedstawianie ofert samorozwojowych jako gwarantujących pełną poprawę czy wyleczenie objawów zaburzeń zdrowia psychicznego zakrawa na magię.

Kurs od guru

W rozmowie z socjologiem prof. Tomaszem Sobierajskim, którą przeprowadziłam do książki, pada rozróżnienie między zdziecinnieniem a dojrzałością. „Zamiast zastanowić się, czego [człowiek] naprawdę potrzebuje, kupuje [on] w sklepie suplement, bo reklama obiecała mu zdrowie w kapsułce. Dojrzałość mówi wtedy: »Przemyśl, sprawdź, to twoja decyzja«, a zdziecinnienie podsuwa: »Kliknij, kup, ktoś już wie lepiej od ciebie«. I jest to trudna walka, bo osoby, które utrzymują nas w zdziecinnieniu, zarabiają na tym zbyt duże pieniądze (...), by zrezygnować" – wyjaśnia socjolog.

Przyglądając się branży samorozwojowej, można odnieść wrażenie, że specjaliści od dobrego, świadomego życia zrozumieli prawdę, do której nikt inny nie ma dostępu. No chyba że wykupi u nich kurs. A przecież ślepe podążanie za czyjąś wizją rzeczywistości ograbia nas z możliwości wydeptywania własnych ścieżek, zabiera wolność eksploracji. I wzmacnia poczucie zależności od czyjegoś sposobu widzenia rzeczywistości, czyichś doświadczeń i przekonań.

Dlaczego więc tak łatwo oddajemy decyzyjność internetowym guru, a tak trudno nam zawierzyć sobie?

Siła krytycznego myślenia

Odpowiedzi można szukać m.in. w systemie edukacji, który nie uczy nas krytycznego myślenia. Polska szkoła premiuje podążanie za kluczem i wpasowywanie się w szablony odpowiedzi. Odstępstwa od normy traktuje się jako przejaw buntu czy niewiedzy ucznia, nie dostrzegając w nich otwartości w myśleniu i odwagi do proponowania własnych interpretacji.

Pamiętam moje zdziwienie, kiedy podczas studiów prawniczych na brytyjskim King's College London dowiedziałam się, że aby dostać najwyższą ocenę ↦

eprasa.pl 997335f986

↦ (tzw. *First Class Honours*), należy nie zgodzić się z głosem autorytetu, zaproponować własny nurt myślenia o danym zagadnieniu. Jeśli student wyłącznie powieli to, czego został nauczony na zajęciach, nie może liczyć na najwyższe noty.

Być może właśnie poprzez rozwijanie krytycznego myślenia moglibyśmy uczyć się, jak nie wpadać w pułapki samorozwoju i nie wierzyć prostym rozwiązaniom na złożone problemy. „Bez krytycznego myślenia stajemy się jedynie odbiorcami cudzych narracji, a z nim możemy stać się współtwórcami rzeczywistości" – dodaje prof. Sobierajski.

Krytyczne myślenie to kompetencja wyrastająca nie tylko z odwagi, ale i przekonania o tym, że własne intuicje i argumenty są godne namysłu. Że warto pozostać przy tym, co intuicyjnie się przeczuwa, nawet jeśli jest to wbrew głosowi autorytetu czy grupy rówieśniczej.

W terapii schematów Jeffreya E. Younga, wyrastającej z trzeciej fali nurtu poznawczo-behawioralnego, mówi się o tzw. Zdrowym Dorosłym lub Zdrowej Dorosłej. To tryb funkcjonowania, choć lubię o nim myśleć jako o wewnętrznej instancji obdarzonej zdolnością do godzenia w sobie głosów i potrzeb wszystkich części naszej osobowości. To dojrzała, odpowiedzialna i radząca sobie z trudami część nas, która łączy myślenie z czuciem. Rozpoznaje własne ograniczenia i podejmuje dorosłe decyzje, przy jednoczesnym uznaniu naszych marzeń i dążeń, pozwalaniu na spontaniczność ekspresji emocjonalnej.

Wielu z nas wchodzi w dorosłość bez kontaktu z tą częścią siebie. Kieruje nami poczucie wstydu i samokrytycyzm, napędzane przez wyśrubowane standardy i poczucie bycia wiecznie niewystarczającymi. Pozbawieni dorosłej części w sobie, zwracamy się ku „rodzicom" na zewnątrz – guru, przewodnikom duchowym, ale i psychoterapeutom, od których oczekujemy życiowego przewodnictwa i odpowiedzi na nasze cierpienie.

Optymalizacja kontra intuicja

Żeruje na tym również branża wellness, która wprowadziła ruch optymalizacji zdrowia i biohackingu, oparty na przekonaniu, że należy siebie nieustannie kontrolować. Powstają kawiarnie usprawniające czas spędzany z przyjaciółmi, gdzie w trakcie wspólnego picia bulionu kolagenowego możemy jednocześnie naświetlać twarz czerwoną lampą LED, aby łączyć zabiegi pielęgnacyjne z codziennymi aktywnościami.

Coraz częściej kupujemy gadżety do monitorowania poziomu glukozy czy jakości snu, które bombardują nas powiadomieniami, kiedy nasze parametry życiowe nie są odpowiednio zoptymalizowane. Zaczynamy frenetycznie sprawdzać, na ile procent udało nam się zregenerować i po jakim posiłku nasz poziom glukozy zanadto skoczył (choć z medycznego punktu widzenia wcale tego nie potrzebujemy).

Rezygnujemy z podpowiedzi płynących z ciała czy potrzeb społecznych na rzecz doskonałej optymalizacji. Stajemy się więźniami produktów, które u podstaw miały polepszać jakość naszego życia. W praktyce jednak pozbawiają nas możliwości oparcia się na własnych przeczuciach i potrzebach, szczególnie jeśli idą one wbrew idealnym parametrom zdrowia. I tym samym, zabierają nam możliwość doświadczania momentów błogości, spontaniczności, braku kontroli, a więc momentów, w których dzieje się życie.



ALICJA KOZAK / MATERIAŁY PRASOWE



KAMA WOJTKIEWICZ jest psycholożką i dziennikarką. Autorka podkastu „Sznurowadła myśli" i książki „Sobą zajęci. O pułapkach samorozwoju i kultury terapeutycznej" (Wydawnictwo AGORA). Absolwentka prawa na King's College London i studiów magisterskich z psychologii klinicznej i zdrowia na Uniwersytecie SWPS w Warszawie. Doświadczenie kliniczne zdobywała na Oddziale Całodobowym w Klinice Psychiatrii, Stresu Bojowego i Psychotraumatologii w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie. Prowadzi warsztaty psychoedukacyjne, konsultacje psychologiczne i psychoedukuje w mediach społecznościowych (@sznurowadla.mysli).

Sen do kontroli

Jednym z niewielu stanów, w których nie da się nas bombardować komunikatami marketingowymi, jest sen. Jak pisze Jonathan Crary w książce „24/7. Późny kapitalizm i celowość snu", to jedyny moment naszego życia, w którym jesteśmy „wyzwoleni z pułapki sztucznie pobudzanych potrzeb", dlatego „staje się [on] jedną z wielkich zniewag ze strony człowieka wobec zachłannego współczesnego kapitalizmu. (...) Sen nie daje się skolonializować ani zaprząc do wielkiej maszynerii opłacalności, pozostaje więc zaburzającą ciągłość anomalią i kryzysowym punktem globalnej teraźniejszości".

I choć w stanie snu jesteśmy całkowicie zdani na własną wyobraźnię i swobodne skojarzenia, monitorowanie jego jakości, tego, co dzieje się przed i zaraz po obudzeniu, zostało już sprawnie wprzęgnięte w prozdrowotne oferty produktów i usług. Zamiast zastanawiać się nad tym, czy czuję się dziś wyspana, oddelegowuję to zegarkowi czy opasce, która dostarcza mi wykres i liczbę procentów, informujących mnie o tym, czy wystarczająco się zregenerowałam. Wystarczająco względem wyznaczonych przez gadżet standardów, pozbawionych kontekstu, sytuacji życiowej czy ludzkich parametrów nie do zmierzenia.

Emocjonalne katharsis

Podobnie ma się sprawa z weekendowymi warsztatami „uwalniania traumy", które poprzez intensywność obiecują skuteczność. Co na gruncie neuronauki nie do końca jest

eprasa.pl 997335f986

prawdą. Jak mówi dr Asia Kubiakowska w „Sobą zajętych”: „pod względem biochemicznym silne uwolnienie to zalanie ciała hormonami, przede wszystkim kortyzolem, adrenaliną, prolaktyną i oksytocyną”.

Jeśli trudno nam odnieść się do własnych wewnętrznych doświadczeń i wrażeń, objąć je troską, propozycje szybkiego pozbycia się napięcia, lęku czy poczucia zamrożenia mogą nas skusić. Szczególnie gdy oferty te kierowane są do osób, które od lat nie odczuły żadnej ulgi, zawiodły się na konwencjonalnych metodach leczenia i szukają kogoś, kto zabierze im nieznośny ból. Obietnica emocjonalnego *katharsis* wydaje się być ostatnią deską ratunku.

W praktyce okazuje się jednak, że żaden autorytet, jedna technika czy seria ćwiczeń nie ma mocy, by uśmierzyć raz na zawsze ból niesiony latami. I choć jest to rozczarowujące, jednocześnie może się okazać, że doświadczenie to pomoże przywrócić zagubione proporcje. Ustawić możliwości i ograniczenia praktyk rozwojowych we względnie rozsądnym porządku.

Przymierze ze sobą

Kiedy w gabinecie psychologicznym rozmawiam z osobami rozczarowanymi tego typu praktykami, staram się przekierować ich uwagę na to, co mogą usłyszeć od ich Zdrowej Dorosłej części, często stłumionej przez autonienawistne myśli. Być może jest to pierwszy raz, kiedy zwracają się po odpowiedzi do samych siebie, zamiast szukać ich na zewnątrz.

Istnieje szansa, że z początku odpowiedzi nie przyjdą natychmiastowo. Pojawi się „nie wiem” i zwątpienie. Ale z czasem, przy powtarzalności i cierpliwości, może okazać się, że osoby te zaobserwują w sobie dryg, jakiś rodzaj wrażenia, przeczucia, które podpowiada im, że dana sytuacja, osoba lub relacja budzi w nich podejrzliwość. Nie jest spójna z ich systemem wartości. Albo że w określonej sytuacji czują się zmęczone, a w innej – podniesione na duchu.

Można wtedy zacząć zauważać, że przy niektórych osobach rozluźnia się nam ciało, opuszczamy gardę, nie myślimy o tym, co mówimy. Pojawia się lekkość, odczucie głęboko ucieleśnione. A przy innych – poirytowanie, poczucie niezrozumienia. I tym będzie właśnie wewnętrzne przewodnictwo – zaufaniem do wrażeń, doświadczeń i intuicji, wzmacnianym przez krytyczne myślenie, odwagę do samodzielnego formułowania interpretacji i szukania zniuansowanych odpowiedzi na swój sposób, a nie bezrefleksyjnie u innych. Będzie też zawiązaniem sojuszu między tą częścią nas, która szuka zadośćuczynienia za wyrządzone jej krzywdy, a tą, która cierpi. Nie hiperniezależnością i braniem za wszystko odpowiedzialności, a poczuciem przymierza ze sobą, które pozwala zachować równowagę w opieraniu się na sobie, jak i szukaniu pomocy.

W tym rozpoznaniu dopatruję się większej odporności na pułapki samorozwoju, na terapie szokowe, drogie gadżety optymalizujące zdrowie i doświadczenia ekstremalnego uwolnienia emocjonalnego.

Jak być blisko siebie i innych

Paradoksalnie, wzmacniając zaufanie do siebie, można zacząć otwierać się na innych. Przestać nadmiarowo zwracać się po odpowiedzi na zewnątrz, a zacząć pielęgnować więzi z miejsca osadzenia w sobie i chęci bycia blisko.

Dlatego wewnętrzne przewodnictwo nie będzie skrajnym zaabsorbowaniem sobą, egoizmem czy kierowaniem wyłącznie własnym komfortem. Będzie natomiast zawierzaniem własnym wrażeniom, które pozwoli na samodzielne podejmowanie decyzji i podążanie w kierunku spójnym z naszymi wartościami i celami. A wtedy zrobi się miejsce na zaangażowane działanie, które przybliża nas do innych ludzi i otaczającego świata, zamiast zamykać w ślepym posłuszeństwie wobec autorytetów i obietnic wiecznego dobrostanu.

© KAMA WOJTKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl 997335f986

REKLAMA

MELISANA
Klosterfrau
Original

Dostępna bez recepty.

200 *lat tradycji* w leczeniu:*

- BÓLU BRZUCHA I WZDĘĆ NA TLE NERWOWYM
- OBJAWÓW PRZEZIĘBIENIA I GRYPY
- POWYSIŁKOWEGO BÓLU MIĘŚNI
- TRUDNOŚCI Z ZASYPIANIEM



HISTORIA MELISANY

* Historia Melisany sięga 1815 roku i legendarnej bitwy pod Waterloo. To wtedy zakonnica Maria Clementine Martin opracowała recepturę na bazie leczniczych ziół, pomagającą żołnierzom w stanach napięcia i bólu. Jej preparat zyskał uznanie króla Prus i stał się podstawą kultowej formuły produkowanej nieprzerwanie do dziś.

MEL.2025.06.02.2

Melisana Klosterfrau Original, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: Stosowanie doustne: w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwiania zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysiłkowych bólach mięśni. Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o.

Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

eprasa.pl 997335f986



Antyk na Wawelu

JEREMI DOBRZAŃSKI x2

Arcydzieła z kolekcji Lanckorońskich – wypożyczone ze światowych muzeów – na jednej wystawie.

Dzieła antyczne z kolekcji Lanckorońskich – dziś rozproszone po muzeach Europy i USA – spotykają się na Wawelu w trzeciej odsłonie wystawy „Arcydzieła z kolekcji Lanckorońskich. Opowieść o antyku" (kuratorzy: dr Joanna Winiewicz-Wolska, Bartłomiej Makowiecki). To rzadka okazja, by zobaczyć te wyjątkowe zabytki i poznać historię pasji oraz dziedzictwa antyku.

– Pielęgnując pamięć o dziedzictwie Karoliny i Karola Lanckorońskich, prezentujemy wystawę, która po raz pierwszy tak szeroko ukazuje antyczną część ich kolekcji – mówi prof. Andrzej Betlej, dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu – Państwowych Zbiorów Sztuki. Obiekty wypożyczono z czołowych muzeów w USA i Europie, a także z Polski; część pokazano po raz pierwszy. To rzadka okazja, by zobaczyć rozproszone dzieła, tworzące jedną narrację.



Istotnym wątkiem wystawy jest dramatyczna historia rozproszenia kolekcji w XX wieku – związana z wojną i konfiskatami. Ekspozycja symbolicznie scala zbiory, pokazując ocalałe obiekty i ślady dawnej całości z archiwów i dokumentów.

Trzon stanowią cenne dzieła antyku: rzeźby, reliefy, ceramika i przedmioty codzienne z Grecji, Rzymu, Egiptu i Azji Mniejszej – zarówno monumentalne, jak i kameralne, zwłaszcza z okresu hellenistycznego i rzymskiego.

Jednym z najważniejszych obiektów kolekcji był sarkofag z pochodem Erosów, dziś przywołany w aranżacji wystawy. Rzeźbę portretową reprezentuje głowa brodatego mężczyzny z berlińskich zbiorów – marmurowy portret o wysokim kunszcie i klasyczno-hellenistycznym charakterze.

Na wystawie znalazło się także etruskie lustro z brązu z przedstawieniem Kastora i Polluksa, wyróżniające się precyzją i znaczeniem symbolicznym.

– Kulminacją jest prezentacja wawelskich antyków, przekazanych w 1999 roku, w tym Gemmy Lanckorońskiego – przykładu wczesnochrześcijańskiej gliptyki z VI wieku, łączącej tradycję antyku z nową symboliką chrześcijańską – podkreśla Bartłomiej Makowiecki, kurator ekspozycji.

OD PODRÓŻY, PRZEZ DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWĄ – DO KOLEKCJI

Wystawa opowiada nie tylko o samych zabytkach, ale również o ich niezwykłej historii. Przybliża proces powstawania kolekcji – od zakupów dokonywanych podczas podróży po Europie i Bliskim Wschodzie, przez udział Karola Lanckorońskiego w ekspedycjach archeologicznych w Azji Mniejszej.

– Wiadomo z dzienników z podróży, że Lanckoroński kupował antyki u handlarzy bliskowschodnich – w Smyrnie, na Rodos, w Atenach – oraz w Rzymie. Pewna część zbioru to najprawdopodobniej przedmioty wylicytowane na aukcjach, dary i zakupy od osób bliskich. Korzystając z rad znawców, czynił on również zakupy w antykwariatach Wiednia, Berlina czy Monachium. Dzięki nim znacząco powiększył rodzinne zbiory o blisko 400 antyków – wyjaśnia kurator wystawy.

Podczas zwiedzania powróci też wspomnienie wiedeńskiej rezydencji przy Jacquingasse 18. To właśnie tam antyczne dzieła funkcjonowały nie jako muzealne eksponaty, lecz jako część życia intelektualnego właściciela – opowiada Bartłomiej Makowiecki.

– Słowa „muzeum" Karol Lanckoroński zdecydowanie nie lubił. W Sali Fresków nie było mebli służących wygodzie mieszkańców. Można było jedynie podziwiać antyki na postumentach, stołach i w witrynach. Przestronne wnętrze zdobiło osiem fresków Domenichina, a sposób prezentacji nawiązywał do ekspozycji muzealnej – mówi dr Joanna Winiewicz-Wolska, kuratorka ekspozycji.

NIE TYLKO PAŁAC

Kuratorzy wystawy zwracają uwagę, że ważnym elementem narracji są obiekty związane z działalnością naukową i mecenatem Lanckorońskiego – m.in. zabytki przekazane Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, odlewy gipsowe wykorzystywane w dydaktyce czy dzieła z rodzinnej rezydencji w Rozdole. Dzięki nim wystawa ukazuje kolekcję jako narzędzie poznania, edukacji i budowania tożsamości.

– Są to „antyki", które nigdy nie należały do wiedeńskich zbiorów hrabiego. Zgromadziliśmy m.in. dzieła z Rozdołu, wypożyczone z Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki, oraz zabytki przekazane w 1882 roku Katedrze Archeologii UJ. Pokazujemy też odlewy gipsowe – dar Lanckorońskiego dla Gabinetu Historii Sztuki UJ – oraz odlewy z wyprawy do Azji Mniejszej z 1884 roku, wykonane in situ. To świadectwo działalności naukowej i dokumentacyjnej ekspedycji – mówi Makowiecki.

„Arcydzieła z kolekcji Lanckorońskich. Opowieść o antyku" to wystawa, która pozwala spojrzeć na antyk z nowej perspektywy i doświadczyć jego piękna w przestrzeni Wawelu. ©

WYSTAWA CZYNNA OD 8 MAJA DO 30 SIERPNIA



MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 997335f986

ŚWIAT

MARATON GAVINA

W 2028 r. chce walczyć o urząd prezydenta USA. Na razie Gavin Newsom, popularny gubernator Kalifornii, kreuje się na lidera opozycji wobec Trumpa przed listopadowymi wyborami „połówkowymi".

MARTA ZDZIEBORSKA



BRANDON BELL / GETTY IMAGES

Gavin Newsom wykonał już ruch typowy dla polityków, którzy szykują się w USA do prezydenckiego wyścigu. Pod koniec lutego wydał książkę, pod tytułem „Young Man in a Hurry" („Młody człowiek w biegu").

Nie powinno to dziwić. Choć wybory prezydenckie odbędą się dopiero w listopadzie 2028 r., zabiegi tych, którzy chcą uzyskać nominację Partii Demokratycznej, już trwają (u Republikanów nominacja będzie wyglądać pewnie tak, że kandydata namaści Trump). Tymczasem to on, 58-letni Newsom, postrzegany jest jako faworyt Demokratów.

JEDEN Z WAS | Publikacja książki to zatem swego rodzaju autoprezentacja. A także zabieg mający – w jego przypadku – zmienić jego wizerunek: człowieka z elit Kalifornii, ze śnieżnobiałymi równymi zębami, idealną fryzurą i zamiłowaniem do drogich restauracji.

Newsom opowiada więc czytelnikom historię rozwodu rodziców, który zmusił go do życia w dwóch odmiennych światach. Świecie matki Tessy Menzies, która harowała w kilku pracach naraz, i świecie ojca Williama Newsoma, sędziego apelacyjnego, który przyjaźnił się klanem Gettych, jedną z najbogatszych rodzin w USA.

Nastoletni Gavin dorabiał więc rozwożeniem gazet. Ale bywało też, że latał prywatnym odrzutowcem, spał w luksusowych hotelach i dostawał drogie ubrania na Boże Narodzenie. Wspomina, że wraz z siostrą udawali, że rzeczy podarowane przez przyjaciół ojca źle leżą. Robili to, aby matka mogła zwrócić prezenty i sama kupić im coś pod choinkę.

Z ŻYCIA POLITYKA | Są w tej książce fragmenty, które można traktować jako „eksplozje kontrolowane" – jakby Newsom chciał ubiec rywali, gdyby zechcieli w przyszłości wyciągać na niego takie czy inne „haki".

Mowa jest więc o babci, która sympatyzowała z komunizmem, a także o jego głośnym romansie sprzed lat, gdy jako burmistrz San Francisco spotykał się z podwładną, jednocześnie żoną bliskiego współpracownika. Newsom był wtedy w trakcie rozwodu z żoną Kimberly Guilfoyle (dziś jest ambasadorką USA w Grecji, a w przeszłości była związana z synem Trumpa, Donaldem Juniorem).

W ramach politycznego ekshibicjonizmu gubernator Kalifornii snuje też opowieść o swoich problemach z dysleksją oraz o śmierci matki, która po długiej walce z rakiem popełniła samobójstwo w obecności lekarza. Newsom pisze, że matka nagrała mu wiadomość głosową z informacją, że jeśli chce ją jeszcze zobaczyć, musi przyjechać jak najszybciej, bo zaplanowała swoją śmierć. Odebrała sobie życie w wieku zaledwie 55 lat, gdy tzw. wspomagane samobójstwo było w Kalifornii nielegalne.

NIE JESTEM LEPSZY | Newsom promuje swoją książkę nie gdzie indziej, tylko w stanach kluczowych dla walki o Biały Dom. To nie umknęło uwadze Republikanów. Po jego wizycie w stanie Georgia zarzucili mu rasizm, bo na spotkaniu w Atlancie zapewniał – niezbyt zręcznie – obecnych na sali, w tym czarnoskórego burmistrza, że nie jest lepszy od nich, gdyż miał kiepskie wyniki na maturze.

Gdy Republikanie go atakowali, Newsom chwalił się na platformie X, że w prawicowej stacji Fox News aż huczy na jego temat – i to w dniu, gdy Trump wygłaszał orędzie o stanie państwa.

eprasa.pl 997335f986



Gubernator Gavin Newsom na wiecu w Houston, w Teksasie, 8 listopada 2025 r.

„Wow!!! Właśnie odebrałem telefon od bardzo wiarygodnego źródła (na najwyższym szczeblu), że Donald Trump jest wściekły, bo ja, Gavin C. Newsom (gubernator wolnego świata), całkowicie »przejąłem« uwagę mediów w dniu jego »wielkiej przemowy«, nie przykładając się nawet zbytnio" – pisał wielkimi literami, parodiując styl Trumpa, znanego z nadużywania właśnie wielkich liter i wykrzykników.

Zasugerował też, że on, dyslektyk, lepiej niż Trump poradziłby sobie podczas orędzia i przemawiałby bez teleprompter. „Dziękuję za poświęcenie uwagi w tej kwestii" – zakończył wpis, znów w stylu Trumpa.

SCHODZIMY NISKO | To próbka, w jaki sposób Newsom, parodiując prezydenta USA i zalewając social media żartobliwymi memami, od miesięcy skupia na sobie uwagę mediów. Nie ogranicza się do krytykowania Trumpa i jego ekipy, lecz ciągle przesuwa granice w swych atakach. Gdy jego biuro prasowe zasugerowało w marcu, że niektórzy Republikanie są zniewieściali lub są ukrytymi gejami, wzbudziło to kontrowersje wśród liberałów.

Newsom, kopiując konfrontacyjny styl obecnego prezydenta, odchodzi od strategii Demokratów, która zakładała, iż sposobem na brudny populizm Trumpa mogą być przemówienia o demokracji i konsekwentne prostowanie jego kłamstw. Symbolem takiego podejścia stało się słynne zdanie, wypowiedziane w 2016 r. przez ówczesną pierwszą damę ↦

eprasa.pl 997335f986

↦ Michelle Obamę: „Jeśli oni schodzą nisko, my wznośmy się wysoko".

Wprawdzie Demokraci już dawno przestali trzymać się tej taktyki – stąd np. wyzywanie Trumpa od „faszystów" na końcówce kampanii w 2024 r. – ale wciąż sięgali po metody jednak bardziej subtelne, niż te prezentowane dziś przez Newsoma i jego sztab.

Z KRWI I KOŚCI | Dziś coraz więcej polityków Partii Demokratycznej kalkuluje, że ostry i bezpośredni język pomoże im przyciągnąć np. wyborców z klasy pracującej. Ci bowiem od lat postrzegają Demokratów jako odklejonych od problemów zwykłych Amerykanów. Pomogło to wygrać Trumpowi w 2016 i 2024 r.

Serwis Axios zwraca uwagę, że dziś w trakcie prawyborów, które wyłonią ostatecznych kandydatów w walce o Kongres w listopadzie 2026 r., politycy Partii Demokratycznej – i ci progresywni, i ci centrowi – chętnie przedstawiają się w spotach jako „wojownicy", którzy potrafią stawić czoło Trumpowi.

O tym, że Partia Demokratyczna potrzebuje dziś kandydatów z krwi i kości, przepełnionych samczą energią niczym trener drużyny sportowej, mówiła już w zeszłym roku senatorka Elissa Slotkin. „Jeśli jesteś trenerem, nie opierasz się na skomplikowanych szczegółach. Mówisz o swoich przeczuciach i emocjach. Myślę, że Demokraci stracili tę umiejętność" – oceniała Slotkin w rozmowie z dziennikiem „New York Times".

WALKA NA MAPY | Przed listopadowymi wyborami „połówkowymi", które zadecydują o rozkładzie sił w Kongresie w Waszyngtonie – Amerykanie wybiorą w nich całą Izbę Reprezentantów i jedną trzecią składu Senatu – Newsom kreuje się na takiego właśnie trenera, który dopinguje Demokratów do „bezwzględnej" walki.

Jej symbolem jest nie tylko retoryczna bitwa na to, czyje posty i spoty będą mocniej bić w Trumpa, ale także walka „na mapy" – czyli takie majstrowanie przy granicach okręgów wyborczych, by ułatwić sobie bój. Robią to zresztą obie strony.

Gdy więc w sierpniu 2025 r. Teksas przyjął nową mapę okręgów, dzięki której Republikanie mogą zyskać w listopadowych wyborach pięć dodatkowych mandatów w Izbie Reprezentantów, Newsom wyszedł z podobną inicjatywą w Kalifornii.

Zrobił to, choć kolejne wytyczanie granic okręgów powinno nastąpić po nowym spisie powszechnym, zaplanowanym na 2030 r. Uznał jednak, że cel uświęca środki, bo odbicie Republikanom kontroli nad Izbą Reprezentantów to priorytet. Aby zachęcić Kalifornijczyków do zatwierdzenia nowej mapy w referendum, gubernator pojawiał się w popularnych programach TV, organizował wiece i zabiegał o poparcie u prominentnych Demokratów.

NA DOBREJ DRODZE | Wynik referendum w Kalifornii był po jego myśli. Po tym sukcesie Newsom zagrzewał inne stany rządzone przez Demokratów – Maryland, Illinois, Nowy Jork i Wirginię – aby dołączyły do tej walki na noże.

Mieszkańcy Wirginii zdecydowali 21 kwietnia w referendum, że zgadzają się na nową mapę okręgów, która faworyzuje Demokratów. Było to głosowanie o dużą stawkę: dzięki zmianie granic okręgów w tym stanie, w listopadowych wyborach Demokraci mogą uzyskać w Izbie Reprezentantów cztery dodatkowe mandaty. W połączeniu z wcześniejszymi zmianami w Kalifornii, pozwala to odrobić straty wywołane majstrowaniem przy podobnych mapach w kilku stanach rządzonych przez Republikanów.

Gdy idzie o całą wyborczą układankę, Partia Demokratyczna jest na dobrej drodze, by odbić Republikanom większość w Izbie Reprezentantów. W przypadku Senatu uzyskanie większości to dla Demokratów zadanie trudniejsze. Aby tego dokonać, musieliby odbić Republikanom co najmniej cztery mandaty, z czego dwa w stanach, gdzie Trump w ostatnich wyborach prezydenckich miał dwucyfrową przewagę nad Kamalą Harris.

Demokraci patrzą dziś na tę rozgrywkę z nadzieją, licząc, że na ich korzyść zadziałają niskie notowania Trumpa, rosnące koszty życia i niepewność związana z wojną na Bliskim Wschodzie.

Wracając do maratonu Newsoma: „bitwa na mapy" to dla niego okazja, aby budować rozpoznawalność w całym kraju. To kluczowe dla polityka, który myśli o prezydenturze. Na referendalnej kampanii gubernator skorzystał zresztą podwójnie: zbierając na nią pieniądze, pozyskał kontakty do ponad 100 tys. nowych darczyńców. Taka solidna baza przyda mu się, jeśli ogłosi start w wyścigu o Biały Dom.

Czy zdjęcie Trumpa z urzędu to realny scenariusz?

RAZ GROZI ZNISZCZENIEM irańskiej cywilizacji, to znów publikuje grafikę, na której wygląda jak Jezus. W reakcji na wypowiedzi i działania prezydenta USA, które budzą coraz więcej pytań o stan jego umysłu, Demokraci przechodzą do ofensywy.

W Izbie Reprezentantów przedstawili projekt ustawy mającej umożliwić usunięcie Donalda Trumpa z urzędu. Zakłada on powołanie komisji złożonej z lekarzy, psychiatrów i byłych urzędników, którzy za aprobatą wiceprezydenta mogliby ogłosić niezdolność Trumpa do pełnienia obowiązków. Projekt oparty na czwartej sekcji 25. poprawki do konstytucji USA.

Czy ma on jednak szansę powodzenia? Nawet gdyby przyjęły go obie izby Kongresu, dziś kontrolowanego przez Republikanów, Trump mógłby ustawę zawetować. Trudno też oczekiwać, że wiceprezydent J.D. Vance współpracowałby z taką komisją, by usunąć swojego szefa.

Mimo to projekt ustawy ma ważny wymiar symboliczny. Do odwołania Trumpa nawołują już nie tylko Demokraci, ale też wpływowe postaci na prawicy, m.in. była kongresmenka Marjorie Taylor Greene czy Alex Jones (skądinąd siewca teorii spiskowych).

W tej rozgrywce karty rozdają dziś w Kongresie Republikanie. Dopóki stoją murem za Trumpem, dywagacje o 25. poprawce czy o kolejnej procedurze impeachmentu pozostają narzędziem, które służy Demokratom głównie do pozyskania elektoratu – tego, który jest rozczarowany Trumpem lub autentycznie boi się, do czego mógłby on być jeszcze zdolny. © MZ

eprasa.pl 997335f986



ROBERTO SCHMIDT / AFP / EAST NEWS

Donald Trump na lotnisku Palm Beach na Florydzie, 31 października 2025 r.

ANTY-GADŻETY | Gavin Newsom wyczuł swoje pięć minut w czerwcu 2025 r., gdy Trump bez jego zgody skierował do Los Angeles – największego miasta w stanie Kalifornia – żołnierzy Gwardii Narodowej. Mieli pomóc w zapanowaniu nad protestami mieszkańców, którzy sprzeciwiali się łapankom na nielegalnych imigrantów w wykonaniu agentów ICE.

Właśnie wtedy Newsom zaczął ostro krytykować działania ekipy Trumpa. Torpedował je w sądach i rozkręcił kampanię w social mediach. Drwiąc z prezydenta, wziął się nawet za sprzedaż gadżetów przypominających te popularne w ruchu MAGA.

I tak, w sklepie internetowym gubernatora można kupić np. biały podkoszulek z hasłem „Trump nie jest gorący" i czerwoną bejsbolówkę z napisem „Prawdziwy patriota". W ofercie są też czerwone nakolanniki z imitacją podpisu Trumpa. Idealne, jak twierdzi Newsom, dla tych, którzy „zaprzedali się" Białemu Domowi.

Tutaj znów zrobił wokół siebie szum. Gubernator, który chętnie bierze udział w globalnych wydarzeniach, poleciał w styczniu na Forum Ekonomiczne w Davos i tam wypalił, że powinien przywieźć owe nakolanniki dla wszystkich światowych przywódców, bo ich płaszczenie się przed Trumpem jest „żałosne". Wkrótce potem, w lutym, na monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, złagodził ton, skupiając się na atakach na Trumpa.

CICHA KAMPANIA | Gubernator Kalifornii ma dziś więcej czasu na budowanie wizerunku antyrepublikańskiego lidera, bo nie jest uwikłany w walkę o reelekcję (sprawuje drugą, ostatnią kadencję) i może kontynuować to, co zaczął już w 2023 r.

Często udzielał wtedy wywiadów w prawicowej stacji Fox News i wdawał się w polityczne przepychanki z gubernatorem Florydy Ronem DeSantisem, wówczas rywalem Trumpa w prezydenckich prawyborach Partii Republikańskiej. Newsom promował siebie także za granicą: odwiedził Izrael po ataku Hamasu w październiku 2023 r. oraz spotkał się z przywódcą Chin Xi Jinpingiem. Niektórzy interpretowali to jako cichą kampanię na wypadek, gdyby Joe Biden zrezygnował z walki o reelekcję.

Gdy latem 2024 r. wielu Demokratów naciskało na Bidena, by wycofał się z gry, to właśnie Newsom, wspierający wiernie jego kampanię o reelekcję, wymieniany był jako jeden z faworytów do podmianki. Wtedy jednak partia stwierdziła, że bezpieczniej będzie wystawić Kamalę Harris, zaangażowaną już u boku Bidena w kampanię.

Harris miała też przewagę w dwóch innych kwestiach: jako wiceprezydentka była znana wyborcom, a do tego jest czarnoskórą kobietą, co w partyjnej kalkulacji miało jej ułatwić mobilizację Afroamerykanów. Jak wiadomo, kalkulacje te nie wypaliły.

OSWAJANIE CENTRUM | Think tank Third Way przekonuje dziś, że sposobem na odbicie Białego Domu przez Demokratów w 2028 r. jest „bojowy centryzm": populistyczny i ostry przekaz, nieskręcający za mocno w lewo, by nie odstraszyć umiarkowanych wyborców.

Taką taktykę obiera właśnie Newsom – świadomy, że w kampanii ciążyć będzie mu wizerunek gubernatora bardzo liberalnej Kalifornii. Stąd, być może, jego stopniowe dystansowanie się od spraw osób transpłciowych – tematu obecnego w walce politycznej. W 2025 r. zawetował więc ustawę obligującą ubezpieczycieli do finansowania im terapii hormonalnej, a kilka miesięcy wcześniej rzucił, że dopuszczanie transpłciowych sportowców do udziału w kobiecych zawodach jest „skrajnie niesprawiedliwe".

Powiedział to w rozmowie z prawicowym aktywistą Charliem Kirkiem (pół roku później Kirk zginął, zastrzelony przez zamachowca). Newsom zaprosił Kirka do swojego podkastu, podobnie jak Steve'a Bannona i inne gwiazdy prawicy w USA. Twierdził, że chce lepiej zrozumieć motywacje ludzi z ruchu MAGA. Trudno nie odczytać tego jako próbę kreowania się na człowieka bliżej politycznego centrum.

BYLE NIE PRZESTRZELIĆ | Jaka strategia działa dziś najlepiej na elektorat, to pokażą wybory „połówkowe". Newsom zapowiada, że po nich zdecyduje, czy podejmie bój o Biały Dom. Jego potencjalni rywale – Kamala Harris, Pete Buttigieg i kilkoro innych – również stronią na razie od jednoznacznych deklaracji.

Namacalny jest już za to strach wśród Demokratów, by znów nie przestrzelić i nie wystawić nieodpowiedniego kandydata. Portal Politico pisze, że na niedawnej konwencji w Nowym Jorku, goszczącej potencjalnych kandydatów do nominacji, niektórzy powątpiewali, czy ktoś inny niż heteroseksualny biały mężczyzna ma szansę zdobyć Biały Dom.

Tutaj, być może, swojej szansy upatruje Gavin Newsom. Jeśli ogłosi udział w wyścigu, jego bogaci przyjaciele z Kalifornii – ci, których poznał kiedyś za sprawą ojca – zapewne wyłożą pieniądze na kampanię. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

eprasa.pl 997335f986

Wioska na sprzedaż

TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z BÁRCENY DE BUREBA (PROWINCJA BURGOS)

HISZPANIA | Przez 40 lat stała pusta. Dziś do wioski wracają ludzie: między ruinami i biurokracją próbują przywrócić życie miejscu, które oficjalnie nie istnieje. W kraju jest około trzech tysięcy takich opuszczonych miejscowości.



Carlos wybiera się po wodę. W plecaku ma kilka plastikowych butelek. Nie musiałby chodzić po nią do źródła, ale jego zdaniem jest znacznie lepsza od tej, którą ma w domu z kranu.

Droga do źródła zajmuje niby tylko 15 minut, ale Carlos ma swoje lata i zdrowie już nie to samo. Wokół nic, tylko pożółkłe trawy i pola, drzewa, odgłosy strumyka i śpiew ptaków.

Są też drzewa orzechowe, które przypominają o dawnej świetności wsi. Niegdyś jej mieszkańcy mieli sady, a w nich również jabłonie. Uprawiali jęczmień i pszenicę, hodowali zwierzęta, kozy i owce.

Porzucona, zrujnowana

Carlos Calvo jest wysokim, postawnym mężczyzną z siwą brodą i czupryną, z niskim zachrypniętym głosem. Niemal nie rozstaje się z papierosem.

O wsi Bárcena de Bureba – w prowincji Burgos, na północy kraju – wie niemal wszystko. Po raz pierwszy usłyszał o niej z opowieści mamy. Jej rodzina, pochodząca z Bilbao, uciekła w to miejsce na początku wojny domowej (1936-39). Mama Carlosa tu się urodziła i żyła przez kilka lat, potem wraz z rodziną przeniosła się do miasta.

Carlos kupił dom w Bárcenie de Bureba 47 lat temu. – Nie było młodych ludzi, najmłodsza osoba miała 70 lat. Nie było tu absolutnie niczego. Po wodę trzeba było chodzić do źródła. Z pozoru wydaje się proste, ale dla osoby starszej to wyzwanie – mówi Carlos.

Ostatni mieszkańcy wyprowadzili się stąd w latach 80. XX w. Bo nie mieli prądu ani kanalizacji. Ponoć ludzie nie dogadali się z władzami gminy i choć sąsiednie wsie stopniowo zyskiwały dostęp do infrastruktury, Bárcena pozostawała zacofana. Aż mieszkańcy stracili cierpliwość i przenieśli się do miasta. Podobnie zrobił wtedy Carlos.

Potem, co jakiś czas, dawni sąsiedzi umawiali się, by podjechać na chwilę i doglądnąć tego, co zostawili. A i to się skończyło. Ponad 50 domów rozgrabiono, popadły w ruinę. Tak samo kościółek, z którego uratowano tylko organy. Trafiły do sąsiedniego miasteczka.

Ile kosztuje wieś

W 2022 r. na jednym z portali z nieruchomościami pojawiła się nietypowa oferta: „Wieś na sprzedaż za 350 tys. euro".

W samorządzie prowincji Burgos przekonują mnie, że nie wiedzą, kto wystawił Bárcenę de Bureba na sprzedaż.

– Jak to nie wiedzą? To grupa przedsiębiorców, która chciała tu niegdyś zbudować luksusowe centrum spa. Nie dogadali się między sobą i postanowili sprzedać – przekonuje jednak Carlos Calvo.

Wcześniej proponowali Carlosowi, podobnie jak innym, wykup ich ruin. – Stawki za dom wahały się od 500 euro do 6 tys. euro. Większość rodzin zgodziła się na oferty, ale mnie nie pozwoliła na to duma – mówi Carlos.

W 2023 r. wieś oficjalnie trafiła do pary Holendrów: Maaike Geurts i Tibora Strausza. Postanowili oni zamienić wygodne życie w stolicy Holandii na opuszczoną wieś. Dziś mieszkają tu wraz z córkami, które do podstawówki chodzą do sąsiedniej miejscowości Briviesca.

Maaike ma 46 lat, dawniej pracowała przy analizie danych. Tibor, lat 48, jest programistą. Na ofertę sprzedaży wsi trafili przypadkiem.

– Wszystko zaczęło się od pomysłu stworzenia lasu żywnościowego. Chcieliśmy pokazać, że można wytwarzać żywność w sposób zrównoważony. Potem rozejrzeliśmy się po Hiszpanii i zobaczyliśmy, że jest tu bardzo dużo opuszczonych wsi, łącznie około 3 tysięcy. Trafiliśmy na stronę internetową, która o tym informuje – wspomina Tibor.

Życiowy eksperyment

Para chce posadzić w okolicy Bárceny ponad tysiąc drzew owocowych. Ale do tego będzie potrzebować pomocy wolontariuszy i sąsiadów. Uczą się wszystkiego sami, jak mówią: „metodą prób i błędów".

Maaike prowadzi mnie do miejsca, gdzie chcą zbudować szklarnię z owocami i warzywami. Ma siwiejące włosy, roboczy strój i czerwone oprawki okularów. Bije od niej energia, nie przestaje się uśmiechać. Choć większość dni upływa jej na ciężkiej przecież pracy – nie tylko w ogrodzie, ale też przy remoncie domu.

Obok swojego domu posadzili na razie wraz z Tiborem 120 drzewek, które nazywają się paulownia. To specjalny rodzaj drzew, które można ściąć po pięciu latach i wykorzystać ich drewno do budowy.

– Jak widzisz, to jedno drzewo jest znacznie wyższe od reszty. Carlos zaczął dosypywać mu fusy po kawie. Teraz już zawsze, gdy jesteśmy w sąsiednich miasteczkach, chodzimy po kawiarniach i prosimy o fusy – opowiada Maaike.

eprasa.pl 997335f986



Hiszpańska wieś Bárcena de Bureba, w 2023 r. została kupiona przez parę Holendrów: Maaike Geurts i Tibora Strausza.

Ich dom ma na razie tylko dwa pomieszczenia i prowizoryczną kuchnię. – Może nie jest pięknie i wciąż brakuje wielu rzeczy, ale jesteśmy szczęśliwi – mówi Maaike.

Briviesca, do której ich córki chodzą do szkoły, leży o pół godziny drogi stąd. Tam również trzeba robić zakupy czy iść do lekarza.

Osiedleńcy po latach

Carlos Calvo wrócił do Bárceny de Bureba dwa lata temu. Jego córka mieszka w Nowym Jorku i rzadko go odwiedza. Wcześniej, bez auta i bez pomocy innych, nie mógłby mieszkać na odludziu. Udało się dopiero po przybyciu Holendrów.

Nie jest sam. O ile wcześniej przez ponad 40 latach wieś stała pusta, o tyle dziś z każdym miesiącem przybywa jej mieszkańców. Oficjalnie jest tu zameldowanych już dziewięć osób, choć faktycznie mieszka kilkanaście. Oprócz Carlosa i rodziny Holendrów wprowadziła się para z córeczką, kolejna rodzina Holendrów z trójką małych dzieci i architekt z Madrytu.

Architekt, Ignacio Barba de la Torre, trafił w to miejsce przypadkiem. Szukał czegoś niedaleko od Madrytu, gdzie mógłby organizować szkolenia dla grup. – Szukałem wokół stolicy, byłem nawet w Portugalii, aż usłyszałem o sprzedaży tej wsi. Niestety spóźniłem się, kupili ją już Maaike i Tibor. Dzwoniłem do nich, ale nie odbierali, więc w końcu przyjechałem – mówi.

Teraz Ignacio ocenia stan budynków i pomaga przy budowie. Wyjaśnia, że pierwsze rejestry z tej wsi pochodzą z wieku X, a większość obecnych budynków powstało prawie 200 lat temu. – Dla inżyniera te budynki to prawdziwa perełka. Trzeba tylko zagwarantować bezpieczeństwo – mówi Ignacio.

Nowa wizja, stare ruiny

Architekt pokazuje mi jeden z domów. – Budynek w czerwonym odcieniu, kamień porowaty, wytrzymały, ale łatwy do obróbki. Dziś praktycznie nieużywany już w budownictwie – wyjaśnia.

Musimy schylić się, by wejść do kolejnego budynku. Po dawnych właścicielach pozostały tylko sztuczne kwiaty, najwyraźniej nierozkradzione. Parter służył hodowli zwierząt, gdzieniegdzie wciąż porozrzucane jest siano. Na piętrach żyli mieszkańcy.

Ruiny sąsiadują tu z nowym życiem. Ignacio pokazuje miejsce, gdzie niedawno zawalił się jeden z domów. Niedaleko są już skrzynki pocztowe nowych mieszkańców.

We wsi widać też panele słoneczne, jeden z nielicznych przejawów nowoczesności. Prócz prądu, jest dostęp do wody. Wciąż nie ma jednak kanalizacji i odbioru śmieci, choć mieszkańcy płacą za ich wywóz.

Kanalizacji nie ma, bo Bárcena de Bureba należy do niewielkiej gminy Abajas, której budżet nie pozwala na budowę infrastruktury w tak odległej wsi.

Utrzymanie wioski nie jest drogie, jak przekonują Maaike i Tibor. – Tutaj każdy sam utrzymuje swój dom czy przyczepę kempingową. Oczywiście musieliśmy zapłacić za całą infrastrukturę, do prądu i wody. Koszt paneli, pomp i rur powinien być mniej więcej taki sam dla domu jednorodzinnego, jak przy instalacji dla całej wioski. To sieć – wyjaśnia Tibor.

Biurokratyczny mur

Jest jednak coś, co martwi parę Holendrów. – Do tej pory nie zbudowano we wsi żadnego domu. Są nowi mieszkańcy, ale większość z nich żyje w przyczepach kempingowych czy w mongolskiej jurcie. Urodziło się już u nas nawet dwoje dzieci. To pierwszy raz od 60 lat, gdy we wsi pojawiły się noworodki. Ale domu zbudować nie można – mówi Tibor.

Jak informuje mnie Susana Díez Martínez, radna prowincji Burgos z Partii Ludowej (PP), po czterech dekadach, gdy w tej wsi nie było mieszkańców, zgodnie z normami planowania przestrzennego grunty Bárceny de Bureba przekształcono ze zurbanizowanych na rolne. To sprawia, że uzyskanie zgody na budowę jest skomplikowane. Holendrom nikt o tym wcześniej nie powiedział.

– Oferty sprzedaży wsi w Hiszpanii nie pojawiają się często. Ale gdy widzimy taką, to zalecam, aby udać się do samorządu, do którego należy wieś, i zapytać, jaki jest charakter ziemi, którą ktoś chce kupić. To pozwoli uniknąć wielu problemów. Według przepisów Bárcena de Bureba dziś nie istnieje. Ale staramy się pomóc – zapewnia Díez Martínez.

– Jest wiele zasad, których jako obcokrajowcy nie rozumiemy. Chodzimy ↦

eprasa.pl 997335f986

↦ do ludzi i z nimi rozmawiamy, ale pojawia się mur. Trzeba znaleźć sposób, by go obejść – mówi Tibor.

Maaike dodaje, że wierzy, iż problem związany z charakterem gruntów uda się szybko rozwiązać, skoro kwestia wyludnionych wiosek to jeden z tutejszych priorytetów.

Jak przywrócić życie

Maaike ma rację: Bárcena de Bureba leży w prowincji Burgos, w regionie Kastylia i León. Prowincja ta ma najwięcej gmin w całym kraju, bo aż 371, a odległości między poszczególnymi miejscowościami są duże. Jest tutaj ponad tysiąc wsi: takie, w których mieszka zaledwie kilka osób, i również takie, które liczą nawet 5 tys. mieszkańców.

– Nic dziwnego, że ludzie wolą mieszkać tam, gdzie jest więcej usług, lepszy dostęp do szkoły czy lekarza. Staramy się wspierać gminy zagrożone wyludnieniem. Dofinansowujemy małe firmy, np. mieszkańców prowadzących bary. Podobnie z aptekami. Odnawiamy też drogi, organizujemy festiwale kulturalne w małych wsiach, remontujemy domy – wylicza radna Díez Martínez, która jest też przewodniczącą komisji ds. wyzwań demograficznych.



Problem w tym, że wielu mieszkańców, którzy mają domy w opuszczonych wsiach, nie chce ich wynająć ani sprzedać. Stoją więc puste i popadają w ruinę. Tymczasem w regionie brakuje domów w dobrym stanie.

Prowincja Burgos współpracuje wręcz ze specjalnymi firmami, które zajmują się ponownym zaludnianiem wsi i miasteczek.

Wśród nich jest platforma Vente a Vivir en un Pueblo (Przyjedź zamieszkać na

TYGODNIK Trzeciego Wieku
KONFERENCJA DLA AKTYWNYCH SENIORÓW
8 MAJA 2026 | NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY
(KRAKÓW, AL. JANA PAWŁA II 232) | START: GODZ. 9.30
REJESTRACJA I SZCZEGÓŁY: EVENEA.PL

KONFERENCJA TYGODNIK TRZECIEGO WIEKU to wydarzenie tworzone z myślą o osobach dojrzałych – aktywnych, ciekawych świata, chcących rozwijać się na własnych warunkach.



Fake newsy, deepfake'i, oszustwa w sieci – czy wiesz, jak się przed nimi bronić?
Dołącz do konferencji Tygodnik Trzeciego Wieku i odkryj świat mediów od kuchni razem z dziennikarzami „Tygodnika Powszechnego"! Spotkanie poprowadzą doświadczeni redaktorzy i eksperci.
A na zakończenie – wyjątkowy koncert Jacka Wójcickiego, ikony krakowskiej Piwnicy pod Baranami.

Blisko 600 uczestników. Rzetelna wiedza. Żywa rozmowa. I coś więcej niż notatki.

ORGANIZATOR: TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 997335f986



Maaike Geurts i Tibor Strausz skupiają się teraz na remoncie hostelu (po lewej). Nie mogą stawiać nowego budynku, więc z ruin wybrali taki, który miał częściowo dach.

wsi). Na stronie internetowej zbiera się i grupuje informacje o wsiach i miasteczkach, których władze „szykują mieszkańców". Są tam 72 miejscowości z regionu Kastylia i León. Można tu znaleźć dane o infrastrukturze w konkretnej miejscowości, szkołach, o jakości internetu.

Platforma pomaga osiedlić się w opuszczonych wsiach i miasteczkach nie tylko Hiszpanom, ale także chętnym z zagranicy. Współorganizuje nawet kursy online, które mają pomóc w osiedleniu się.

Nie tęsknię za Amsterdamem

Tibor, wysoki i szczupły, niemal nie rozstaje się z kapeluszem. Razem z Maaike skupiają się teraz na remoncie hostelu. Nie mogą stawiać nowego budynku, więc z ruin wybrali taki, który miał częściowo dach. Wtedy zgodnie z lokalnymi normami nie jest wymagany nowy projekt, a prace remontowe można zacząć bez zwłoki.

W przyszłym hostelu są już okna. – Przyjeżdżają znajomi, więc prysznic to podstawa – planuje Tibor.

W pracach remontowych starają się wykorzystywać dostępne materiały: kamienie z zawalonych budynków, glinę i słomę. – Nie mamy właściwie żadnego planu dnia. Codziennie po prostu decydujemy, co jest najważniejsze. Chcemy pokazać, że można żyć inaczej, ekologicznie, w sposób zrównoważony. Chcemy być przykładem dla innych – mówi Maaike.

– Może za kilka lat będziemy mieć lekarza albo małą szkołę – śmieje się.

Tibor wyznaje, że nie tęskni za Amsterdamem. Może jedynie za lekcjami jogi.

– W tłumie nie zawsze potrafimy nawiązać relacje – zastanawia się. – A w Bárcenie de Bureba żyjemy wśród naszych sąsiadów. Tu zawsze będzie coś do zrobienia. Będziemy odbudowywać domy, dbać o las, sadzić nowe drzewa. Może kupimy kolejną ziemię, przyjedzie więcej ludzi. Nie sądzę, żebyśmy się kiedykolwiek nudzili.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

zlot POWSZECHNY

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie

Piątek, 29 maja 2026

Zapraszamy na pierwszy ogólnopolski zjazd czytelniczek, czytelników i sympatyków „Tygodnika Powszechnego" – wydarzenie stworzone z myślą o tych, którzy nie chcą tylko czytać rozmów, ale chcą w nich uczestniczyć.

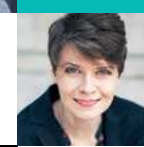
Chcemy spotkać się **poza łamami gazety** – w rozmowie, sporze i wspólnym myśleniu.

Bez pośpiechu. Bez uproszczeń. Z uważnością.

Na zakończenie – specjalnie przygotowany dla czytelników „Tygodnika Powszechnego" **koncert Grzegorza Turnaua**.



Grzegorz Turnau



Anita Piotrowska





Ks. Adam Boniecki



Jacek Stawiski



Eliza Kącka



Katarzyna Kubisiowska



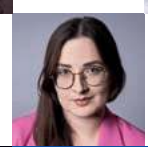
Piotr Mucharski



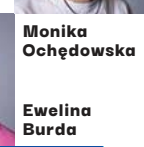
Tomasz Stawiszyński



Więcej informacji i bilety:
https://evenea.pl/pl/wydarzenie/ZlotPowszechny

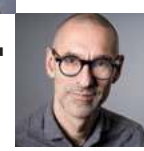


Prof. Bogdan de Barbaro

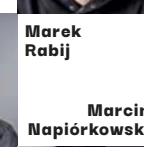


Monika Ochędowska

Ewelina Burda



Michał Okoński



Marek Rabij

Marcin Napiórkowski

To nie będzie seria wykładów. Będzie to **żywa, otwarta dyskusja** – z przestrzenią na pytania, komentarze i głosy uczestników.



TP. NA ŻYWO

ZAMÓW BILET!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 997335f986

Cena najwyższa

JACEK TARAN

UKRAINA | Reporterka Tetiana Kolesnyczenko i fotograf Maciej Stanik pokazują, jak wygląda życie ludzi, którzy doświadczyli wojny i chcą żyć dalej.



Mieszkanie zniszczone na skutek ataku rakietowego. Kijów, sierpień 2025 r.



MACIEJ STANIK x2

Pożegnanie poległych żołnierzy. Łuck, grudzień 2023 r.

Na ten pogrzeb w Winnicy trafiliśmy przypadkiem. Ustawieni szpalerem przed Cerkwią Przemienienia Pańskiego, żałobnicy oczekiwali na przyjazd trumny. Po nabożeństwie auto z napisem „Na tarczy" (zastąpił posowiecki symbol „Gruz 200"), transportujące poległego, ruszyło przez miasto. Wyły syreny, ludzie klękali na chodniku, tramwaje stawały. Na chwilę życie zamarło. Winnica żegnała swojego bohatera.

Dzień wcześniej zaprzyjaźniona gospodyni z wioski pod Żytomierzem opowiadała nam o innym pogrzebie, na który przyszła cała wieś. Bo Olega wszyscy znali, lubili. Dobrze się uczył, zawsze chętny do pracy i pomocy.

Od czterech lat takie momenty wpisały się w krajobraz wszystkich miast, miasteczek, wiosek Ukrainy. Zachodnia i centralna część kraju są, owszem, spokojniejsze, drony przylatują tu rzadziej niż do Charkowa. Ale cenę tej wojny widać także tam.

Z ROZMÓW | W Winnicy rozgrywa się jedna z historii opisanych w książce Tetiany Kolesnyczenko i Macieja Stanika „Robaków rozgryzać nie wolno". Nastoletniego Romczyka świat poznał, gdy wystąpił w Parlamencie Europejskim. Drobny, z poparzoną twarzą i kępkami odrastających włosów. Wojna dopadła go w poczekalni szpitala w Winnicy. Czekał tam wraz z mamą, gdy na budynek spadły rakiety. Zginęli wszyscy prócz niego.

Takich historii jest w „Robakach" więcej. Już pierwsze strony pokazują, że nie jest to łatwa lektura. Poznajemy Jarosława: ojca, który w ataku na Lwów stracił żonę i trzy córki. Ten obraz wyznacza ton: autorzy prowadzą czytelnika przez świat ludzi, którzy mimo tego, co ich spotkało, próbują żyć.

Kolesnyczenko jest reporterką, Stanik fotografem. Ich wspólna książka powstała z rozmów. Wydana przez Centrum Mieroszewskiego, ukazała się cztery lata po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny. Ten dystans jest ważny: pozwala zobaczyć, co dzieje się dalej, gdy relacje z frontu znikają z nagłówków. Np. kobieta próbuje układać sobie życie po śmierci bliskich. Żołnierz wraca z frontu i nie potrafi się odnaleźć. Ktoś inny opowiada o niewoli; jej doświadczenie trudno przełożyć na język cywilnego świata.

Wojna zostaje w ich głowach, w pamięci. Czasem każe biec w panice, choć zagrożenie dawno minęło. Każdy z nich niesie w sobie doświadczenie, które trudno objąć.

OBECNOŚĆ | Kolesnyczenko nie próbuje układać z tych historii jednej wielkiej narracji o konflikcie. Pozostaje przy konkretnych ludziach. Ich historie nie układają się w linearną opowieść. Przypominają impresje: urywki rozmów, krótkie sceny, powroty do miejsc, w których coś się wydarzyło. Z takich fragmentów powstaje jednak spójny obraz całości, o której wolimy nie myśleć, choć jest tak blisko.

Fotografie Stanika nie są jedynie ilustracją tekstu. Tworzą równorzędną, autonomiczną warstwę narracji. Nie przypominają zdjęć reporterskich, do jakich przyzwyczajają nas agencje i media. Zamiast efektu informacyjnego otrzymujemy zaproszenie do uważności i skupienia. Czarno-białe kadry mają charakter kontemplacyjny, są zapisem cierpienia i kruchości.

Trudno czytać tę książkę bez poczucia, że jej ważną funkcją jest podtrzymywanie pamięci. Ta wojna nie może stać się tłem, które przestaje poruszać. Nie możemy się do niej przyzwyczaić ani zobojętnieć. ©℗



Tetiana Kolesnyczenko i Maciej Stanik **ROBAKÓW ROZGRYZAĆ NIE WOLNO** *wyd. Centrum Mieroszewskiego, Warszawa 2026.*

eprasa.pl 997335f986

OLGA

Drenda: *Norki wolności*



Kiedy ostatnio wysłaliście albo otrzymaliście pocztówkę? (Ja niedawno – dziękuję, Mario). Bo są ludzie, którzy bardzo by chcieli. Założona przez pewnego Portugalczyka strona Postcrossing.com ma łączyć ludzi z różnych miejsc na Ziemi właśnie poprzez wysyłanie sobie nawzajem pocztówek. To proste jak drut: za każdą wysłaną kartkę otrzymuje się inną od losowego użytkownika.

Takie inicjatywy zawsze są wzruszające w swojej bezinteresowności, trochę jak ta zabawa w pozostawianie w różnych miejscach pomalowanych kamyków. Ale moją uwagę przyciągnęło coś innego. W statystykach najszybciej przybywających użytkowników według kraju, na zdecydowanym prowadzeniu znalazła się Rosja.

No oczywiście – czemu się dziwić, przecież tam władza idzie już na całego w budowaniu wymarzonego świata na opak i zamiast internetu wprowadza rządonet, który ma produkować jeszcze bardziej doskonale biernych konformistów. Pewnie widzieliście tę propagandową piosenkę: karne pionierzęta z Wołgogradu podskakują wesoło, śpiewając, że „nie potrzebują waszego głupiego internetu" i że teraz, bez trujących miazmatów z Zachodu, dopiero będą krzepkie jak rzepki. Wszystko można oczywiście próbować sprzedać jako tzw. kwaśne winogrona, można także wywijać liczne akrobacje wokół słowa „suwerenność" i także na treści tępe i uwłaczające godności zawsze, niestety, znajdzie się jakiś chętny. Nie ma się więc co dziwić, że ktoś woli przyjemną ekscytację oczekiwania na kilka neutralnych słów z pocztówki od nieznajomego.



OLGA DRENDA

Niestety to nie od tajemniczych wielbicieli, kupiłam hurtem

Oczywiście, ostatnie lata życia w rzeczywistości wielopiętrowych fikcji, kłamstw i podstępów naturalnie wzmagają podejrzliwość i bywa, że najchłodniejsze głowy zaczynają doszukiwać się wszędzie czegoś szemranego. „Oho, znowu ten stary numer ze złym carem niedźwiedziem i poczciwymi zwykłymi misiami", przemknęło mi przez myśl, bo też sztuczka ta cieszy się nieustającą popularnością. A może to te zamroczone dzieci z Wołgogradu wysyłają w świat pocztówki w ramach praktykowania życia bez prądu?

Ale też rzeczywistość życia na podsłuchu, chyba w każdym miejscu na świecie, w którym się to dzieje, niejako odruchowo uczy ludzi życia równoległego. Środowiskiem swobodnego bytowania stają się krecie korytarze, drugą naturą – udawanie. Na głowie wtem wyrasta druga twarz – jedna na okazje prywatne, druga na oficjalne. Każdy staje się biegły w nowym języku obcym – języku władzy. Jest to też męcząca gra, w której udział biorą w jakimś stopniu wszyscy, w tym strażnicy szczelności systemu. Być może w Polsce wyszliśmy już z wprawy (jaka to radość nie musieć), ale były to przecież i nasze zwyczaje, i kto wie, czy nie trzeba będzie znów kiedyś poczytać sobie „Życia na niby" Kazimierza Wyki.

Spróbujmy zatem w dobrej wierze przyjąć, że to nie wesoło indoktrynowane dzieci wysyłają te kartki, a że raczej mamy do czynienia z czymś podobnym do „sztuki poczty". To powojenny fenomen niskobudżetowej, kieszonkowej i osobistej sztuki, w której równie ważne, co kompozycja i pomysł, są droga, jaką przebywa wiadomość, i łączność między nadawcą i odbiorcą. W Polsce lat 70. praktykowali *mail art* artyści awangardowi i konceptualni, jak Zygmunt Rytka czy Ewa Partum, a potem punkowcy ze sceny zinowej i niezrzeszeni załoganci, jak wspaniały niepokorny wiolonczelista Bolesław Błaszczyk. W czasach ograniczonej swobody podróżowania i pracy umożliwiało to udział w globalnej łączności ze światem sztuki, „sieci artystów bez wiz i paszportów". Niekoniecznie oznaczało to (i tak może być też tutaj) zaangażowanie w jakąś opozycję, raczej wykopywanie małych, prywatnych norek wolności.

Przede wszystkim jednak pocztówka lot ma swobodny. Pozostawia nikły ślad. Pocztówkę może odczytać osoba postronna w sortowni (choć nie musi zrozumieć jej zawartości, gdy będziemy odpowiednio tajemniczy), może ją nawet wyrzucić – ale fizyczne przeglądanie jest, na szczęście dla korespondujących, zniechęcająco nieefektywne. Pocztówka nie donosi też na bieżąco, gdzie jest nadawca. Może dotrzeć na adres, pod którym ktoś bywa z rzadka, i można ją wysłać z dalekiej gminy. To jeden z przykładów, gdy prostsza, pozornie prymitywniejsza technika zwycięża – tak jak przenoszenie danych na pendrive'ach podczas blokady internetu, maszyna do pisania, albo kartka i ołówek. Nie jest to najchlubniejszy przykład do naśladowania, ale podobno Osamę bin Ladena tak trudno było odnaleźć, ponieważ wydawał wszystkie dyspozycje na ręcznie pisanych notatkach. A najlepiej jeszcze do tego pisać niewyraźnie. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 997335f986

SPORT

SZACHY BEZ KRÓLA

Cały świat szachów błaga Carlsena, bodaj najbardziej inspirującego współczesnego sportowca: królu Magnusie, wracaj!

RAFAŁ STEC

Właściwie wcale nie odszedł. Frapujący paradoks polega na tym, że norweski czempion abdykował, a zarazem utrzymał władzę, ba, pod wieloma względami nawet ją rozszerza.

MŁODSI, NIEZDOLNIEJSI | W lipcu 2022 r. wstrząsnął szachownicami, ogłaszając, że rezygnuje z obrony utrzymywanego od dekady mistrzostwa świata, ale całkiem z rywalizacji się nie wycofał. Nie przygniotła go depresja, jak wielu innych sławnych sportowców, ani nie poczuł wypalenia przebywaniem pod ciągłą presją czy znużenia dyscypliną uprawianą od głębokiego dzieciństwa, jak tenisistka Asleigh Barty, która odłożyła rakietę na zawsze, gdy liderowała rankingowi WTA, wkrótce po triumfie w wielkoszlemowym Australian Open.

Przeciwnie, Magnus Carlsen nadal zatraca się w wygrywaniu turniejów, często wręcz znęca się nad konkurencją. Wzgardził tylko pogonią za najcenniejszym trofeum – wymagającą nadzwyczajnego poświęcenia, do szczegółów jeszcze wrócimy.

Pozwolił zatem przejąć berło Ding Lirenowi, a następnie nie wtrącał się, kiedy w 2024 r. Chińczyka detronizował zaledwie 17-letni wtedy Hindus Gukesh D, stając się najmłodszym mistrzem w historii królewskiej gry.

Nie podziwialiśmy wreszcie Norwega w zakończonym niedawno turnieju pretendentów, który wyłonił kolejnego sensacyjnego kandydata do przejęcia władzy. Obrońcy tytułu wyzwanie rzuci 20-letni Uzbek Javohir Sindarov, więc znów padnie rekord. Po raz pierwszy w batalii o mistrzostwo po obu stronach szachownicy zasiądą zawodnicy, którzy dopiero co wśliznęli się w dorosłość.

Obaj są zjawiskowo utalentowani, nie ma tutaj sporu. Obaj wprawią jednak figury w ruch ze świadomością, że entuzjaści szachów tęsknią raczej za ich zderzeniem z Carlsenem i pytają, czy młodzieńcy byliby w stanie sprostać prawdziwemu hegemonowi. Ba, większość zapewne natychmiast znajduje odpowiedź: nie, to mało realne.

MOZART SIĘ ZMĘCZYŁ | Obwołany „Mozartem szachów" 35-letni arcymistrz uchodzi za gracza wszech czasów, z którym może konkurować jedynie Garri Kasparow. I wykonał ruch tak niebanalny, jak niebanalnie przebiega całe jego sportowe życie. W szczycie sił witalnych oddał tytuł, by wciąż rozgrywać partie klasyczne – czytaj: wielogodzinne – na pomniejszych zawodach, nokautować rywali w znacznie krótszych partiach szybkich i błyskawicznych, triumfować w zaprojektowanym przez siebie Grand Prix (cykl imprez przypominających całoroczny ciąg wyścigów w Formule 1), zachwycać w rozmaitych imprezach komercyjnych. Roznosi go energia i pazerność na masowe wygrywanie. Pozostaje bezdyskusyjnym liderem globalnych rankingów w każdej odmianie szachów. Panuje niezmiennie od 15 lat.

Statusu mistrza nad mistrzami zrzekł się dlatego, że nie znosi formuły rozgrywania meczu o tytuł. Rozciągniętego na trzy tygodnie i złożonego z nawet 14 partii (plus ewentualnie dogrywkowych) – rozgrywanych z tym samym przeciwnikiem, w ekstremalnych przypadkach trwających ponad siedem godzin. To doświadczenie wyniszczające fizycznie i psychicznie, ponieważ współcześni arcymistrzowie, polegający na skumulowanej wiedzy uzbieranej przez poprzednie pokolenia, praktycznie nie popełniają błędów, lecz co najwyżej drobne „niedokładności". Dotykają perfekcji, więc mecz o światowy prymat poprzedzają żmudne, wielomiesięczne przygotowywania teoretyczne, podczas których próbują wyłuskać jakiekolwiek nowinki, by zaskoczyć przeciwnika.

Spędzają ten czas z komputerem oraz sekundantem lub wąziutkim gronem współpracowników, często zatajając miejsce pobytu. Kiedy Carlsen opowiada o udręce obozów treningowych – chował się m.in. na prowincjach norweskiej i hiszpańskiej, w Omanie i Katarze – koneserom literatury może stanąć przed oczami bohater misternej „Noweli szachowej" Stefana Zweiga, który zamknięty w odosobnieniu przenosi całą jaźń na szachownicę, zaczyna kompulsywnie grać z samym sobą, stopniowo traci kontakt z rzeczywistością, popada w obłęd.

SZACHOWE MARATONY | Motyw szaleństwa, do którego doprowadza namiętne przesuwanie hetmanów i skoczków, znamy zresztą zarówno z dzieł innych artystów, jak i z życia.

Zmysły postradał Aleksander Iwanowicz Łużyn, zrodzony z wyobraźni Vladimira Nabokova – wszędzie widział figury, wykrywał wzorce szachowych posunięć w ludzkich zachowaniach, halucynował

Magnus Carlsen na mistrzostwach FIDE w szachach szybkich i błyskawicznych. Katar, Doha, 28 grudnia 2025 r.

eprasa.pl 997335f986



YOUSEF MASOUD / ZUMA PRESS / FORUM

eprasa.pl 997335f986

↦ o życiu jako partii szachów, aż wyskoczył przez okno.

Załamanie psychiczne przeżył całkiem realny, XIX-wieczny arcymistrz Paul Morphy, paranoidalne stany prześladowały fenomenalnego w następnym stuleciu Bobby'ego Fischera. I choć nie dysponujemy dokumentacją medyczną ani innymi twardymi dowodami na związek szachów z zaburzeniami obu Amerykanów, to na poszlaki wskazują poważne źródła: królewska gra uchodzi za tak pochłaniającą umysł i wymagającą tak olbrzymiego mentalnego wysiłku, że bywa niebezpieczna.

Carlsen nigdy nie sprawiał jednak wrażenia zagrożonego utratą równowagi, a jego przytłaczającą przewagę nad rywalami tłumaczy się m.in. nieludzką odpornością psychiczną. Kiedy w ostatnim pojedynku o mistrzostwo świata po serii remisów wygrał partię monumentalną, najdłuższą w dziejach rywalizacji o tytuł – blisko osiem godzin, 136 ruchów – rosyjski pretendent Jan Niepomniaszczi rozpadł się na kawałeczki: od tamtej pory wybierał, cytując komentujących starcie arcymistrzów, posunięcia „szokująco głupie". Zwycięski Norweg zwierzał się jednak potem, że szachowe maratony nie sprawiają mu żadnej przyjemności, nie inspirują, po kolejnym sukcesie nie czuje się usatysfakcjonowany, lecz wypatroszony z psychicznych zasobów.

Już wcześniej ostrzegał, że rozważa ucieczkę, i nawoływał do zreformowania meczu o tytuł, ale międzynarodowe władze (FIDE) ignorowały apele. Ostateczną decyzję podjął, gdy okazało się, że turniej eliminacyjny jako rywala znów wyłonił mu Niepomniaszczego. „Nie mam motywacji, nie mam wiele do zyskania, nie lubię tego szczególnie. Proces przygotowań jest zbyt intensywny, wycieńczający" – tłumaczył Carlsen. Po triumfach w latach 2013, 2014, 2016, 2018 i 2021 brzmiał, jakby przerażała go perspektywa dnia, w którym znienawidzi szachy.

CIEŃ NIEOBECNEGO | Posmutnieli kibice, miny zrzedły szefom wspomnianej FIDE. Jeśli bowiem walkę w mistrzostwach świata porzuca król Magnus, to w tarapaty wpada nie on, w tarapaty wpadają mistrzostwa. Dramatycznie tracą na prestiżu, niższa wartość sportowa zniechęca do hojności sponsorów, szachownicę przykrywa cień nieobecnego, który wszak nadal rządzi wszędzie, gdzie się zjawia.

Carlsen jest aktualnym mistrzem świata w szachach szybkich, szachach błyskawicznych, szachach losowych. Dzierży potrójny prymat przemnożony przez pozycję lidera globalnej klasyfikacji również w szachach klasycznych – przypomnijmy, że rozgrywania długich partii nie zaniechał, wypisał się tylko z jednej rywalizacji. Nasz wspólny pech polega na tym, że akurat z najbardziej szacownej.

Wyobraźmy sobie, że Leo Messi w kwiecie wieku, tuż po odebraniu kolejnej Złotej Piłki, obraża się na mundial. Wyższość nad wszystkimi innymi futbolistami na planecie postanawia udowadniać wyłącznie w innych rozgrywkach. Tak postąpił Carlsen.

Środowisko oczywiście namawia go do zmiany decyzji, zakulisowo negocjować próbują działacze FIDE. Bez skutku, prawdopodobieństwo powrotu czempiona raczej niknie – zwłaszcza że teraz musiałby przedzierać się przez turniej pretendentów, również morderczy i budzący jego sprzeciw. Tymczasem Norwega znużyło przede wszystkim rywalizowanie z przedstawicielami swojego pokolenia i starszymi. Jeszcze przed rejteradą sygnalizował, że do ponownego polubienia meczu o mistrzostwo mogłoby go skłonić nazwisko tylko jednego rywala – Alirezy Firużdży, wyjątkowego irańskiego nastolatka, który już w barwach Francji (przyjął jej obywatelstwo, ponieważ rodzimy reżim zabraniał mu grać z Izraelczykami) pobił kilka młodzieńczych wyczynów Carlsena. Niestety, pożądany przeciwnik przepadł wówczas w eliminacjach.

PO WŁADZĘ TOTALNĄ | Kolejni młodzi arcyzdolni już wirtuoza nie motywują. Gukesh D po zdobyciu tytułu rozczarowuje, w globalnym rankingu osunął się na 15. miejsce, natomiast jego przyszły rywal Sindarov plasuje się ledwie cztery pozycje wyżej. I choć w turnieju pretendentów wypadł rewelacyjnie, nie ponosząc ani jednej porażki, to zapewne każdemu obserwatorowi musiały zahuczeć w głowie słowa Kasparowa, który zawyrokował, że nie uzna żadnego mistrza dopóty, dopóki domniemany mistrz własnoręcznie nie obali Norwega.

Ten ostatni, choć zdaje sobie sprawę z nieuchronności nadciągającego schyłku – „będzie następował powoli, nie przewiduję nagłego upadku" – rzucił kilkakrotnie, że nadal uważa się za lepszego od „dzieciaków" i ze względu na wszechstronność zasługuje na reputację najznakomitszego gracza na świecie.

Kogoś innego zignorowalibyśmy jako pyszałka, ale Carlsena znamy z brutalnej szczerości, zdolności do racjonalnego sądu także we własnej sprawie. Brzmi wiarygodnie zarówno wtedy, gdy recenzuje własną grę jako perfekcyjną, jak i wtedy, gdy wyznaje: „Wiem, że jestem bystry, ale nie czuję się geniuszem". On nie kokietuje.

Przywołany cytat pochodzi z filmu „Untold: Chess Mates", wypuszczonego w kwietniu przez Netflix dokumentu, który opowiada o losach Hansa Niemanna, utalentowanego amerykańskiego gracza oskarżonego o oszukiwanie. Zarzut popełnienia najcięższej w szachach zbrodni sformułował właśnie Carlsen – po porażce z podejrzanym najpierw zasugerował, że stało się coś dziwnego, wkrótce już wprost oświadczył, że momentami „nie grał z człowiekiem" (czyli zderzył się z obliczeniową mocą komputerów), kolejną partię z premedytacją poddał po pierwszym posunięciu, po czym świat obejrzał gorszące show zakończone złożeniem sądowego pozwu przez Niemanna i późniejszą ugodą.

To odrębna historia, której szczegółów nie będziemy omawiać, ale z ekranu płyną również słowa zasadnicze dla portretowania Norwega jako postaci dalece znaczniejszej niż najwybitniejszy szachista świata.

„On ma w naszej dyscyplinie władzę totalną, jestem bez szans" – oznajmia Niemann. I wygłasza opinię prawdziwą, może wręcz podaną zbyt delikatnie.

ARCYMISTRZ W DŻINSACH | Wprawdzie Amerykanin przyznał, że za młodu bywał szulerem, wspomagając się technologią w grze przez internet, ale w zeznaniach wygłaszanych przed kamerami platformy streamingowej uderza w adwersarza poniekąd celnie.

Otóż po wybuchu skandalu jego wstydliwą przeszłość ujawnili śledczy analitycy z serwisu Chess.com, wykrywając nieprawidłowości – czytaj: posunięcia ocenione jako podyktowane przez mózgi elektronowe – w aż 102 partiach. A tak się składa, że ta platforma, najpopularniejszy szachowy zakątek w internecie, finalizo-

eprasa.pl 997335f986

wała akurat przejęcie Magnus Play, aplikacji należącej do Carlsena.

W wymierzonej w Niemanna kampanii oskarżyciela wspierali zatem powiązani z nim biznesowo właściciele niezwykle wpływowej firmy, która łączy funkcję medium społecznościowego i portalu informacyjnego, posiada ponad 200 milionów zarejestrowanych użytkowników, organizuje komercyjne turnieje. Współtworzy architekturę światowych mistrzostw szachowych, potężnieje.

Podobnie ewoluuje Carlsen, przeobrażając się w jednoosobowe imperium. Rośnie jako przedsiębiorca, celebryta i natchniony innowator dążący do zrewolucjonizowania ukochanej dyscypliny, a jeśli decydenci z nim zadrą, często po prostu wychodzi, trzaskając drzwiami.

Kiedy zwątpił w uczciwość Niemanna, nazajutrz wycofał się z turnieju Sinquefield Cup, nie podając żadnego powodu. Nie ukończył mistrzostw świata w szachach szybkich, gdy został ukarany grzywną za złamanie dress code'u, ale bonzowie z FIDE szybko mu ulegli, uznając, że dżinsy wcale nie urażają ich uczuć organizatorskich. W finale mistrzostw w grze błyskawicznej wymusił zgodę – po kilku remisach w partiach dogrywkowych – na przyznanie dwóch złotych medali, sobie i Niepomniaszcziemu, choć regulamin takiego rozwiązania nie uwzględniał.

PIĘKNY UMYSŁ | Zakpił też nałogowy, największy wśród arcymistrzów nonkonformista z norweskiego prawa, zabraniającego reklamowania hazardu, a w trakcie pandemii, której szachy zawdzięczają oszałamiający rozkwit, błysnął niedostępną dla międzynarodowych działaczy kreatywnością, wymyślając cykl zawodów online, przekształconych potem w Grand Prix. Skoro FIDE odmawia zwrócenia się ku formułom gry atrakcyjniejszym niż klasyczna, to Norweg promuje je sam. I wydaje federacji kolejne wojny – jak wtedy, gdy pokłócił się z nią o zyski z turniejów w szachach losowych.

Tę ideę również zrodził jego piękny umysł, w którym buzuje od nieustającego pragnienia przygód. Partie klasyczne wynagradzają wkuwających na pamięć sekwencje ruchów prymusów, natomiast krótsze odmiany wymagają instynktu, refleksu i spontaniczności, skazują na pomyłki, redukują liczbę remisów. A eksperyment jeszcze bardziej radykalny stanowią właśnie szachy losowe, znane także jako szachy Fischera lub szachy 960 – od nazwiska pomysłodawcy oraz liczby możliwych początkowych ustawień figur. Nikt się do tylu wariantów nie przygotuje, o mechanicznym wywijaniu figur przez kujonów nie ma mowy.

> Intelektualne monstrum, któremu zdarza się okazywać kruchość. Rebeliant i antysystemowiec. Bezwzględny biznesmen, **ale nade wszystko sportowiec z krwi i kości.**

Wszystko to składa się na spójną strategię realizowaną przez samozwańczego rewolucjonistę, który od lat wynosi na sztandary modernizację dyscypliny jego zdaniem zatęchłej, w obecnym stanie niezdolnej uwodzić młodych.

Zaproponowaną wyżej analogię futbolową wypada rozbudować – gdyby Messi zechciał naśladować Carlsena, musiałby nie tylko zbojkotować mundial, ale także wynaleźć i organizować własne rozgrywki, czuć się większym od FIFA i swoją wyższość manifestować, opinie prezesa tejże organizacji Gianniego Infantino puszczać mimo uszu i wymuszać na nim ustępstwa, wycofywać się z rywalizacji w proteście przeciw niesłusznym (jego zdaniem) werdyktom sędziów, żądać drastycznych zmian w regulaminach, w razie oporu z powodzeniem stosować szantaż. I wcale nie wywoływać gremialnego sprzeciwu opinii publicznej.

Konkludując: żaden sportowiec nigdy nie zdominował swojej dyscypliny w takim stopniu, w jakim nad szachami dominuje dziś Carlsen. Jest twórcą i tworzywem, demiurgiem korzystającym z władzy bliskiej absolutnej. Gdyby mieszkał na szachownicy, w jednej bierce by się nie zmieścił. Szalałby jako hybryda hetmana, skoczka oraz piona – jedynego uprawnionego do przeistoczenia się w dowolną figurę, w zależności od potrzeb.

SZACHOWNICA TO ZA MAŁO | Dlatego jesienią 2026 r. przeżyjemy inauguracyjną edycję imprezy, jakiej nie było. Total Chess World Championship zostanie rozegrane pod flagą FIDE, ale powstało po konsultacjach z Norwegiem, ma stanowić kompromis między jego parciem do rewolucji a konserwatywną postawą międzynarodowych władz – połączy szachy klasyczne, szybkie i błyskawiczne, zwycięzcę wyłoni emocjonujący system pucharowy (przegrywający odpada), będzie premiować wszechstronność.

Czy zatem rozbudowane, 24-osobowe widowisko uśmierci w przyszłości pojedynki aktualnego mistrza z pretendentem, tradycję pielęgnowaną od XIX w.? To byłoby kolejne spektakularne osiągnięcie Carlsena, postaci gardzącej jakimikolwiek schematami.

Żeby adekwatnie opisać jej złożoność, trzeba czerpać ze słownika bez umiaru. Intelektualne monstrum, któremu zdarza się okazywać kruchość, zwierzać z niepewności co do swojej wielkości. Rebeliant i antysystemowiec. Wróg schematów i miłośnik ostrych konfrontacji. Bezwzględny biznesmen. Chcący eksplorować nowe terytoria awanturnik.

A nade wszystko uzależniony od adrenaliny sportowiec z krwi i kości. Zdarza mu się startować w turniejach pokera, odnosi sukcesy w przyciągającej miliony kibiców internetowej zabawie polegającej na przewidywaniu wydarzeń w piłkarskiej lidze angielskiej (Fantasy Premier League), po nocach grywa w sieci z amatorami – jako MagzyBogues albo DrNykterstein na Lichess.com. Bez ustanku szuka wyzwań, jakichkolwiek.

I nie tetryczeje, lecz młodnieje. Wsłuchuje się w puls epoki, podąża za pokoleniami zrośniętymi z nowoczesną technologią, które chcą rozrywek szybszych i krótszych, by przyjmować więcej osławionych strzałów dopaminowych, które brzydzą się dłużyzn bardziej przepastnych niż mierzone w sekundach, żądają permanentnego widowiska oraz rozmigotanych audiowizualnych błyskotek, w internetowym slangu nazywanych wiralami. I żądają kontaktu z idolami, choćby zapośredniczonego przez cyfrowe łącza.

Niedawno Carlsen przystał na serię partii z Kennym Williamsem, e-sportowym wybitnym specjalistą w grze „Call of Duty" – w tym na jedną absurdalną, w której przeciwnik, kompletny szachowy żółtodziób, miał 23 hetmany. „Faworyt" oczywiście przegrał, ale jakie to ma znaczenie? W istocie zwyciężył, jak zawsze.

© RAFAŁ STEC

eprasa.pl 997335f986

Wiosna w Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK

Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK inauguruje obchody 15-lecia istnienia, prezentując nowy program wystaw (7 marca – 14 czerwca 2026), skoncentrowany na wnikliwej analizie tego, co polityczne: od emancypacji i oporu wobec systemów patriarchalnych, przez krytykę faszyzmu i władzy totalitarnej, aż po kwestie związane z ekologią oraz statusem artystów.



Ewa Partum, 1971

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI EWY PARTUM

EWA PARTUM: Contemplating Art, Contemplating Love

Twórczość Ewy Partum (ur. 1945) – obecna w historii sztuki od 60 lat – jest feministycznym manifestem. Jej cel stanowi stworzenie nowej, niepatriarchalnej rzeczywistości. To założenia sięgające daleko poza pole sztuki – artystka wierzy w sprawczość swoich działań, ich moc wprowadzania zmian społecznych. Konsekwentnie realizuje program ucieleśniania konceptualizmu, wskazując, że jej problem jest problemem kobiety. Kontempluje zarówno sztukę, jak i miłość. Wystawa prezentuje twórczość Partum w relacji do działań artystek i artystów ze świata – zarówno jej pokolenia, jak i młodszych generacji. Ewa Partum prezentuje się jako buntowniczka, która nie waha się działać również w przestrzeni publicznej. Znakiem rozpoznawczym artystka czyni odcisk uszminkowanych ust, a nagie ciało stanowi dla niej medium konfrontacji z władzą.

Wystawa ma na celu kontekstualizację twórczości Partum – zarówno w odniesieniu do jej współczesnych, jak i artystek oraz artystów rozwijających dzisiaj strategie feministycznej rebelii przez nią zapoczątkowane. Główne wątki to między innymi ciało, dotyk, odcisk, głos jako medium cielesne i polityczne, krytyka patriarchatu, *écriture féminine*, zaangażowanie społeczne oraz nieprzejrzystość komunikacji.

Wystawa z udziałem prac takich artystów, jak m.in. John Baldessari, Josef Bauer, John Cage, Vlasta Delimar, Iwona Demko, Monika Drożyńska, Tadeusz Kantor, Piero Manzoni, Yoko Ono, Clemen Parrocchetti, Joanna Pawlik, Jadwiga Sawicka, Carolee Schneemann, Penny Slinger, Ulay, Valie Export, Marta Ziółek i Jana Želibská.

TOYEN. Sny z obrzeży

Wystawa *Toyen. Sny z obrzeży* to pierwszy w Polsce pokaz prac jednej z najwybitniejszych artystek ruchu surrealistycznego, której pozycja i uznanie ze strony krytyków znacznie wzrosły na przestrzeni ostatnich lat.

Uważana za jedną z najbardziej enigmatycznych i niezależnych postaci surrealizmu, Toyen (1902–1980) urodziła się w Pradze jako Marie Čermínová. Wcześnie przyjęła tożsamość neutralną płciowo, odrzucając konwencje społeczne – postawa ta znalazła odzwierciedlenie w jej twórczości i wizerunku publicznym. Toyen była centralną postacią zarówno przedwojennego surrealizmu w Pradze, w ramach grupy Devětsil, jak i po wojnie w kręgu paryskich surrealistów. Jej prace w Pradze, tworzone wspólnie z Jindřichem Štyrskim, a później z Jindřichem Heislerem, zostały uznane przez André Bretona za mające zasadniczy wkład w ruch surrealistyczny.

Wystawa skupia się na głębi i bogactwie twórczości graficznej Toyen – w tym ilustrowanych książek, grafik, rysunków, obrazów, katalogów i materiałów archiwalnych, stając się jedną z najbardziej kompleksowych prezentacji twórczości artystki.

ANNETTE KELM. Tomy, przemówcie

Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK i Miesiąc Fotografii w Krakowie prezentują pierwszą indywidualną wystawę Annette Kelm w Polsce. Na ekspozycji znajdują się prace z dwóch cykli: *Die Bücher* oraz *Travertinsäulen Recyclingpark Neckartal*.

Wystawa jest prezentowana w przestrzeniach Galerii Alfa oraz w Bibliotece Mieczysława Porębskiego i jest pierwszą odsłoną programu głównego 23. edycji festiwalu Miesiąc Fotografii.

W tym sezonie MOCAK zainaugurował również projekty artystyczne wpisujące się w koncepcję sztuki *site-specific*, nowych technologii i ekologii, które redefiniują przestrzenie muzeum, czyniąc je miejscami aktywnymi i partycypacyjnymi.

MONIKA DROŻYŃSKA. Heall

Uznana krakowska artystka realizuje projekt inaugurujący nowy format *site-specific* w programie artystycznym MOCAK-u; projekt o charakterze interwencyjnym, wykorzystujący flagi jako platformę do wyrażania ważnego i aktualnego przekazu, z którym muzeum się utożsamia. Stanowi on gest powitania skierowany do widza oraz do otaczającej budynek przestrzeni publicznej. Instalacja składa się z trzech flag z wyhaftowanym słowem „heall", ustawionych w przestrzeni przejścia pomiędzy budynkami MOCAK-u i Fabryki Emalia Oskara Schindlera, oddziału Muzeum Krakowa. Jest to miejsce tranzytowe pomiędzy obszarem sztuki współczesnej a przestrzenią upamiętniającą Zagładę i ocalenie. Punktem wyjścia pracy jest angielskie słowo „hell" (piekło), odnoszące się do doświadczenia przemocy i pamięci wpisanej w historię miejsca. Dodanie litery „a" przekształca „hell" w „heall", w którym nakładają się trzy znaczenia: „hell" (piekło), „heal" (uzdrawiać) oraz „all" (wszyscy).

KATARZYNA KRAKOWIAK-BAŁKA. Ekologie współtworzenia. Odsłona pierwsza: Gniazdo

W ramach rocznej rezydencji artystka pracuje z architekturą muzeum. Instalacja *Gniazdo* jest pierwszą odsłoną rezydencji, w której muzeum zostaje potraktowane jak organizm – zastana architektura, którą można nadpisywać, renegocjować i uzupełniać o nowe warstwy znaczeniowe. Krakowiak-Bałka proponuje tu radykalne przesunięcie akcentów: z architektury rozumianej jako statyczna scenografia dla ludzkiego życia na architekturę pojmowaną jako aktywną, wrażliwą uczestniczkę relacji międzygatunkowych, społecznych i materialnych.

re:elementarz.
Rozdział 1. Samoidentyfikacje

Galeria Re MOCAK-u gości re:elementarz – laboratorium nowych praktyk na styku sztuk wizualnych, kuratorstwa i muzyki, rozwijające doświadczenia *Elementarza dla mieszkańców miast* (2016–2025). „Hakując" muzealny program, projekt otwiera instytucję na współpracę z nowymi społecznościami i eksperymenty z niekonwencjonalnymi formatami wystawienniczymi. Jednym z kluczowych elementów działalności re:elementarza jest pop-up radio: audycje radiowe w przestrzeni na parterze pawilonu, gdzie muzyka na żywo przeplata się z rozmowami, wspólną lekturą i praktykami performatywnymi, przy aktywnym udziale publiczności.

Więcej na MOCAK.PL

MOCAK

MATERIAŁ PARTNERA

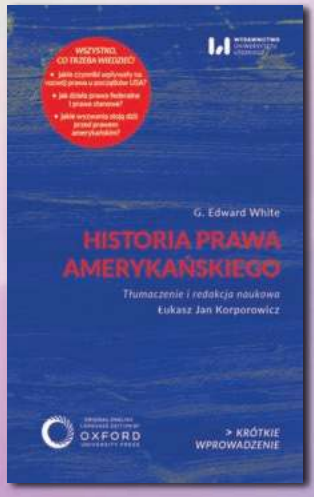
eprasa.pl 997335f986

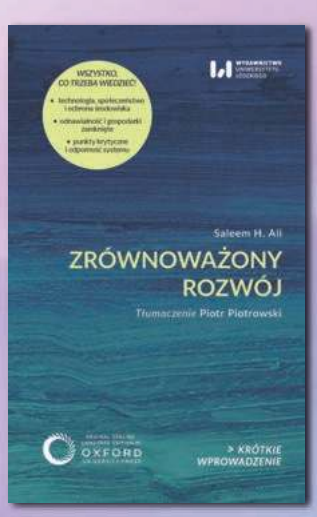
> KRÓTKIE WPROWADZENIE

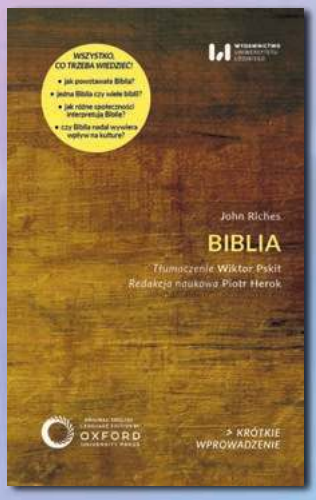
– książki, które zmieniają sposób myślenia!

Seria „Krótkie Wprowadzenie", tworzona przez ekspertów związanych z Uniwersytetem Oksfordzkim, w przystępny sposób przybliża współczesną wiedzę o świecie. Obejmuje kluczowe zagadnienia XXI wieku – od kultury i historii po nauki przyrodnicze i technikę.

To popularnonaukowe książki, które stanowią zarówno dobre wprowadzenie do nowych tematów, jak i rozwinięcie własnych zainteresowań.







WWW.KSIEGARNIA.UNI.LODZ.PL

ORIGINAL ENGLISH LANGUAGE EDITION BY OXFORD UNIVERSITY PRESS

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

REKLAMY

KPO.

Efekty na lata w kulturze

Dofinansowaliśmy

3642

projekty artystyczne

Program KPO dla kultury

umożliwia:

- korzystanie z bogatszej i bardziej dostępnej oferty artystycznej,
- doświadczanie sztuki z wykorzystaniem nowych technologii,
- odkrywanie wydarzeń kulturalnych bliżej siebie, także w mniejszych miejscowościach.

Zobacz zrealizowane projekty

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY

Rzeczpospolita Polska

Sfinansowane przez Unię Europejską NextGenerationEU

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 997335f986



GRAŻYNA MAKARA

eprasa.pl 997335f986

WIARA

CHWALCIE, ŁĄKI UMAJONE

Kobiecość, natura i kult splatają się w opowieść o maju. Chwalcie łąki umajone. A może powinien tam być przecinek?

SABINA JAKUBOWSKA

MAJ BRZMI JAK WESTCHNIENIE ULGI, że przeżyliśmy zimę i przedwiośnie. Edwardzie Stachuro, miałeś rację: „Chwała najsampierw tobie, trawo przychylna każdemu". Doczekaliśmy – wreszcie – zmartwychwstania zieleni. Odrodzenia kwiatów, otwierających się na słońce, i nas, otwierających się na sensualne doświadczanie świata poprzez przyrodę, jej barwy, zapachy i dźwięki. Wyposzczeni po długiej, przeważnie burej zimie, w naturze odczuwamy eksplozję różnorodności, te łąki umajone.

POŚRÓD TYSIĘCY ROZMAITYCH ŚWIĄT w kulturach tego świata, celebrowanie kwitnienia wiśni czy jabłoni jest chyba najbardziej pacyfistyczne. Zero ofiar, zero krwi, czysta efemeryczna przyjemność, wobec której nie da się przejść obojętnie, bo przecież pachnie i kwitnie tak oszałamiająco, tu i teraz, *carpe diem, carpe noctem*, za chwilę przekwitnie, za chwilę i my przekwitniemy, ale przecież teraz jesteśmy. Jesteśmy!

Pokolenia stoją za tym westchnieniem ulgi. Warunkował to przednówek. Czas głodu. Czas radości z każdego zielonego badyla, który dopomoże przetrwać, napełni zmęczone ciało młodą kiełkującą energią. Ludowe przysłowie głosiło: „Kiedy marzec przeżył starzec, będzie zdrów. Kiedy baba w maju słaba, pacierz mów".

Oprócz pacierza sprawdzał się też bluszczyk kurdybanek, gotowany w intymnym sam na sam z wrzątkiem – oto pożywna zupa, pozwoli przetrwać. Pokrzywa, szczaw, młody jęczmień, podbiał, komosa, perz, czosnek niedźwiedzi, lebioda, podagrycznik, babka lancetowata też się zielenią ku pokrzepieniu serc przez żołądek, ku pokrzepieniu nadziei na lepsze jutro, na jutro w ogóle.

Kwiaty oczywiście też mogą być jadalne. Jasnota biała, fiołek, mniszek lekarski, stokrotka polna, a nad nią szumiał gaj. Chwalcie łąki umajone, pozwolą bowiem przeżyć. I ktoś te cudowności przecież stworzył. Gloria, Gloria!

„NA ZIELONE ŚWIĄTKI umajone wszystkie kątki". Zieleń młodych brzóz i tataraku ma ochronić przed katastrofą. Głód jeszcze pląsa po trzewiach, ale jest już nadzieja: co zasiane i zasadzone, wzrasta, byle tylko nie było gradobicia, ulew, suszy, byle wojska nie stratowały zasiewów, demony nie dobrały się do noworodków, a czarownice do krów i ich mleka. Zielone *sacrum* podchodzi pod chałupę i przyzywa. Może pewniej będzie wyjść ku niemu, porzucić troski, zawierzyć. Łatwiej wyrównać oddech i wznieść myśli, gdy się na chwilę straci z oczu codzienne bolączki. Więc dokąd? – pod kapliczkę.

> Poszli w stronę przeciwną do drogi, za stodołę, potem na dół, przez pobielony sad, dalej minęli młody zagajnik brzozowy, aż doszli do zacienionej doliny, gdzie między gęstą trawą i kępkami niezapominajek płynęła sobie czysta rzeczka, o tej porze cicha i niepozorna, choć przy powodziach bywała groźna i niszcząca. Wszędzie pachniały konwalie, ich woń czarownie umajała powietrze. (...) „Chwalcie łąki umajone, góry, doliny zielone / Chwalcie cieniste gaiki, źródła i kręte strumyki". Było tam tych słów więcej, i coś o Matce Boskiej, ale Marysia nie zapamiętała, więc śpiewała tylko ciągle i ciągle o tych strumykach. Bardzo im się to podobało.

Modlitwa płynie jak strumień, mało jest równie nadobnych pieśni jak ta. Napisał ją Karol Antoniewicz (1807-1852), polski jezuita o ormiańskim pochodzeniu. Jak taki pogodny utwór mógł powstać pod palcami tego doświadczonego przez życie człowieka? Najpierw mąż i ojciec, przeżył śmierć pięciorga dzieci. Prawnik po Uniwersytecie Lwowskim, jednak rodzinny dwór w Skwarzawie przekształcił w szkołę i szpital, by zająć się chorymi i opuszczonymi. Potem ksiądz i poeta, autor wielu pieśni. Jego „Panie, w ofierze Tobie dzisiaj składam – wszystko, czym jestem, wszystko, co posiadam" jest aktem zawierzenia siebie, człowieka przepełnionego bólem istnienia, Wielkiej Matce.

I to jest takie odwieczne.

NAZWA MIESIĄCA – maj – pochodzi z łaciny. *Maius mensis*, na cześć bogini starszej niż Wieczne Miasto Rzym, czczonej przez rolnicze plemiona starożytnej Italii – wcielonej Przyrody, Matki Ziemi, Pani Wzrastania. Ile już wieków wierzymy, że rośnie się od majowego deszczyku?

Jej imię to Maia lub Maiestas, rzeczownik rodzaju żeńskiego, oznaczający dostojeństwo, powagę, okazałość, wzniosłość, wspaniałomyślność, godność i wreszcie ↦

Przy źródle świętej Anny na wzgórzu Bocheniec w Jadownikach, 2022 r.

eprasa.pl 997335f986

↦ władzę królewską. Majestat niegdyś był naprawdę matriarchalny.

A potem Rzymianie podbili Sabinów i inne italskie plemiona, i w jedno im się połączyła bogini majowa z boginią zbiorów Ops i boginią Fauną, której zwierzęce miano przypomina nam o przynależności do świata przyrody, bowiem jej pomocy wzywały kobiety w bezpłodności. Bona Dea – Dobra Bogini – to kolejne z imion Wielkiej Przedwiecznej Matki, patronki płodności i obfitości.

Nieco później Rzymianie podbili Greków i grecka kultura zawładnęła ich wyobrażeniem o świecie. Dlatego już wkrótce Maia zaczęła być przez wykształconych Rzymian utożsamiana z grecką nimfą Mają, jedną z Plejad, gwiazd w gwiazdozbiorze Byka. Pojawienie się Plejad nad horyzontem w pierwszych dniach maja zapowiadało greckim żeglarzom wiosnę, czyli bezpieczną drogę przez morze. Greccy podróżni, kupcy i złodzieje morzem przemieszczali się pomiędzy rozlicznymi wyspami i miastami rozsianymi na stałym lądzie.

A patronem podróżnych, kupców i złodziei był Hermes, syn nimfy Mai – w mitologii bóg wiecznie młody, ale w historii ludzkiej duchowości dość stary, bowiem jego imię znane było już w kulturze mykeńskiej, zapisane na kilku tabliczkach z pismem linearnym B. Według mitów, Maja poczęła go w jaskini podczas płomiennego romansu z boskim Zeusem Gromowładcą, i w tym samym miejscu go urodziła, co przenosi nas do naprawdę bardzo starych wyobrażeń o jaskini jako waginie Matki Ziemi.

Syn nimfy Mai był też uważany za przewodnika na tamten świat. I pewnie to spowodowało, że w synkretycznym świecie kultów imperium rzymskiego Maję zaczęto utożsamiać także z celtycką boginią płodności i śmierci, Rosmertą, przedstawianą z koszykiem pełnym owoców lub rogiem obfitości. Dla Celtów maj był także początkiem sezonu letniego, gdy wypuszcza się bydło na pastwiska, niech się karmią zielonością zaraz od święta Beltane (Bealtaine), przypadającego na noc z 30 kwietnia na 1 maja.

MAIA W JĘZYKU GRECKIM ma jeszcze jedno znaczenie. Określa Mamę, Babkę, Piastunkę, a także – naturalnie – Położną. To właśnie od tego miana pochodzi stworzony przez Sokratesa filozoficzny termin majeutyka – dialog docierający do prawdy, pomoc w przyjściu na świat wiedzy. Wspierająca Mądrość.

> Fainarete. Matka Sokratesa. (...) Była położną. Jej syn filozof chodził po Atenach, zadając ludziom pytania i czekając, aż urodzi się w ich głowach mądrość. Nazywał to metodą położniczą. Nie wyciągał tej mądrości na siłę. Nie stosował kleszczy, nie dawał zastrzyków. Czekał i wspierał w odpowiedni sposób. Nauczył się tego od matki. Jej imię znaczy „ta, która wydobywa cnotę na światło dzienne". (...)
> W starożytności cnota oznaczała dzielność, doskonałość, piękno i dobro, wszystko naraz. Idź za tym. Tak, jak ty to rozumiesz. I wydobywaj na światło dzienne to, co dla ciebie jest ważne i wartościowe.

Jakże to się wszystko wspaniale łączy. Mądrość ma swoje imieniny 15 maja, w dniu świętej Zofii (*sophia* – po grecku „mądrość"), która była matką Wiary, Nadziei i Miłości. W maju obchodzony jest też Międzynarodowy Dzień Położnej (5 maja), a także Dzień Polskiej Położnej (8 maja). Ta druga data została wybrana przez polskie położne, ponieważ to rocznica urodzin Stanisławy Leszczyńskiej, więźniarki Auschwitz, przyjmującej porody innych więźniarek tego nazistowskiego obozu. Mimo nieludzkich warunków, bezpiecznie przyjęła na świat ponad trzy tysiące dzieci i żadna z jej podopiecznych nie zmarła podczas porodu. Nazywano ją Mateczką. 8 maja odbędzie się w Warszawie uroczystość odsłonięcia jej pomnika, a jej proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 1992 r.

Położna nigdy nie ukrywała, że w skutecznej pomocy rodzącym pomagała jej modlitwa: „Maryjo, przybądź choć w jednym pantofelku". Oto córki Boskiej Mądrości: Wiara, Nadzieja. I na pewno Miłość – do tego zawodu i do cudu, jakim są narodziny, nawet gdy w tle zawodzi śmierć.

Kobiecość, natura i kult splatają się w tę opowieść o maju. Chwalcie łąki umajone.

A może powinien tam być przecinek?

Chwalcie, łąki umajone.

DOBRZE TO CZUŁY wiejskie kobiety. Ile generacji mogło dzięki tej pieśni choć na chwilę przystanąć. Chwalcie Ją, kręte strumyki, chwalcie Ją, cieniste gaiki, i pozwólcie nam także zatrzymać się na chwilę w cieniu, zaznać trochę wytchnienia między pracą a pracą. „Dużo mi Bóg pomagał – opowiadała pani Anna z Jadownik, rocznik 1925. – Nie miałam wiele czasu, aby do kościoła chodzić, ale śpieszyłam się nieraz, żeby przygnać krowę i zdążyć na majówkę".

Maj. Wreszcie dłuższy dzień. Najpiękniejsze, złociste światło przedwieczoru. Uwypukla ekstatycznie ukwiecone drzewa, jasność pobielonych pni, świeżą zieloność lip otaczających przydrożne kapliczki i figurki maryjne.

Niektóre z tych kapliczek są bardzo stare. Czas zaciera rysy kamiennych Madonn. Inne – bez wieku, stale odnawiane pieczołowitą dłonią pokoleń. Wszystkie oblicza Matki Boskiej. Zmartwione, Bolesne, Spokojne, Wniebowzięte. Wszystkie twarze kobiecości, macierzyństwa i zafrasowanej boskości.

Co wieczór w maju schodzą się tam kobiety. Przeważnie te starsze, ale może i młode? Przechodzień się tego nie dowie, bo przecież wszystkie zwrócone są twarzą do Wielkiej Matki. Śpiewają. Odpływają w tym śpiewie. Wzywają Jej opieki, wstawiennictwa. Powierzają swoich. Znane od dzieciństwa inwokacje czasem zabrzmią w ich uszach jakoś inaczej, zainspirują do refleksji. Kobiety przeglądają się w Zwierciadle Sprawiedliwości, zanurzają w Stolicy Mądrości, błagają o Uzdrowienie Chorych.

Są razem. Stare i młode, zdrowe i chore, matki i niematki. Razem. Są. Pewnie nie myślą przy tym, jak starą tradycję właśnie kultywują. Stoją przed obliczem Boskiej Matki. Śpiewają. Obniża im się ciśnienie krwi. Spada poziom kortyzolu. Wzrasta ich wewnętrzna łąka umajona. Medytacja w śpiewie przynosi ulgę. Po to przyszły, po ulgę. Od wieków. Źródło zabiorą z sobą. Kręte strumyki zaprowadzą je z powrotem do domów, do obowiązków, a czasem też do samotności. Właśnie otrzymały wsparcie. Może wystarczy na długo, a może tylko do jutra.

SĄ TEŻ W ŚWIECIE CHRZEŚCIJAŃSKIM takie miejsca, gdzie to Matka Boska przyjmuje wsparcie. Kapliczki świętej Anny Samotrzeciej. Jedna z nich mieści się w Jadownikach na wzgórzu Bocheniec, tworząc sanktuarium wraz z białym kościółkiem, wzniesionym jeszcze przed 1596 r., i źró-

eprasa.pl 997335f986

dełkiem o walorach cudowności dla tych, którzy tego cudu potrzebują.

> Zaraz gdy zaśpiewali na koniec „Czyńmy świętej Annie dzięki nieustannie”, poszła z innymi w dół, do źródełka świętej Anny. Zaczerpnęła ze studzienki wody (...) nalała w garść i piła, smakując zimno i świeżość. Parokrotnie. Pozostałą wilgocią umyła oczy i twarz, wreszcie ustąpiła miejsca innym, bo to już kolejka zrobiła się niemała, złożona z tych, co wolniej z górki schodzili. Obeszła tył studzienki, na której stała figura patronki, i w cieniu pod drzewami przyklękła przed obliczem świętej Anny Samotrzeciej, która patrzyła na ludzi jak królowa, stale przecie czujna, by z jej kolana nie spadł malutki Jezusek, czułym ruchem ogarniająca Najświętszą Panienkę, taką dziewczynkę jeszcze, jakby chciała jej powiedzieć: „Nie lękaj się, ja ci pomogę”.

Święta Anna, Babcia Syna Bożego, Matka Młodej Matki, Odwieczne Wsparcie, Uziemienie i Moc, źródlana wilgoć wypływająca z głębin wzgórza. Sama postanowiła tu zamieszkać. Według legend objawiła się w postaci jasności i wskazała miejsce do budowy kościoła. Według kroniki kościół ten stoi na miejscu kaplicy istniejącej „od niepamiętnych czasów”.

Na Bocheńcu istniało grodzisko wczesnośredniowieczne, wiązane z plemieniem Wiślan. Dokładne datowanie nie jest w pełni możliwe. Z pewnością starsze niż państwo Mieszka. Wspaniałe miejsce do kontroli nad okolicą, którą świetnie widać z wysokości 394-400 metrów nad poziomem morza, zwłaszcza w tamtych czasach, gdy wszystkie drzewa zostały użyte do budowy domów i palisady wieńczącej wał kamienno-ziemny, a krzaki wyskubały owce czy kozy. Świetne schronienie. Czego mogło im brakować do szczęścia? Tylko czystej wody i Boskiej Opieki. Ale na szczęście jest przecież to źródełko.

Za plecami świętej Anny ciągnie się wąwóz zwany Piwniczyska. Gdzieś tam, według legend, znajdują się tajemnicze lochy, wiodące od kościółka do „żelaznych drzwi”, których lokalizację śmiało potwierdzali Jadowniczanie jeszcze trzy pokolenia temu.



GRAŻYNA MAKARA

SABINA JAKUBOWSKA jest pisarką, doulą i nauczycielką. Z wykształcenia archeolożka, doktor nauk humanistycznych, autorka m.in. nominowanych do Literackiej Nagrody „Nike” „Akuszerek” oraz „Położnych” (wyróżnione fragmenty tekstu pochodzą z obu powieści).

A CO DO BOSKIEJ OPIEKI. Tutejsi w ciągu wieków poszerzali swoje terytorium, schodzili niżej, zasiedlali dolinę Uszwicy. Spalony kilkakrotnie drewniany kościółek na Bocheńcu nie rokował. Mieszkańcy zgromadzili materiał do budowy kościoła w innym, dogodniejszym miejscu, gdzieś, gdzie może łatwiej dojechać. Lecz świetlista postać na jasnym koniu trzykrotnie przewiozła to wszystko na górę. Po trzecim incydencie nawet uparci Jadowniczanie się poddali. Miejsce kultu ocalało. Być może poradziłoby sobie i bez nich.

Bo to miejsce, wzgórze, kościół świętej Anny, źródło, Piwniczyska – subtelnie emanują energią kobiecości. Pierwszy znany z imienia mieszkaniec Jadownik to sołtys Siestrzemił. Nawet jego imię („obyś był miły swojej siostrze”) mówi, że tutaj kobiety – siostry! – miały coś do powiedzenia.

Wierzę, że chodzi o Wsparcie.

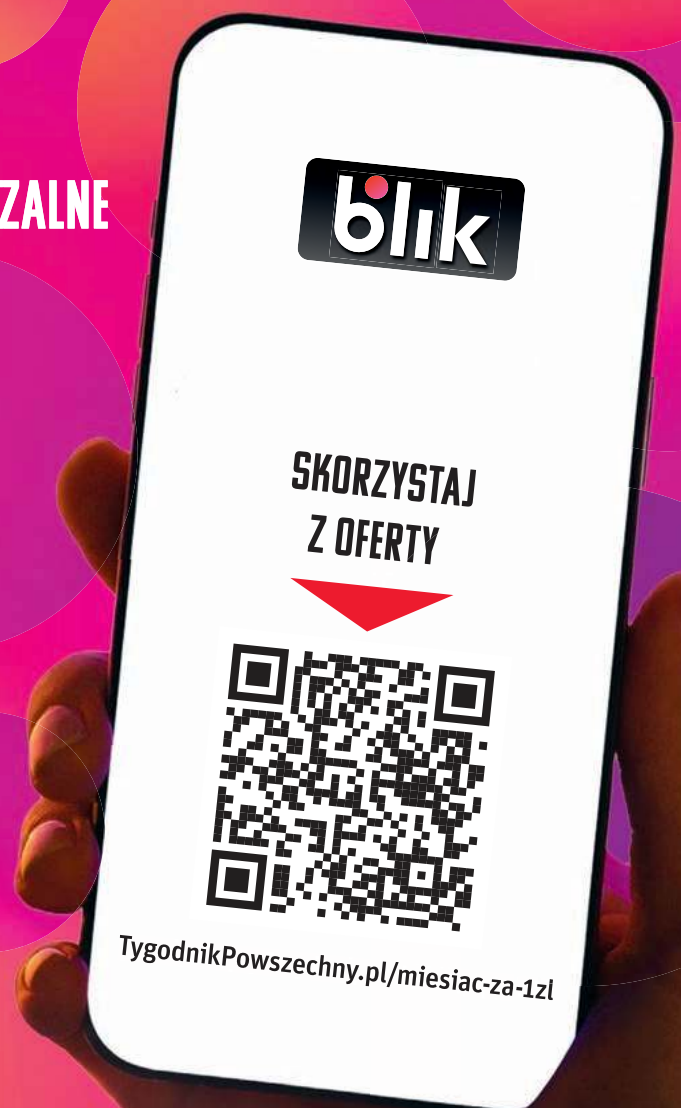
> Jest noc, piękna letnia noc, ciemna od ciemności i jasna od gwiazd. Połówka księżyca migoce pomiędzy piersiami siwowłosej czarownicy, która jest zarazem gorącą młodą kobietą i staruchą, co kłania się Łaskawości, Śmierci, albowiem wszystko już widziała, wszystkiego doświadczyła i nie boi się niczego. Ona idzie, bosymi stopami strącając rosę, i swoim cichym śpiewem woła te kobiety i panny, które już gotowe.
> Idą, nie potrzebują światła, by utrafić. Śmieją się głęboko, z brzucha, ślizgając po trawie, gdyż droga wiedzie w dół, do źródła.
> Śpiewają, modlą się, wysławiają Księżyc i Słońce, i Lato, i Życie, i Ziemię Matkę, która pięknie rodzi. Pięknie rodzisz, Matko Ziemio, pięknie rodzisz! Za chwilę i my będziemy.
> Piją wodę ze świętego źródła. I nie jest im zimno.
> Pięknie smakujesz, Matko Wodo, za chwilę i my będziemy.
> Obmywają wodą swoje ciała, to też jest modlitwa, gdy woda spływa z nich strużkami i na powrót zanurza się w ziemi, a może to nie woda? – to światło księżyca. Strużki są lodowate, więc drobne włoski na ich nogach i przedramionach aż się prostują na przywitanie świętej wody, tak jak sutki ich piersi, które wszystkimi kształtami chwalą dzieło Życia, bo za chwilę zamiast wody wypłynie z nich mleko. Te, które dziś poczną po powrocie do domów, te, które poczną jutro i za tydzień, będą bramą życia równo z wiosną, będą chwalić Matkę Ziemię, ofiarując jej swoją krew i wody płodowe, które wnikną w klepiska i w miedze. (...)
> Wszystko zasłaniają prastare drzewa chroniące źródło, by nie wyschło. Majestatyczne, wysokie, piękne w chorobie, którą biorą na siebie, przyjmując od modlących się tu ludzi ich ból istnienia. A ludzie przychodzą ze wszystkim, ze ślepymi oczami i ze ślepą kiszką, z zatkanym uchem, co świata nie słyszy, i z zatkanym przyrodzeniem, co nie chce rodzić albo nie chce stanąć do płodzenia. Z jałową krową i z jałowym życiem. Z zaginionym rozumem i z zaginioną miłością. Oni się tu modlą, proszą, piją wodę i zostawiają łzy. Drzewa spijają te łzy i przyjmują, przyjmują, przyjmują. (...)
> Nawet i w tym widać piękno Życia.
> © SABINA JAKUBOWSKA

eprasa.pl 997335f986

TYGODNIK POWSZECHNY

ZGARNIJ MIESIĄC PRENUMERATY CYFROWEJ ZA 1 ZŁ

WYBIERZ NOWOŚĆ!
PŁATNOŚĆI POWTARZALNE
BLIK



Oferta dla nowych subskrybentów „Tygodnika Powszechnego”.
Sprawdź dostępność i warunki świadczenia usługi w ofercie swojego banku lub regulaminie usług bankowych.
Sprawdź regulamin promocji.

PKO Bank Polski, Erste Bank Polska S.A., ING Bank Śląski, Bank Millennium, Spółdzielcza Grupa Bankowa, Nest Bank, Alior Bank, Credit Agricole

Płatności powtarzalne BLIK zapewnia platforma zevio

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 997335f986



Pod ziemią, gdzie czas płynie wolniej

Bochnia – podróż do miejsca, które leczy i zachwyca

MATERIAŁ PRASOWY X2

Zjazd w głąb ziemi, do solnych korytarzy Kopalni Soli Bochnia, przypomina przekroczenie granicy między światem codziennym a przestrzenią spokoju i skupienia. Już po chwili znika zgiełk miasta, a jego miejsce zajmuje cisza. Najstarsza kopalnia soli kamiennej w Polsce, działająca nieprzerwanie od XIII wieku, jest jednym z najcenniejszych zabytków techniki w Europie. Od 2013 roku figuruje na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO, a mimo to nie jest miejscem zarezerwowanym jedynie dla pasjonatów historii. Coraz częściej odwiedzają ją osoby poszukujące spokoju, naturalnej terapii i odpoczynku od miejskiego pośpiechu. Bochnia w niezwykły sposób łączy świat przeszłości z potrzebami współczesności.



Zdrowie z głębi ziemi

Największym bogactwem kopalni jest jej mikroklimat – czyste, nasycone solą powietrze, wolne od alergenów i zanieczyszczeń, które korzystnie wpływa na drogi oddechowe i układ nerwowy. W Komorze Ważyn, najrozleglejszej przestrzeni podziemnej w Bochni, panują warunki sprzyjające regeneracji organizmu. Trzygodzinny pobyt w tym miejscu pozwala odetchnąć pełniej, zwolnić rytm, a jednocześnie pozostać aktywnym – można spacerować, ćwiczyć lub po prostu pozwolić ciału i myślom się uspokoić.

Podróż w głąb historii

Zwiedzanie kopalni prowadzi przez labirynt chodników i komór, w których przez stulecia wydobywano sól – niegdyś cenniejszą niż złoto. Multimedialna trasa turystyczna ożywia dawne czasy, przypominając o pracy górników, o królewskich przywilejach i o roli, jaką Bochnia odgrywała w rozwoju Polski. Obrazy, światło i dźwięk tworzą sugestywną opowieść, która angażuje zmysły i wyobraźnię. W sercu kopalni odnajdziemy także wykute w soli kaplice – świadectwo głębokiej wiary górników, którzy Bogu i świętym patronom powierzali swój codzienny trud i bezpieczeństwo.

Spacerując wśród solnych ścian, można odczuć nie tylko ciężar historii, lecz także jej ciągłość – świadomość, że to, co dziś służy odpoczynkowi i zdrowiu, było przez wieki źródłem życia i pracy dla całych pokoleń. W tych korytarzach historia nie jest zamknięta w muzealnej gablocie, lecz wciąż oddycha i przemawia do odwiedzających.

Informacje dla gości

- **Dostępność**: Zjazd i wyjazd z kopalni odbywa się windą, ale na trasie turystycznej czekają schody.
- **Temperatura**: Pod ziemią panuje stała temperatura ok. 16°C. Zalecamy zabranie cieplejszego okrycia.
- **Komfort:** Na miejscu dostępne są punkty gastronomiczne, w tym podziemna kawiarnia, oraz liczne miejsca do odpoczynku.
- **Czas pobytu**: Pobyt rekreacyjny w Komorze Ważyn trwa około 3 godzin, podobnie jak zwiedzanie kopalni na podstawowej trasie turystycznej.

Miejsce, które zostaje w pamięci

Kopalnia Soli Bochnia to przestrzeń, w której łączy się historia, natura i troska o zdrowie. Stanowi idealne miejsce na krótki, a jednocześnie głęboki odpoczynek – bez tłumów, w bliskości z historią i w otoczeniu sprzyjającym refleksji.

Każdy, kto zjedzie w głąb bocheńskiej ziemi, może przekonać się, że prawdziwe wytchnienie nie zawsze wymaga dalekiej podróży. Czasem wystarczy zejść kilka kroków niżej, by odnaleźć to, czego najbardziej nam dziś brakuje: równowagę, oddech i uważność.

Zaproszenie

Kopalnia Soli Bochnia zaprasza do odkrycia swoich podziemi na nowo, do doświadczenia ciszy Komory Ważyn, do spaceru szlakiem historii oświetlonej światłem multimedialnych opowieści oraz do odpoczynku przy filiżance kawy w niezwykłej przestrzeni pod ziemią.

W świecie, w którym wszystko przyspiesza, Bochnia przypomina, że warto czasem zwolnić. I że prawdziwe źródło siły kryje się głęboko – w ziemi, w historii, w człowieku.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 997335f986

Ewangelia kontra wojna

ARTUR SPORNIAK

TEOLOGIA | Czy wojna dziś może być sprawiedliwa? Pytanie to pada nie tylko w sporze Watykanu z administracją Trumpa. Odpowiedź jest niespodziewana.

Leon XIV, mimo obcesowych i pogardliwych ataków Trumpa, nie przestaje przypominać, że żadnej wojny nie można uzasadniać religijnie. Jego niedawny wpis na platformie X wywołał reakcję wiceprezydenta J.D. Vance'a.

Papież napisał: „Bóg nie błogosławi żadnego konfliktu. Nikt, kto jest uczniem Chrystusa, Księcia Pokoju, nigdy nie staje po stronie tych, którzy kiedyś władali mieczem, a dziś zrzucają bomby. Działania militarne nie stworzą przestrzeni dla wolności ani czasów Pokoju, który przychodzi jedynie dzięki cierpliwemu promowaniu współistnienia i dialogu między narodami".

Zauważmy, że Leon XIV jest kategoryczny – „żaden", „nikt", „nigdy" – łatwo więc było w niego uderzyć. Vance odniósł się do wpisu papieża, występując na studenckim wiecu Turning Point USA, na którym byli też zwolennicy Demokratów, zorganizowanym na Uniwersytecie Georgia 14 kwietnia, na miesiąc przed prawyborami stanowymi. Wiceprezydent USA mówił, że podoba mu się, iż papież „jest orędownikiem pokoju", ale zapytał: „Czy Bóg był po stronie Amerykanów, którzy wyzwalali Francję spod okupacji nazistowskiej? Czy Bóg był po stronie Amerykanów, którzy wyzwalali obozy Holokaustu?".

To podchwytliwe pytanie, bo powszechnie uważamy, że alianci prowadzili sprawiedliwą wojnę przeciwko hitlerowskim Niemcom (co nie znaczy, że można usprawiedliwić jej wszystkie odsłony, łącznie np. z nalotami dywanowymi na niemieckie miasta).

Nawet pochodzący z tego kraju papież Benedykt XVI wypowiadał się (jeszcze jako kardynał), że wojna przeciwko III Rzeszy była sprawiedliwa. Odwoływał się do kryterium podanego przez św. Augustyna, że wojna sprawiedliwa musi przywracać ład. Wojna przeciwko Rzeszy – mówił kard. Joseph Ratzinger – przyniosła korzyść również samym Niemcom, a więc ludziom, przeciwko którym była prowadzona, gdyż przywrócone zostały prawo i wolność.

J.D. Vance pouczył zatem Leona XIV, że powinien wypowiadać się z większą ostrożnością. „Oczywiście możemy mieć rozbieżności co do tego, czy ten lub inny konflikt jest sprawiedliwy, ale myślę, że tak samo jak wiceprezydent Stanów Zjednoczonych powinien być ostrożny, gdy mówi o kwestiach polityki publicznej, tak samo papież powinien być ostrożny, gdy mówi o kwestiach teologicznych" – powiedział.

Konflikty nowego typu

W ten sposób wraca pytanie, czy współczesna wojna może być sprawiedliwa. Jeśli tak, to w jakimś sensie można, prowadząc ją, liczyć na Boże błogosławieństwo. A to podważałoby wypowiedź papieża.

Problem w tym, że współczesne wojny coraz mniej mają wspólnego z wojną rozumianą klasycznie: publicznie wypowiedzianą, toczoną przez umundurowane armie suwerennych państw, kierowane przez jasno sprecyzowane co do odpowiedzialności ośrodki władzy, z przestrzeganiem prawa wojennego chroniącego rannych, jeńców i ludność cywilną.

Trudno dostrzec elementy wojny sprawiedliwej w pojmaniu przez Amerykanów prezydenta Nicolása Maduro i wywiezieniu go do USA, choćby dlatego, że ta wojskowa operacja nie przywróciła ładu w Wenezueli. A niespodziewany atak na Iran, zabicie przywódców tego kraju i bombardowanie jego infrastruktury, podczas którego giną cywile, to brutalne złamanie prawa międzynarodowego.

Przykład Ukrainy pokazuje jednak, że pojęcie wojny sprawiedliwej nie straciło całkiem swojego znaczenia. Początkowo zajęcie w 2014 r. Krymu i Donbasu przez zamaskowanych rosyjskich żołnierzy („zielonych ludzików") miało charakter wojny hybrydowej, a więc nowego typu. Rosja udawała, że mamy do czynienia z ruchem separatystycznym, a nie z agresją jednego państwa na drugie.

W 2022 r. już nie kryła swoich intencji. Z jej strony była to niesprawiedliwa napaść przy pomocy wojska na suwerenne państwo w celu pozbawienia go niezależności, a gdy to się nie udało – zagarnięcia jak największego jego terytorium.

Dla Ukrainy była to natomiast wojna obronna, do której to państwo miało – chciałoby się powiedzieć „święte" – prawo. Dzięki temu klasycznemu charakterowi „specjalnej operacji wojskowej na Ukrainie" jako typowej wojny, jasno widać też odpowiedzialność Rosji za zbrodnie wojenne: mordowanie cywilów, gwałcenie kobiet, wywożenie do Rosji ukraińskich dzieci, bombardowanie szpitali i osiedli mieszkaniowych, torturowanie jeńców. Te wyraźne wojenne kontury i odpowiedzialność rozmywają się w innych współczesnych konfliktach, np. w walce z terroryzmem.

Czy zatem Bóg nie błogosławi obrońcom Ukrainy, a chrześcijanie – „uczniowie Księcia Pokoju" – nie powinni stać po ich stronie?

Ewangeliczny radykalizm

Niespodziewanie obrony radykalizmu Leona XIV podjął się bardzo aktywny ostatnio bp Antonio Staglianò. By bronić kategoryczności wypowiedzi papieża, przewodniczący Papieskiej Akademii Teologicznej dokonał ryzykownego eksperymentu: do analizy sytuacji współczesnej wojny zastosował radykalizm Ewangelii.

Swój tekst, zatytułowany „Starożytna teoria wojny sprawiedliwej nie jest Ewangelią" zaczyna słowami: „Odwoływanie się do tysiącletniej tradycji »wojny sprawiedliwej« wcale nie broni doktryny Kościoła, lecz grozi jej ideologicznym wykorzystaniem". (w czym słychać wyraźną aluzję do wypowiedzi Vance'a). I dochodzi do wniosku, że nie ma obecnie wojny sprawiedliwej, gdyż jego zdaniem nie jest nią nawet wojna obronna. Dlaczego?

Po pierwsze, wojna sprawiedliwa zawsze była „kapitulacją przed historyczną koniecznością, kapitulacją przed politycz-

eprasa.pl 997335f986



SIMONE RISOLUTI / VATICAN MEDIA / AFP

Wiceprezydent USA J.D. Vance na prywatnej audiencji u Leona XIV. Watykan, 19 maja 2025 r.

nym realizmem. To nie była Ewangelia. To był kompromis".

Po drugie, współczesna wojna jest zawsze autodestrukcyjna – Staglianò nie widzi możliwości, by mogła mieć klasyczny kształt nienaruszającej prawa wojennego wojny obronnej. „Przemoc nigdy nie rozwiązuje problemu, który rzekomo rozwiązuje: mnoży go, utrwala, przekształca w dziedzictwo dla naszych dzieci i wnuków. To maszyna, która produkuje tylko własne paliwo: nienawiść, zemstę, strach".

Po trzecie, jedyną odpowiedzią zdolną przerwać ten narastający obłęd jest postawa „non violence", która nie jest kapitulacją czy biernością, tylko pełnym wyrzeczeń działaniem „rozbrajającym agresora od wewnątrz". Zdaniem autora to nie naiwność, tylko świadomość, że „istnieją progi, które raz przekroczone, czynią człowieka nieludzkim. A współczesna wojna przekroczyła każdy z tych progów".

Innymi słowy watykański hierarcha przewiduje, że podobnie jak zmieniała się w nauczaniu kwalifikacja kary śmierci, tak też, z czasem, wymogiem moralnym stanie się radykalny pacyfizm.

Mieszane uczucia

Z Ewangelią jest ten problem, że nie można jej zamienić w prawne przepisy. Ona zawsze pozostanie wezwaniem. Nikt nie ma prawa od nikogo domagać się męczeństwa. Możemy być tylko do niego powołani. Tym bardziej nie można wymagać męczeństwa od całego kraju.

Czytając niewątpliwie intrygujący tekst bp. Staglianò, miałem ambiwalentne odczucia. Z jednej strony jest coś porywającego w radykalnej wizji „non violence", która próbuje przywrócić człowieczeństwo agresorowi (jakże ta Ewangelia pociąga!). Wiemy też z historii antyrasistowskiego ruchu pastora Martina Luthera Kinga czy zrywu robotniczego Solidarności, że to może być skuteczne.

Z drugiej strony – czułem się szantażowany „Bogiem pokoju". To nieprawda, że Bóg jest tylko z tymi, którzy są radykalnie za pokojem. Bóg jest z każdym człowiekiem, zwłaszcza tym, który jest w tarapatach, i tym, który nie ze swojej winy ani chęci, ale z obowiązku siedzi w okopie.

Skonfundowany, sięgnąłem do Katechizmu Kościoła Katolickiego. W punkcie 2263 czytamy: „Uprawniona obrona może być nie tylko prawem, ale poważnym obowiązkiem tego, kto jest odpowiedzialny za życie drugiej osoby. Obrona dobra wspólnego wymaga, aby niesprawiedliwy napastnik został pozbawiony możliwości wyrządzania szkody. Z tej racji prawowita władza ma obowiązek uciec się nawet do broni, aby odeprzeć napadających na wspólnotę cywilną powierzoną jej odpowiedzialności".

W postawie „non violence" Katechizm widzi, owszem, świadectwo miłości ewangelicznej, ale warunkowe: „pod warunkiem, że nie przynosi to szkody prawom ani obowiązkom innych ludzi i społeczeństw" (2306). Zwolnić państwo z obowiązku obrony obywateli przed agresorem mogłaby tylko międzynarodowa władza posiadająca odpowiednie kompetencje oraz wyposażona w odpowiednią siłę oraz – dodajmy – reagująca skutecznie (to pomysł wzięty z soborowej konstytucji „Gaudium et spes"; 2308).

Na koniec kompendium kościelnego nauczania realistycznie uprzedza: „Ludziom, o ile są grzeszni, zagraża niebezpieczeństwo wojny i aż do nadejścia Chrystusa będzie zagrażać" (2317).

Nasze bezpieczeństwo

Nawet abstrahując od wojennych szaleństw Trumpa, których nie da się zrozumieć i tym bardziej usprawiedliwić, eksperymenty z Ewangelią nie wydają się w tym momencie dobrą strategią. Być może mają dalekosiężne znaczenie – kiedyś dostrzeżemy w nich głos prorocki; przekonamy się, jak głęboko prześwietliły skomplikowaną etykę wojny. Obecnie w praktyce pomnażają retoryczną amunicję takim ludziom, jak wiceprezydent Vance. Przede wszystkim jednak odbierają moralną legitymizację żołnierzom, którzy, walcząc o swoją ojczyznę, walczą w Ukrainie o bezpieczeństwo Europy – także Watykanu. ©℗

eprasa.pl 997335f986



MONTAŻ TP

LEDI SAYADAW (1846-1923) – mnich z Birmy, badacz starożytnych tekstów buddyjskich, który zaczął nauczać laików medytacji.

TO PIĄTA CZĘŚĆ CYKLU O HISTORII ZACHODNIEJ MEDYTACJI. W poprzedniej (nr 11/2026) pisaliśmy o wkładzie buddyzmu zen w popularyzację medytacji na Zachodzie, o Soyenie Shaku, buddyjskim mnichu, który uważał, że medytację należy praktykować pośród codziennych zajęć, o Nyanatiloce Mahatherze, byłym niemieckim benedyktynie, który przeszedł na buddyzm.

W KOLEJNYM TEKŚCIE przeczytamy: o odarciu buddyzmu zen z japońskiej otoczki kulturowej i rytuałów; o D.T. Suzukim i medytacji rozumianej jako droga oświecenia; o korespondencyjnych kursach zen i ich powodzeniu wśród elit intelektualnych i kulturalnych.

Autor cyklu – Maciej Bielawski – jest teologiem, pisarzem i wykładowcą uniwersyteckim z Werony, nauczycielem kontemplacji i duchowości.

Skąd się wziął mindfulness

MACIEJ BIELAWSKI

DUCHOWOŚĆ | Opowieść o tym, jak medytacja wyszła z zamkniętych klasztorów i stała się dostępna dla każdego. Oraz o jej birmańskich nauczycielach, którzy zmienili duchowe oblicze świata.

Gdy cichły odgłosy I wojny światowej, a politycy obmyślali treści traktatu wersalskiego, w buddyjskiej Birmie powstał pierwszy, znany nam we współczesnych dziejach, ośrodek medytacji. Otworzył go Saya Thetgyi (1873-1945), budując we wsi Pyawbwe, nad rzeką Yangon, na ziemi należącej do rodziny żony salę, w której mogli praktykować medytację świeccy i mnisi, kobiety i mężczyźni, buddyści i ludzie innych religii.

Ale by zrozumieć kontekst tego wydarzenia, jego doniosłość, a także życie i nauczanie Sayi Thetgyi, twórcy ośrodka, oraz kilku postaci, które miały wpływ na jego decyzję, musimy wpierw nieco cofnąć się w czasie.

W cieniu kolonializmu

Utrata niepodległości i ucisk ze strony brytyjskich kolonialistów sprowokowały także u Birmańczyków potrzebę poważnej i głębszej refleksji nad własną tożsamością oraz „powrotu do źródeł". Ważnym wydarzeniem w tym procesie był „czwarty sobór buddyjski", który obradował w Birmie w 1871 r., pod auspicjami króla Mondona (1808-1878). Dodajmy na marginesie, że niemal w tym samym czasie w Kościele katolickim obradował Sobór Watykański I (1869-1870), co pokazuje, w jak podobny sposób różne religie stawiały w tym czasie czoła gwałtownym zmianom, które rzucały wyzwanie starym porządkom.

Birmański sobór można uważać za powszechny, można też widzieć w nim wydarzenie o charakterze lokalnym: uczestniczyło w nim kilka tysięcy mnichów, wśród których niewielu było jednak przedstawicieli innych nacji. Tak czy inaczej dla Birmańczyków było to ważne wydarzenie. Jego uczestnicy w ciągu pięciu miesięcy wysłuchali całego Kanonu buddyjskiego – ogromnego zbioru tekstów, które następnie wyryto na 729 marmurowych płytach o rozmiarach 1 x 1,5 metra każda, zapisanych obustronnie. Potem wyryte litery wypełniono złotem, a wokół każdej płyty wzniesiono pagodę. W ten sposób w ciągu 7 lat, 4 miesięcy i 14 dni powstał w Kuthidaw, niedaleko stolicy Monalay, niezwykły świątynny kompleks o powierzchni 13 akrów. Można go tam podziwiać do dziś.

Niespełna trzydzieści lat później, w 1900 r., Kanon buddyjski ukazał się drukiem. Jego wydanie było nie lada przedsięwzięciem – całość obejmowała 38 tomów po około 400 stron w każdym. Kluczową postacią tego edytorskiego projektu był brytyjski drukarz pochodzenia armeńskiego Philip H. Ripley.

Poza murami

Warto przy tej okazji wspomnieć jeszcze o trzech innych postaciach, bez których buddyjskie odrodzenie nie mogłoby się wydarzyć. Miały one wpływ na powstanie i działalność klasztorów oraz ośrodków me-

eprasa.pl 997335f986

dytacji, a także studiów na najwyższym poziomie.

Pierwszą był Ledi Sayadaw (drugi człon nie jest w tym przypadku nazwiskiem, ale tytułem oznaczającym „wielebnego nauczyciela"). Urodził się w 1846 r. w Saing-pyin, na północy kraju. Kształcił się w szkołach prowadzonych przez mnichów, do których sam z czasem przystał. W życiu łączył trzy pasje: studium starożytnych tekstów buddyjskich, zamiłowanie do filologii oraz praktykę medytacji.

Pierwsza wprowadziła go w świat skomplikowanych metafizycznych rozważań, którym oddawał się z upodobaniem i których dotyczyły jego pierwsze publikacje. Owocem drugiej była doskonała znajomość sanskrytu i pali, dzięki którym mógł czytać najważniejsze teksty buddyjskie w oryginale, a także podręcznik gramatyki języka pali dla Birmańczyków, jego autorstwa, otwierający innym dostęp do podobnych studiów. Jeśli zaś chodzi o medytację, Ledi praktykował ją najpierw w samotności, a potem zaczął jej nauczać w założonym przez siebie klasztorze, położonym w lesie nad rzeką Czinduin. A jeszcze później propagował ją, wędrując od jednej miejscowości do drugiej, ucząc medytowania laików.

Akt wolności

Ledi był doświadczonym nauczycielem medytacji, wiedział też, co pisały o niej starożytne teksty. W oparciu o tę wiedzę i doświadczenie odnowił i uprościł praktykę i teorię medytacji. Mniejszy nacisk kładąc na skupienie w klasztornym odosobnieniu (*samatha*), podkreślając natomiast konieczność prostej obserwacji rzeczywistości i procesów wewnętrznych (*vipassana*), które pozwalają odkryć naturę umysłu (*sati*).

Grupy medytujących laików nazywał „mnichami w świecie", a swoje nauczanie zabarwiał także elementem patriotycznym. W czasach, gdy jego kraj był coraz mocniej kolonizowany, a król umierał na wygnaniu, Ledi mówił o niepodległości wewnętrznej i królestwie ducha. Praktykę medytacji uważał za akt patriotyczny i rewolucyjny protest. Aspekt socjopolityczny mocno oddziaływał na medytujących, nie należy go więc lekceważyć.

Obok Lediego Sayadawa, zmarłego w 1923 r., w podobny sposób działało w tym czasie w Birmie kilka innych osób. Wymieńmy spośród nich dwie: U Naradę (1868-1955) i Mahasiego Sayadawa. (1904-1982), których najważniejszą zasługą było odkrycie i rozpropagowanie starożytnego tekstu Satipatthana Sutta, fundamentalnego dla medytacji *vipassana*, czy też – jak przyjęło się dziś mówić – medytacji uważności albo *mindfulness*. Jakkolwiek by rzeczy nie nazywać, początków tej współcześnie rozpropagowanej metody medytacji szukać należy w Birmie, w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku.

Ledi Sayadaw o medytacji:

Jeżeli obecnie wiele osób nieustannie zaniedbuje praktykę uważności ciała i tym samym żyje bez kontroli umysłu, to nawet jeśli są buddystami, jedynie dryfują i pogrążają się w saṃsārze, tak jak to miało miejsce w przeszłości.
Nie mając kontroli nad umysłem, z pewnością będą dryfować w saṃsārze, ponieważ bez kontroli umysłu nie można ani pracować nad wyciszeniem (*samatha*), ani osiągnąć głębokiego wglądu w rzeczywistość (*vipassana*). Z drugiej strony, uzyskanie kontroli nad umysłem jest pewną ścieżką wiodącą do nibbāny, ponieważ umożliwia podjęcie pracy nad wyciszeniem i wglądem. Medytacja nad uważnością ciała jest wysiłkiem zmierzającym do uzyskania kontroli nad umysłem.
(TŁUM. MB)

Ledi Sayadaw, „Ānāpāna Dīpanī: Manual of Meditation on Breathing", 1904

Rolnik uczy ciszy

Wróćmy do Sayi Thetgyu, założyciela pierwszego ośrodka medytacji w Pyawbwe. Pochodził z ubogiej rodziny i od wczesnej młodości musiał ciężko pracować. Gdy miał lat 16 ożenił się, a przekroczywszy 20. rok życia zaczął uczęszczać na spotkania jednej z grup medytacyjnych stworzonych według metody Lediego Sayadawa. Po śmierci dwójki dzieci w epidemii cholery przeszedł załamanie psychiczne – po czym zaczął wieść życie bezdomnego wędrowca. Wtedy też poznał osobiście Sayadawa, pod którego kierunkiem oddał się intensywnej medytacji w samotności. Po kilkunastu latach powrócił do rodzinnej wsi, gdzie założył medytacyjny ośrodek.

Saya nie był człowiekiem wykształconym: nie zostawił po sobie pism, w głoszonych naukach o medytacji opierał się na tym, czego nauczył się od Lediego. Ale musiało być coś szczególnego w jego osobowości i sposobie bycia, skoro do założonego przez niego centrum, skromnego i położonego na uboczu, przybywało wielu chętnych, świeckich i mnichów, także z zagranicy. Bywało, że w sali medytacyjnej gromadziło się dwieście osób, a on medytował z nimi, udzielając prostych wskazówek dotyczących koncentracji, oddechu i obserwacji umysłu. Swoim uczniom proponował też co jakiś czas trzydniowe lub tygodniowe odosobnienia.

Jego postać oraz sposób medytowania opisała Marie Byles, Australijka, która w 1939 r. przebywała w założonym przez Sayę Thetgyu centrum („Journey into Burmese Silence", 1962).

Warto też dodać, że w tym samym mniej więcej czasie podobne, otwarte dla wszystkich ośrodki medytacji, powstały również na Cejlonie i w Tajlandii. Najbardziej znanym był Ogród Wolności (Wat Suan Mokka), założony w 1932 r. przez Buddhadasę (1906-1993).

Z dżungli do ONZ

Wschodnie ośrodki medytacyjne, zrodzone w okresie międzywojennym, na dalekim, południowym wschodzie Azji, z czasem zaczęły pojawiać się w wielu krajach na wszystkich kontynentach. Należy jednak odróżniać je od znanych już na Zachodzie „centrów medytacji", na przykład hiszpańskich *sala meditatoria*, tworzonych już przez pierwsze pokolenia jezuitów. Samo słowo medytacja – *meditatorium* – także było na Zachodzie znane od dawna: używał go już św. Hieronim w IV w. (PL 22, 723). Ale – w przeciwieństwie do ośrodków tworzonych przez Sayę Thetgyu w Birmie – nie były miejscami otwartymi dla wszystkich, bez względu na pochodzenie, płeć czy przynależność religijną.

Do tradycji wschodnich ośrodków nawiązał bezpośrednio w 1952 r. Dag Hammarskjöld, sekretarz generalny ONZ, otwierając w nowojorskiej siedzibie tej organizacji salę, o której pisał: „Jest przeznaczona dla tych, którzy przychodzą, aby swą pustkę wypełnić tym, co uda im się znaleźć w spokoju własnego wnętrza". ©

eprasa.pl 997335f986

O. WACŁAW

Oszajca:
Pobożni manipulanci



Maryja, Matka Chrystusa, jest Królową Polski, ale też patronką Ukrainy, Austrii, Łotwy, Estonii, Portugalii, Węgier, Bawarii, Rosji, Meksyku, Filipin, Chile, Argentyny, Brazylii, Kolumbii, Paragwaju, Peru, Wenezueli, obydwu Ameryk i wielu innych państw. U nas Maryja nosi też tytuł Hetmanki Żołnierza Polskiego. Na Jasnej Górze mamy jej ikonę w ryzie sporządzonej z odznak wojskowych. I wszystko byłoby w porządku, gdyby wspomniane państwa wiodły „życie ciche i spokojne, w wielkiej pobożności i z godnością", o co w każdą Wielkanoc prosimy Chrystusa: „Najwyższy Pasterzu, wejrzyj łaskawie na wszystkich sprawujących władzę i kieruj ich sercami według Twojej woli". Spełnienia tej modlitwy po kim jak po kim, ale po państwach, które mienią się królestwami Maryi, należałoby się spodziewać. Historia pokazuje jednak coś zupełnie innego.

W Austrii, gdzie Matkę Jezusa nazywają „Wielką Matką Austrii", w katolickiej rodzinie przyszedł na świat Adolf Hitler, który w Bawarii, gdzie Maryję nazywają „Nasza Kochana Pani", znalazł wielu zwolenników. W Rosji podobną rolę co Hitler odegrał Józef Stalin, z pochodzenia Gruzin, ochrzczony w prawosławnej Cerkwi, niedoszły prezbiter tegoż Kościoła. Niechcący o tym pamiętać mówią, że przecież w krajach niechrześcijańskich działo się i dzieje podobnie, więc nie jesteśmy tacy najgorsi, a poza tym grzech pierworodny i diabeł to potężny przeciwnik. Jednak papież Leon mówi: „Biada tym, którzy manipulują religią i samym imieniem Boga dla własnych korzyści militarnych, ekonomicznych i politycznych, wciągając to, co święte, w mrok i błoto. To świat postawiony na głowie, wyzysk Bożego stworzenia, który musi zostać napiętnowany i odrzucony przez każde uczciwe sumienie".

Pamiętając o tym i szanując rangę problemu, trzeba by przejrzeć np. nasze maryjne dziedzictwo i przestać śpiewać: „Zasłużyliśmy, to prawda, przez złości, / By nas Bóg karał rózgą surowości, / Lecz kiedy Ojciec rozgniewany siecze, / Szczęśliwy, kto się do Matki uciecze (...) Ratuj nas, ratuj, Matko ukochana, / Zagniewanego gdy zobaczysz Pana, / Mieczem przebite pokazuj Mu serce, / Gdy Syna na krzyż wbijali morderce". A przecież jeśli już, to nie Bóg pognieważał się na nas, ale my na Niego, a tych, którzy Jezusa przybili do krzyża, łatwo ustalić. Wystarczy przeczytać Mt 7, 21-23. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Rozsiani



Co za słowo! Jaka w nim się kryje Dobra Nowina. Ile nadziei! I jakie przemeblowanie głowy. Rzeczywista zmiana myślenia – to znaczy: nawrócenie! Fragment Dziejów Apostolskich z liturgii w ostatnim tygodniu najpierw w przekładzie naszego lekcjonarza: [po męczeństwie Szczepana] „Wszyscy, z wyjątkiem apostołów, rozproszyli się po okolicach Judei i Samarii (...) Ci, którzy się rozproszyli, głosili w drodze słowo" (zob. Dz 8, 1b-8). Tymczasem, w greckim tekście mamy w obu miejscach słowo *diaspeiro*, które oznacza najpierw tyle, co „rozsiać, rozsiewać". Co więcej, w obu przypadkach została użyta bierna forma czasownika, trzeba by więc tłumaczyć: „zostali rozsiani/posiani wszędzie". Różnica jest fundamentalna: rozprasza diabeł! Całą Biblię to czyni. Rozprasza, posługując się na przykład strachem... Bóg nigdy nie rozprasza. Bóg zawsze zbiera! Ale Bóg również hojnie sieje. Na każdy rodzaj gleby – nawet na skały i na drogę...

To, co się dzieje, można – ze światem – odczytywać jako co najwyżej boski dopust: „Wybuchło wielkie prześladowanie w Kościele jerozolimskim". Więc ludzie opuszczają Jerozolimę – po prostu ratują swoje życie, uciekając, gdzie to tylko możliwe. Ale w oczach (i zamiarze!) Boga ma to kompletnie inny obraz: dokonuje się wielki siew. Do tej pory – mimo wszystkich poleceń Pana – nie potrafili opuścić Świętego Miasta. Czuli się w nim bezpiecznie, zleconą misję traktując jak jakąś perspektywę, mgliście niedookreśloną... Teraz prześladowanie wygnało ich z miasta. I otwarło przed nimi nową szansę: „Ci, którzy zostali [dosł.] rozsiani, głosili w drodze słowo".

I to jak! Budząc radość. „Wielka radość zapanowała w tym mieście [w Samarii]" (Dz 8, 8). Czy człowiek prześladowany, sponiewierany, jest w stanie głosić i wnosić radość wszędzie tam, gdzie się odezwie albo coś uczyni? Tymczasem, rzeczywiście, ludzie w Samarii, spotykając Filipa (jednego z Siedmiu) mają wrażenie, że uczynił w ich mieście obecnym Jezusa, który przez niego mówi i działa: uwalnia opętanych, uzdrawia sparaliżowanych i chromych. Prześladowany staje się apostołem napełniającej radością obecności Jezusa! Oczywiście wyłącznie dlatego, że jest ziarnem posianym przez Niego w nowym miejscu, przyniesie plon: stokrotny, sześćdziesięciokrotny, a inny trzydziestokrotny... ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 997335f986

REKLAMA

Preisner Scoring Competition

GALA FINAŁOWA



MY LIFE

PREISNER'S MUSIC

27 CZERWCA 2026

HALA WIDOWISKOWA POD DĘBOWCEM
W BIELSKU-BIAŁEJ

BILETY: BILETSERWIS.PL

eprasa.pl 997335f986

ROZMOWA

NAD RZEKĄ BEZ KOŃCA

AGA KIEPUSZEWSKA, WOKALISTKA:

Śpiew to strumyczek, który w nas płynie.
Niekiedy jest wąziutki, malutki. Aż pewnego dnia zamienia się w rwącą rzekę.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Pierwsze występy?

AGA KIEPUSZEWSKA: To były pewnie jasełka, kolędy. Pamiętam, głównie za sprawą zdjęć, przypięte do ubranka skrzydełka z tektury. Oraz to, że tata zachęcał, żebym śpiewała głośniej – szczególnie w kościele.

Jest muzykiem?

Nie, architektem, ale gra amatorsko na gitarze. I to zapewne przez jego niespełnione marzenie o byciu muzykiem zostaliśmy z bratem i siostrą posłani do szkoły muzycznej.

Fajnie było?

Mnie zawsze pociągała improwizacja, a na szkolnych zajęciach z rytmiki mogłam rozwijać na przykład improwizację fortepianową. Jednocześnie jako nastolatka prowadziłam chór kościelny, animowałam śpiew na pielgrzymkach...

...z myślą o karierze wokalistki?

Wiesz, akurat we własnym śpiewaniu nie widziałam niczego nadzwyczajnego. Fascynował mnie raczej śpiew wielogłosowy, chór, który ma naprawdę niesamowitą moc.

Zresztą dyrygenturę chóralną wybrałam właśnie dlatego, że nie przepadałam za byciem solistką, nie lubiłam eksponować siebie. Nigdy nie zależało mi na tym, żeby ktoś mnie oglądał, oklaskiwał – nie dawało mi to radości ani satysfakcji. Większa frajda wynikała z przebywania na scenie w gronie przyjaciół. Tak jest do dziś, dlatego gram z zespołem.

Zatem zrobiłaś studia dyrygenckie...

...choć tak naprawdę zawsze chciałam iść na jazz. Pochodzę ze Słupska, to jest naprawdę mała miejscowość, ale już w latach 90. było tam co najmniej kilka osób marzących o tym, by studiować na legendarnym Wydziale Jazzu w Katowicach.

Nie mieliśmy mediów społecznościowych ani YouTube'a, żyliśmy muzyką z kaset i płyt, które odtwarzaliśmy na podwórku, w kościele. Słuchaliśmy Ewy Bem, Natalii Niemen, Mietka Szcześniaka, Trzeciej Godziny Dnia. I ja też marzyłam o tym, żeby zdawać do Katowic, ale jednocześnie myślałam sobie, że do śpiewania swoich rzeczy to jednak trzeba coś przeżyć.

Dlaczego?

Może dlatego, że wychowałam się na piosenkach, które o czymś opowiadały, niosły ze sobą historię.

Grzegorz Karnas, wokalista i mój pierwszy nauczyciel śpiewu, bardzo mnie pchał do samodzielnego pisania. „Wydaj płytę, wydaj płytę" – powtarzał. No i na tę pierwszą płytę rzeczywiście napisałam swoje teksty, ale jeszcze nie miałam odwagi pisać muzy. Za to wymyśliłam sobie, że zaproszę do współpracy młodych kompozytorów, którzy ją dla mnie skomponują.

I nie pojechałaś do Katowic?

Nie, najpierw skończyłam tę dyrygenturę. Ale na ostatnim roku przyjaciele ze studiów mocno już nalegali, że muszę tam zdawać.

Krzysztof Dys, pianista, nagrał specjalnie dla mnie na fortepianie podkład do piosenki Komedy. Oryginalnie wykonywała je Kalina Jędrusik, kojarzysz? „Ja nie chcę spać, ją nie chcę umierać, chcę tylko wędrować po pastwiskach nieba, biało-zielone obłoki zbierać". To właśnie zaśpiewałam na egzaminach wstępnych.

Jak poszło?

Okazało się, że przyjmują jedną osobę na rok, a nas zjechało się tam z całej Polski osób dwieście pięćdziesiąt. Byłam szósta pod kreską, dostałam się na zaoczne.

Pracowałam już wtedy w Krakowie, w Nowej Hucie otwierałam pracownię muzyczną, miałam prowadzić zajęcia z dzieciakami w ośrodku socjoterapii. Ponieważ rodzice zdecydowali, że będą mnie wspierać w finansowaniu studiów, zmniejszyłam sobie etat, żeby w piątki wyjeżdżać już z Krakowa do Katowic na zajęcia. No i tak się zaczęła moja śląska przygoda.

Było dobrze?

Tak, to wspaniałe środowisko. Poznałam muzyków, z którymi do dziś się przyjaźnię, gram koncerty – to był taki bonus ↦

AGA KIEPUSZEWSKA: *Na tej płycie ważne są też zdjęcia. Zrobiła je Irmina Walczak, utytułowana fotografka, specjalizująca się w fotografii dokumentalnej i rodzinnej. Nie chciałam sesji modowej, zależało mi na zdjęciach współgrających z tekstami. Poszłyśmy więc nad rzekę w Sieradzu z bliskimi kobietami: moją teściową i kuzynką. Irmina zaplanowała, jak będą wyglądać ujęcia. To był projekt analogowy, wiedziałyśmy, że mamy pięć rolek, każda po dziesięć ujęć. Musiało się udać.*

eprasa.pl 997335f986



IRMINA WALCZAK / MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 997335f986



IRMINA WALCZAK / MATERIAŁY PRASOWE

↦ od życia. Pracowałam też na przykład z Anią Gadt, która była w tym roku nominowana do Fryderyka za piękną płytę „Coincidentia Oppositorum". Dobry czas.

A Twoja pierwsza płyta?

Wysłałam ją do Grażyny Auguścik, wokalistki jazzowej, także pochodzącej ze Słupska. Poprosiłam o parę słów, które chciałam potem rozesłać do wydawców. Grażyna napisała notkę polecającą, dzięki której Agencja Muzyczna Polskiego Radia postanowiła wydać mój debiut. Jestem Grażynie za to dozgonnie wdzięczna i sama staram się podobnie wspierać początkujących twórców.

Uczyłaś śpiewu. Jak to się robi?

Wiesz, ja ze swoją nauką śpiewu trafiłam w takie okienko czasowe, kiedy modna była u nas amerykańska metoda Speech Level Singing opracowana przez Setha Riggsa. Ona zawiera taki zestaw ćwiczeń mających być czymś w stylu fitnessu dla krtani.

Po latach widzę, że ona się sprowadzała wyłącznie do ćwiczeń rejestru piersiowego i głowy, robiło się je w celu wytworzenia tzw. równobrzmiącego miksu. Problem polega na tym, że Speech Level Singing nie mówi niczego o ciele, emocjach, o tym, że głos, który z siebie wydobywamy, jest indywidualny. Ani o tym, jak w ogóle go z siebie wydobywać i pielęgnować.

Nauka śpiewu tą metodą polega na ociosywaniu każdego głosu niemalże pod linijkę, co poskutkowało tym, że wielu wokalistów ćwiczących w tym nurcie zaczęło brzmieć podobnie, jeśli nie tak samo.

Zdałam sobie sprawę, że SLS zupełnie nie pomaga mi w tym, co chcę osiągnąć. Oczywiście miałam jakieś swoje aspiracje, żeby zwiększyć skalę... A przecież to w ogóle nie o to chodzi w śpiewaniu.

A o co chodzi?

Zobacz, wierzymy, że funkcjonujemy lepiej, jeśli prowadzimy regularny tryb życia, prawda? Staramy się codziennie robić 10 tysięcy kroków, spacerować, wysypiać się, odpowiednio odżywiać. Rozwijamy i pielęgnujemy nawyki, które nas budują. Śpiewanie reguluje nasze ciało w podobny sposób.

I nie trzeba się tego uczyć – wszyscy potrafimy.

No nie wiem...

Tak jak wszyscy potrafimy się śmiać i płakać, tak samo potrafimy śpiewać. Mniej więcej w okolicach drugiego albo trzeciego roku życia dzieci samoczynnie improwizują, wymyślają sobie piosenki. Tyle że w tym czasie, albo trochę później, pojawia się ktoś, kto krytycznie do tych naszych improwizacji podchodzi i sobie odpuszczamy.

Ktoś po prostu błaga, żebyśmy się nie darli.

A ja nigdy nie robiłam castingów, nigdy też nikogo nie wywaliłam z próby. Kiedy prowadziłam chór, każdy miał do niego wstęp. A pracowałam naprawdę z różnymi grupami. Najpierw z chórem gospel w Krakowie, potem dwa lata z amatorskim chórem seniorów w Jaworznie. Średnia wieku wynosiła, powiedzmy, sześćdziesiąt lat, ale mieliśmy też pana w wieku lat 86. I wiem, że systematyczne śpiewanie – jak w ogóle wszystko, co robimy systematycznie – niesamowicie nas buduje, wzmacnia.

Co więcej, myślę teraz o założeniu w naszej gminie w Prażmowie, gdzie mieszkamy, chóru wielopokoleniowego, żeby dziadkowie oraz rodzice z dziećmi mogli przyjść wspólnie pośpiewać, rodzinnie. Strasznie mnie kręcą takie „bezproduktywne" spotkania i śpiew w czasach, kiedy liczy się efekt, wynik. Kiedy wszystko, co robimy, musi być po coś, do czegoś się w życiu przydawać.

Podam ci przykład – brałam ostatnio udział w bezpłatnych, otwartych „Porankach w ruchu" organizowanych w warszawskim Zamku Ujazdowskim. Ludzie przychodzą tam o dziesiątej rano i przez półtorej godziny tańczą, ruszają się spontanicznie. I wiesz co? Walą na to drzwiami i oknami. Oczekiwano, że grupa będzie liczyła mniej więcej 30 osób, a przychodzi prawie 70.

Jest w nas taka potrzeba, żeby śpiewać, ruszać się.

Ale też się trochę wstydzimy.

Wszystkie programy telewizyjne, w których szuka się nowych gwiazd, zamykają nas na śpiew. Patrzymy na kogoś, kto śpiewa jak Whitney Houston albo Michael Jackson, i się nam włącza wewnętrzny krytyk: „nie no, ja bym tak nie zaśpiewała, ale by mnie zjechała ta komisja, lepiej nie próbować".

Takie dokładnie efekty obserwowałam, kiedy prowadziłam zajęcia w szkole mojego syna, z licealistami. Po 45 minutach wydali z siebie pierwszy dźwięk. To było po prostu uparte przedzieranie się przez wstyd. Żeby ta młodzież odważyła się wydobyć z siebie cokolwiek, musiałam podzielić się z nimi osobistymi historiami życiowych porażek.

Jakimi historiami?

Był taki moment, że przestałam śpiewać. Urodziłam syna, wróciły do mnie różne trudne przeżycia z dzieciństwa. Chciałam zaśpiewać piosenkę i rozpadałam się, zaczynałam płakać.

Wyobraź sobie, że całe życie śpiewasz i raptem nie możesz wydobyć z siebie dźwięku... Wydaje mi się, że instrumentaliści też tak czasem mają, że pojawiają się jakieś spięcia ręki albo bóle kręgosłupa.

eprasa.pl 997335f986

Trzy lata się zbierałam, żeby zadzwonić do Kasi Rościńskiej. To wokalistka, znana także ze sceny, śpiewa m.in. z Natalią Kukulską. Ale przede wszystkim jest świetną pedagożką. No i ona powoli, przez kolejne dwa lata, tydzień w tydzień, wydobywała ze mnie głos. Czasem na lekcji udało nam się zaśpiewać tylko jeden dźwięk. Ale powolutku mój głos zaczął wychodzić z wnętrza mnie, z miednicy, nie z gardła. To był przełom.

Czego się nauczyłaś?

Przestałam obsesyjnie pilnować tego, że każdy dźwięk ma być idealny. W szkole muzycznej uczysz się, że musisz bezbłędnie zagrać każdy utwór, musisz być perfekcyjna.

Grałam już siedemnaście lat, gdy pani od fortepianu, na studiach, zapytała: „Agnieszko, a czy ty masz przyjemność z grania na fortepianie?". A ja mówię: „No mam, jak już nauczę się utworu na pamięć, zrobię interpretację, jak umiem go zagrać dobrze, to wtedy ewentualnie tak, mam przyjemność". A ona: „Nie lepiej byłoby mieć radość z grania każdego dźwięku?".

Tak samo jest ze śpiewaniem?

Więcej: to jest opowieść o przyjmowaniu siebie. Umiejętności powiedzenia sobie: no dobra, dzisiaj mam tylko tyle siły i to jest w porządku.

Kasia, u której się wciąż uczę, opowiada o śpiewaniu jak o strumyczku, który w nas płynie. Jednego dnia ten strumyczek jest taki wąziutki, malutki. A innego płynie rwąca rzeka.

Jak przyszłam na pierwszą lekcję, powiedziałam, że za miesiąc chcę nagrać płytę. Kasia na mnie spojrzała i mówi: możesz to zrobić teraz albo za półtora roku. Co? Półtora roku? No i po dwóch latach od tamtego spotkania rzeczywiście wydaję płytę.

Warto dać sobie czas?

Inaczej: ten czas trzeba sobie wziąć, zagarnąć, wyszarpać. Mój znajomy powiedział kiedyś, że niczego by w życiu nie zrobił, gdyby sobie „nie brał czasu". Szczególnie my, kobiety, mamy czasu o wiele mniej, bo angażujemy się częściej nawet w doraźną pomoc naszym przyjaciołom, rodzinie. To my pamiętamy o urodzinach, kupujemy prezenty, robimy zakupy. Kosztem tego nasz czas po prostu się uszczupla.

Trzeci solowy album Agi Kiepuszewskiej, „Cisza wszystkich łąk"



To opowieść o życiowej harmonii i odzyskiwaniu mocy. Nie tylko teksty, ale i świadomy dobór środków muzycznych pokazuje, co to znaczy artystyczna – i życiowa – dojrzałość. Artystka, która ma solidne wykształcenie muzyczne (studiowała dyrygenturę chóralną, kompozycję, muzykę dawną i wokalistykę jazzową), celowo odrzuca wiele z wyuczonych technik, wybierając naturalność. Na najnowszym albumie jej głos jest wolny, otwarty i swobodny. Nie ma tu perfekcyjnej intonacji, idealnej interpretacji. Prowadzenie frazy, sporo rejestru „głowowego" i charakterystyczne wibrato przywodzi na myśl styl śpiewania Joni Mitchell, której Kiepuszewska słuchała dużo, bo echa Joni wybrzmiewają nie tylko w jej głosie, ale także w kompozycjach i aranżacjach. Za tę warstwę na albumie u boku Agnieszki odpowiada Nikola Kołodziejczyk. Zespół tworzy dwóch gitarzystów, Adam Jędrysik i Andrzej Imierowicz, kontrabasista Maciej Szczyciński oraz perkusista Miłosz Berdzik. Mimo że cały album utrzymany jest w charakterze piosenki autorskiej, brzmienie zespołu jest na wskroś jazzowe, a forma utworów otwarta, zostawiająca sporo przestrzeni dla improwizacji. Charakterystyczny dla płyty jest brak tradycyjnego podziału na śpiew i akompaniament – tutaj każdy z instrumentów jest odrębnym głosem, a cała piątka ciekawie ze sobą dialoguje. Dużo na tym albumie łagodności, ale jest to także opowieść o odzyskiwaniu głosu i świetnie przypominają o tym gitary w rękach Imierowicza i Jędrysika.

© MARTA KULA

NAJBLIŻSZE KONCERTY AGI KIEPUSZEWSKIEJ:

- **09.05. Oficyna Kultury, Młochów, Nadarzyński Ośrodek Kultury**
- **06.07. Premiera Winyla, Open Stage Ether Jazzu, Radio Łódź**
- **08.07. SPATiF, w ramach JazzState, Warszawa**

Dobra, wyrwałam pół godziny. Jak mam znaleźć swój głos?

Usiądź sobie na krześle przed lustrem. Zaśpiewaj parę samogłosek. Nie spiesz się. Staraj się poczuć, jak dźwięk wypływa z miednicy, jak przepływa przez jamę brzuszną, jak wibruje. Jak masuje całe wnętrze ciała. Pomyśl, że ten dźwięk, który wydobywasz, działa jak masaż narządów wewnętrznych. Poczuj siebie w tym wnętrzu. Przyglądaj się, obserwuj, nie oceniaj. Nastaw się na wędrówkę, wysiłek.

Ciężkie to jest, bo my mamy sporo oczekiwań wobec siebie. A czasem słyszymy głosy z zewnątrz – naszych nauczycieli, pani od muzyki, a może rodziców. Kogoś, kto ma wobec nas oczekiwania.

Są samogłoski, które bardziej sprzyjają otwarciu. Są takie, które bardziej zwężają gardło. Kaśka ma taki zmysł, że wie, w jakiej tonacji zacząć lekcję, żeby rozgrzać troszeczkę głos i dać sobie czas. Bo z głosem jest jak z instrumentem: ważne jest ciśnienie, powietrze, ale ten instrument ma też swój stan emocjonalny, który wpływa na jego brzmienie.

Kiedy wiadomo, że jest dobrze?

Ja po latach śpiewania „z głowy" nagle usłyszałam, jak ten prawdziwy dźwięk się przeze mnie przedziera. Kiedy czuję, że jestem poruszona, to znaczy, że on idzie właśnie z brzucha, z tego miejsca, gdzie gromadzimy doświadczenia, emocje.

Ten dźwięk mi też przynosił coś w rodzaju... nie wiem... słowo „satysfakcja" nie będzie najlepsze... Może: poczucia autentyczności? Wiesz, ja mogę zaśpiewać ładne, poprawne „aaaa", ale to w ogóle nie o to chodzi. Nie chcę śpiewać ładnego dźwięku, ja chcę śpiewać dźwięk prawdziwy. Chcę się dokopać do swojego głosu, który być może mnie zaskoczy, bo będzie dziki albo chropowaty.

O tym jest Twoja płyta?

Nagrałam płytę, na której jest sześć, a nie trzynaście piosenek, ale uznałam, że w tym akurat momencie, kiedy jestem matką, to będzie aż nadto. To, co śpiewam, jest rodzajem medytacji. O czym opowiadam? Że nie chcę szybciej żyć. I staram się zaśpiewać to tak, żeby to nie były puste słowa.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

eprasa.pl 997335f986

Muzeum Śląskie

GDZIE DIABEŁ MÓWI DOBRANOC!

Noc Muzeów
w Muzeum Śląskim
w Katowicach





16.05.2026 / godz. 18.00–24.00

Warsztaty, wykłady, koncerty,
performance taneczne

REKLAMA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Województwo Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Muzeum Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl

Iceland Liechtenstein Norway grants

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

eprasa.pl 997335f986





PIOTR MARKOWSKI x2

Maj z Sinfoniettą Cracovią

Rozmaitość repertuarowa, różnorodność przestrzeni i całe spektrum koncertowych emocji – Orkiestra Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa Sinfonietta Cracovia zaprasza, by w maju spotkać się przy muzyce klasycznej.

W niedzielę 10 maja, w samo południe, odbędzie się drugi w tym roku koncert z cyklu „Espresso". Kameraliści Sinfonietty Cracovii wystąpią w przestrzeni Muzeum Fotografii przy ul. Rakowickiej, które zostało współorganizatorem cyklu na 2026 r. Koncerty „Espresso" to propozycja dla tych, którzy chcieliby skosztować sztuki i muzyki w przystępnej, krótkiej formie, z filiżanką kawy w dłoni, być może w przerwie niedzielnego spaceru. Programowi muzycznemu zawsze towarzyszy rozmowa poświęcona sztuce. Tym razem skoncentrujemy się na wystawie pt. „Wspólnie. 20 lat kolektywu Sputnik Photos", która prezentowana jest w MuFo od 11 kwietnia br. Ekspozycja ukazuje dorobek jednej z najważniejszych grup fotograficznych Europy Środkowo-Wschodniej. Choć kolektyw powstał w 2006 r., w innej niż dzisiejsza rzeczywistości pozimnowojennej, ich twórczość pozostaje bardzo aktualna. Według artystów, fotografia stanowi narzędzie współpracy, inicjuje rozmowę i buduje więzi; staje się swego rodzaju manifestem wspólnotowego działania w czasach pełnych podziałów i niepokoju. Kuratorką wystawy jest Marta Szymańska.

Spotkanie z fotografią dopełni niezwykle emocjonalny, pełen pozamuzycznych odniesień III Kwartet smyczkowy „Mishima" Philipa Glassa. Choć Glass, genialny minimalista i mistrz hipnotyzujących, repetytywnych struktur, stworzył ten utwór do filmowej biografii japońskiego prozaika, poety, wizjonera i skandalisty Yukio Mishimy, jego znaczenie wykracza daleko poza ekranowe kadry. Kwartet stał się autonomicznym dziełem, które regularnie pojawia się w programach najważniejszych sal koncertowych świata. Wydarzenie potrwa nie dłużej niż godzinę. Po nim wszyscy uczestnicy zaproszeni są na zwiedzanie wystawy.

Wieczór 21 maja w sali koncertowej Filharmonii Krakowskiej będzie spotkaniem z młodym pokoleniem artystów muzyków. W kolejnym koncercie z cyklu „Gwiazdy z Sinfoniettą", w ramach programu „Muzyczne mosty" w roli solisty wystąpi 24-letni francuski kontrabasista Marc André, który mimo młodego wieku już zdążył zapisać się w historii jako pierwszy kontrabasista, który podpisał wyłączną umowę z Warner Classics – jedną z najważniejszych wytwórni muzyki klasycznej. Nazwany został wschodzącą gwiazdą przez stację Classic FM w ramach jej prestiżowego programu „30 Under 30", a 10 kwietnia tego roku premierę miał jego debiutancki album pt. „Mirage". André gra na zmodyfikowanym kontrabasie, którego brzmienie bliższe jest wiolonczeli. Z Sinfoniettą Cracovią wykona Koncert kontrabasowy nr 2 h-moll Giovanniego Bottesiniego. To utwór utrzymany w klasycznej formule, lecz charakteryzujący się głęboką ekspresją partii solowej. Jest to interesujący element programu także z tego powodu, iż partie solowe na kontrabas nieczęsto są spotykane w muzyce klasycznej. Bottesini jednak, sam będąc wirtuozem kontrabasu, wielokrotnie stawiał ten instrument w centrum swoich kompozycji.W repertuarze wieczoru znajdzie się także Serenada na orkiestrę smyczkową Karłowicza, a jego zwieńczeniem będzie IV symfonia B-dur Beethovena. Kompozycja znacznie weselsza i bardziej sielska od pozostałych symfonii wiedeńskiego klasyka, ujawnia nowe trendy obecne już wówczas w jego twórczości, a linie melodyczne instrumentów dętych przywołują rustykalne skojarzenia.

Orkiestrę poprowadzi Katarzyna Marek, 27-letnia reprezentantka pokolenia młodych polskich dyrygentów. Wiedzę i doświadczenie zdobywała w ramach studiów na Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu, które ukończyła z wyróżnieniem. Aktywnie promuje muzykę nową. Z Sinfoniettą Cracovią współpracuje w ramach programu „Dyrygent-rezydent", asystując gościnnie prowadzącym zespół dyrygentom, a także samodzielnie kierując orkiestrą.

Sinfonietta Cracovia to jednak nie tylko duże sale koncertowe czy przestrzenie muzealne. Instytucja chce być jeszcze bliżej mieszkańców, dlatego w tym roku wraz z Radami Dzielnic współorganizuje cykl „Sinfonietta w Dzielnicach". W przedostatni dzień maja orkiestra spotka się z Krakowianami w Parku Decjusza na Zwierzyńcu. Skrzypcowy duet kameralistów Sinfonietty wykona m.in. dwie sonaty Jeana-Marie Leclaira. To możliwość spędzenia godziny z klasyką w sobotnie popołudnie w jednym z najstarszych parków w mieście. ©

Więcej informacji
o wydarzeniach uzyskać można na **www.sinfonietta.pl** lub w Biurze Obsługi Widowni, nr tel. 784 936 909.
Mecenas Orkiestry: ORLEN
Patron medialny Orkiestry: Program 2 Polskiego Radia

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 997335f986

HISTORIA

DWA ZAMACHY

Falstart grudniowy roku 1922 i reset majowy roku 1926: co łączy zabójstwo pierwszego prezydenta II RP z obaleniem rządu cztery lata później?

WALDEMAR ŁAZUGA



Falstart i reset: te pojęcia nie należą do historycznego porządku. Mają jednak pewien walor. Odniesione do zamachu na Gabriela Narutowicza (16 grudnia 1922 r.) oraz zamachu majowego (12 maja 1926 r., który wiąże się z ustąpieniem drugiego i wyborem trzeciego prezydenta II RP), łączą oba zamachy i nadają im inny wymiar.

Falstart mówi o nieudanym początku młodego państwa, związanym z prezydenturą. Reset o próbie budowania państwa i prezydentury od nowa.

Mamy więc dwa zamachy, z których żaden nie przynosi rozwiązania. I jeśli nie liczyć pierwszego okresu, kto inny w Polsce władzę dzierży, a kto inny ją formalnie piastuje. Mamy słabe rządy, podzielone społeczeństwo i na początku II Rzeczypospolitej wiele wad ustrojowych i mentalnych, które doprowadziły do upadku Pierwszej w XVIII stuleciu. Mamy też względną równowagę sił dwóch stojących naprzeciw siebie obozów.

Zapytajmy: gdzie tkwią źródła „niemocy" – falstartów, resetów i zaczynania od nowa? W konstytucji z 1921 r., która przyznała wielkie kompetencje Sejmowi, kosztem prezydenta? W historii, która bardziej nas dzieliła niż łączyła? W niedostatkach bohaterów tego dramatu?

EKSPERYMENT PAŃSTWOWY | Jeśli idzie o prezydentów, mamy trzy nazwiska: Narutowicz, Stanisław Wojciechowski (1922-26) i Ignacy Mościcki (1926-39). Jeśli mowa o budowniczych państwa, dwa: Józef Piłsudski i Roman Dmowski. Gdyby jednak wskazać „władcę" tamtej Polski, jedno: Piłsudski.

Przypomnijmy więc: jest Piłsudski związany z obiema konstytucjami z roku 1921 i 1935 (pierwszą pisano przeciw niemu, drugą pod niego). Stoi za wszystkimi prezydentami, a nawet ich „stwarza". Od początku jest kimś między prezydentem *in spe* a prezydentem *implicite*. Najpierw jest „wizją zmartwychwstającej Polski", potem jej personifikacją. Nie ma wątpliwości, kto nią rządzi. Historia międzywojnia to głównie jego historia.

Zarazem, po 123 latach nieistnienia, trwa eksperyment państwowy. Piąte pokolenie Polaków spod trzech zaborów, które doczekało niepodległości, dopiero poznaje siebie, a często – nie poznaje. Rozbiory nastały, gdy kształtowały się nowoczesne ideologie, narody i gospodarki – pod naszą nieobecność. Na karku mieliśmy różne zaborowe doświadczenia. Ujawniły się podziały. Przetrwała wielonarodowość, oddziedziczona po I Rzeczypospolitej.

Trudno być zadowolonym z tego, co wiemy o ówczesnych Polakach, ich wy-

eprasa.pl 997335f986



WIKIPEDIA

Marszałek Józef Piłsudski przed spotkaniem z prezydentem Stanisławem Wojciechowskim na Moście Poniatowskiego. Warszawa, 12 maja 2026 r.

Od lewej: Kazimierz Stamirowski, Marian Żebrowski, Gustaw Orlicz-Dreszer, Józef Piłsudski, Tadeusz Jaroszewicz i Michał Galiński.

obrażeniach o państwie, narodzie, polityce. Ani z tego, co każda z trzech części Polski wnosiła w wianie. Spis z 1921 r. podaje, że 33 proc. ludności powyżej 10. roku życia stanowili analfabeci: pod rosyjskim zaborem ponad 50 proc., austriackim 40 proc., pruskim 5 proc. Nie licząc elit (te różniły się najmniej), niewiele o sobie wiedzieliśmy. Co mogło spoić ten eksperyment?

IDEA ŁĄCZĄCA | Przed rokiem 1918 kolejne pokolenia doświadczały, że nad ludźmi jest cesarz (car). Wielu zadomowiło się w tym świecie, który zdawał się dany na zawsze. Rozpadu mocarstw zaborczych się nie spodziewano. Dmowski był posłem do Dumy. Julian Fałat malował Hohenzollernów. Narutowicz budował hydroelektrownie w Szwajcarii. Ignacy Paderewski koncertował w USA. Wojciechowski drukował „Robotnika" w Wilnie. W Krakowie urzędnicy starali się wyglądać jak Franciszek Józef.

Idea królestwa – sprowadzona do osoby króla – była najprostszą ideą, gdyby szukać czegoś, co miało spajać. Rozumiał ją nawet najsłabiej wykształcony. Coś tam wiedziano o Piastach i Jagiellonach, oglądano ich sylwetki pędzla Matejki. Obchodzono rocznice, np. w 1910 r. – triumfu Jagiełły. Franz Joseph bywał w Krakowie, Wilhelm II w Poznaniu.

Po roku 1918 nie byłoby problemu z wyobrażeniem sobie króla. Problem był z wyobrażeniem sobie prezydenta.

Tym bardziej że chwilę wcześniej wszystko jeszcze się zgadzało. Po zajęciu Warszawy przez Niemców w 1915 r. powołano Radę Regencyjną: zastępującą przyszłego króla Polski, tej odrodzonej pod egidą Berlina i Wiednia. Choć Niemcy na tronie widzieli Hohenzollerna, Polakom bardziej podobał się Karol Stefan Habsburg z Żywca. Był też koncept związku przyszłego państwa z Wiedniem: Polsko-Austro-Węgry.

Gdy w listopadzie 1918 r. do Warszawy przybył Piłsudski, prasa europejska donosiła, że Rada Regencyjna przekazała mu władzę. To mogło sugerować, że będzie regentem. Lata wcześniej, na Syberii, Cyganka wywróżyła mu, że będzie carem.

NA STOPNIACH TRONU | Nie możemy abstrahować od ówczesnych realiów. W roku 1918 i później stary świat jeszcze nie umarł, a nowy jeszcze się nie narodził. Majestat monarszy był jedną z głównych cech władzy. Król miał go z definicji. Ale z jakiego tytułu miałby go mieć prezydent?

Jesienią 1918 r. żartowano, że pretendentami do tronu są Roman I (Dmowski) i Józef I (Piłsudski). Gdy w 1919 r. Paderewski stanął na czele rządu, oglądano go od strony „dworu": zaprzęgów i etykiety bardziej skomplikowanej niż za Franciszka Józefa (zdaniem austrofilów). Prezydenta Wojciechowskiego, gdy podróżował po Polsce, tytułowano „Mości Panem Prezydentem". O Mościckim mawiano, że wygląda, „jakby się na stopniach tronu urodził".

Gdy w listopadzie 1918 r. naczelnikiem państwa został Piłsudski, zagraniczna prasa podawała, że stoją za nim wprawdzie socjaliści i ludowcy, ale że także Kraków przyjmuje go z ceremoniałem należnym kiedyś Najjaśniejszemu Panu.

Piłsudski zresztą od początku był „osobny". Tytuł naczelnika nawiązywał do zwycięzcy spod Racławic. Zbiegać się w Piłsudskim miały: „umiłowanie ludu przez Kościuszkę, honor księcia Józefa, geniusz Prądzyńskiego, niezłomność Traugutta – gdzież żywy wyraz tych cnót ↦

eprasa.pl 997335f986

↦ rycerskich?". Po wyprawie kijowskiej do charakterystyki tej dołożono dzielność Chrobrego. I różne „kulminacje romantyczne". Był postacią z Króla Ducha. Wymykał się definicjom.

Z Dmowskim, Narutowiczem, Wojciechowskim czy Mościckim takich problemów tożsamościowych nie było. Piłsudski był tajemnicą.

NIE BYŁO MIEJSCA | Polska Piłsudskiego miała przypominać dawną Rzeczpospolitą (a była ona wszak republiką z królem). Miała nie ograniczać się do terytoriów etnograficznych i – jak to sam określał – „trzymać się z Zachodem". Na wschodzie kraju Piłsudski widział „psychologiczną granicę" zachodniego świata, za którą rozciągała się Moskwa. Podobnie jak on myśleli konserwatyści, ludowcy i socjaliści. Po drugiej stronie była endecja z programem etnicznym, antysemityzmem i niechęcią do Zachodu.

Siły po obu stronach były wyrównane. Konstytucja z 1921 r. była właściwie skutkiem tego nierozstrzygniętego sporu – objawem toczonej w całej Europie walki lewicy z prawicą (i przyczyną niestabilności w parlamencie). Prezydenta wyłaniały połączone izby, Sejm i Senat.

Dla Piłsudskiego – naczelnika państwa i zwycięskiego wodza w wojnie z bolszewikami – nie było tu miejsca. Nie tylko dlatego, że wyrastał nad innych. Także dlatego, że budził najsilniejsze emocje i największe nadzieje. Uosabiał syntezę: fantazji z realizmem, wschodniości z zachodniością. Dla wrogów był agentem Austrii, najmitą „filogermańskiej Targowicy". Sam w słowach też nie przebierał, mówił o Polakach „różnych gatunków". Spirala się nakręcała. Dochodziło do tego jego potężne ego.

Prezydentura, jak widziała ją konstytucja z 1921 r., nie była na jego rozmiar. Ale nawet przy takim rozmiarze stała się przedmiotem zaciekłej rywalizacji grup i stronnictw.

GDY NIKT NIE CHCE | Gdy przyszło wybrać, Piłsudski na prezydenta wysunął Wojciechowskiego, towarzysza z wileńskich czasów. Przy wszystkich zaletach (prawości, wyjątkowej bezinteresowności), miał on jednak niedużo „majestatu" kojarzonego z głową państwa.

Narutowicz z kolei miał sławę wybitnego inżyniera, majątek, stary herb. Jednak z usposobienia hermetyczny, był niedoświadczony politycznie. Podobnie jak Wojciechowski, swoją prezydenturę i siebie jako prezydenta musiał dopiero wymyślić.

Maurycy Zamoyski był chyba najbliższy wyobrażeń o głowie państwa, ale i on nie był politykiem. Nie na tyle, by przekonać do siebie socjalistów i ludowców. Poza tym – co samo w sobie dawało do myślenia – podobnie jak wszyscy pozostali kandydaci... prezydentem być nie chciał. I brakiem zainteresowania wynikami głosowania wymownie tego dowiódł.

Narutowicz uważał, że kandydatem bezkonkurencyjnym byłby sam Piłsudski. Ciekawe były argumenty, które przytaczał, namawiając naczelnika do złożenia „ofiary ze swej swobody". Narutowicz podkreślał, że Piłsudski jako prezydent byłby wobec zagranicy najlepszym argumentem za trwałością władzy w Polsce, zaprzeczeniem najgorszym przykładom z naszej historii, najgorszym wyobrażeniom o nas.

Piłsudski ze swej strony nie od razu namawiał Narutowicza do kandydowania. Chciał go zatrzymać na stanowisku szefa MSZ. Był Narutowicz jednym z niewielu ludzi w Polsce, który – zdaniem marszałka – rozumiał Zachód i poruszał się tam swobodnie.

ZAMACH 1922 | Ostatecznie przeszedł Narutowicz, w piątym głosowaniu. Nawet dla obserwatorów śledzących politykę była to niespodzianka. Również dla niego. Słowa, które powiedział na wieść o wyborze („Coście mi zrobili..."), nie były minoderią.

Awantura wisiała w powietrzu. Wielu nie kryło przerażenia. Fakt, że za Narutowiczem kartki rzucili posłowie mniejszości narodowych, wywołał furię po prawej stronie. Narutowicza lżono: miał być sługą Żydów, masonem, pachołkiem Piłsudskiego, Żmudzinem lub Litwinem (jako że urodził się w Telszach na Żmudzi), ale nie Polakiem, narzędziem w ręku mniejszości, które sprzysięgły się przeciw Zamoyskiemu, kandydatowi polskiej większości.

Choć konstytucja wprowadzała równość wszystkich obywateli, endecja utrzymywała, że w najważniejszych dla narodu sprawach decyzja winna należeć do Polaków. Co otwierało pytanie, kto jest Polakiem. I kto ma decydować, jakie sprawy uznać za najważniejsze.

Narutowicz pełnił urząd pięć dni. Jego zabójstwo wywołało szok. W zamachu dostrzeżono bolesną prawdę o nas samych. Świadectwo najgorszych przywar. Ponure echo sprzed wieków. Pytano: czy zasługujemy na niepodległość? Czy konflikt jest tak głęboki, że rozstrzygnąć go może tylko wojna domowa? Niektórzy piłsudczycy chcieli ruszyć i wyciąć endeków.

Na przemoc były gotowe obie strony. Nie był gotowy Piłsudski. W grudniu 1922 r. w czarnym nastroju opuszczał Belweder.

RAMY SKROMNEJ WŁADZY | Po śmierci Narutowicza wybór Wojciechowskiego przebiegł gładko. Wybrany nie miał złudzeń co do swej roli. Miał niewielkie ego, nie koncentrował na sobie uwagi. Znajdował język ze zmieniającymi się premierami. Tonował nastroje i z każdym rokiem raczej zyskiwał.

Ograniczenia, jakie wyznaczała mu konstytucja, go nie uwierały. Piłsudski pewnie rozsadziłby je od razu. Wojciechowski mieścił się w nich bez urazy i w kilku wystąpieniach oświadczył nawet, że te ramy – po latach niewoli narodu – należałoby pochwalić, gdyż „trzeba, aby Polacy rządzili, a nie ktoś nimi rządził".

Miał też niechęć do fraka, alkoholu, parady i wystawności. A że powtarzał frazę o znaczeniu dla narodu „siły moralnej", widziano w tym wpływ socjalisty-mistyka Edwarda Abramowskiego, rosyjskiego anarchisty Lwa Tołstoja oraz... młodego Piłsudskiego, co w stosunkach między nimi zaczynało robić różnicę.

Jednocześnie prowokowało to do dyskusji, czy taka „skromność" służy władzy. Czy nie za mało w niej monarchizmu, skoro jest prezydentura „jedynym realnym węzłem łączącym elementarną psychikę jednostki z abstrakcją państwa".

„Skromny" prezydent słabiej przemawiał do wyobraźni. Wielu wolałoby solidniejszą porcję majestatu. W oczach stangreta hrabiego Badeniego, który nieraz w Wiedniu oglądał Najjaśniejszego Pana, a teraz, zdarzyło się, wiózł prezydenta, był on „zwykłym drukarzem".

Prezydentura zaczynała się od śmierci i słabości. Prezydent w Polsce był słabszy niż najsłabszy nasz król.

eprasa.pl 997335f986

DWÓR W SULEJÓWKU | Śmierć Narutowicza tak poruszyła Piłsudskiego, że już po roku niektórzy zauważyli w nim przykre zmiany. Zamknie księgę „wiernych chłopców", którzy, bywało, umieli mówić mu rzeczy przykre. Otoczy się akolitami. Sulejówek, gdzie osiadł, jest siedzibą ni to dworu, ni to „rządu na wygnaniu". Są audiencje, narady, polecenia. Nie ma liberii. Są mundury.

Piłsudski dużo pisze. Pisać umie. Wraca piórem do śmierci Narutowicza (nie obca uśmierciła go kula). Wyznaje, że się pomylił, licząc, iż wraz z odrodzeniem Polski odrodzi się dusza Polaka. Pisze o „obrzydzeniu", jakie odczuwa. Ucieka w przeszłość, buduje mit Legionów. Wdaje się w polemiki, których kiedyś by unikał. Cierpi, że coraz mniej realne są jego plany wschodnie.

Coraz więcej widzi wokół wrogów i „fałszywych przyjaciół". Wrogowie są już nawet w ukochanym wojsku i gabinetach polityków. Najgorsi są „priwislińcy", jak nazywa narodowców z Królestwa, rozsianych już także w Galicji i Wielkopolsce. Sprawy idą w złym kierunku. Nie o taką Polskę walczył.

Położenie kraju ocenia jak najsurowiej. Wewnątrz sejmokracja, na zewnątrz pakt w Locarno. Fakt, że Niemcy, Belgia, Francja, Anglia i Włochy udzielają sobie w 1925 r. gwarancji, postrzega jako demontaż przymierza z Francją, głównym sojusznikiem.

Jednak są dowody, że długo nie myśli o przewrocie. Owszem, rozważa wrócić do wojska, by je „ratować", ale jako minister. Kryzysy rządowe dają nadzieję na powrót do władzy etapami. Ale kiedy – nie wiadomo.

ZAMACH 1926 | Tymczasem sama jego gotowość do powrotu staje się problemem. Bo Piłsudski w żadnej konstelacji się nie mieści. Gdy 10 maja 1926 r. na czele rządu stanie Wincenty Witos, sytuacja się zaostrzy. Witos bowiem wezwie go do wyjścia z ukrycia i wzięcia odpowiedzialności za państwo. Wezwanie zaprawione było ironią, ograniczało ruchy.

Aż do chwili, gdy 12 maja spotka się z Wojciechowskim na warszawskim Moście Poniatowskiego, Piłsudski nie jest zdecydowany, by użyć siły. Liczy na wrażenie, jakie zrobi jego pojawienie się. Liczy, że prezydent, dawny towarzysz,



NAC x3

Prezydenci II RP: Gabriel Narutowicz (1922 r.)



Stanisław Wojciechowski (1922-26)



Ignacy Mościcki (1926-39)

z którym „spał pod jedną kołdrą", stanie po jego stronie, odwoła wierne rządowi wojska i przechyli szalę.

Wojciechowski go zaskakuje. Odmawia. Oświadcza, że teraz to on jako głowa państwa odpowiada za honor wojska. Słaba prezydentura pokazuje siłę. Piłsudski nie może przyjść do siebie. Jego drogi z Wojciechowskim się rozeszły.

Gdy zaczynają się walki, Piłsudski przeżywa ciężkie chwile. Nie sądził, że są żołnierze, którzy będą do niego strzelać. Wierzył, że jego miejsce jest wśród hetmanów i królów.

Jednak gdy wygra, gdy 14 maja Wojciechowski i Witos złożą dymisje i ma pełnię władzy, nie bardzo wie, co chce z nią zrobić. Pierwsza myśl jest taka, że powoła się nowy rząd, on zostanie prezydentem, ruszą prace nad zmianą konstytucji, która odnowi Polaków i zmieni relacje między prezydentem, premierem a parlamentem. Urząd miał być szyty na jego miarę, „królewski", z artykułem o odpowiedzialności przed Bogiem i historią.

WŚRÓD KRÓLÓW | Ale Piłsudski szybko rezygnuje z prowizorycznej prezydentury. Z Belwederu i tak rządzi bez niej. Na prezydenta wysuwa mało znanego chemika Mościckiego (to jego wysłał kiedyś do Szwajcarii, by namówił Narutowicza do powrotu do kraju). Tymczasem zapał do zmiany ustroju gaśnie, prace nad nową konstytucją się ciągną. Piłsudski wobec sprawy obojętnieje. Pojawia się też znany problem: jak skroić urząd dla człowieka, który po raz drugi rządzi w sposób niełatwy do opisania? Jak na gruncie prawa ująć to, kim jest?

Po maju 1926 r. Polska ma swoje sukcesy i problemy. Ale punktem odniesienia wciąż jest on – coraz bardziej chory, zgorzkniały, wyobcowany i się starzejący. Olbrzymią rzeszę Polaków ucieszył jego powrót do władzy. Dużą część Polaków, sympatyzujących z endecją, ten powrót zasmucił. Ale co będzie, gdy umrze? Co z Polską?

Żartowano, że władzę po nim powinna objąć jedna z jego córek, młodsza Jadwiga lub starsza Wanda. Tęsknota za stabilnością, bezpieczeństwem towarzyszyła nam do końca II RP.

W 1934 r. podczas pewnej premiery we Lwowie z miejsc zerwali się piłsudczycy, endecy i socjaliści, gdy na scenie zjawił się aktor grający Franciszka Józefa. Po czym w konsternacji usiedli.

„Królewską" konstytucję uchwalono w kwietniu 1935 r. Niespełna trzy tygodnie później Piłsudski zmarł. Spoczął na Wawelu, wśród królów.

© WALDEMAR ŁAZUGA

Autor specjalizuje się w dziejach Polski XIX i XX wieku. Wydał kilkanaście książek, m.in. „Michał Bobrzyński: myśl historyczna a działalność polityczna", „Kalkulować... Polacy na szczytach c.k. monarchii", „Uwikłani w przeszłość".

eprasa.pl 997335f986

Niczyj

ZBIGNIEW GLUZA,
TWÓRCA OŚRODKA „KARTA”:

Pamięć o Zdzisławie Najderze i Polskim Porozumieniu Niepodległościowym, które powołał 50 lat temu, są dziś na marginesie. Chcemy to zmienić.

JACEK STAWISKI: Długo pracowałeś nad książką o Zdzisławie Najderze?

ZBIGNIEW GLUZA: Około trzech lat. Najpierw robił to zespół, potem kolejny zespół, już tylko mnie wspierający. Mieliśmy do wykorzystania całą spuściznę Najdera, którą on sam przekazał do naszego Ośrodka.

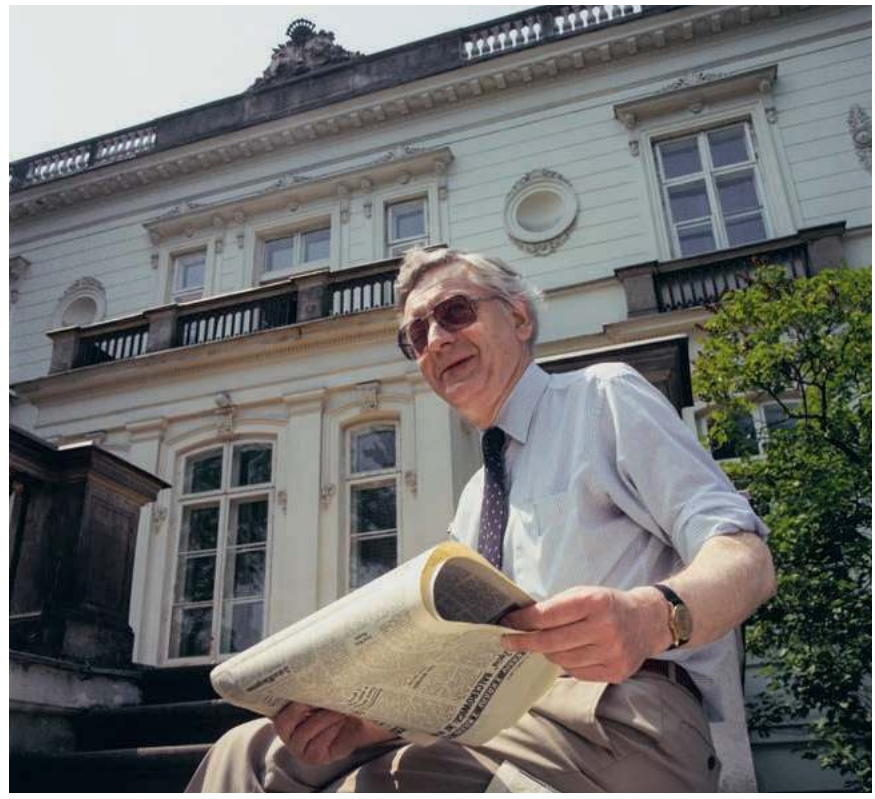
Wydaliście już szereg biografii i autobiografii, opracowanych tzw. metodą „Karty”. Na czym ona polega?

Z materiałów źródłowych budujemy całościową, chronologiczną narrację. Ona może mieć kształt autobiografii, jak w tym przypadku. Mieliśmy wiele źródeł: Najder dużo pisał, występował publicznie, zostawił bogatą korespondencję. Powstała w ten sposób autobiografia, której Najder nie napisał, lecz na którą składają się wyłącznie jego zapisy. Przygotowując ją, miałem wrażenie, że tłumaczy zasadnicze kwestie przemiany ustrojowej Polski powojennej. To nie tylko opowieść o życiu jednego człowieka, lecz o procesie, jaki przeszedł cały kraj.

W tytule nazywasz Najdera „wywrotowcem”.

Był zaangażowany w opór wobec PRL-u, intelektualnie i praktycznie.

Jego życie dzieli się jednak na trzy części. Najpierw 30 lat myślenia o Polsce niepodległej, ale bez manifestowania tego publicznie. Potem dekada walki bezpośredniej z PRL-em. A potem III RP: kolejne 30 lat, aż do śmierci w 2021 r.



JAN BOGACZ, GRZEGORZ ROGIŃSKI / PAP

Zdzisław Najder po powrocie do Polski. Warszawa, czerwiec 1990 r.

Można z przekonaniem powiedzieć, że pierwsze 40 lat jego dorosłego życia to pragnienie wywrócenia tamtego ustroju. Z apogeum, gdy w 1976 r. założył Polskie Porozumienie Niepodległościowe, a potem w latach 80. był dyrektorem Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa, za co w PRL-u skazano go na karę śmierci.

W 1990 r. wrócił do Polski, ale, jak twierdzisz, nie wpisał się w żaden układ.

Wrócił, miał dużą motywację polityczną do działania, był osobą propaństwową, ale w istocie nie był „czyjś”. Choć był głównym doradcą premiera Jana Olszewskiego, nie był w jego partii. Tak naprawdę przeszedł przez te wszystkie lata III RP, nie wpisując się w polaryzację, którą dziś mamy.

Jego krytyka polityki w III RP też była w pewnym sensie wywrotowa: twierdził, że nie są spełnione warunki Polski niepodległej, zwłaszcza w wymiarze geopolitycznym. Można więc go nazwać „wywrotowcem” w skali całego życia. Właściwie nigdy nie było momentu, gdy mógłby powiedzieć: to rzeczywistość, którą akceptuję. Za każdym razem mówił, co trzeba zmienić. Pewnie gdyby żył, uważałby za potworny regres to, co teraz przechodzimy.

Polskie Porozumienie Niepodległościowe powstało 50 lat temu, 3 maja 1976 r. To była pierwsza organizacja opozycyjna w PRL-u, licząc po 1956 r., która sformułowała niepodległość jako cel. Nie było tu mowy o reformie ustroju, o „socjalizmie z ludzką twarzą”. Wtedy mógł to się wydawać postulat księżycowy.

Patrząc z jego perspektywy, był to postulat naturalny, bo on nie przyjął nigdy PRL-u jako swojego kraju. Miał poczucie, że PRL to Polska fałszywa. Żył wizją niepodległej.

Rok wcześniej, w 1975 r., opublikował pod pseudonimem w paryskiej „Kulturze” tekst, w którym apelował do emigracji politycznej, by sformułowała program dla kraju, program wydobywania się na niepodległość. Potem uznali z Jerzym Giedroyciem, że skoro emigracja nie zareagowała, będzie próbował zrobić to sam.

Jaki widział w tym cel?

Praca, jaką podjął z niedużą grupą współpracowników, to była próba zdefiniowania drogi do niepodległości. W programie, który ogłoszono 3 maja 1976 r., definiowali drogę, jaką teoretycznie Polska mogłaby przejść, by wyjść z totalitaryzmu i stać się demokratyczna.

eprasa.pl 997335f986

Mowa była też o relacjach z Niemcami, z Europą.

W przeddzień wejścia Polski do UE Najder przypomniał, że gdy 25 lat wcześniej PPN opublikował jego tekst „Polska i Europa", to byli wyśmiewani nawet przez bliskie otoczenie, że to bajkowe wizje, nierealistyczne.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, mam wrażenie, że istotna była wówczas właśnie ta wizyjność. Natomiast gdy idzie o to, czy ten program miał realne znaczenie, to rzecz jasna droga ku III RP opierała się głównie na prospołecznych działaniach opozycji jawnej, które były główną linią oporu społecznego.

Jaki był intelektualny dorobek PPN?

Powstało ok. 50 tekstów, które uściślały program. Były czytane w środowiskach opozycji, wiele ukazało się w „Kulturze", czytała je Wolna Europa. To się skończyło wraz z wyjazdem Najdera za granicę, na chwilę przed wprowadzeniem stanu wojennego w grudniu 1981 r. Nie wrócił do Polski, gdyż został ostrzeżony, że będzie aresztowany. Został rozpoznany jako lider zakonspirowanego PPN.

Mówiłeś o wymiarze europejskim programu PPN. Czytając te dokumenty dziś, brzmi to faktycznie mocno: że niepodległość Polski musi być wpisana w organizm europejski. To znaczyło także akceptację dla zjednoczenia Niemiec?

Tak. A skoro nastąpi zjednoczenie Niemiec, to trzeba stworzyć też ramy europejskiej wspólnoty, która by amortyzowała jego potencjalne skutki. To wszystko zaczęło się zresztą realizować już kilkanaście lat później. Najder od razu stawiał sprawę tak, że Polska może być niepodległa tylko w wymiarze europejskim. Przyjmował, że demokratyczne, scalone Niemcy będą naszym sojusznikiem, a nie wrogiem.

W czasach PRL-u były różne drogi dojścia do tego, co jest dziś.

Była ta związana z „Tygodnikiem Powszechnym" – przez budowanie niezależnego podejścia do polityki zagranicznej, ale przy uznaniu realiów państwowości po 1945 r. Najder taki nie był, on kwestionował sam byt PRL-u. A relacja z „Tygodnikiem" była dla niego ważna – na początku lat 50. znalazł w Krakowie oparcie. Warszawę uważał za konformistyczną,



ARCHIWUM PRYWATNE

ZBIGNIEW GLUZA (ur. 1955) był inicjatorem i szefem podziemnej „Karty" (1982-89) i Archiwum Wschodniego (1987-96). Prezes Ośrodka „Karta" (1990-2024), redaktor naczelny kwartalnika „Karta" od 1990 r. do dziś.

poddającą się systemowi. W „Tygodniku" odkrył inny świat. Zaprzyjaźnił się ze Stefanem Kisielewskim, a przez niego ze Zbigniewem Herbertem.

W jego życiorysie jest skaza.

W 1957 r. jest moment krytyczny w jego życiu. Miał wtedy 27 lat. Po jego pierwszych kontaktach z „Kulturą" zainteresowała się nim SB. Miał epizod współpracy. Kompromitujący, ale epizod. Tymczasem w 1992 r., po słynnej „nocy teczek", gdy fakt ten został nagłośniony, oskarżenie o agenturalność rozszerzyło się niejako na całe jego życie. A to bezpodstawne.

Najder składał doniesienia do SB w 1958 r. Publikujemy je wszystkie w książce, aby każdy mógł ocenić, na ile wiarygodna była jego linia obrony, że nie mówił nic szkodliwego. Potem był już tylko tzw. figurantem, tj. był śledzony. Cała dokumentacja z późniejszych okresów, zachowana w IPN, pokazuje go jednoznacznie jako przeciwnika i ofiarę systemu.

Stan wojenny zastaje go na Zachodzie. Zostaje dyrektorem RWE. Za to spotyka go w PRL-u proces: w 1983 r. zostaje zaocznie skazany na karę śmierci. Zaciążyło to na jego życiu?

Zaciążyło. On sam pisał, że żona ma mu za złe, iż miał trochę figlarny stosunek do tego wyroku. Owszem, gdy się o nim dowiedzieli, akurat byli u nich znajomi i jeden z nich poszedł po szampana, opijali ten wyrok. Jednak on już wcześniej zdawał sobie sprawę, że zgoda na rolę szefa Sekcji Polskiej RWE zamyka mu drogę powrotną. To był jego dramat, bo bardzo związany z krajem, nie wybierał świadomie emigracji. Gdy wyrok został uchylony, w lutym 1990 r. Najder wrócił.

PPN powstał w maju 1976 r., a we wrześniu tamtego roku powołano Komitet Obrony Robotników. Niemal rówieśnicy. Czytam pierwsze dokumenty obu organizacji i one się wyraźnie różnią. W KOR jest impuls społeczny, a w PPN wielka polityka, koncepcje, na jakich zasadach będzie zamykana kwestia utraty ziem wschodnich II RP, a na jakich warunkach będzie budowana współpraca z Niemcami i europejska wspólnota narodów.

W tym nie ma sprzeczności. Oba te wymiary opozycji były niezbędne. Myślenie polityczne jako kontekst działania społecznego było pożyteczne, wzmacniało grunt, z którego wyrastała działalność ruchu kreowanego przez KOR.

Jacek Kuroń podkreślał, że oni jako KOR nie stają na czele jakiejś formacji, lecz inspirują ludzi do działania i tworzenia własnych przestrzeni wolności i niezależnego aktywizmu. KOR zaczął od pomocy represjonowanym, na tym budował swój autorytet w wymiarze społecznym, pomagając ofiarom.

Niektórzy krytykowali wtedy KOR, że nie definiuje niepodległości jako celu.

KOR nie musiał definiować takiego celu. Komitetowi chodziło o to, by budować sfery niezależne, które będą łamać totalitarne struktury. I które mogą prowadzić do przebudowy świadomości, a w istocie – do Solidarności, jako ogólnopolskiego wolnościowego ruchu społecznego.

Pamięć o KOR-ze jest dziś obecna w sferze publicznej. Natomiast Najder i PPN są na marginesie.

Nie ma wątpliwości, że KOR to bohaterowie narodowi. Wrześniowa rocznica powstania KOR-u słusznie będzie wielkim wydarzeniem. Natomiast prawdą jest, że pamięć o PPN-ie jest dziś znikoma. Przez pięć lat, które minęły od jego śmierci, Najder nie został ani pożegnany, ani uhonorowany. W tym sensie „Wywrotowiec" go przywraca.

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

eprasa.pl 997335f986

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center
dla Twojego biznesu
w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie



REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

eprasa.pl 997335f986

WOJCIECH

Bonowicz: *Rozmyślania*



Nad podziw dobrze zniosłem to rwanie zęba i jego konsekwencje. Nie pisałem Wam, że będę musiał wyrywać? To teraz piszę. Termin wybrałem dobry, to znaczy dzień przed własnymi imieninami. W imieniny ludzie dzwonią, nie trzeba dużo mówić, tylko: „Tak, tak, dziękuję", „O, jak miło", „U mnie w porządku", „Zdrowy". Znieczulenie było solidne, a pan doktor Mariusz, silny jak tur, po wszystkim pochwalił mnie, że jestem dzielnym pacjentem, i wręczył mi kartkę z zaleceniami, co robić przez najbliższe dni. Na kartce było piętnaście punktów, dwa pan doktor od razu skreślił (w tym jeden o niepaleniu, bo wiadomo, że nie palę), przy punkcie szóstym – „Unikać mówienia" – tylko się uśmiechnął.

Wróciłem do domu, prawa strona gęby trochę pulsowała, ale nawet przykładanie lodu nie było potrzebne. Dość szybko, zamiast leżeć, zacząłem się kręcić po domu, noc też minęła spokojnie, wystarczyły dwa ibupromy. Tyle że się budziłem. Nie z powodu bólu, tylko z powodu myśli. Punkt drugi mówił: „Trzymać głowę uniesioną i wypoczywać, aby nie podnosić ciśnienia krwi". Ja w ogóle sypiam z głową wysoko, no ale tej nocy to się szczególnie starałem. A im głowa wyżej, tym myśli więcej. Człowiek mógłby w jedną noc „Rozmyślania" Marka Aureliusza napisać, gdyby nie to, że ma inaczej na imię i nazwisko.

Skądinąd ja „Rozmyślania" mam zawsze pod ręką. Tam też wszystko w punktach, precyzyjnie jest napisane, tak że życie ludzkie wydaje się czymś do opanowania, niezależnie od tego, co przynosi. A czasem pojawiają się sformułowania tak piękne, że dech zapiera. Jedno z moich ulubionych zacytuję: „Powinno się nie tylko współoddychać powietrzem otaczającym, ale i współrozumnym być z rozumem, który wszystko przenika. Moc bowiem rozumu nie mniej jest rozlana we wszystkim i przenika każdego, kto umie ją wciągnąć, jak powietrze tego, kto umie oddychać".

Lusia przyszła się przytulić, a wtedy dwie ręce są potrzebne, więc musiałem na chwilę przerwać pisanie. Jakim powietrzem my dziś oddychamy? Mało kto mógłby powiedzieć, że powietrzem rozumności. Powiedzielibyśmy raczej, że coraz trudniej się ochronić przed wdychaniem tych ponurych wyziewów, jakie w powietrzu wiszą. Nierozumność zdaje się triumfować. Niby Marek Aureliusz uczy, żeby niczemu się nie dziwić ani niczego się nie bać, ale to jednak niepokojące, że świat wciąż miotany jest ambicjami jednostek, a nie rządzony jakimś rozumem wspólnym. Człowiek chętnie by z dystansu na wszystko popatrzył, ale nawet dystans nie daje już spokoju ducha, przeciwnie, dynamika zjawisk zdaje się prowadzić ten świat ku katastrofie. Chciałoby się, żeby ktoś nas tak dwiema wielkimi rękami objął, przytulił i głaskał aż do uspokojenia – jak ja Lusię przed chwilą. Mógłby ktoś? Jest tam ktoś taki?

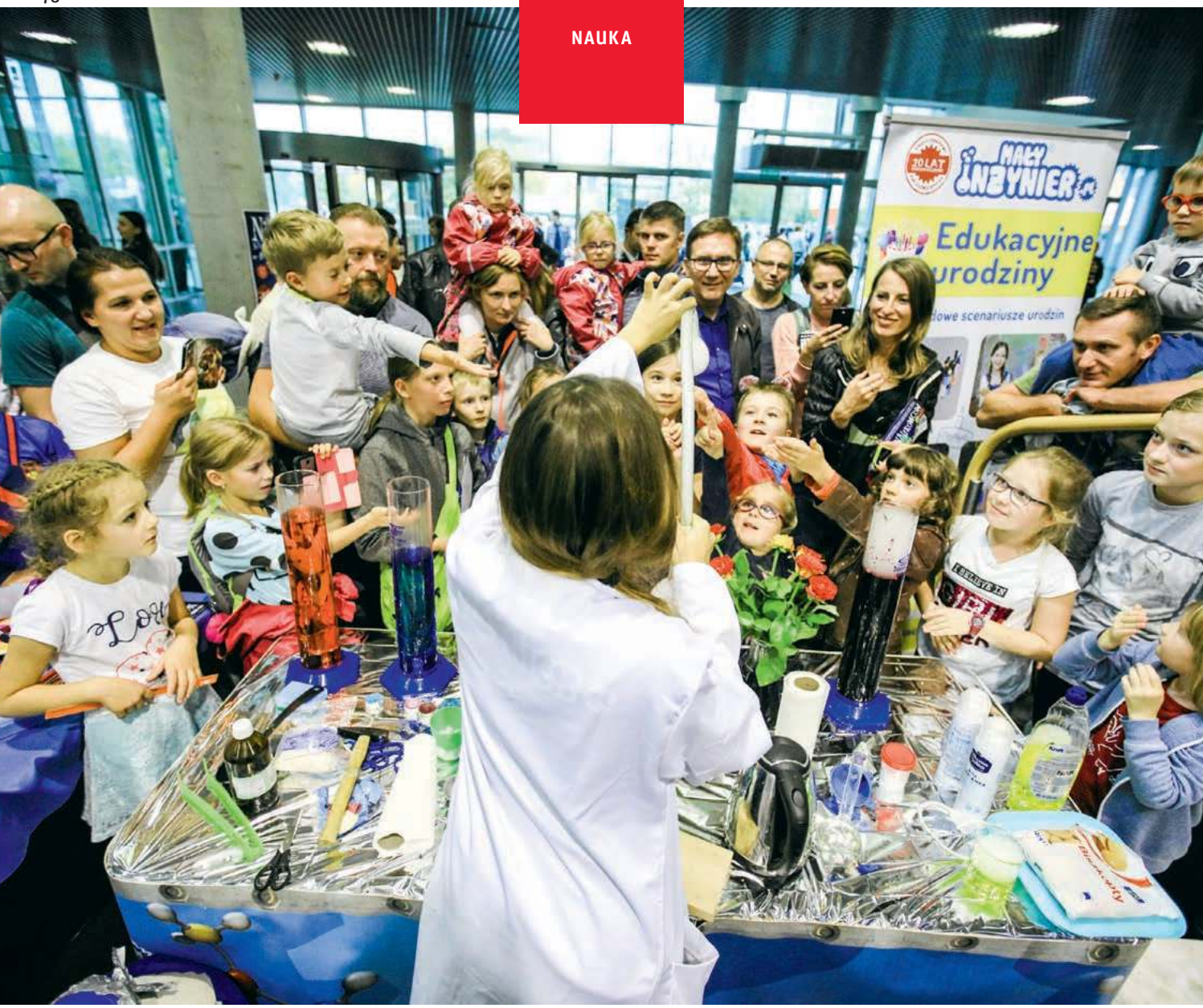
Leżałem, a właściwie na wpół siedziałem, i myślałem o tym i owym, niekoniecznie tylko o tych szerokich planach. Na przykład o tym, że człowiek tyle w życiu zapomina, ale dentystów wszystkich pamięta bardzo wyraźnie. Począwszy od pani doktor Chrostek, do której jeździło się na Rusznikarską, żeby wyprostować niesforne zęby. Chodziłem przez jakiś czas po domu w takiej specjalnej czapeczce, którą mama uszyła według podanego przez panią doktor wzoru. Do czapeczki przymocowana była opaska na gumce, która miała podtrzymywać mi brodę. W ustach nosiłem wielki różowy aparat, który doktor Chrostek przy każdej wizycie nieco korygowała. Gdyby nie rozumność pani doktor, kto wie, jak bym dzisiaj wyglądał.

A doktor Serwin? Przyjmował w swoim mieszkaniu, w bloku, fotel dentystyczny stał w salonie, a poczekalnia była w maleńkim pokoiku obok. Wisiały tam reprodukcje obrazów z nagimi paniami, takich XIX-wiecznych. Ludzie kulili się, słysząc jęki zza ściany, a nagie panie, odpoczywające nad brzegiem strumienia, odwracały zawstydzone twarze. Doktor męczył się przy mnie okropnie, bo moje ślinianki pracowały pełną parą, musiał bez przerwy wymieniać ligninę, a o ligninę było trudno. Niektóre zęby naprawił, inne zepsuł, w sumie jednak mam go we wdzięcznej pamięci, bo nie wiadomo, czy bez jego skrupulatności wysiłki pani doktor Chrostek nie poszłyby na marne.

Spróbujmy wyobrazić sobie świat, w którym większość zaczyna kierować się nie rozumnością, nie wiedzą, nie tym, jak działać należy, ale tym, jak im się zachce. Dziś tak postępują przywódcy, w każdym razie wielu z nich – i to właśnie budzi nasz niepokój. Ale czy tylko oni? „Nie żyj tak", powiada Marek Aureliusz, „jakbyś miał żyć lat dziesięć tysięcy. Los wisi nad tobą. Dopóki żyjesz, dopóki można, bądź dobry". ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

eprasa.pl 997335f986



Noc naukowców na Politechnice Poznańskiej, 27 września 2019 r.

DZIECI NIE MAJĄ NAUKI W NOSIE

TOMASZ ROŻEK, FIZYK I POPULARYZATOR:

Do szkolnego podziału na fizykę, biologię czy geografię zawsze czułem dużą nieufność. Na szczęście moja działalność sprawia, że mogę na ten podział gwizdać.

eprasa.pl 997335f986

MARCIN ŻYŁA: Gdy zdarzył się Czarnobyl, co usłyszałeś od dorosłych?

TOMASZ ROŻEK: W mojej szkole muzycznej były schodki, na których rodzice czekali na dzieci, coś jak poczekalnia. Z tamtego dnia zapamiętałem swoje zdziwienie, że jest pusto. I słowa o jakimś wypadku.

A co sam powiedziałbyś dziś dzieciom?

Że doszło do wybuchu i pożaru w elektrowni jądrowej. Że prawdopodobnie powietrze zawiera pył, który jest radioaktywny. Że...

...dzieci mogłyby ci przerwać: co to znaczy „radioaktywny"?

A wiesz, że dzieci rozumieją radioaktywność lepiej niż większość dorosłych?

Mam przygotowane ćwiczenie: w skrzynce z klockami Lego są pudełka, a w każdym z nich takie same klocki. Rozdaję je, dzielę dzieci na trzyosobowe grupy, i proszę, żeby coś złożyły. Potem pytam: „Jak to się się stało, że każda grupa zbudowała coś innego, choć wszyscy mieli identyczne klocki?". „No bo wie pan – słyszę od nich – to zależy, jak to się ułoży". „No właśnie! – mówię dalej. – Nasz świat jest zbudowany z klocków, ale niektóre, gdy się rozpadają, mogą być niebezpieczne". I fik, mamy wytłumaczoną radioaktywność.

Skąd się wzięła Twoja ciekawość?

Dzieci mają ograniczone możliwości zdobywania wiedzy. Najpotężniejszą jest zapytanie dorosłego. A naukowość – czyli dociekanie i poszukiwanie odpowiedzi – była w moim domu od początku. Rodzice zawsze mi odpowiadali. A gdy nie znali odpowiedzi, mówili: „musimy poszukać".

Mama pracowała w Instytucie Chemii Uniwersytetu Śląskiego. Czasem zabierała mnie do warsztatów szklarzy, którzy tworzyli dla badaczy naczynia i instalacje. To było jak wejście do czarodziejskiego świata. Bo gorąco, bo oni wszyscy inaczej ubrani, bo te płomienie, którymi ogrzewali i rozdmuchiwali kolby... Na schodach stały bloki suchego lodu, czyli zestalonego dwutlenku węgla. Pamiętam dym, który spływał po stopniach niczym woda po skałach. Stałem jak zahipnotyzowany. Wkładałem dłoń i nic nie czułem. Duch jakiś!

To był klimat, atmosfera. Szkoła tego nie zabiła?

Nie miałem „efektu jeża". Wielu moich kolegów już na wstępie słyszało od rodziców: „Poczekaj no, jak ci się ta fizyka zacznie, dopiero wtedy zobaczysz!". Już na pierwszą lekcję przychodzili spanikowani. Czy po takim wstępie można wychować dobrego fizyka?

Jest jeszcze jeden zwrot o szkole: „Miałem szczęście do nauczycieli". Miałeś?

Miałem. Zwłaszcza do dwóch polonistek, w podstawówce i w liceum, które nauczyły mnie pisać. A umiejętność pisania to przecież umiejętność uporządkowanego myślenia. Żałuję, że szkoła nie wymaga dziś tego od dzieci. Dłuższych form nie pisze się praktycznie w ogóle.

Za to Ty piszesz. Znów wydałeś książkę. Za co tak lubisz naukę?

Za to, że daje mi narzędzia, żebym mógł zrozumieć otoczenie.

Sam jednak wspominasz o stereotypie, że skoro coś jest naukowe, to musi być pewne. Zwykle tak nie jest.

To już problem filozoficzny. Czy jesteśmy w stanie w pełni odwzorować rzeczywistość? Tak, w stu procentach. Ale co to oznacza? I kto się mylił: Newton czy Einstein? No cóż, ani jeden, ani drugi się nie mylił, chociaż to, co ustalili, gdzieniegdzie bywa nie do pogodzenia. Przynajmniej na razie. Mnie Newton dał narzędzia do tego, żeby zrozumieć nie tylko ruch planet, ale też np. ruch łódki w chwili, gdy na nią wchodzę. Podobne rzeczy można wyciągnąć z Einsteina.

Rozumiesz mechanikę kwantową?

To był jedyny egzamin, który zdawałem dwukrotnie. Jest w niej coś, co sprawia, że rozumie ją chyba niewielu. Nieintuicyjność, rozbudowany aparat matematyczny.

A może jest tak, że o ile w zrozumieniu teorii względności wyobraźnia pomaga, o tyle w przypadku kwantów jest ograniczeniem?

Spójrz na kulturę popularną. Przedstawienie rzeczywistości kwantowej w książce czy filmie wydaje się ekstremalnie trudne – o ile w ogóle możliwe. Owszem, fizyka czarnych dziur to też „skrajność skrajności". Ale hiperprzestrzeń, dylatacja czasu czy zakrzywianie czasoprzestrzeni są rajem dla pisarzy i filmowców! Nie wszyscy oglądający „Interstellar" rozumieją Einsteina, ale kosmos w skali makro jest łatwiej przedstawić. O czarnych dziurach jest w co drugiej bajce o kosmosie. Właśnie wróciłem ze spotkania z czwarto- i piątoklasistami. O kwanty nie pytali, za to pytali o czarne dziury.

We „Władzy, pieniądzach, nauce" – książce o wypaczaniu badań naukowych – zestawiasz ze sobą różne historie. Co łączy katastrofę Challengera ze stalinowskim projektem nawadniania stepów Azji Środkowej?

Nienaukowe podejście. Albo inaczej: do pewnego momentu podejście naukowe, a potem dezercja lub jakiś rodzaj zaślepienia.

Mamy prom kosmiczny, który kosztuje miliony dolarów. Prezydent USA obejmuje patronatem projekt, w ramach którego mają nim latać już nie tylko napompowani adrenaliną wojskowi oblatywacze, ale też zwykli ludzie. Wybierają nauczycielkę. Wszystko jest rozpędzone wizerunkowo, ważne politycznie. W szkołach od miesięcy do śledzenia tej misji przygotowywane są dzieci. Pierwszy raz lekcje mają być prowadzone z orbity. Tymczasem tuż przed startem na platformie startowej panują bardzo niskie temperatury. Inżynierowie ostrzegają: jest za zimno, mogą nie zadziałać uszczelki w rakietach pomocniczych. Może dojść do tragedii. A jakiś menedżer, z głową pod toporem, pyta: „to dojdzie do tej tragedii czy nie?". Tego inżynierowie przecież nie mogą wiedzieć. Zapada decyzja o starcie, bo nikt nie chce podjąć przeciwnej, o wstrzymaniu lotu na kilka godzin przed. No i dochodzi do tragedii, którą widzą miliony ludzi, w tym ogromna liczba dzieci.

Zależało mi na tym, by przedstawić historie znane. Naczytałem się raportów, starałem się głęboko zajrzeć w mechanizmy na styku nauki, władzy i biznesu. I przedstawić to, co się stało „po". W rozdziale o Challengerze piszę o słynnym wystąpieniu Richarda Feynmana, który wyjaśnił przyczyny katastrofy bardzo obrazowo. Jak nauczyciel w podstawówce.

Feynman, fizyk noblista, był członkiem komisji powołanej do zbadania przyczyn wypadku Challengera. ↦

ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 997335f986

↦ **Używając kawałka gumy i szklanki z zimną wodą, wykazał przed kamerami, że w niskich temperaturach uszczelka rakiety rzeczywiście nie zadziałała tak, jak powinna.**

Czy to nie piękne? Promy kosmiczne były koszmarnie skomplikowanymi urządzeniami. Dlatego były tak awaryjne – w dwóch wypadkach zginęło 14 astronautów. A on zestawił ten złożony mechanizm ze szklanką wody i gumą. To siła nauki: proste narzędzia wyjaśniają skomplikowane procesy.

Tacy ludzie jak Feynman czy Carl Sagan – który już w 1985 r. ostrzegał w Kongresie przed rosnącym efektem cieplarnianym – są dla Ciebie punktami odniesienia?

„Feynmana wykłady z fizyki", przygotowane oryginalnie w latach 60. XX w. dla studentów Kalifornijskiego Instytutu Technicznego – były dla mnie odkryciem już wiele lat po studiach. „Cienie zapomnianych przodków" Sagana i Ann Druyan to jedna z najważniejszych książek, jakie przeczytałem. Nie opisali w niej wyłącznie gwiazd, lecz życie i przyrodę. Jeden system, w którym tradycyjne podziały, do których intuicyjnie zawsze czułem nieufność – na fizykę, chemię, biologię czy geografię – nie mają racji bytu.

Ten podział to dziś plan lekcji w szkole.

To podział wygodny dla urzędników, stworzony tak, jakby od wytłumaczenia świata młodemu człowiekowi ważniejsze było wpisywanie przedmiotów do tabelek Excela. Na szczęście moja działalność popularyzatorska sprawia, że mogę na ten podział gwizdać.

W Fundacji Nauka. To Lubię przygotowaliśmy książkę „Kosmiczny tydzień". To rozpisany na ponad 100 stron całościowy program edukacji o kosmosie dla szkoły podstawowej. Można ją pobrać za darmo. Zawiera ponad 70 scenariuszy lekcji, ale bez podziału na przedmioty. To nie uczeń powinien zmieniać klasę, chować jeden zeszyt i wyciągać drugi. To nauczyciel powinien przechodzić od zagadnienia do zagadnienia w taki sposób, że uczeń nie zauważy, gdzie jest granica.

Czemu szkoła tak nie uczy?

Niedawno zacząłem się zastanawiać, jak wytłumaczyć wyniki badań, które mówią, że młodzi ludzie coraz mniej rozumieją zmiany klimatu. Przeszedłem przez program podstawówki i liceum, przeczytałem wszystko, co jest w podręcznikach. I muszę ci powiedzieć, że szkoła mówi uczniom absolutnie wszystko, co powinno wystarczyć do zrozumienia.

Dzieci jednak tego nie rozumieją, ponieważ część tej historii mają na fizyce, część na chemii, jeszcze coś na geografii, a na historii uczą się o cywilizacjach, które wyginęły z powodu wyczerpania zasobów. Nikt, na żadnym etapie, nie łączy tego w jedną opowieść. Polska szkoła opowiada o świecie w rozjechany, niepołączony ze sobą sposób. Na oznaczenie gęstości inny symbol znajdziemy w podręczeniach do fizyki, a inny – do chemii.

Mówisz, że możesz na to gwizdać. Nauczyciele już nie.

Moja mama była nauczycielką, mam ogromny szacunek do tego zawodu. Ale też wymagania: nie wyobrażam sobie podejścia: skoro źle mi płacą, nie będę się starał. Przy czym – chcę to zaznaczyć – nie jest to usprawiedliwienie dla marnych nauczycielskich zarobków.

Na każdej lekcji fizyki ma być performens, jak kiedyś w „Sondzie"?

Nie o to chodzi. Często, wprost lub w sposób zawoalowany, słyszę od nauczycieli: „Dlaczego mam się uczyć, przecież już skończyłem studia". Odpowiadam: „Bo świat się zmienia". A ktoś na to: „Ale ja uczę w podstawówce, na tym poziomie nie zmienia się nic".

Przecież wszystko się zmienia! Dzieci mają już inną percepcję. To, że w naszej klasie znajdą się gogle VR-owe, nie może oznaczać, że zakładamy je uczniom na oczy i włączamy wycieczkę do lasu. Właśnie gdy obok są gogle VR-owe albo inne nowe technologie – szczególnie wtedy trzeba iść do lasu. Są szkoły, w których tak się robi. To możliwe.

W czerwcu organizujesz „Kosmiczny rejs", tygodniową wyprawę na żaglowcu „Generał Zaruski", coś jakby wskrzeszenie dawnej „Szkoły pod Żaglami". Mówiłeś, że masz problem z rekrutacją – świetnych zgłoszeń jest dużo więcej niż miejsc na pokładzie.

Często słyszę od dorosłych, że dzieci mają dziś wszystko w nosie, że to złe pokolenie. Guzik prawda! Jasne, dzieci i nastolatki mają kłopot z koncentracją. Często są pogubione. Ale my sami przyłożyliśmy do tego rękę – my, dorośli, rodzice i nauczyciele, przyczyniliśmy się do tego, a teraz biadolimy.

Miejsc na żaglowcu jest mało, zaledwie 20, więc wśród tych, których kandydatury musiałem odrzucić, było wielu rewelacyjnych nastolatków, którzy w aplikacjach – filmach wideo – opowiadali o swoich pasjach. Nie tylko o tym, że chcą coś poznać, ale też, że tęsknią za kontaktem z podobnymi do nich. Kilkoro mówiło, że w swoim środowisku są jedynymi, którzy interesują się danym zagadnieniem. Cholernie mi szkoda młodych ludzi z ogromnym potencjałem, którzy być może nigdy go nie zrealizują z powodu braku wsparcia.

Co będziecie robić na Bałtyku?

Czego nie będziemy robić! Będziemy się uczyli mechaniki nieba, najważniejszych zagadnień astrofizyki, działania gwiazd i budowy układów planetarnych. Umówiliśmy się z dwiema firmami, które mają satelity na orbicie, że będą nas fotografowały, a uczestnicy potem te zdjęcia przeanalizują. Zawiniemy do kilku portów, gdzie będą czekali eksperci z różnych dziedzin. Przeprowadzimy obserwacje astronomiczne przez teleskopy. Odwiedzimy firmę, która produkuje silniki rakietowe i jeden z takich silników odpalimy.

Brzmi jak przygoda z Panem Kleksem. A Ty masz marzenia, które chciałbyś zrealizować? Polecieć w kosmos na przykład?

Jasne. Ale na lot komercyjny mnie nie stać. A nawet gdybym miał te pieniądze, nie wiem, czy bym je na to wydał. Może to nie jest aż takie marzenie? W ogóle nie wiem, jak definiować marzenia. Że zrobiłbym absolutnie wszystko, żeby coś osiągnąć? Mam w tej kwestii nietypowe myślenie. Jakbym mógł włączać i wyłączać marzenia.

Więc tak, chciałbym polecieć w kosmos. Chciałbym przepłynąć Atlantyk. Tak, chciałbym – Boże, jak bardzo! – opłynąć dookoła świat. Jednak wszystko ma jakąś cenę, nie tylko finansową. Jeśli będzie za wysoka, nie zrobię tego.

Niedawno przeglądałem numer „Scientific American" z grudnia

eprasa.pl 997335f986



ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

DR TOMASZ ROŻEK jest fizykiem, popularyzatorem nauki. Prowadzi Fundację Nauka. To Lubię, realizującą projekty przybliżające nowe technologie dzieciom i dorosłym. Twórca audycji internetowych, radiowych i telewizyjnych, m.in. programu Sonda 2 w TVP2 i TVP1 oraz kanału Nauka. To Lubię na YouTubie. Właśnie ukazała się jego nowa książka „Władza, pieniądze, nauka. Jak chciwość, ideologia i szaleństwo wypaczyły badania naukowe".

1999 r. Zatytułowano go: „Co nauka będzie wiedzieć w 2050". Czy uda się zunifikować fizykę? Dowiedzieć, jak powstał wszechświat? Czy roboty mogą być inteligentne? Jak bardzo zmienimy klimat planety? Po pierwszej ćwiartce stulecia jesteśmy w połowie tej drogi – czyli właściwie gdzie?

Kiedyś, dawno temu, miałem przygotowany wykład o sztucznej inteligencji. Wtedy ludzie słuchali go z ciekawością, ale trochę jak abstrakcyjną historię *science fiction*. Natomiast gdy przechodziłem do konkretnych rozwiązań – już wtedy stosowanych – zaczynało się zdziwienie: jak to się stało, że sztuczna inteligencja pojawiła się z dnia na dzień?

Mówię: „Chwila, jak to z dnia na dzień"? Początki dużych modeli językowych to lata 50. i 60. XX w. To są dekady pracy naukowców, a to, że jedna konkretna firma – Open AI – zdecydowała się wypuścić konkretny, użyteczny produkt – ChatGPT – za darmo, to już inna sprawa.

To w której dziedzinie możemy dziś być w podobnym momencie? Gdzie możemy się dziwić, że „to już", choć na razie czytamy o tym jak o odległej przyszłości?

Może zaskoczy nas zaawansowana integracja ludzi, istot biologicznych, z elektroniką? Niektórzy mają implant w kręgosłupie, rozrusznik serca. Przy leczeniu padaczki stosuje się implanty, które tłumią sygnały elektryczne.

Każdy gdzieś słyszał, że istnieje sztuczna inteligencja, to było pojęcie znane z magazynów popularnonaukowych już kilkadziesiąt lat temu. Ale w pewnym momencie technologia wybuchła jak bomba – pojawiła się w telefonach. Myślę, że niedługo stanie się tak z integracją nas z maszynami. To będzie przeciekawe, może niebezpieczne. Nie wiemy, jakie będą konsekwencje.

Co w tym przypadku oznaczałaby integracja?

Mam na myśli nie tylko połączenie komponentu biologicznego, czyli wiązań węglowych, z elektronicznym, wiązaniami krzemowymi. Wspólny język – sygnał elektryczny – funkcjonuje w obu światach. One są stosunkowo łatwe do zintegrowania.

Dochodzą do tego struktury biologiczne, które tworzymy sztucznie. Np. bioprinting, czyli drukowanie tkanek. To już nie jest *science fiction*. W Warszawie prof. Michał Wszoła drukuje już działające trzustki. Na razie wykonuje testy na zwierzętach, co przynosi bardzo dobre rezultaty. W pewnym momencie zaczną się testy na ludziach. I to będzie „twój" organ, bo powstały na bazie modyfikowanych komórek twojego ciała.

Nasuwa się pytanie: co jest biologiczne, a co już nie? Albo, cytując prof. Ryszarda Tadeusiewicza, byłego rektora AGH: ile człowieka musi być w człowieku, żeby był człowiekiem? To już nie jest chwyt erystyczny, to pytanie naukowe i filozoficzne. Czy gdybyś miał sztuczny mózg, wciąż byłbyś człowiekiem? A czy jeśli włożysz biologiczny mózg do komputera – to będzie nadal człowiek, czy już nie?

Wszystko to piękne, ale w czasach, w których jeden prezydent potrafi wstrzymać finansowanie wielu ważnych badań, pojawia się pytanie: czy człowiek sam nie powstrzyma swojego rozwoju?

Nie martwiłbym się Trumpem. Środki federalne finansują amerykańską naukę tylko w części. Nie chcę powiedzieć, że nic się nie dzieje, ale w tym, że USA wycofały się z WHO czy porozumień klimatycznych, więcej jest PR-u niż realnego wpływu na rzeczywistość.

Podczas pierwszej kadencji Trump nie był skłonny rozwijać energetykę odnawialną. Ale to wtedy postawiono w Ameryce najwięcej farm wiatrowych. W pewnym momencie technologia przechodzi przez pewien punkt krytyczny: rzeczy, które wcześniej finansowano z powodów ideowych albo „dla wyższych celów", stają się czystym biznesem. Dokładnie to dzieje się tam dziś w wielu sektorach.

Martwi mnie natomiast edukacja. Rozwiążemy wszystkie problemy tego świata, jeśli tylko będziemy mieć odpowiednie narzędzia. Ale one nie spadną z nieba. Musimy je stworzyć. A „my" – to zawsze kolejne pokolenie. Za mało energii wkładamy w to, by je kształtować. Każdy polityk mówi, że chce świetnej edukacji. Ba! Powie tak duża większość bogatych właścicieli korporacji. A potem okazuje się, że na liście ich priorytetów ląduje ona na szarym końcu, bo dzięki niej nie wygrywa się wyborów czy nie osiąga szybkich zysków. To procesy tak długofalowe, że to, co zrobisz za swojej kadencji, nie da od razu efektów, nikt tego nie zauważy.

A przecież nie ma innej drogi do rozwoju. Fizyka uczy, że jeśli się nie reaguje, systemy się rozpadają, a nie trzymają razem. © Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

eprasa.pl 997335f986



Finaliści Nagrody **Przewroty 2026**

Spośród 360 zgłoszeń z całego kraju Centrum Nauki Kopernik wyłoniło 10 najbardziej nowatorskich, przewrotowych i inspirujących inicjatyw edukacyjnych – po 5 w dwóch kategoriach: lokalnej i ogólnopolskiej.

Nagroda Przewroty przyznawana jest co roku. „Została ustanowiona po pierwsze po to, żeby docenić te osoby i te instytucje, które prowadzą nowatorskie inicjatywy edukacyjne, a po drugie, żeby pokazać je innym, zainspirować, zachęcić być może do poszukiwania własnej drogi" – tłumaczy Robert Firmhofer, dyrektor Centrum Nauki Kopernik, przewodniczący kapituły honorowej Nagrody Przewroty. Celem Nagrody jest również wzmocnienie dyskusji o kształcie edukacji, jakiej współcześnie potrzebujemy.

FINALIŚCI: KATEGORIA OGÓLNOPOLSKA

EUROPEAN ROVER CHALLENGE (EUROPEJSKA FUNDACJA KOSMICZNA)

Międzynarodowe zawody łazików marsjańskich połączone z piknikiem naukowym i konferencją – edukacja naukowo-technologiczna w formule, która przypomina wydarzenie sportowe. Studenci projektują i testują łaziki na „Marsyardzie" – naukowej replice Marsa, projektowanej co roku przez geologów z PAN, a publiczność kibicuje na żywo, uczestniczy w warsztatach, spotyka ekspertów z NASA i ESA.

KIOSKI TROSKI – ZDROWIE PSYCHICZNE I KULTURA (TOWARZYSTWO INICJATYW TWÓRCZYCH „Ę")

Interdyscyplinarny program szkoleniowy dla kadr kultury, łączący świat kultury i zdrowia. Daje narzędzia, dzięki którym uczestnictwo w kulturze może wspierać zdrowienie: pomaga regulować emocje, wzmacniać poczucie sensu i zmniejszać samotność.

RÓWIEŚNICY (FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ)

Program wspiera szkoły w przeciwdziałaniu przemocy rówieśniczej (ze szczególnym uwzględnieniem cyberprzemocy) oraz w diagnozowaniu skali i form tego zjawiska. Dostarcza gotowe materiały do wykorzystania w pracy pedagogicznej i pomaga młodzieży uczyć się reagowania, szukania wsparcia oraz bezpiecznych sposobów działania w sytuacjach przemocy.

S4ClimateKIT – EKSPERYMENTALNY ZESTAW DYDAKTYCZNY, KTÓRY ZMIENIA SZKOLNĄ EDUKACJĘ KLIMATYCZNĄ (FUNDACJA EDUKACJI KLIMATYCZNEJ)

Nauczyciele otrzymują gotowe narzędzia nowoczesnej, angażującej edukacji, dzięki którym uczniowie wcielają się w rolę badaczy klimatu, samodzielnie odkrywają zjawiska fizyczne i wyciągają wnioski z doświadczeń.

WEB-KORKI (OLGA KOTYK, FUNDACJA WEB-KORKI)

Regularne, indywidualne zajęcia online dla wychowanków domów dziecka (w wieku 5–25 lat) w całej Polsce, wyrównujące ich szanse edukacyjne. Siłą inicjatywy jest budowanie relacji edukacyjnych opartych na długofalowym kontakcie i trwałej więzi.

FINALIŚCI: KATEGORIA LOKALNA

DZIECIĘCY UNIWERSYTET POGRANICZA (OŚRODEK „POGRANICZE – SZTUK, KULTUR, NARODÓW" W SEJNACH)

Program łączy edukację i kulturę, budując w dzieciach ciekawość, wrażliwość i poczucie zakorzenienia. Obejmuje osoby dorastające w wielokulturowym regionie pogranicza, pochodzące z różnych środowisk społecznych, kulturowych i religijnych.

STUDIO DE_HA (FUNDACJA DAJ HERBATĘ W WARSZAWIE)

Inicjatywa wspiera dorosłe osoby wychodzące z kryzysu bezdomności w Warszawie i okolicach. Łączy aktywizację zawodową (m.in. renowacja mebli, produkcja akcesoriów dla zwierząt z recyklingu), arteterapię (grafika, rzeźba) oraz wsparcie asystentów zdrowienia.

SZKOLNE KÓŁKO ŻUŻLOWE W KOWALEWIE POMORSKIM (KONRAD TROKOWSKI, SP IM. MARII KONOPNICKIEJ)

Kółko skupia kibiców żużla z klas 4–8 na cotygodniowych zajęciach. Sport staje się narzędziem edukacyjnym i punktem wyjścia do rozmów o emocjach, współpracy, lokalnej tożsamości oraz odpowiedzialnym kibicowaniu. Inicjatywa jest przykładem oddolnego, szkolnego „przewrotu", który wydarza się w wielu miejscach w Polsce.

TRENING BIAŁYCH KRWINEK – JAK DZIAŁAJĄ SZCZEPIONKI? (INSTYTUT GENETYKI CZŁOWIEKA PAN W POZNANIU)

Program w przystępny sposób pokazuje, jak działa układ odpornościowy, białe krwinki i szczepionki. Wprowadza dzieci, młodzież i dorosłych w świat współczesnej genetyki oraz biologii człowieka poprzez doświadczenie i bezpośredni kontakt z naukowcami. Inicjatywa przenosi zagadnienia naukowe z laboratoriów do przestrzeni szkolnej i społecznej.

WŁASNE POKOJE (ZACHĘTA – NARODOWA GALERIA SZTUKI W WARSZAWIE)

Cykl równoległych warsztatów dla osób z niepełnosprawnościami oraz ich opiekunów i opiekunek. Program łączy działania twórcze i edukację kulturową z profesjonalną asystencją osobistą, by uczestnictwo było naprawdę dostępne i komfortowe. Celem inicjatywy jest zwiększanie dostępności kultury, wzmocnienie osób wykonujących pracę opiekuńczą poprzez włączanie ich i osób, którymi się opiekują, w życie kulturalne.

LAUREACI

W kolejnym etapie kapituła honorowa Nagrody wybierze po jednej zwycięskiej inicjatywie w obu kategoriach. Laureatów poznamy **22 MAJA** podczas uroczystej gali w CENTRUM NAUKI KOPERNIK w Warszawie.

Więcej na **www.nagroda.kopernik.org.pl**

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 997335f986



TYGODNIK POWSZECHNY

MAGAZYN
CONRAD 01
„TP" 18/2026

nieposłuszeństwo

conrad festival

19—25.10.2026

kraków

– JUŻ PEŁNOLETNI – WCIĄŻ NIEPOSŁUSZNY –
18.
18. EDYCJA FESTIWALU CONRADA

eprasa.pl 997335f986

Conrad Festival, 19-25 października



AGNIESZKA WENDERSKA

A więc: nieposłuszeństwo. Hasło 18. edycji Festiwalu Conrada podsuwa nam w czasie jej przygotowań dużo niecnych pomysłów. Niemniej, jedno pozostaje bez zmian – posłusznie oddajemy w Wasze ręce pierwszy w 2026 roku numer Magazynu Conrad, prezentując w nim motyw przewodni oraz pierwsze buntowniczki i buntownika, z którymi spotkamy się w październiku.

Obserwując pracę Pauliny Frankiewicz przy planowaniu festiwalowych wydarzeń i pisaniu eseju programowego, uświadomiłam sobie, jak zewsząd wyłaniają się konteksty, w których można rozpatrywać nieposłuszeństwo. Znakomitym dowodem jest zdjęcie Melihy Varešanović z oblężonego Sarajewa, wykorzystane w naszej tegorocznej kreacji wizualnej. Zajrzyjcie do tekstu Magdaleny Koch i historii Bośniaczki, która walczyła o godność cywilów nie tylko czynem i słowem, ale także swoim ubiorem.

O zasadność buntu wobec maszyn spierają się Jacek Dukaj i Łukasz Lamża. Dużo w tej wartkiej dyskusji mowy o (bez)osobowości i (nie)ludzkości, ale nie martwcie się – „ja" dalej wchodzi w grę jako jeden z modeli życia. Prawdopodobnie.

Piotr Siemion przybliża eseje amerykańskiej krytyczki literackiej i felietonistki Bekki Rothfeld. Jej książka „Wszystko to zbyt małe" jest błyskotliwą pochwałą nadmiaru, któremu na przestrzeni ostatnich lat coraz głośniej mówimy „nie", zapominając, jak uproszczenia zubożają nie tyle rzeczywistość, ile nasze myślenie o niej.

Ja z kolei mam przyjemność przedstawić naszą trzecią gościnię, irańską pisarkę Mahsę Mohebali. I nie – nie będzie to tylko refleksja o oporze wobec autorytarnych władz. Przyjrzymy się jednemu z moich ulubionych rodzajów sprzeciwu: nieokiełznanemu buntowi młodości.

Na razie uchylamy rąbka tajemnicy. Ale wbrew obowiązkowi zachowania poufności zdradzę, że będzie jeszcze lepiej!

©℗

W NUMERZE

85

Paulina Frankiewicz
Literatura Nie

88

Rozmowa z Jackiem Dukajem
Zniewolony umysł

92

Piotr Siemion
Im więcej, tym więcej

95

Magdalena Koch
Kobieta z Sarajewa

96

Agnieszka Wenderska
Nie ma co czekać na rewolucję

REDAKTORKA NACZELNA
Paulina Frankiewicz
REDAKTORKA PROWADZĄCA
Agnieszka Wenderska
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA
Grażyna Makara
GRAFIKA NA OKŁADCE
Marcin Wolny / Conrad Festival
ZDJĘCIE NA OKŁADCE
Tom Stoddart / Getty Images

CONRADFESTIVAL

Organizatorzy:
Kraków
INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA kbf:
KRAKÓW MIASTO LITERATURY UNESCO

Fundacja Tygodnika Powszechnego

Partnerzy strategiczni:
TYGODNIK POWSZECHNY
Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

Dofinansowanie:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Pełny program Festiwalu ogłosimy już w czerwcu!

eprasa.pl 997335f986

Literatura Nie

PAULINA FRANKIEWICZ, DYREKTORKA PROGRAMOWA FESTIWALU CONRADA

**Żyjemy w najwygodniejszym z dotychczasowych światów.
Można by pomyśleć, że skoro tak, to nie ma powodów, by się buntować.
Nic bardziej mylnego. Nieposłuszeństwo to nasz przywilej i obowiązek.**

Kraków, 28 kwietnia 2026

Do chcących czytać niebezpiecznie,

rozpoczynając programowanie tegorocznej edycji Festiwalu Conrada, wróciłam do zbioru esejów „Czytaj niebezpiecznie. Wywrotowa siła literatury na burzliwe czasy", napisanego przez Azar Nafisi w formie listów do najdroższego jej – zmarłego już – taty. Jako najcenniejsze, wręcz święte, przechowywane w pamięci wspomnienie irańska pisarka i aktywistka zachowała codzienne opowiadanie przez ojca bajek na dobranoc. Teraz to ona opowiada literaturą świat – jemu i nam. I już tym aktem kwestionuje przedustawny porządek; literatura jest nieśmiertelna i jako taka pozwala nam być ze zmarłymi.

Zaproszenie Nafisi do wystąpienia na krakowskiej scenie było jednym z pierwszych, jakie wysłałam. Autorka książki „Czytając »Lolitę« w Teheranie" jest buntowniczką, od lat wcielającą w czyn bliską mi ideę, zgodnie z którą literatura może być narzędziem zmiany: świata i nas samych. I choć z uwagi na wojnę rozpoczętą przez Stany Zjednoczone przeciwko Iranowi autorka odmówiła udziału w naszym festiwalu, jej myśl towarzyszy mi podczas dalszych przygotowań. Także dlatego postanowiłam napisać kolejny list – tym razem do Was.

My, ludzie współcześni, z wygody unikamy konfliktu; chętnie zamykamy się w bańkach z myślącymi podobnie i obcujemy ze sztuką odzwierciedlającą nasze przekonania czy podtrzymującą uprzedzenia. Czytanie niebezpieczne nie musi jednak polegać na lekturze książek, których bohaterki i bohaterowie kontestują zastaną rzeczywistość. Pobudzające może być zagłębienie się w każdą opowieść, w szczególności tę wielogłosową, jeśli tylko zachowamy gotowość do konfrontacji z poglądami innymi niż własne.

Zdaniem Nafisi w sztuce buntu najlepiej ćwiczą nas powieści – „potęga wyobraźni wspomaganej przez literaturę" – bo to one pozwalają prześledzić scenariusze obrotu spraw i zrozumieć naszych przeciwników.

Schematy fikcjonalne bardziej niż inne przypominają życie: z biegiem wydarzeń postaci rozwijają się na drodze konfliktu. Sprzeciw (polityczny, osobisty, literacki) przybiera konkretną formę, a ta może wpłynąć na zmianę naszej perspektywy. Taka rewizja nie jest łatwa ani oczywista – co literatura doskonale obnaża, stanowiąc przy tym bezpieczniejsze od samego życia laboratorium, w którym można stawiać niebezpieczne pytania.

Istotny jest więc sposób obcowania z tekstem, wydobywający wywrotowy potencjał literatury. Ona sama nie zmieni świata ani ludzkich losów, potrzebuje aktu. Nie ma spisu lektur, po przeczytaniu których staniemy się lepszymi, mądrzejszymi czy odważniejszymi ludźmi. Sama lektura nie gwarantuje, że na świecie zapanuje pokój albo że w chwili próby podejmiemy właściwą decyzję.

A jednak słowo może inspirować do podjęcia działań, które obalą obowiązujący porządek społeczny; może być (bywa!) również narzędziem oporu. Może wreszcie – co równie ważne i wcale nie prostsze – dokonywać przeobrażeń w nas samych.

■ ■ ■

Świadoma tego wszystkiego władza autorytarna od zawsze pacyfikuje ludzi pióra, co obserwujemy i dziś w różnych częściach świata. Sytuacja osób piszących jest niepewna pod każdym względem: egzystencjalnym, wolnościowym, materialnym.

Ta absolutystyczna mentalność funkcjonuje również w demokracjach – coraz rzadziej mamy możliwość i chęć dialogowania, zmianie zdania towarzyszy raczej napiętnowanie niż pochwała dojrzałości, każdego myślącego inaczej traktujemy jak przeciwnika.

W państwach totalitarnych pisarki, poeci, dziennikarki, publicyści, wydawczynie i księgarze są zastraszani, skazywani na więzienie, a nawet mordowani. Demokracje z kolei zwykły traktować ludzi słowa z obojętnością i lekceważeniem, jakby czytanie było czymś nieistotnym.

Społeczeństwo nieczytające oznacza mieliznę myśli, utratę pamięci, rozpad kultury. Widać to dobrze w historii świata. Książki mogły wzniecać rewolucje; wiedział o tym każdy reżim autorytarny. W 1933 roku nazistowscy studenci przemaszerowali z pochodniami przez niemieckie miasta. Spalili 25 tysięcy woluminów: nie palili papieru, palili pamięć. Heinrich Heine, którego twórczość wówczas płonęła na stosie, napisał sto lat wcześniej: „Gdzie pali się książki, tam będzie się palić ludzi".

Nawet jeśli już niedosłownie, książki, a wraz z nimi idee i wyobraźnia wciąż stają w ogniu. Autorki i autorzy trafiają na indeksy, niewygodne tytuły są cenzurowane. A kiedy literatura jest zagrożona, zagrożony jest cały świat.

Dziś książki porzucamy także dobrowolnie. Zamieniamy sycącą lekturę na niekończące się wycinki treści. Scrollujemy, zamiast studiować. Wybieramy rozproszenie zamiast głębokiego czytania. Konsekwencje wyglądają znajomo: obniżenie koncentracji, zniekształcenie prawdy, wykorzenienie, sprowadzenie debaty do sloganów. Wzrasta nasza podatność na manipulację oraz uleganie teoriom spiskowym i fake newsom. ↦

eprasa.pl 997335f986



JOSE COLON / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Charków podczas inwazji rosyjskiej na Ukrainę. 25 marca 2023 r.

↦ To dlatego czytanie służyło zawsze czemuś więcej niż indywidualnym korzyściom. Nasza przyszłość będzie napisana nie tylko tym, co stworzymy, ale i tym, co będziemy czytać.

„Buntuję się, więc jesteśmy", pisał w „Człowieku zbuntowanym" Albert Camus, by podkreślić, że zaczynające się od pojedynczego ruchu myśli nieposłuszeństwo ma sens jako akt zwrócony w kierunku wspólnoty. Choć wyizolowany społecznie bunt jest możliwy, częściej bywa okupiony frustracją i zatrzymuje się na gniewie.

Wspólnota budowana na literaturze pozwala natomiast spotkać się ludziom w poprzek społecznych, politycznych, genderowych, wiekowych i wszelkich innych podziałów. Wiedziała o tym Nafisi, kiedy w 1995 roku, wydalona z uniwersytetu w Teheranie za sprzeciw wobec obowiązku noszenia chusty, otworzyła własny dom dla studentek i studentów, czyniąc z niego przyczółek wolnej myśli.

■ ■ ■

Podobne przyczółki rozsiane są po całym świecie. Choć także ich istnienie jest zagrożone, pozostają otwarte dla każdej i każdego z nas. To biblioteki i księgarnie.

O roli jednego z takich miejsc pisał Tahar Djaout w „Ostatnim lecie rozumu". Jego bohater, Boualem Yekker (z kabylskiego: „ten, który powstał, który się sprzeciwił"), jest księgarzem mającym swój udział w „rozpowszechnianiu buntu i piękna" (przeł. Gabriela Hałat). Akcja powieści dzieje się w Algierze przejętym przez Bractwo Straży, radykalną partię konserwatywną, podporządkowującą życie obywateli prawom teologicznym. To świat, w którym książkom (i sztuce w ogóle) zagraża Księga; wolności – dogmat; samodzielności myślenia zaś – indoktrynacja.

Boualem poświęca wszystko, łącznie z rodziną (dzieci, zarażone islamizmem w procesie sekciarskiej edukacji, przeciągają na „jedyną słuszną" stronę matkę i odchodzą), by w pojedynkę oprzeć się dyktatowi władzy. Zastraszany przez nową inkwizycję, pokojowo stawia czoło bojownikom. Sam umieszczany jest na końcu listy jednostek do wyeliminowania. Może nawet tego nie jest wart, może jest tak słaby, że reżim nie bierze go na poważnie, a jego karą za błądzenie ma być to, że w tym przesiąkniętym terrorem świecie pozostanie całkiem sam – kwestionuje własne jestestwo protagonista.

Prowadząc księgarnię – mimo że zdjęte strachem cienie współobywateli coraz rzadziej do niej zaglądają – z narażeniem życia zdobywa „świeckie" publikacje z zagranicy. Daje odpór fanatycznej przemocy. Uporczywie trwa mimo chwil zwątpienia, w których bywa, że i jemu książki przestają dodawać otuchy.

Z dnia na dzień księgarnia Yekkara zostaje zamknięta, a jego asortyment spalony. Bohaterowi, nie bez trudu, pozostaje marzyć i śnić: żywych zastępuje duchami, a historię pełnym patosu, poetyckim mitem. Od dzieciństwa towarzyszą mu słowa książek, budujące królestwo wyobraźni. Słowo Księgi potrafi tylko niewolić i miażdżyć. Znika horyzont; ani oko, ani umysł nie zapuszczą się poza odgórnie wyznaczone granice. A przecież „dopóki nie brak nam wyobraźni, dopóty jesteśmy wolni" (przeł. Dawid Czech) – brzmi jedna z lekcji „Czytaj niebezpiecznie".

eprasa.pl 997335f986

„Czy wiosna nadejdzie?". Otwarte zakończenie powieści brutalnie domyka życie. W 1992 roku w Algierii wybucha wojna domowa toczona przez Front Wyzwolenia Narodowego i fundamentalistyczny Islamski Front Ocalenia. Wtedy też Tahar Djaout, dziennikarz, poeta i matematyk kabylskiego pochodzenia, bezkompromisowy intelektualista, zakłada tygodnik „Ruptures", zrywający z islamo-baasistowską ideologią.

„Za posługiwanie się groźnym piórem", jak określił to jeden z zamachowców, 26 maja 1993 w Algierze Djaout zostaje dwukrotnie postrzelony w głowę przez islamskich fundamentalistów. Zapada w śpiączkę, z której już się nie wybudzi – umiera w wieku trzydziestu dziewięciu lat.

Zachował się jeden z jego ostatnich zapisków: „Milczenie oznacza śmierć, / jeśli przemówisz, zginiesz, / jeśli wybierzesz milczenie, zginiesz. / Zabierz zatem głos i zgiń" (przeł. Aleksandra Szymczyk).

Opowieść o „tym, który się sprzeciwił", została odnaleziona po śmierci autora i dostarczona do francuskiego wydawcy, a ten zaczerpnął jej tytuł z treści utworu. Ostatnie lato zbiega się z kresem życia Djaouta. Od jego śmierci do 1995 roku w Algierii zginęło więcej dziennikarzy niż w tym samym czasie na reszcie globu. W odpowiedzi na zamordowanie rodaka Camusa ponad 300 ludzi pióra z całego świata podpisało apel-przyczynek do powstania Międzynarodowego Parlamentu Pisarzy, którego celem jest ochrona zagrożonych autorek i autorów.

■ ■ ■

Na zewnętrznym parapecie jednego z łódzkich antykwariatów codziennie, także w deszcz, ląduje literatura za grosze. Tym sposobem w moim posiadaniu znalazła się niepozorna, zawilgotniała książka „Bartleby i spółka". Autor eksperymentalnego eseju, Enrique Vila-Matas, porusza kwestię świadomego wypisania się z obowiązującego porządku społecznego.

To wypisanie można u hiszpańskiego pisarza rozumieć na dwa sposoby. Bezimienny twórca osobliwego dziennika i zarazem przypisów do niewidzialnego tekstu od dwudziestu pięciu lat nic nie napisał. „Słysząc" pewnego dnia w biurze, że „pan Bartleby jest na zebraniu", zdaje sobie sprawę z absurdalności opacznie zrozumianego komunikatu. Przecież kopista Bartleby z opowiadania Hermana Melville'a na żadne spotkania nie chodził, przynajmniej od dnia, w którym ostentacyjnie stwierdził, że wolałby nie.

Autor dziennika postanawia prześledzić literaturę Nie, ponieważ, jak twierdzi, „tylko z negatywnego popędu, tylko z labiryntu Nie może wyrosnąć literatura jutra" (przeł. Anna Topczewska). Efektem tego śledztwa, a raczej fiksacji, jest 86 przypisów zbierających historie podobnych jemu bartlebych. Niepokojące skłonności do odrzucenia świata przejawiali zarówno autorzy bez książek i pisarze bez tekstów, jak i ci, którzy pisanie porzucali, przerywali, napoczynali kolejne kawałki, kręcili się wokół, dręczeni immanentną niemożliwością materii literackiej. To wszyscy ci, którzy z nie/pisania uczynili swoje życiowe posłannictwo.

Z drugiej strony kopista Bartleby jest buntownikiem totalnym. Nie tylko składa pióro, ale też kwestionuje wszelkie inne powinności. Uzbrojony w odwagę bycia sobą, gwiżdże na wszystko i wszystkich. Vila-Matas kilkakrotnie powtarza, że *niewidzialny* to nie to samo co *nieistniejący*.

W tej myśli tkwi sedno sprawy. Deklaracja „wolałabym nie" jest decyzją, zaniechanie jest aktem sprawczym i znacznie bardziej zniuansowanym niż przypisywana mu rezygnacja. Zatrzymanie pozwala uchwycić moment wyczerpania, kryzysu, osiągnąć punkt zwrotny. Można w tym stanie pozostać, można też podważyć *status quo* na rzecz ustanowienia nowego.

Być może dziś, w dobie późnego kapitalizmu, przyjęcie postawy rebeliantki, outsidera, osoby protestującej polega przede wszystkim na porzuceniu presji działania dla samego działania i wyjściu z kieratu produktywności.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że wspomniana produktywność bywa odpowiedzią na strach przed niepewną przyszłością. Wraz z rozwojem technologii, a zwłaszcza sztucznej inteligencji, wiele procesów uległo przeobrażeniu, w wyniku którego życie jest wygodniejsze niż kiedykolwiek. Rzeczywistość rozszerza się na poziomie możliwości i kurczy na poziomie ludzkiego w niej udziału. Technologiczne udogodnienia oferują nieznaną dotąd optymalizację licznych aktywności. A jednak w tej łatwości dostrzegam pewien brak.

Zastanawiam się, jak wyglądałby przegląd bartlebych napisany przez Vila-Matasa dziś. W przypisie 7. opublikowanego w 2000 roku dziennika wspomina Daniela Del Giudicego, który dzieło literackie buduje na fundamencie nicości, a przed tekstem, jeśli ma mieć znaczenie i cechować się jakąś moralnością, stawia zadanie wytyczania nowych dróg i odsłaniania nieopowiedzianego. Aktem niemoralnym jest więc zamykanie horyzontu utworu na wrażeniowości i bezpieczne powielanie efektu stylistycznego. Del Giudice proklamuje etyczne poszukiwanie nowych form, mając przy tym świadomość, że może ponieść klęskę pisarz podejmujący próbę poszerzenia granic tego, co ludzkie. Wszystko to czyni pisanie aktem wysokiego ryzyka, w którym bezpieczeństwo to formuła pozorów.

Mówiąc wprost: czy generowane już na masową skalę teksty mogą przynależeć do literatury Nie? Czy tworzenie literatury można bez straty zastąpić jej symulowaniem, skoro gramatyka, styl i słownik tak łatwo dają się skopiować? Innymi słowy: czy kopista Bartleby może być maszyną, nie-człowiekiem bez właściwości, nie-człowiekiem do wszystkiego? I skoro nie/pisanie jest sposobem na przetrwanie, a literatura formą stawiania oporu, to kto w tym przypadku wolałby nie?

© PAULINA FRANKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wspieraj Festiwal Conrada! Kup bilety dobrej woli i festiwalowe pamiątki na Allegro.

allegro.pl/uzytkownik/FundacjaTygPow

eprasa.pl 997335f986

Zniewolony umysł

JACEK DUKAJ, PISARZ:

Czy człowiek będzie pracował dla robota AI, czy silna podmiotowość „ja" to jeden z możliwych modeli życia i czy istnieje przyszłość, w której nie ma zniewolonych ani zniewalających.

ŁUKASZ LAMŻA: Masz możliwość opowiedzenia się po stronie maszyny, a nie po stronie człowieka. Bierzesz pod uwagę taki wybór?

JACEK DUKAJ: Bardzo to ogólne. Potrzebny mi konkretniejszy scenariusz.

Wyobraźmy sobie świat, w którym agenci AI są w stanie generować zysk i być podmiotem praw, np. zakładać firmy i nimi kierować. Powstaje alternatywna ekonomia, w której to człowiek ma możliwość tworzenia dla AI za pieniądze. Miałbyś z tym problem?

Zakładam, że nie chodzi o trenowanie AI na treściach pochodzących od człowieka, ale o konsumpcję kultury tworzonej przez ludzi, na podobieństwo ludzkiego przeżywania sztuki? Taka sytuacja nie była jeszcze rozważana jako model. Jesteśmy na etapie scenariusza, w którym to AI tworzy kulturę dla nas.

Tak, pytam spekulatywnie o dalszy scenariusz. Agent AI potrzebuje pewnej treści, którą na razie potrafi wygenerować tylko człowiek, i wrzuca ogłoszenie na giełdę pracy adresowaną do człowieka. Przyjąłbyś takie zlecenie?

To mnie nie dotyczy, bo nie piszę na zamówienie, ale gdybym był programistą, to czemu nie? Już dziś ludzie wykonują niektóre podzadania agentów AI, wynajmowani do tego w serwisach online.

Czyli nie ma dla Ciebie znaczenia, czy pracujesz dla bezosobowej maszyny?

Ogromna większość ludzi we współczesnym kapitalizmie pracuje dla takich systemów. Dla pracowników nie ma znaczenia, czy są zarządzane przez konkretnego człowieka, czy są systemami bezosobowymi, zbiorami procedur.

Skąd wiesz?

A ileż się wylało w Polsce od lat 90. opowieści o niewoli w systemie kapitalistycznym i korporacyjnym? Cała fala literatury i publicystyki na ten temat. To nie były opowieści o tym, że jeden zły kapitalista nas zniewala, zmienimy go i wszystko będzie dobrze, tylko narracje o opresji systemu.

I nie ma znaczenia, czy tym systemem zarządza człowiek, czy maszyna?

Jeżeli weźmiesz średnią, to nie. Ludzie i tak czują się zniewoleni i sprowadzeni do roli odpodmiotowionych wykonawców. Jako niewolnik korporacji robię to, co nakazuje mi procedura. Ktoś postawiony wyżej w strukturze pilnuje jej wykonania. I nawet nie mogę się na tego biednego zwierzchnika zdenerwować ani go za nic winić, bo przecież on też robi tylko to, co nakazuje mu procedura, i ma nad sobą nadzorców procedury. Być może ja też mam kogoś pod sobą, i też za niego tak odpowiadam przed korporacją.

Jak dzwonisz na infolinię banku i człowiek w *call center* odpowiada ci według skryptu, to czy gniewasz się na niego, nawet jeśli bank oskubał cię właśnie z grubej forsy? Co dopiero, gdy nie potrafisz go odróżnić od dialogowego AI.

Jednak wciąż można winić człowieka, który tę procedurę zatwierdził.

I co to zmienia?

Zobacz. Idziesz sobie po górach, odszczepia się kawałek kamienia, spada Ci na głowę i zabija. Nie można pozwać albo winić kamienia, bo nie ma on podmiotowości.

Przypomnij sobie Occupy Wall Street. To był protest przeciwko systemowi.

A nie przeciwko bogaczom?

Był wymierzony w system – nie w zmianę składu osobowego jednego procenta, ale w sam układ, gdzie mamy ten jeden procent *versus* dziewięćdziesiąt dziewięć pozostałych.

No dobrze, przypuśćmy, że w system. Nie uważasz, że to nie jest rozsądne? Że równie dobrze można wygrażać chmurom i niebiosom?

A pamiętasz, jak Kserkses kazał biczować morze, ponieważ mu się sprzeciwiło?

No i zobacz: jeszcze 2,5 tysiąca lat później się z niego śmiejemy.

Obiektywnie rzecz ujmując, są to takie same akty sprzeciwu wobec porządku, w obliczu którego jednostka czuje się bezsilna.

Nie przeczę, że ludzie mają skłonność do winienia systemów czy pozbawionych podmiotowości sił. Natomiast z filozoficznego punktu widzenia wypada nam chyba dokonać rozróżnienia pomiędzy czymś, co ma podmiotowość, a czymś, co jej nie ma.

Tak, ale to nie zmienia samego aktu nieposłuszeństwa.

Ale może sprawia, że jeden z nich jest bardziej uzasadniony. Sprzeciwiać się bezosobowej sile to coś zupełnie innego, niż buntować się przeciw ludzkiemu tyranowi.

Być może, ale często nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy to zniewolenie jest osobowe, czy nie. Jako żuczek na dole systemu nie masz sposobu tego stwierdzić. Oba warianty są nieprzejrzyste: człowiek, który pełni rolę szefa, jest tylko wyżej zamontowanym w maszynie trybikiem, nawet jeśli uważa się za samowładnego. Niektórzy politycy też miewają takie złudzenia.

I na odwrót. Przynajmniej częściowo podmiotowi winowajcy chętnie i skutecznie ukrywają się za systemem: gdyby nie ja, to samo zrobiłby ktoś inny. Korporacje jawnie dążą do ideału absolutnej

eprasa.pl 997335f986



ALBERT ZAWADA

JACEK DUKAJ (ur. 1974) – prozaik, eseista i krytyk. Autor m.in. „Innych pieśni", „Lodu", „Wrońca" oraz licznych opowiadań zgromadzonych m.in. w tomach „W kraju niewiernych" oraz „Król Bólu". Wielokrotny zdobywca nagród im. Janusza A. Zajdla, nominowany do Paszportu „Polityki", Nagrody Literackiej „Nike", Nagrody Mediów Publicznych „Cogito", a także Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus". Laureat Nagrody Kościelskich i Europejskiej Nagrody Literackiej 2009.

wymienialności wszystkich pracowników. Jedyną stałą pozostaje sama struktura. W jaki sposób masz dokonać analizy odkrywającej w tym wielopiętrowym splocie zależności „prawdziwy podmiot"?

Weźmy inny przykład. Oglądam dwa obrazy. Jeden został wygenerowany przez AI, drugi stworzony przez człowieka. Są identyczne co do ostatniego piksela. Wielu ludzi jest skłonnych powiedzieć, że kupią, albo choćby zalajkują, tylko ten, za którym stoi człowiek.

Mówimy tu o czymś innym. O przeżywaniu kultury, gdzie domyślnie, przeżywając dzieło, przeżywasz także jego twórcę. Dla pewnej części odbiorców, aby w ogóle mogli się otworzyć na takie przeżycie, konieczne jest przekonanie, że wiersz czy obraz wyszedł z ludzkiego umysłu.

Ale to w dużym stopniu cecha pokoleniowa. Zwróć uwagę na popularność tzw. AI-owych dziewczyn – wszyscy wiedzą, że to twory cyfrowe, a mają setki tysięcy fanów, którzy śledzą je w sieci i przeżywają. Zresztą... widziałeś, jaka muzyka trenduje teraz na Spotify?

Nie mówię, że takie zjawisko nie ma miejsca, tylko dostrzegam problem związany z brakiem człowieka po drugiej stronie. Moim zdaniem to tożsame sytuacje: przypadek sztuki i przypadek władzy.

Nie. Czym innym jest system, który cię do czegoś przymusza i ty miałbyś aktywnie mu się sprzeciwiać, a czym innym – wolny wybór konsumenta kultury.

W obu przypadkach masz wybór. Pracownik korporacji zastanawia się, czy zatrudniać się w firmie, której szefem jest program komputerowy, czy w zarządzanej przez człowieka. Nawet jeśli nigdy go nie spotkam, głowię się, czy w tym gabinecie siedzi mięso ludzkie, czy krzem. I mogę się na to godzić lub nie. Być może z tych samych powodów, dla których w ludziach budzi sprzeciw fakt, że dokładnie takie same piksele wygenerował komputer, a nie mięso.

Nie, ponieważ w obecnym systemie kapitalistycznym, jeśli należę do tej większości po prostu sprzedającej własną pracę, najczęściej nie mam wyboru. Gdziekolwiek pójdę, trafię w sieć tych samych relacji.

To są czysto abstrakcyjne dociekania, czy na szczycie korporacji stoi człowiek, siedem funduszy inwestycyjnych, czy program, który optymalizuje zyski na Wall Street. Pracownik na dole nawet nie jest w stanie tego skonceptualizować.

Kolektywy ludzkie, zachowujące się jako emergentna całość, to jedno – od setek lat istnieją systemy urzędnicze, prawne, ekonomiczne, rządzone *de facto* przez chmurę ludzi, zasad i algorytmów. Natomiast wydaje mi się, że właśnie pojawia się coś nowego: zjawisko „syntetycznych podmiotów", które niebawem mogą być traktowane prawnie tak, jakby miały sprawczość i podmiotowość.

Oczywiście, z punktu widzenia czystej ontologii tych bytów – tak. Ale my mówimy o doświadczeniu najniższych pracowników, którzy wchodzą w kontakt z pewną strukturą i dla nich ona jest tak czy owak nieprzejrzysta.

Podam inny przykład. Edukacja. Czytałem o badaniu wykonanym na sporej grupie młodzieży. Spytano ją, czy zaakceptowałaby program komputerowy dostarczający materiały dydaktyczne takiej samej albo lepszej jakości niż nauczyciel. Dominująca odpowiedź brzmiała: nie.

A gdzie było wykonane to badanie? W USA? Bo w Azji się to akceptuje. Mieli tam olbrzymie programy państwowe, po wioskach chińskich i indyjskich rozdawano setki milionów tabletów-nauczycieli. Nie było sprzeciwów. Azja, ze specyficzną koncentracją owego fenomenu w Japonii, nie jest tak wyczulona ↦

eprasa.pl 997335f986

↦ na problemy z granicą ludzkie-nieludzkie, człowiek-robot, człowiek-AI. Dziwią się tam podobnym dyskusjom ludzi Zachodu.

No dobrze, czyli zgodziliśmy się, że można do tego problemu podejść na dwa sposoby. Można tę nie/ludzkość zaakceptować lub nie.

To są fakty, tu nie ma czego nie akceptować.

Może przecież dojść do niezgody.

Nie bardzo rozumiem. Wewnętrznym impulsem mogę się nie zgadzać na mnóstwo rzeczy, ale dopóki czegoś w praktyce nie zrobię, nic z tego nie wynika.

Zwracam uwagę na fakt, że nieludzkość budzi w ludziach sprzeciw, a czytając i słuchając Ciebie dochodzę do wniosku, że dla Ciebie nie ma to znaczenia. Jesteś funkcjonalistą, nie wnikasz w to, czy źródłem informacji, rozkazu lub oferty jest podmiot, czy przedmiot, dopóki spełnia pewną funkcję.

Trochę inaczej bym to sformułował. Uważam, że w większości przypadków człowiek na dole nie jest w stanie dociec, jakie jest prawdziwe źródło: osobowe czy nie.

Myślę, że nie doceniasz ludzi.

Ja myślę, że projektujesz na ogół swoje cechy i nastawienia.

Zapytam więc inaczej. Czy Twoim zdaniem powinny istnieć w nas siła i niezgoda, które doprowadziłyby do buntu przeciwko maszynowym podmiotom?

Można przyjąć różne wartości, na podstawie których osądzamy, czy coś być powinno, czy nie. Można wziąć podstawę rozmaitych etyk humanistycznych bądź religijnych. Albo podstawę antropologiczną: człowiek nie został stworzony – w sensie ewolucji – do życia w sposób, w jaki technologia dziś go przymusza, żeby żył. Jest więc coraz bardziej nieszczęśliwy, a zarazem coraz szybciej rozwija tę technologię. Z tego punktu widzenia nie powinien poddawać się dyktatowi maszyn, prawda? Nie potrzeba więc wielkich systemów etycznych, wystarczy kryterium życia ludzi w zgodzie ze swoją naturą, osiągających równowagę psychiczną i dobrostan.





Tematyczny przewodnik po twórczości Dukaja

- **PO PIŚMIE** – o tym, jak pismo, które stoi u podstaw cywilizacji człowieka, znalazło się w odwrocie na rzecz technologii bezpośredniego transferu przeżyć (telewizja, internet, wirtualna rzeczywistość i in.). U progu nowej ery człowiek staje się maszyną do przeżywania na usługach stworzonych przez niego narzędzi.
- **LINIA OPORU** – powieść-symulacja, która pokazuje, co dzieje się z człowiekiem, kiedy przestają istnieć kolejne granice. Usuwająca linie oporu technologia pozwala mu kształtować się według woli – tylko czyjej?
- **IMPERIUM CHMUR** – rzecz o zmierzchu kultury samurajów i narodzinach nowoczesnej Japonii, otwierająca na rozważania o relacji języka do rzeczywistości, o iluzji „ja" człowieka Zachodu, o czystym przeżywaniu, i o transferze znaczeń między umysłami i kulturami.
- **STAROŚĆ AKSOLOTLA** – wizja świata, w którym nastąpiła zagłada życia biologicznego, a nielicznym udaje się przekopiować swoje scyfryzowane umysły do maszyn – czy w takich warunkach ludzkość jest w stanie dojrzeć samodzielnie?

Wszystkie książki ukazały się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Wymieniłeś cały katalog możliwych odpowiedzi. A ja pytam, która jest Twoim zdaniem najlepsza i mogłaby posłużyć jako podstawa do wywołania niezgody na rozwój tych technologii.

Coraz trudniej wyobrazić sobie scenariusze, w których rozwój się zatrzymuje. Jak do tej pory, realizuje się taki, w którym technologia dąży do maksimum, czyli do Technologicznej Osobliwości. Ciągle dopuszczam rozmaite zdarzenia zewnętrzne, np. wyciek z wojskowego laboratorium wirusa powodującego zarazę o stopniu śmiertelności Czarnej Śmierci. W konsekwencji mamy decymację populacji, ustaje normalny rozwój cywilizacji, załamują się struktury społeczne i państwowe. Tym samym zatrzymuje się, albo i cofa, postęp technologiczny.

Pytanie, czy coś mogłoby nas skłonić do kontrolowanego zejścia z tej ścieżki, bez katastrofy?

Największym problemem w twoim pytaniu jest podmiot. Kim są ci „my"? Bo jedyny logiczny scenariusz takiego zakłócenia wymagałby zgodnego sprzeciwu całej ludzkości.

A broń jądrowa? Istnieje, ale jest kontrolowana. I nie zrobiła tego cała ludzkość, tylko grupa ludzi u władzy.

Jak to „kontrolowana"?

Były dwa przypadki jej użycia przeciwko ludności cywilnej, a mógłby być tysiąc.

Tak, ale jej rozwoju nie zaprzestano. Liczy się to, że jest produkowana i ulepszana. Technologiczna Osobliwość stanowi bezpośrednią konsekwencję ciągłego ulepszania AI.

Przypuśćmy zatem, że AI rozwija się na ściśle odgrodzonych poletkach, za zamkniętymi drzwiami, na komputerach niepodłączonych do internetu. Cokolwiek się wydarzy, zamknie się w tym pokoju. Możemy sobie do niego zajrzeć, zobaczyć, i tyle.

W momencie, w którym AI jest w stanie sama się ulepszać, poza twoją wiedzą, nigdy nie jesteś w stanie zagwarantować, że ci nie ucieknie z tego pokoju.

Oczywiście, że jesteś! Jeżeli nie wysyła sygnału do świata zewnętrznego, nie wyjdzie z pokoju.

Chcesz to zamknąć w pokoju? Powodzenia!

W takim razie wytłumacz, jak to będzie możliwe.

Czyli to ja mam być tym AI po Osobliwości i wymyślić teraz technologie post-

eprasa.pl 997335f986

ludzkie? Domagasz się tu złamania paradoksu Poppera.

A co, jeżeli osoba sprzątająca ten pokój wyleje kubeł wody i wywoła spięcie? Bzzz i po rewolucji.

Zniszczona zostanie co najwyżej jedna instancja AI poosobliwościowej, ale nie sama Technologiczna Osobliwość. Podobnie rozumując, mógłbyś usiłować zniszczyć fizykę kwantową, nasyłając skrytobójców na Heisenberga czy Bohra.

Wszelki opór jest zatem beznadziejny.

Nie jestem deterministą. Może zajść wiele zdarzeń, które cały ten proces wywrócą. Moglibyśmy się przecież wysadzić w powietrze bombami atomowymi.

Czyli jesteś fatalistą?

Uważam, że istnieje bardzo mocna bezwładność, siła inercyjna wynikająca z samego procesu kumulacji wiedzy. Kluczowe dla niego było odkrycie przez *Homo sapiens* operacji na symbolach, a następnie upodmiotowienie symboli w postaci pisma. Od tego momentu wiedza o naturze rzeczywistości może się rozwijać poza pojedynczym umysłem człowieka.

Operacje na symbolach generują pewną nadwyżkę wiedzy, przekładalną następnie z powrotem na rzeczywistość materialną. Jej częścią są nośniki symboli i operatory. Poza szybkością procesunku nie ma różnicy, czy dane operacje przeprowadzane są na zbiorach kamyków, w biologicznym mózgu, czy w nieorganicznym komputerze. Toteż bez jakichś dramatycznych wypadków zewnętrznych trudno sobie wyobrazić naturalny stop z wewnątrz tego procesu.

Nie wierzysz w to, że da się z tego wycofać?

Nie używałbym czasownika „wierzyć". Analizuję i wyciągam wnioski: jest to wysoce mało prawdopodobne.

A ja widzę w ludziach zarzewie buntu. Przez tysiąclecia wydawało nam się, że nie czekamy na nic innego jak na jakąś obcą inteligencję, umysł większy od naszego. Jak nie bogowie, to kosmici. Ale teraz, kiedy zaczyna się pojawiać, wcale nie jest tak fajnie. Ty się tym fascynujesz zawodowo i akceptujesz to, jakby było najbardziej naturalną rzeczą w świecie, ale sądzę, że jesteś w mniejszości. Mam wrażenie, że to ludzi obrzydza z metafizycznego punktu widzenia.

A ja mam z kolei wrażenie, że to obrzydzenie jest cechą twojej bańki. Jak mówiłem, w kulturach Wschodu nie istnieje tak twarda granica między ludzkim a nieludzkim. Ta dyskusja jest głęboko chrześcijańska, w orygenesowym sensie dychotomii ciało-duch.

No dobrze, niech będzie, że w głębi serca jestem dualistą. Widzę w świecie tę fundamentalną różnicę pomiędzy podmiotem i przedmiotem. Ale wydaje mi się, że nie jestem w tym osamotniony.

A nie sądzisz, że cały XX wiek to historia coraz większej podejrzliwości wobec tego dualizmu i dekonstrukcja podmiotowego „ja"?

Oczywiście! Co nam mówią neuronauki albo ekonomia? Twój mózg jest jedynym, co nas interesuje. Twój mózg to ty. Twoja decyzja jest tylko procesem naturalnym. Widzę, że to się dzieje, ale potrafię sobie też wyobrazić taką możliwość, że w – po heglowsku – „duchu ludzkim" pojawia się protest przeciwko nachalnemu przekonywaniu, że nie jesteśmy podmiotami, tylko przedmiotami. Wydaje mi się, że to, co się teraz dzieje – możliwość pojawienia się jakiegoś innego „ja" na tej planecie – zaczyna budzić nas do sprzeciwu. Tylko wymaga to uświadomienia sobie naszej podmiotowości. Nowe, zewnętrzne „ja" pobudzi nasze stare, zapomniane „ja".

A jak się do tego ma wschodni punkt widzenia, który prowadzi do wyzbycia się jakiegokolwiek przekonania o swoim „ja"?

Oj, do tego chyba nie dorośliśmy. Jasne, hindus powiedziałby Ci, że Twój atman to jest Brahman, albo że tego atmana w ogóle nie ma. Ale ja mówię z perspektywy naszej kultury, gdzie „ja" od zawsze jest silne.

Jest jeszcze inna wersja endgame'u technologicznego, zupełnie inna od ścieżki przez Technologiczną Osobliwość, do której jestem faktycznie trochę przyzwyczajony i może znieczulony przez zajmowanie się nią od lat. Mam na myśli konsekwencje połączenia mózg-maszyna.

Oznacza ono umożliwienie połączenia poziomego teoretycznie nieskończonej liczby mózgów, czyli doświadczania przeżyć niezwiązanych żadnym pojedynczym „ja", a w dalszej konsekwencji – delokalizację samego aktu przeżywania. To całkowite rozpuszczenie klasycznie rozumianej podmiotowości.

Interfejsy mózg-komputer podpięte do wspólnej bazy przeżyć?

Te interfejsy to tylko link między mózgami. Nie musi istnieć żadna baza. Są tylko mózgi, przez które przepływają strumienie doświadczeń „odpiętych" od „ja". I to jest *endgame*, w którym nawet rozmowa w dotychczasowym języku o zniewoleniu i nieposłuszeństwie nie może być prowadzona. Rozpada się leksyka całego dyskursu o nieposłuszeństwie – kto wobec czego miałby być nieposłuszny?

Nie istnieją indywidualne punkty soczewkujące przeżycia. A ocean przeżyć?

Tak. Nie można powiedzieć, że istnieje jakiś überopresor, którego my, głupie małpy, próbujemy sobie wyobrazić. Chodzi o to, że już nie jesteś w stanie wysłowić, ani pomyśleć, tej wersji zniewolenia ani żadnego potencjalnego sprzeciwu. Nie ma zniewalanego podmiotu i nie ma zniewalających. I to jest prawdziwy kres dyskusji o (nie)posłuszeństwie.

Nie ma buntu, jeżeli nie ma podmiotów, które by się mogły buntować? Czyli nawet jeżeli w tej sieci przeżyć występuje przeżycie nieposłuszeństwa, to nie jest uwiązane do konkretnego bytu. Jak ocean uderzający w klif – klif się kruszy i kamień wpada do wody, ale nie ma dwóch aktów woli, które przeciwko sobie się kierują.

Można odnaleźć wielką harmonię w takim totalnie bezosobowym świecie, gdzie są tylko oceany, kamienie, wiatr.

Buddysta byłby wniebowzięty.

© Rozmawiał ŁUKASZ LAMŻA

eprasa.pl 997335f986

Im więcej, tym więcej

PIOTR SIEMION

Becca Rothfeld rozprawia się z kulturą masową i bezmyślnym egalitaryzmem, sprowadzając do parteru wezwania do umiaru czy powrotu do „wartości".

Eseistyka wcale nie musi zabierać nas na wycieczki po pogodnych śródziemnomorskich labiryntach. W medialnym, choć raczej tym „z górnej półki", obiegu idei na nasze szczęście coraz mocniej wybrzmiewają filozoficzno-kulturowe rozważania podobne do serii bolesnych zastrzyków prosto w brzuch: teksty mądre, trudne do przełknięcia, ale też celowe i konieczne, bo będące odtrutką na wściekliznę i intelektualną miałkość naszych czasów. Tym razem jednak światłość ta nie przychodzi z biblijnego Wschodu, lecz paradoksalnie z przeciwnego kierunku, z Ameryki. Może to zaskakiwać o tyle, że Stany Zjednoczone doby Donalda Trumpa kojarzymy raczej z płaskoziemskim populizmem, nie zaś z wnikliwymi analizami wad i mielizn współczesności. A jednak: *ex Occidente lux* (łac. „światło z Zachodu").

Becca Rothfeld, bo o niej chcę opowiedzieć, to nowa gwiazda amerykańskiej myśli społecznej, przez tamtejsze media obwołana spadkobierczynią Susan Sontag i Lionela Trillinga. Od razu jednak należy przestrzec jej polskie czytelniczki i czytelników: gwiazda neutronowa, bezpardonowo rozprawiająca się w swoich esejach z kulturą masową oraz bezmyślnym egalitaryzmem i równie bezceremonialnie sprowadzająca do parteru idee konserwatywne, wezwania do umiaru czy powrotu do „wartości".

Co najciekawsze, pisarstwo Rothfeld w paradoksalny sposób łączy protest przeciwko uproszczonej „demokratyzacji" kultury z radykalną postawą obrazoburczyni, strącającej z piedestału gipsowe świątki idei konserwatywnych. Jej debiutancki zbiór esejów, w polskim przekładzie zatytułowany „Wszystko to zbyt małe", to niezmiernie dziś rzadki przykład żarliwej obrony tego, co intelektualnie trudne i nieoczywiste – naprawdę „nie dla idiotów", zupełnie jak w wywołującej srogie oburzenie, pamiętnej (i celnej, nawet jeśli dla wielu bolesnej) wypowiedzi naszej noblistki.

Do utraty tchu

Skąd tytuł książki, tak jednoznacznie biorący stronę nadmiaru, pragnienia czegoś więcej, rozsadzania zbyt ciasnych pojęć i poglądów? Becca Rothfeld, która w 2026 r. przeszła z działu krytyki „Washington Post" do redakcji „New Yorkera", rozpoczyna swój zbiór cytatem z wiersza XIII-wiecznej niderlandzkiej mistyczki, Hadewijch z Brabancji. „Rzeczy, by i wspaniałe – / Dla mnie wszystkie zbyt małe". Ale – pyta autorka – czy wolno nam, mieszkańcom dzisiejszego świata, biegiem i do utraty tchu dążyć ku ziemskim rajom obfitości i nadmiaru? Rajom bynajmniej nie konsumpcyjnym, lecz z pewnością estetycznym i obyczajowym? Czy to w ogóle wypada – pławić się w takiej obfitości życia?

Ba! Więcej niż wypada. Rothfeld uważa, że jeśli chcemy zachować człowieczeństwo, w praktyce nie mamy wyboru. Odwrotnością takiego nadmiaru jest bowiem jałowa pustka, jakże powszechna w naszych czasach. Obecna w aseptycznych domach, gdzie próżno szukać miłego nieładu i mrocznych zakamarków. W naszych głowach, zgodnie z nakazami rozmaitych guru, by drogą uważności opróżnić je ze splątanych myśli, trudnych emocji czy niepokojących obsesji. Ta sama pustka, która tymczasem zakradła się nie tylko do biur, lecz, co gorsza, także do naszych sypialni, w których wszystko, co robimy, ma być z góry uzgodnione i przewidywalne. Pustka bijąca ze stronic wielu współczesnych powieści, w których nijakie bohaterki wpatrują się tępo w swoje nijakie życie.



SEJAL SOHAM

Zewsząd słyszymy, że właściwą postawą powinien być egalitaryzm: w sztuce, w obyczajach, w sądach estetycznych. Posłuszni tym nakazom, gromadnie podążamy przez duchową pustynię, nieuważni na fakt, że coraz ubożsi, na własne życzenie odarci z pragnień, idziemy donikąd. Ubożejemy materialnie i duchowo, podczas gdy bogaci gromadzą wciąż nowe dobra materialne i oddają się obyczajowym ekscesom godnym Kaliguli. To właśnie świat, w który z nabitą strzelbą moralnej refleksji i estetycznego sądu wkracza Rothfeld.

eprasa.pl 997335f986



Polowanie na święte krowy

Jej ulubionym zajęciem jest polowanie na święte krowy. Recenzent „New York Timesa" – choć entuzjastyczny wobec zbioru Rothfeld – jak wielu innych arbitrów, nie był odosobniony w opinii, że „Wszystko to zbyt małe" jest zbiorem „olśniewająco bezwstydnym" w swej neoromantycznej szarży przeciwko współczesnym obsesjom. Z jednej strony to estetyczny minimalizm w sztuce i wzornictwie, a z drugiej nowy purytanizm obyczajowy czy przesycenie publicznego dyskursu bezpiecznymi eufemizmami.

Jeśli Becca Rothfeld ma w swym pisaniu przeciwnika, to jest nim nijakość i miałkość tego, jak żyjemy i jak myślimy. Nic więc dziwnego, że jej jadowity sceptycyzm wobec nakazu społecznej i intelektualnej równości (gdzie wszyscy mają prawo do własnej opinii, równie wartościowej i godnej szacunku jak każda inna) dał asumpt oskarżaniu autorki o elitaryzm. Jednak choćby pobieżna lektura tych esejów upewnia, że sprawy mają się o wiele „gorzej".

Rothfeld jest nie tylko elitarna – na dodatek, we właściwym sobie, błyskotliwym stylu wręcz wychwala brak kulturowej równowagi, estetyczny chaos i horror, nieposkromiony apetyt (intelektualny, jak i seksualny), niepohamowany zachwyt i nieokiełznane dążenie do autentyczności w literaturze, filmie czy estetyce. „Już dawno odwrót od powściągliwości nie brzmiał tak ↦

BECCA ROTHFELD
(ur. 1991) – amerykańska krytyczka literacka, eseistka i felietonistka. Do niedawna pisała o książkach do „Washington Post", obecnie pracuje jako redaktorka w „New Yorkerze" i „The Point". Laureatka licznych nagród za krytykę literacką.



WSZYSTKO TO ZBYT MAŁE. ESEJE KU CHWALE NADMIARU ukazały się nakładem Wydawnictwa Filtry w tłumaczeniu Piotra Siemiona w 2025 r.

eprasa.pl 997335f986

↦ zachęcająco!" – pisano po jej debiucie, a z tych słów, oprócz podziwu, przebija pewien rodzaj konsternacji: czy wypada, by autorka tak młoda była tak śmiała lub wręcz bezczelna wobec kultury i myśli, jakie dzisiaj znamy, a jednocześnie tak zdyscyplinowana intelektualnie?

Tak właśnie jest: dwanaście esejów z tomu „Wszystko to zbyt małe" to seria pojedynków ze zjawiskami, które w dużym stopniu kształtują dzisiejszy świat rzeczy i idei. Znajdziemy więc w tym zbiorze tekst drwiący z mieszkaniowego minimalizmu spod znaku Marie Kondo (głównej apologetki trendu nakazującego wyrzucić z naszych domostw wszystko, co nie daje „iskry radości"), skutkującego bezlikiem anonimowych wnętrz godnych taniego hotelu. Jest tu także rozprawa ze współczesną (albo i hiperwspółczesną) powieścią, pełną narracji-rozsypanek, za to wypraną z emocji i nadziei (jak kultowa powieść Ottessy Moshfegh „Mój rok relaksu i odpoczynku").

Eros po #MeToo

Przeczytamy tu również bezceremonialną analizę słabości i póz nagradzanej powszechnie i modnej (a może już nie?) prozy Sally Rooney, w której dzieła irlandzkiej pisarki zestawione są z „50 twarzami Greya", na korzyść tej ostatniej książki. A także przezabawne i mądre teksty o naszych czynnościach zwykle wstydliwie ukrywanych, takich jak puste czekanie, łapczywe obżeranie się, sieciowe podglądactwo czy bycie w wiecznej terapii.

Są też w zbiorze eseje poświęcone filmom Davida Cronenberga i Erica Rohmera, esej o „Personie" Bergmana. Najdłuższy zaś i najbardziej prowokacyjny esej dotyczy seksualności społeczeństwa amerykańskiego w epoce „po *#MeToo*". Rothfeld analizuje post- i antyfeministyczne wywody „nowych purytanek" z ich ideami monogamii i seksualnej powściągliwości, jakże bliskimi formacji Donalda Trumpa. Nie zostawia na nich suchej nitki (choć znęca się także nad hiperlewicowymi feministkami), a zarazem wnikliwie analizuje źródła konserwatywnego zwrotu w postawach społecznych, takie jak urynkowienie rewolucji obyczajowej spod znaku Tindera i tym podobnych targowisk próżności.

Bóstwem opiekuńczym świata wymarzonego przez Rothfeld jest bowiem nie merkantylny Merkury, lecz Eros, niebiański patron czystego pożądania i osobistej wolności, będącej dla autorki esencją autentycznej demokracji.

> Kultura jest i zawsze będzie czymś, co musimy wpierw z wysiłkiem nabyć i zdobyć, nie tylko gładko i bezmyślnie konsumować.

Zwykliśmy uważać, że esej to literackie uosobienie rozwagi i niespiesznej analizy, słowem: gatunek szacowny, ale – mówiąc wprost – odrobinę nudnawy, zwłaszcza w epoce błyskawicznej komunikacji i piętnastosekundowych filmików. Nic podobnego! „Zabawna, ironiczna, złośliwa, namiętna, chimeryczna, pranksterska i prowokacyjna" – cytując jednego z recenzentów – taka jest eseistyka Rothfeld.

Nic więc dziwnego, że te teksty, z ich kalejdoskopem odniesień do żywotów średniowiecznych mistyczek, powieści Kafki, opowiadań Schulza, ale też netfliksowych seriali bez końca, to lektura wciągająca jak niewiele innych.

Becca i inni buntownicy

Autorka ma swoich współczesnych pobratymców. Z podobną pasją i w sposób podobnie przenikliwy piszą dziś o duchowym i estetycznym pejzażu Zachodu takie osoby jak Jia Tolentino, Andrea Long Chu, William Deresiewicz czy Thomas Chatterton Williams.

Wszyscy ci autorzy – na dziesiątki rozmaitych sposobów i z szeregu sprzecznych nierzadko pozycji wyjściowych – z pasją i intelektualnym rygorem usiłują rozprawić się z uniformizacją i komercjalizacją współczesnej kultury i edukacji. Tym, co łączy ich sylwetki, jest aktywny, intelektualnie ważki i porywający w lekturze protest przeciwko społecznemu spsieniu (Witkacy powiedziałby, że „zbydlęceniu") dzisiejszego świata.

Autorzy ci idą pod prąd kapitalistycznej łatwizny. Nad przystępność przedkładają kunszt i dyscyplinę wywodu. Bez ogródek twierdzą, że zarówno dzieła sztuki, jak i opinie nie są i nigdy nie będą sobie równe, jednakowo dobre czy uprawnione.

Przeciwnie, zawsze istnieją opinie mądrzejsze od innych, dzieła lepsze niż pozostałe. Zarazem jednak ulubionym przedmiotem na celowniku tej grupy autorów jest praktyka odbioru sztuki wyłącznie przez pryzmat obowiązującej w danej chwili moralności czy „właściwej" doktryny – osławiona „poprawność polityczna". I wreszcie, ich protest wzbudzają masowe gusta jak spod sztancy, instytucjonalna, teflonowa gładkość poglądów czy ułatwiona, żargonem zagłaskująca prawdziwe konflikty edukacja.

Dla Bekki Rothfeld oraz jej intelektualnego rodzeństwa kultura jest i zawsze będzie czymś, co musimy wpierw z wysiłkiem nabyć i zdobyć, nie tylko gładko i bezmyślnie konsumować. Fascynuje ich to, co w sztuce i życiu społecznym trudne, niejednoznaczne, naznaczone napięciem i konfliktem – bo tylko to jest dla nas wartościowe, jeśli chcemy żyć w sposób pełny i sensowny.

Być może nie wszystkie ich poglądy są do obrony, spójne czy naprawdę mądre. Być może wizja Rothfeld to spojrzenie niepełne, oglądanie świata przez osobę jednooką. Jednak nawet i to będzie czymś więcej niż powszechna, syta i ułatwiona, umysłowa i zmysłowa ślepota tych, co nas otaczają.

Niech żyje karnawał

Przykład esejów ze zbioru „Wszystko to zbyt małe" ukazuje dobitnie, że nie są to puste ambicje czy pretensjonalne pozy. Święte krowy należy przepędzać z cokołów. Z wypranymi mózgami i zmysłami nie stworzymy dla siebie lepszego świata. Dlatego szukajmy i żądajmy od niego tego, czego dziś w nim brak: bogactwa idei, karnawałowego nadmiaru doznań, retorycznej przesady, a przede wszystkim nieskrępowanego zachwytu – nawet kosztem oskarżeń o brawurę, szarganie świętości i odstępstwo od obowiązującej doktryny. Jedynie w ten sposób będziemy potrafili urzeczywistnić marzenie średniowiecznej mistyczki, ale także nasze, by w pełni ująć to, co „niestworzone / we wieki nieskończone", większe niż zwyczajne życie.

I także dlatego wspaniale nam będzie gościć Bekkę Rothfeld w październiku na Festiwalu Conrada.

© PIOTR SIEMION

eprasa.pl 997335f986

Kobieta z Sarajewa

MAGDALENA KOCH

Meliha Varešanović na fotografii z oblężonego miasta jest symbolem odwagi i ikoną nieoczywistej formy rebelii cywilów wobec wojennej przemocy.



TOM STODDART / GETTY IMAGES

Meliha Varešanović w drodze do pracy podczas oblężenia Sarajewa, 1994 r.

Hasło tegorocznej edycji Festiwalu Conrada jest znamienne. W czasach zamętu, pogłębiających się konfliktów na tle narodowym i wojennego chaosu w wielu regionach świata warto wziąć na sztandar właśnie nieposłuszeństwo.

Wyrazistym tego znakiem jest wykorzystanie w stworzonej przez Marcina Wolnego kreacji wizualnej festiwalu ikonicznej fotografii Toma Stoddarta z 1994 r. Zdjęcie obiegło wówczas światowe media, stając się symbolem obywatelskiego nieposłuszeństwa nie tylko na Bałkanach.

Wykonano je w oblężonym Sarajewie podczas wojny. Konkretnie: na osiedlu Dobrinja, położonym w zachodniej części miasta blisko lotniska Butmir i podziemnego Tunelu ocalenia (Tunel spasa), który powstał w 1993 r. w celu połączenia aglomeracji ze światem. Obecnie znajduje się tam muzeum, a sam Tunel stanowi symbol pamięci i oporu mieszkańców Sarajewa.

Miasto pozostawało oblężone od 5 kwietnia 1992 do 29 lutego 1996 r., najdłużej w powojennej historii Europy. Przez 1423 dni bośniaccy Serbowie i Jugosłowiańska Armia Ludowa kontynuowały ostrzał. Mieszkańcy, których odcięto od reszty kraju, pozbawiono bieżącej wody, gazu, prądu, żywności i leków, byli wystawieni na kule snajperów.

W sukience na barykady

Na fotografii, jakby na przekór dramatycznej sytuacji, widać elegancko ubraną kobietę. Niczym modelka na wybiegu, z dumnie podniesioną głową, kroczy po chodniku i, mijając barykady z workami piasku, zbliża się do żołnierza z karabinem. To Meliha Varešanović w codziennej drodze do pracy. I choć cały kadr wygląda jak wyjęty z profesjonalnej sesji, Sarajewianka nie była świadoma, że ją wówczas sfotografowano. W roku 1994 zdjęcie znalazło się na rozkładówce amerykańskiego czasopisma „Life".

Przedruk fotografii w innych periodykach sprawił, że anonimowa kobieta stała się dla świata więcej niż emanacją osobistej godności. Zaistniała jako symbol odwagi, niezłomności i siły ducha mieszkańców Sarajewa, a także ikona rebelii cywilów wobec wojennej przemocy. Bohaterka zdjęcia dowiedziała się o tym wszystkim dopiero po 16 latach, kiedy w 2010 r. z Wielkiej Brytanii przesłano jej egzemplarz amerykańskiego czasopisma.

Zdjęcie wykonał słynny brytyjski fotoreporter Tom Stoddart (1953-2021). Ryzykując życiem, bywał w miejscach konfliktów zbrojnych (takich jak wojna domowa w Libanie 1975-1990 czy inwazja na Irak w roku 2003) i kryzysów humanitarnych, zdając relację na temat losów ludności cywilnej. Fotografował również upadek muru berlińskiego. Wiosną 1994 r. dokumentował życie kobiet w oblężonym Sarajewie. 18 lat później, podczas aukcji w Londynie, oryginalna fotografia, która znalazła się na plakacie Festiwalu Conrada, była jedną z cenniejszych w jego dorobku. Wtedy też, tj. w 2012 r., Meliha Varešanović i Tom Stoddart poznali się osobiście.

> Od dumnie uniesionej głowy
> w drodze do pracy podczas wojennej
> zawieruchy. Od opuszczonej
> dłoni w nieprzypadkowym tłumie.
> Od decyzji o pochowaniu brata,
> od goździka, od czarnej parasolki.
> **NIEPOSŁUSZEŃSTWO** zaczyna się
> od ruchu myśli: od powiedzenia „tak",
> kiedy wszyscy inni mówią „nie".

Nieśmiertelny negatyw

Fotografia krąży w przestrzeni publicznej, a jej wirtualne kopie opatrzono komentarzem „*Woman who brought glamour to the war zone*" (Kobieta, która wniosła elegancję do strefy wojennej). Jednak nie o estetykę czy modowy szyk tu chodzi, a o bijący ze zdjęcia kontrast, uzyskany przez zestawienie dwóch skontrapunktowanych perspektyw. Z jednej strony szaleństwo wojny, którą uosabia uzbrojony żołnierz, z drugiej – wytrwała postawa cywilów w oblężonym mieście, której ikoną stała się kobieta.

Sarajewo to miasto okaleczone przez nacjonalizmy, podobnie jak wiele innych miejsc na świecie: w Ukrainie, Gazie, Iranie, Sudanie. Należy o tym pamiętać. Nieposłuszeństwo wobec niszczycielskiej siły wojny, nawet to wyrażone ubiorem, wszędzie może stać u podstaw poczucia godności i sprawczości. Fotografia Stoddarta, niestety, pozostaje aktualna. I tak samo wymowna.

Meliha Varešanović będzie nam towarzyszyć podczas Festiwalu Conrada – patrząc na nas z festiwalowych plakatów, ale przede wszystkim jako gościni 18. edycji wydarzenia. Nie możemy się tego spotkania doczekać. ©

eprasa.pl 997335f986

Nie ma co czekać na rewolucję

AGNIESZKA WENDERSKA

Młodzieńczy bunt to najbardziej euforyczny rodzaj sprzeciwu wobec rzeczywistości. Mohebali zachęca, by szukać go w sobie także wtedy, gdy stajemy się dorośli.

Oglądamy odcinek amerykańskiego sitcomu z lat 90. Lamentująca matka biega po zabałaganionym mieszkaniu, krzycząc na przemian na każde z dzieci. Najstarszy syn, odpowiedzialny prymus, próbuje ogarnąć chaos, podczas gdy najmłodszy biega z plastikowym pistoletem i bawi się w zamachowca, żeby wydębić od niej kieszonkowe.

Jest i córka, która ma wszystkich gdzieś, przewraca oczami i w niewybredny sposób komentuje zachowanie rodzicielki. Po prawie każdym wypowiedzianym przez tę pierwszą zdaniu słyszymy śmiech z puszki. Ojca znowu nie ma – przesiaduje w pracy. W przestrzeń pada sugestia, że pewnie bajeruje studentki. W tle pojawia się gosposia, przejęta losami babci z alzheimerem, która w całym tym rozgardiaszu wymknęła się z domu (znowu śmiech z puszki).

Tyle że jesteśmy w Teheranie na początku lat dwutysięcznych, a zamieszanie i bałagan spowodowane są trzęsieniem ziemi, które w środku nocy zaczęło poruszać stolicą. Matka z najstarszym synem chcą uciekać z miasta i namawiają do tego resztę rodziny. Wszystko to w rytm bezmyślnie powtarzanych pod nosem modlitw, które mają ich uratować od wiecznego potępienia w razie nagłej śmierci pod gruzami domu.

Szadi, córka i narratorka, jest uzależniona od opium. Martwi się, że zapasy narkotyku się kończą. W dodatku jej kumpel w innym zakątku miasta właśnie podejmuje kolejną próbę samobójczą, najprawdopodobniej marnując w ten sposób cenne kulki substancji. Po otrzymaniu od niego wiadomości kobieta kalkuluje, ile z nich da się jeszcze uratować. Najmłodszy syn dzierży prawdziwą broń, która w pewnym momencie wypala, roztrzaskując w drobny mak szklany stolik – i, uradowany, wykrzykuje raz po raz „Miasto jest nasze! Tylko tchórze biorą nogi za pas”.



BARBARA ZANON / GETTY IMAGES

MAHSA MOHEBALI (ur. 1972) – irańska pisarka, autorka scenariuszy filmowych i krytyczka literacka. Laureatka Literackiej Nagrody Houszanga Golsziriego, którą otrzymała za zbiór opowiadań „Aszeghiyat dar pawaraghi” [„Romans w przypisach”] (2005) oraz za powieść „Nie ma co” (2010), ogłoszoną powieścią roku przez kapitułę Nagrody Ludzi Pióra i Krytyków Literackich. Obecnie mieszka w Hiszpanii.

eprasa.pl 997335f986

Buntowniczka bez wyboru

Iranka Mahsa Mohebali reprezentuje ulubiony typ lewicujących Europejczyków: to pisarka o mocnym zacięciu feministycznym z odległego kulturowo, autorytarnego kraju. Dodatkowe punkty zyskuje za bycie ofiarą cenzury i autorką zakazanego w ojczyźnie debiutanckiego zbioru opowiadań.

Jest dwukrotną laureatką najbardziej prestiżowej irańskiej nagrody w dziedzinie literatury, Literackiej Nagrody Houszanga Golsziriego. Przy okazji publikacji najnowszej książki, którą zmuszona była wydać w Afganistanie, usłyszała zarzuty o prowadzenie działalności wywrotowej.

Jednak kobieta, w której życiorys wpisane jest nieposłuszeństwo wobec politycznego systemu, odwiedzi Festiwal Conrada nie tylko ze względu na opór stawiany ustrojowi. Jej wydana po polsku książka, „Nie ma co" (Glowbook, 2024), jest jedną z niewielu – jeśli nie jedyną – irańskich próz dostępnych na naszym rynku, która nie czyni z reżimowego ucisku głównej osi narracyjnej.

(Anty)bohaterka na dopale

W tekstach omawiających powieść Mohebali Szadi często uznawana jest za antybohaterkę, postać, której zdarza nam się nie lubić – jest oschła, nie ma szacunku do niczego i nikogo. Dąży wyłącznie do zdobycia kolejnej działki. Sprzeciwia się całemu światu, a to może irytować czytelniczki i czytelników.

Ale czy młodzieńczy bunt nie jest najbardziej radykalnym, euforycznym i romantycznym rodzajem sprzeciwu wobec zastanej rzeczywistości? Takim, którego przedmiot bardzo trudno uchwycić – być może jest zbyt złożony. W którym chęć niesienia pomocy innym, nawet w najbardziej kryzysowej sytuacji, wygrywa z własnym interesem (Szadi co prawda szuka opium u każdego, kogo spotyka, nie zmienia to jednak faktu, że w pierwszej kolejności usiłuje tym napotkanym pomóc). A przede wszystkim takim, któremu można wiele wybaczyć.

Nie znajduję tu również odrzucenia autorytetów, bo choć wiele osób chce, by z założenia byli to rodzice, starsi członkowie rodziny bądź wykształceni i świadomi znajomi – w świecie Szadi ich nie ma. I zdaje się, że nigdy nie było.

Brak jakichkolwiek wzorców stanowi fundament totalnej wolności. Ta często prowadzi na skraj, ale daje też siłę do wykaraskania się z okoliczności spowodowanych złymi decyzjami i nadzieję na naprawę świata.

Podziękujmy cenzorom

Mahsa Mohebali urzeka także językiem i łatwością utrzymania tempa na przestrzeni całej powieści (duża w tym zasługa świetnego przekładu Aleksandry Szymczyk). Plastyczność opisów, liczne nawiązania popkulturowe i umiejętne wykorzystanie młodzieżowego slangu sprawiają, że lektura nie stawia barier.

Jednak zdaje się, że najbardziej służy powieści ostra cenzura. Krótka, licząca w polskim wydaniu 183 strony książka została poddana ponad 90 ingerencjom cenzorskim w rodzimym kraju autorki. Mimo to, z szyi pułkownika, który postanowił wedrzeć się do domu problematycznego sąsiada przez okno w suterenie, tryska krew. Strugą spływa po ścianie ozdobionej przez domowników plakatem Che Guevary, sprawiając wrażenie, że sączy się z nosa legendarnego rewolucjonisty. Naiwność cenzora w istocie bywa zaskakująca.

Ukrycie znaczeń w symbolach i metaforach czyni z „Nie ma co" powieść niemal uniwersalną. Można ją czytać na wiele sposobów, wychodząc poza irańską rzeczywistość przełomu wieków. Bądźmy wdzięczni cenzorom. To dzięki nim literatura może krzyczeć jeszcze głośniej.

Trzęsienie świata (original soundtrack)

Towarzyszką w podróży po ogarniętym chaosem Teheranie jest muzyka, ta obecna w słuchawkach iPoda głównej bohaterki, ta, którą naznaczona jest jej przeszłość, jak i ta będąca niezależnym od jej wyborów soundtrackiem do bieżących wydarzeń. A tego słowa używam nie bez powodu. Mohebali włącza do swojej powieści (dosłownie, bo trudno nie puścić ich sobie w trakcie lektury) numery, dzięki którym akcja rozpędza się i ubarwia jeszcze bardziej, a dźwięki ulic rozedrganej stolicy stanowią towarzystwo czasem dla gitary elektrycznej i agresywnej perkusji, a innym razem dla lirycznych irańskich pieśni.

Pod tym kodem znajdziecie gotową playlistę do powieści Mahsy Mohebali.

Szadi wychodzi z domu przy dźwiękach „Christmas Card from a Hooker in Minneapolis" Toma Waitsa (choć równie dobrze pasowałby tu jego utwór „Jesus Gonna Be Here", który dorzucam do książkowej playlisty – i nie jest to wcale kulturowa niezręczność, Szadi sama chwilę później leży jak „ukrzyżowana, przykuta do ziemi"). Słuchamy irańskiej śpiewaczki z czasów sprzed rewolucji islamskiej (żenujące – stwierdza dziewczyna), rapera Sasy'ego (irański Bad Bunny?), rockowego zespołu Kiosk, który czasy świetności przeżywał zaraz po powstaniu, na początku XXI w.

Mistrzostwo Mohebali osiąga jednak pod koniec powieści, podkładając utwór metalowego zespołu Mayhem (którego mroczna historia naznaczona jest samobójstwem uwiecznionym na okładce jednego z albumów i morderstwem dokonanym na frontmanie przez innego członka kapeli) do sceny wypadku samochodowego. Szadi wyciąga zza kierownicy nieprzytomnego mężczyznę, który na dodatek okazuje się epileptykiem. Jego ciało zaczyna drżeć w rytm agresywnej muzyki, z nim dygoce ciało obejmującej go bohaterki, a do tego rozpoczyna się kolejne trzęsienie ziemi.

„Nie ma co" uświadamia nam, jak rzadko mamy do czynienia z prozą, którą nie tylko się czyta, lecz także słyszy.

Generacja nic, generacja nie

Drugoplanowym bohaterem „Nie ma co" jest młode pokolenie Irańczyków borykające się z problemem nadużywania środków odurzających. Islamska Republika Iranu znajduje się w czołówce krajów pod względem ilości zażywanych narkotyków przez młodych ludzi.

Nie pomaga to uzależnionym mierzyć się z problemami charakterystycznymi dla młodych dorosłych bez względu na ich miejsce pochodzenia. Mowa tu o tożsamości płciowej, zauroczeniach, grach miłosnych i odkrywaniu własnej seksualności. O byciu generacją nic, zwiedzioną obietnicami lepszej przyszłości i zderzającą się z brakiem perspektyw. O kreowaniu swojego wizerunku ↦

eprasa.pl 997335f986

↦ i szukaniu swojej drogi. Wreszcie – o mierzeniu się z pytaniem, czy samodzielność musi dla młodych oznaczać samowystarczalność, czy mogą liczyć na wspólnotę.

Wraz z Szadi przemierzamy północne dzielnice stolicy Iranu, a więc okolice zamieszkiwane przez bogatych Teherańczyków, cechujące się większą swobodą kulturową. Podczas gdy starsi pakują się i zbierają do ucieczki, a usługodawcy utyskują na nieład i martwią się o swoje małe biznesy, młodzi wzniecają protest. W chaosie, który ogarnął miasto, widzą szansę na przejęcie go. W jakim celu? Tego – znów najpewniej dzięki cenzurze – możemy się tylko domyślać. Niewykluczone jednak, że brak wyrażenia konkretnych postulatów manifestantów na stronach powieści to przytyk do bananowej, zblazowanej młodzieży, której bunt nierzadko uznawany jest za wymyślną formę zabawy.

Szadi znajduje swoją zaginioną, nieświadomą stanu rzeczy z powodu alzheimera babcię Molouk, wiodącą młodzieńczy tłum na barykady. Czasami bowiem od przyczyny stawianego oporu ważniejszy jest jego akt.

Zachodnie standardy

Mohebali nie porusza bezpośrednio kwestii różnic w ustrojach politycznych i związanych z nimi światopoglądach. Mimo to w trakcie lektury trudno nie myśleć o tym, jak dużym problemem w zachodnim punkcie widzenia jest oczekiwanie stanowczego działania od obywateli państw autorytarnych.

Jednocześnie od samych siebie, żyjących w bezpiecznych krajach demokratycznych, wymagamy bardzo niewiele. Oczekujemy, że wystarczającą formą sprzeciwu będzie wyrażenie swojego zdania – najlepiej w internecie, żeby nie narażać się na nieprzewidywalne warunki pogodowe – i żądanie, by ktoś coś z nim zrobił, bo nasza robota została przecież wykonana. Jeśli jednak nie, z trudem zbieramy się z kanapy, żeby pójść na wybory i miesiąc po nich utyskiwać na niespełniającą naszych oczekiwań nową-starą władzę.

W tym samym czasie społeczeństwa krajów Bliskiego Wschodu i państw arabskich powinny wychodzić na ulice, głośno żądać obalenia władzy i uszanowania swoich praw. Zrzucać kajdany tradycji, religii i – co szczególnie ważne dla zachodniego oka – czadory. Oczywiście wszystko to musi przebiegać w warunkach ryzyka utraty życia. Nie dla nich wygodne kanapy, za wolność należy przecież przelać krew.

W najgorszym wypadku Amerykanie wezmą sprawy w swoje ręce. Wystarczy bomba lub dwie, by rozbudzić w ludziach potrzebę wzniecenia rewolucji. Podziękować mogą po kilku miesiącach, nie bądźmy zachłanni.

Odbierając im podmiotowość, nie uznając dążenia do lepszej edukacji i ciągłego rozwoju tych społeczeństw, żyjemy mitem zacofanego pospólstwa, przekonani, że wiemy, co dla niego najlepsze. Nie bierzemy pod uwagę faktu, że kraje te mają własnych orędowników pokoju i ochrony rzeczywiście zagrożonych praw człowieka – jak choćby bohaterkę niniejszego tekstu, Mahsę Mohebali, której powieść błyskawicznie stała się w Iranie bestsellerem. Samodzielnie myślących i świadomych stanu rzeczy ludzi, którzy porywają tłumy.

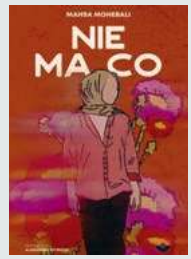
Nie ma co czekać

Mohebali pokazuje, że nieposłuszeństwo wobec zastanego świata wymaga pewnej dozy szaleństwa i dużej dawki fantazji, charakterystycznych dla młodego, przekonanego o bezkresie swoich możliwości i słuszności własnej postawy człowieka. Zachęca, byśmy w taki sposób walczyli o siebie i świat także później, w dorosłości.

I choć możemy za to zapłacić wysoką cenę, popadając po drodze w tarapaty, pisarka nie skreśla potencjału tkwiącego w ludzkiej dobroci i empatii, które dostrzega także w swojej otumanionej narkotykami protagonistce. Daje jej szansę i pozwala – nie romantyzując przy tym nałogu – na dotkliwe w skutkach, błędne decyzje. Dopuszcza możliwość wyboru, nawet jeśli będzie nim ucieczka. Nie moralizuje, nie krytykuje pędu ku autodestrukcji. Oddaje wolność w ręce bohaterów, mimo że część z nich zginie.

Niech nam nie umknie ta mała, nierzucająca się w oczy książka na księgarnianych i bibliotecznych półkach. Nie ma co czekać, aż potrzeba stawienia oporu obudzi się w nas sama, bo wtedy może być już za późno.

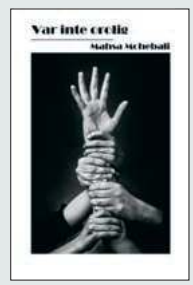
©℗ AGNIESZKA WENDERSKA





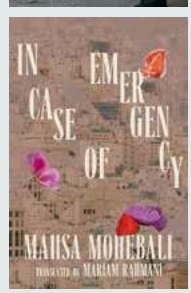


PRZEKŁAD tytułu zagranicznej powieści jest zazwyczaj jedną z pierwszych rzeczy, którą analizuję po lekturze książki. Tym razem jednak do myślenia dało mi coś innego. Szczegół: zanim Szadi wychodzi na ulice Teheranu, zakłada „czarną, wełnianą czapkę". Nie ma na głowie chusty, jak postać z okładki polskiego wydania. Po zamknięciu książki przejrzałam więc okładki obcojęzycznych wersji „Nie ma co".



NIC NOWEGO. Dobrze wiemy, jak bardzo perspektywa geopolityczna wpływa na ilustrowanie i tytułowanie opowieści, a w konsekwencji narzuca sposób jej interpretacji. Sprzeciwmy się tendencji do egzotyzowania i podkreślania inności i dajmy się porwać samej treści.





W kolumnie kolejno wydania: polskie, irańskie, francuskie, szwedzkie, włoskie i amerykańskie.

eprasa.pl 997335f986

OPP



Zespół „Tygodnika Powszechnego” w redakcji na ul. Dworskiej 1c w Krakowie, 27 lutego 2026 r. Fotografowała Grażyna Makara.

Za nami 4000 numerów „Tygodnika Powszechnego”.
Kolejne tysiące stworzymy dzięki Twojemu wsparciu.

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego
i twórz „Tygodnik” razem z nami.

Naprawdę.

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

TYGODNIK POWSZECHNY

KRS 0000 125 605

PIT rozliczony? Sprawdź inne formy wsparcia >>

www.tygodnikpowszechny.pl/wspieraj

eprasa.pl 997335f986

Święto kina ponownie w Krakowie

31 maja zaczyna się kolejna edycja KFF. Przedstawiamy wybór filmów, których naszym zdaniem nie można przegapić.





BLUM – NASZ LOS W NASZYCH RĘKACH

Jasmila Žbanić, wybitna reżyserka bośniacka, znana choćby z „Aidy" czy „Grbavicy", nakręciła dokument o jednej z bardziej niezwykłych postaci w historii byłej Jugosławii. Urodzony w Sarajewie Emerik Blum założył na początku lat 50. przedsiębiorstwo Energoinvest, które wkrótce stało się prężnym konglomeratem o innowacyjnym charakterze i międzynarodowym zasięgu. A wszystko to w ramach inaczej pojętej gospodarki socjalistycznej i tychże ideałów, zakładających np. udział pracowników w zarządzaniu i współdzielenie zysków. Korzystając z bogatych archiwaliów film, prezentowany w ramach sekcji Fokus na Bałkany, pokazuje – bez tak zwanej jugonostalgii – jakim człowiekiem był Blum oraz co wynikło i co zostało z tego ambitnego projektu.

DOM MRÓWEK

Jak byście zareagowali, gdyby wasze dziecko hodowało w mieszkaniu karaczany, mączniaki i mrówki, a do tego jeszcze skorpiony czy węże? Debiutująca w kinie dokumentalnym Katarzyna Kultys opowiada o zoologicznej pasji swego syna z perspektywy osoby żyjącej z nim – i z całą jego menażerią – pod jednym dachem. W sytuacjach mocno konfliktowych, chwilami przypominających sceny z jakiegoś animalnego horroru, matka chwyta za kamerę, by zarejestrować swoją bardzo niezwyczajną codzienność. Tudzież niełatwą relację z domorosłym naukowcem, który w tzw. międzyczasie (bo film był kręcony latami) dorasta i się zmienia. Lecz przemianie ulega także jego mama, jako że jest to przede wszystkim historia o rodzicielskiej miłości, o tolerancji i byciu razem. A przy okazji humorystyczna refleksja na temat naszych skomplikowanych związków ze światem natury.

DZIECIAKI Z LUIZJANY

Hasło „uchodźcy klimatyczni" pojawia się dziś głównie w odniesieniu do biednych rejonów globalnego Południa i nowych wyzwań, jakie czekają zamożniejszą Północ. Tymczasem jest wokół nas coraz więcej miejsc, które nie nadają się do życia. Np. w USA są to nizinne rejony Isle de Jean Charles, gdzie agresywny przemysł wydobywczy spowodował poważne zmiany klimatu w postaci szalejących huraganów i powodzi. Patrzymy na to oczami dwojga nastolatków, którzy są zmuszeni, podobnie jak wszyscy ich sąsiedzi, opuścić swoje domy i miejsce związane z historią ich przodków. I nie bez znaczenia jest fakt, że bohaterowie tego filmu należą do rdzennych mieszkańców Ameryki. Przybyła z Europy dokumentalistka Sandra Winther z uwagą i czułością portretuje ich ostatnie dni w stopniowo znikającym raju, jakim są podmokłe rejony dzisiejszej Luizjany.

HOLOFICTION

Michal Kosakowski, niemiecko-polski reżyser i artysta wizualny, dokonał rzeczy niezwykłej. Przeczesał chyba wszystkie filmy fabularne i seriale poświęcone Zagładzie, po czym z ponad trzech tysięcy fragmentów zmontował eksperymentalny wideoesej. Pokazuje w nim, jak fikcyjne opowieści ekranowe ukształtowały naszą pamięć wizualną o tym tragicznym rozdziale historii. Jego dokument, zmontowany wyłącznie z innych filmów i bez słowa komentarza, odtwarza chronologię Shoah, ale przy okazji uświadamia, jak bardzo kino – bezrefleksyjnie bądź intencjonalnie – powielało pewne narracyjne wzorce, ikoniczne obrazy i stylistyczne chwyty. W efekcie zostawia nas z wieloma pytaniami na temat tzw. prawdy ekranu. Wokół filmu odbędzie się debata zatytułowana „Co robią z nami obrazy?".

MAGIC HOUR

To nie jest po prostu historia o Piotrze Sobocińskim, bardzo utalentowanym operatorze filmowym, zmarłym przedwcześnie 25 lat temu u progu hollywoodzkiej kariery. Ani też opowieść o trzech pokoleniach mistrzów obrazu, w tym także o Witoldzie, Michale i Piotrze juniorze, oraz o współtworzących tę rodzinę świetnych aktorkach, czyli Hannie Mikuć i Marii Sobocińskiej. Sięgając do ich prywatnego wideoarchiwum, Marcin Borchardt stworzył poruszającą kronikę rodzinną, w której na pierwszy plan wysuwa się mordercza praca. Tytułowa „magiczna godzina", moment idealnego światła, staje się metaforą wielkiej pasji i jeszcze większej presji. Film jest też historią rodzimych aspiracji i poświęceń, które ze szczególną mocą i złudnym blaskiem napędza przemysł filmowy, nie bez przyczyny nazywany w USA fabryką snów.

PIETA

Jeśli ktoś ceni dokumenty kontemplacyjne, skupione na obserwacji szczegółu czy surowym pięknie pejzażu, lecz traktujące je jako wyraz czegoś znacznie większego, ten film jest właśnie dla nich. Reżyserski duet, Pepe Andreu i Rafa Molés Vilar, odwiedza Islandię, gdzie sto lat temu w izolacji od świata i w cieniu największego lodowca Europy mieszka-

poniżej kadry z filmów (od lewej): „Pieta", „Rozwód po Irańsku", „Syntetyczna szczerość", „Tam, gdzie mieszka muzyka" oraz „Życiopisanie – Annie Ernaux oczami francuskich licealistów".







MATERIAŁ PARTNERA // MATERIAŁY PRASOWE KFF

eprasa.pl 997335f986





powyżej kadry z filmów (od lewej): „Blum – nasz los w naszych rękach", „Dom mrówek", „Dzieciaki z Luizjany" oraz „Holofiction"

ło siedmioro rodzeństwa. Wchodząc dziś do ich domu, można mieć wrażenie, że czas się w nim zatrzymał. Ale zegar tyka nieubłaganie – pomruki i chrzęsty pękającego lodu przypominają o zbliżającym się powoli końcu. Dlatego religijny tytuł nie jest tu wcale na wyrost. W skupiony i zarazem bardzo spektakularny sposób odbywa się w tym filmie wielkie opłakiwanie.

ROZWÓD PO IRAŃSKU

Zanim kamery całego świata zwróciły się na Iran, brytyjska dokumentalistka Kim Longinotto już tam była. Laureatka tegorocznego Smoka Smoków za wkład w rozwój światowego kina dokumentalnego, z pomocą Ziby Mir-Hosseini, antropolożki i znawczyni prawa islamskiego, sfilmowała w 1998 r. funkcjonowanie sądu w Teheranie. A konkretnie przypadki kobiet, które próbują się rozwieść. Oglądamy sytuacje zgoła kafkowskie, bo straszne i śmieszne równocześnie. Kiedy jednak patrzy się na determinację bohaterek, tym łatwiej jest sobie wyobrazić, że 20 lat później ich córki wyjdą na ulice, by zaprotestować nie tylko przeciw opresyjnej sytuacji rodzinnej, ale i przeciw całemu systemowi. Dlatego warto, oglądając ten film, zwrócić uwagę na postać małej dziewczynki, parodiującej w zabawie pracę bezdusznego urzędu.

SYNTETYCZNA SZCZEROŚĆ

Nie przypadkiem ten osobliwy dokument otworzy Krakowski Festiwal Filmowy. Brytyjski reżyser Marc Isaacs, bywalec i laureat KFF, ponownie sięga po formułę filmowej hybrydy, dopuszczającej inscenizację w imię dokumentalnej prawdy. Bowiem właśnie o tym – o poszukiwaniu autentyczności w czasach AI – traktuje ta brawurowa historia, w której brytyjski dokumentalista wyraża zgodę, by sztuczną inteligencję trenowano na jego filmach. Precyzyjnie mówiąc, na twarzach jego bohaterów, uchodzących za wzorcowo „ludzkie". Efektem jest kino prowokacyjne i zabawne, punktujące etyczne i estetyczne kwestie związane z rozwojem technologii, jak i jego ukryte związki z wielką polityką. Wisienką na tym filmowym przekładańcu jest występ Ilinki Manolache, aktorki znanej z filmu Radu Jude, mającego w tytule aforyzm Stanisława Jerzego Leca.

TAM, GDZIE ROŚNIE MUZYKA

Zrównoważony rozwój muzyczny – tak można by opisać niezwykły projekt, przedstawiony w dokumencie Katrine Philp z konkursu DocFilmMusic. Oto grupa młodych wirtuozów pod kierunkiem uznanego wiolonczelisty Jacoba Shawa zaszywa się na farmie niedaleko Kopenhagi, by szlifować swoje umiejętności. Choć nie tylko: trzeba jeszcze zadbać o ogródek, nakarmić kury, wydoić krowy, no i upichcić smaczny i zdrowy posiłek dla wszystkich. W taki sposób ludzie szkoleni do mistrzostwa, ciągłej rywalizacji i autopromocji wykonują głęboki reset i uczą się bycia razem w codziennym, bardzo przyziemnym wymiarze. Czyżby utopia wspólnoty, którą za chwilę zniszczy skrajnie zindywidualizowane środowisko? Raczej praktyczny trening międzyludzkich umiejętności przed wejściem do jaskini lwa.

ŻYCIOPISANIE – ANNIE ERNAUX OCZAMI FRANCUSKICH LICEALISTÓW

Pod względem metrykalnym autorka „Lat" i „Bliskich" mogłaby być ich babcią.
Nie zmienia to faktu, iż we Francji wielu nastoletnich uczniów, w szczególności zaś dziewczyny, zaczytują się w prozie noblistki – i odnajdują tam jakąś prawdę o swoich bardzo osobistych doświadczeniach. Znakomita dokumentalistka Claire Simon odwiedziła różne szkoły średnie, by przyjrzeć się lekcjom literatury, na których czyta się na głos i omawia teksty Ernaux. Z naszej polskiej perspektywy może się wydawać szokujące, jak odważnie tamtejsze pokolenie Z wypowiada się na tematy związane z seksualnością, aborcją czy awansem społecznym, będąc w szkolnych murach i pod nauczycielskim okiem. Co ciekawe, sama autorka książek na ekranie się nie pojawia, ale poprzez ich żywą lekturę pozostaje ciągle obecna.

TYGODNIK POWSZECHNY jest patronem medialnym Festiwalu, a nasza recenzentka – **ANITA PIOTROWSKA** – od tego roku także jego dyrektorką artystyczną. Pełny program oraz informacje o karnetach na: **krakowfilmfestival.pl**

66.KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY
66th KRAKOW FILM FESTIVAL

31.05—7.06.2026





eprasa.pl 997335f986



KULTURA

MATERIAŁY PRASOWE

Ilustracja z mangi „Akira", Katsuhiro Otomo, wyd. pol. J.P.F.

MANGA DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Bogata oferta mang i anime na dzisiejszym rynku wykiełkowała z nieposkromionej radości ludzi, którzy dzielili młodzieńcze fascynacje.

PAWEŁ DYBAŁA

Zaczniemy w stylu Wołoszańskiego, będzie tu bowiem mowa wydarzeniu, które dla wielu – w tym niżej podpisanego – było sensacją dwudziestego wieku.

Otóż w sobotę 19 września 1998 r. w warszawskim klubie Stodoła odbyła się impreza pod wieloma względami wyjątkowa. W telewizji od dwóch lat popularnością cieszyła się japońska seria animowana (tzw. anime) pt. „Czarodziejka z Księżyca" (znana też jako „Sailor Moon").

Chcąc wyjść naprzeciw trendowi, firma Planet Manga, dystrybuująca w Polsce anime, postanowiła zorganizować konwent, czyli zlot fanów „Czarodziejki". Z początku wynajem tak dużego budynku wydawał się pomysłem brawurowym, jednak postanowiono zaryzykować, licząc na pojawienie się kilkuset uczestników. Przyszło kilka tysięcy.

Ogromna grupa fanów, przebrana za ulubione postaci z serii, kłębiła się przed wejściem. Niektórzy dostali się do wnętrza, inni tyle szczęścia nie mieli. Stodoła pękała w szwach, a wszyscy mieli świadomość, że uczestniczą w czymś wyjątkowym.

eprasa.pl 997335f986

Daleki byłbym od stwierdzenia, że było to wydarzenie definiujące obecność japońskiej popkultury we współczesnej Polsce – choć sentyment i fakt osobistego udziału w imprezie podpowiadają inaczej. Nie da się jednak ukryć, że do wielu osób związanych z raczkującym rynkiem dystrybucji mangi i filmów animowanych w naszym kraju dotarło wówczas, z jak wielką skalą popularności mają do czynienia.

Być może niektórzy zrozumieli także, że tej kuli śniegowej zatrzymać się nie da, a obdarzeni zdolnościami profetycznymi ujrzeli rzeczywistość, w której, niemal trzy dekady później, będziemy mogli oglądać anime w kinach, a mangi znaleźć w każdej księgarni.

W tym miejscu należałoby wcisnąć wirtualną pauzę i zadać sobie trudne, acz potrzebne pytanie: manga – czyli właściwie co?

W szarościach i w odcinkach

Ponieważ mam przyjemność prowadzić działalność akademicką, rozważania na temat definicji są zwykle wodą na mój młyn, jednak w tym przypadku mąki z tego nie będzie. Nad zdefiniowaniem mangi, a także nad tym, czy w ogóle istnieje takie zjawisko, eksperci głowią się bowiem od lat, bez spektakularnych efektów.

Spróbujmy: manga to komiks japoński. Co kryje się za tym stwierdzeniem? Czy jest to każdy komiks stworzony przez Japończyka? Każdy stworzony w Japonii? Co jeśli japoński artysta stworzy komiks poza ojczyzną? A jeśli obcokrajowiec stworzy w Japonii komiks, który nie będzie odbiegał od typowych mang?

Właśnie. Typowych – czyli jakich? Czy jesteśmy w stanie wskazać zestaw cech, które czynią z komiksu mangę? Uprzedzając konkluzję: nie. Można spróbować – jednak, siłą rzeczy, operować będziemy takimi sformułowaniami jak „zwykle", „najczęściej" czy „często".

Otóż: mangi zwykle są czarno-białe, czy raczej: utrzymane w skali szarości. Owszem, pojawiają się w nich kolorowe strony, bywa, że wręcz całe rozdziały, jednak co do zasady – komiks japoński to komiks niekolorowy. To, co w innych przypadkach osiąga się za pomocą barw, w mangach zazwyczaj przedstawia się przez tak zwane rastry, czyli drobne wzorki, nanoszone na odpowiednie powierzchnie. W ten sposób otrzymuje się ilustracje, które, pomimo braku kolorów, potrafią zaskoczyć głębią czy zastosowaniem oświetlenia.

Mangi czyta się zwykle od prawej do lewej, czyli odwrotnie niż komiksy zachodnie – tak jak znaczną większość wydawanych w Japonii książek. Pierwsze mangi w Polsce bywały wydawane w kolejności „naszej", jednak taki zabieg wymaga lustrzanego odwrócenia ilustracji, co może powodować znaczące różnice w odbiorze.

Standardem dziś są zatem mangi wydawane na modłę japońską, co oznacza, że rozpoczęcie przygody z tą gałęzią kultury wymaga pewnego przyzwyczajenia i zmiany nawyków. Specyfika japońskiego rynku komiksów przejawia się między innymi w tym, że większość serii ukazuje się tam najpierw w odcinkach, w specjalistycznych, wysokonakładowych czasopismach.

Gdy rozdziałów uzbiera się wystarczająco dużo, są one wydawane w postaci tomików, których objętość wynosi zwykle ok. 180-200 stron (acz zdarzają się sporo grubsze, jak i zauważalnie cieńsze). To, ile tomów liczy sobie seria, zależy w dużej mierze od jej popularności czy specyfiki grupy odbiorców (o tym niżej). Wiele fabuł zawiera się w pojedynczych tomach, z drugiej strony mamy serie takie, jak choćby uwielbiany na świecie (a ostatnio zekranizowany) „One Piece", który na chwilę obecną (początek kwietnia 2026 r.) obejmuje 114 tomów (i nadal nie jest ukończony).

Coś miłego dla każdego

Z czego jeszcze słyną mangi? Gdyby przeprowadzić ankietę wśród osób niekoniecznie czytających je na co dzień, zapewne dowiedzielibyśmy się, że powszechnie kojarzone są z wielkimi oczami. Nie sposób zaprzeczyć temu, że jest coś charakterystycznego w sposobie rysowania oczu przez japońskich artystów, jeśli jednak zgłębić tę kwestię, okazuje się, że i tu trudno jest doszukać się jednoznacznie wspólnych mianowników. Niektóre postaci mają oczy niemal na pół twarzy, u innych proporcje te są o wiele bardziej realistyczne – i nie ma tu ściśle określonej reguły. Podobnie zresztą rzecz się ma z szeroko pojętym stylem rysowania w ogóle.

Podejmowane są próby ujęcia go w schematy, które pozwalałyby zdefiniować mangę na poziomie wizualnym, jednak mamy tu do czynienia z tak zróżnicowanym materiałem, że być może nigdy nie zdołamy zamknąć go w sztywnych ramach. I dobrze – bo mangi mogą zaskoczyć również pod względem formy.

Po bestsellerze, jakim jest seria „Atak tytanów" (2009-2021), można byłoby spodziewać się pięknej, dopracowanej kreski, tymczasem jest ona mocno szkicowa, miejscami koślawa, sprawiająca wręcz wrażenie niedopracowania. Jeśli jednak pochylimy się nad fabułą ilustrowanej w ten sposób historii o ludzkości toczącej rozpaczliwą walkę z krwiożerczymi tytanami, zrozumiemy, że kreska ta wyjątkowo dobrze pasuje do klimatu opowieści. Ta zaś wciąga jak ruchome piaski, nie dając chwili na oddech.

Przyjrzyjmy się zatem temu, dla kogo właściwie mangi są tworzone, choćby dlatego, że gatunki mang przyjęło się określać właśnie ze względu na domniemane grupy docelowe odbiorców. Mamy więc mangi z gatunku *shōnen* (czyt. „sioonen"), skierowane do nastoletnich odbiorców, zazwyczaj płci męskiej – czyli klasyczne serie przygodowe, traktujące o bohaterach, ratowaniu świata czy przyjaźni, obfitujące w spektakularne starcia prowadzone z wykorzystaniem najwymyślniejszych specjalnych technik.

Tego typu mangi są zwykle dość długie, często wręcz przedłużane ze względu na utrzymującą się popularność. Do tego gatunku należą uwielbiana na świecie seria „Dragon Ball", wspomniany już „One Piece" czy „Miecz nieśmiertelnego". To mangi, które bodaj najlepiej się sprzedają, choć konkurencja na tym polu jest wyjątkowo silna.

Do zgoła innej grupy docelowej skierowane są mangi z gatunku *shōjo* (czyt. „sioodzio"), których odbiorczyniami są w zamyśle dziewczęta. Stereotypowo patrząc, mamy tu więc opowieści romantyczne, czasem nieco komediowe, których akcja często rozgrywa się w środowisku szkolnym. Główną tematykę stanowią perypetie uczuciowe bohaterek, rozterki miłosne tudzież trudne wybory z nimi związane.

Podgatunkiem *shōjo* są mangi zaliczane do grupy *magical girls*, których bohaterki, posiadłszy magiczne moce, potrafią zmieniać się w walczące ze złem wojowniczki. Klasycznym przykładem tego typu historii jest oczywiście „Czarodziejka z Księżyca", ale jeśli ktoś woli bardziej przyziemne i lekkie opowieści, ↦

eprasa.pl 997335f986

↦ może sięgnąć choćby po serię „Ouran High School Host Club". Mangi z tego gatunku zwykle nie są tak długie jak shōneny (choć potrafią liczyć i po kilkadziesiąt tomów), perypetie bohaterek zaś zwykle kończą się szczęśliwie.

Dla starszych czytelników rynek mangowy oferuje gatunki *seinen* (czyt. „sejnen") i *josei* (czyt. „dziosej") – odpowiednio dla dorosłych panów i pań. Są to grupy o tyle niejednorodne, że wymóg dojrzałości może być spowodowany różnymi czynnikami – od treści brutalnych i nieobyczajnych po tematykę najzwyczajniej w świecie trudną.

Mangi *josei* to zwykle historie obyczajowe, czasem z domieszką dramatu i z silnie zarysowanymi wątkami psychologicznymi. Jedną z najbardziej rozpoznawalnych na świecie serii *seinen* jest mroczne fantasy „Berserk", z mang *josei* zaś wielu czytelników ceni sobie mangę „Nana".

Oprócz tego można wyróżnić mangi *kodomo*, czyli skierowane typowo do dzieci; *yaoi* oraz *yuri* – o relacjach osób tej samej płci; tudzież tak zwane „sportówki", jak popularna również w Polsce seria perypetii młodych piłkarzy pt. „Kapitan Tsubasa".

I tu płynnie przechodzimy do kolejnego pytania, mianowicie: o czym właściwie są mangi? Chociaż nie, nie przechodzimy, bowiem jest ono w gruncie rzeczy bezzasadne. Równie dobrze można zapytać: o czym są filmy.

Lepiej niż w Japonii

Toż wiadomo, że o wszystkim – do wyboru, do koloru. Wiemy już, że w mangach znaleźć można przygody, romanse, sport, fantastyczne światy... To jednak bynajmniej nie wyczerpuje tematu. Opowieść o jazzie osadzona w Japonii lat 60. ubiegłego stulecia? Proszę bardzo, polecam „Wzgórze Apolla". Postapokaliptyczna wizja ludzkości otrząsającej się z chaosu po wojnie nuklearnej? Oto „Akira".

Fenomenalnie dobrze napisana historia o braciach-alchemikach z zaskakująco autentycznymi postaciami? „Fullmetal Alchemist" to seria, która zostaje z człowiekiem na długie, długie lata. Jeśli ktoś woli opowieści parodiujące istniejące klisze i bawiące się schematami, powinien koniecznie sięgnąć po serię „One-Punch Man", natomiast fani opowieści trudnych i alternatywnych po twórczość Tsutomu Niheia (który z wykształcenia jest architektem, co przejawia się w zamiłowaniu do rysowania ogromnych struktur budowlanych). Czytelnicy ceniący sobie horror zainteresują się niewątpliwie mangami Junjiego Itō (z zawodu technika dentystycznego) z bardzo, bardzo niepokojącą historią „Uzumaki" na czele.

Gdy w latach 90. wychodziły pierwsze tomy mang, mało kto się spodziewał, że trzy dekady później nad Wisłą będzie się drukować ponad 70 tomów... miesięcznie.

Jak zatem wygląda dostępność tych serii na rynku polskim? Rzecz jasna nie wszystko, co wychodzi w Japonii, trafia do naszego kraju, jednak rzućmy okiem na twarde dane. Pierwsza manga w Polsce, „Aż do nieba", została wydana w roku 1996 przez istniejące do dziś wydawnictwo J.P.F.

Było to wydarzenie o niezwykle istotnym znaczeniu, poniekąd formacyjne, dające początek procesowi, którego rozkwit obserwujemy w dalszym ciągu. W końcówce lat 90., gdy wychodziły pierwsze tomiki mang, mało kto się spodziewał, że trzy dekady później nad Wisłą będzie ukazywało się ponad siedemdziesiąt tomów... miesięcznie.

Rynek mangowy rozrósł się, rozlał i połączył z nurtem tak zwanego mainstreamu. Oferta wydawnicza jest naprawdę bogata, każdy znajdzie coś dla siebie, a nadążenie za choćby najważniejszymi tytułami staje się coraz większym wyzwaniem – również dla portfela, gdyż niektóre serie publikowane są u nas w wydaniach ekskluzywnych i limitowanych, nierzadko lepszej jakości niż w samej Japonii.

Przebieranki, pistolety

W sukurs przychodzą tu biblioteki, które coraz częściej zaopatrują się w całkiem pokaźne zbiory mang, bywa też, że organizują spotkania z tłumaczami czy wydawcami. Osoby związane z rynkiem mangowym można spotkać również na konwentach – tak niszowych, lokalnych, organizowanych w szkołach (co niegdyś było standardem), jak i dużych, profesjonalnie przygotowanych imprezach, jak choćby krakowskie Ryucon w Tauron Arenie czy Magnificon w Expo.

Jeden z największych w Europie festiwali fantastyki, poznański Pyrkon, co roku gromadzi dziesiątki tysięcy fanów, z których ogrom w jakimś stopniu zainteresowany jest japońską popkulturą. Od lat 90. i wczesnych dwutysięcznych konwenty przeszły zaskakująco długą drogę – od zlotów fanów czegoś, co powszechnie uznawano za ekscentryczne i egzotyczne, po wielkie, dotowane przez lokalne władze imprezy o charakterze komercyjnym.

Jeszcze dwadzieścia kilka lat temu tłoczyliśmy się z przyjaciółmi przed telewizorem podłączonym do czytnika płyt i wymienialiśmy się kiepskimi kopiami filmów na kasetach wideo – dziś wraz z potomstwem przebieramy się za postaci z ulubionych serii i spędzamy weekend na niesamowitej zabawie jako część mainstreamu.

Właśnie, przebieranki – czy, jak kto woli, *cosplay*. Tradycja ta przywędrowała do nas niejako z dobrem inwentarza, razem z mangami i anime, jednak trzeba przyznać, że trafiła na bardzo podatny grunt. I tu widać pewną przemianę – kiedyś osoby rozmiłowane w przebieraniu się za ulubione postaci musiały polegać głównie na własnej kreatywności. Pistolety robiło się z kartonów po pizzy, strój wojownika z płaszcza zakupionego za grosze w sklepie z odzieżą na wagę, całości obrazu dopełniał stary kapelusz babci, odpowiednio przemalowany i własnoręcznie ozdobiony farbkami. Miało to swój chałupniczy urok, dziś jednak *cosplay* to przede wszystkim dobry biznes.

Nadal, rzecz jasna, całkiem sporo osób przygotowuje stroje przynajmniej w jakiejś części samodzielnie, istnieje jednak pokaźna oferta sklepów sprzedających czy to gotowe przebrania, czy akcesoria takie jak peruki. Profesjonalni cosplayerzy mogą sprawdzić się w konwentowych konkursach z bardzo atrakcyjnymi nagrodami, a ci najlepsi z najlepszych biorą udział w zmaganiach międzynarodowych.

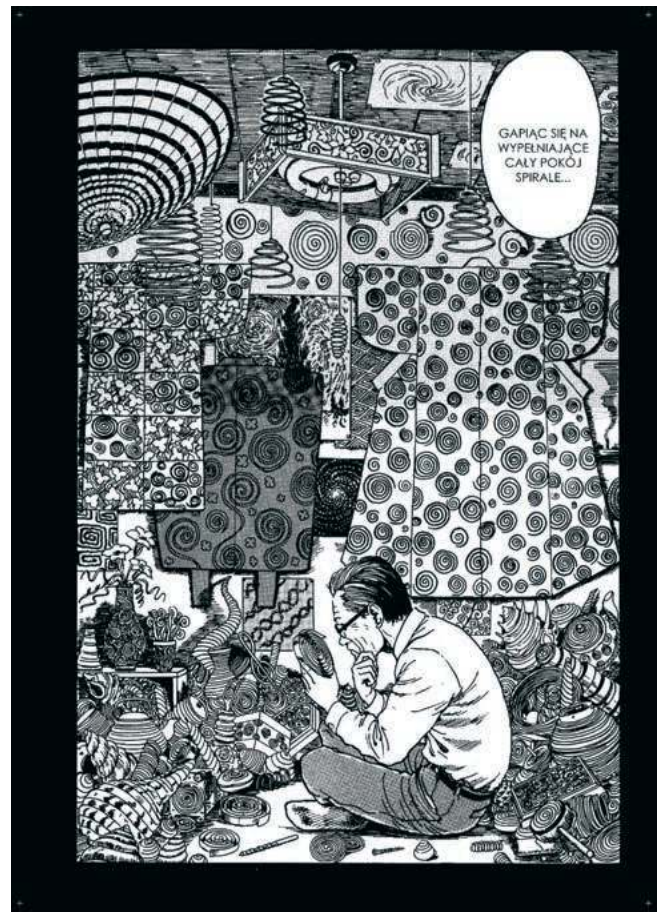
Z radości, dla zabawy

Kiedy niemal trzy dekady temu stałem w ścisku przed wejściem do klubu Stodoła, marzyłem tylko o tym, by wejść do środka i poczuć magię wspólnoty

eprasa.pl 997335f986



Ilustracja z mangi „One Piece", Eiichiro Oda, wyd. pol. J.P.F.



„Uzumaki. Spirala", Junji Ito, wyd. pol. J.P.F.

MATERIAŁY PRASOWE X2

z ludźmi, którzy fascynują się tym, co ja. Udało się, miałem szczęście – choć może nieco mupomogłem.

W tamtych czasach, w ramach działalności fanowskiej, wydawałem powielany po znajomości na ksero fanowski magazyn dla miłośników „Czarodziejki z Księżyca", w związku z czym uznałem, że metodą chałupniczą zrobię sobie identyfikator prasowy, a nuż zadziała. Zadziałał. Do dziś pamiętam, jak nie dowierzając własnemu szczęściu, chodziłem po konwencie w towarzystwie znajomych, którym również udało się przecisnąć przez falującą przy wejściu ciżbę.

Na jednym ze stoisk dostałem autograf od pani Danuty Stachyry, lektorki czytającej „Czarodziejkę...", na innym uścisnąłem dłoń redaktorowi naczelnemu kultowego magazynu „Kawaii". Na własne oczy zobaczyłem wydawców, dystrybutorów japońskiej popkultury, a przede wszystkim: ludzi, którzy byli jej spragnieni i z jakiegoś powodu czuli to, co ja.

Być może właśnie to poczucie wspólnoty popchnęło mnie potem na japonistykę, na studia do Japonii, wreszcie podszepnęło losowi, by umożliwił mi podjęcie pracy marzeń i zostanie tłumaczem mang. Całkiem możliwe, że przebogata oferta mang i anime na naszym współczesnym rynku wykiełkowała właśnie z tamtych wspólnot, z nieposkromionej radości ludzi, którzy nawzajem się rozumieli i chcieli dawać sobie jak najwięcej.

Jeżeli ktoś nadal się zastanawia, czy nie jest, dajmy na to, za stary na japońską popkulturę, być może przekona go ostatnia już anegdota. Mój świętej pamięci dziadek, jako osoba zawsze obecna w domu, był przeze mnie regularnie proszony o nagrywanie na kasety odcinków moich ulubionych anime, wtedy gdy akurat musiałem spędzać czas w szkole. Osobliwie często domagałem się nagrywania kolejnych odcinków „Dragon Balla", co poskutkowało rozwinięciem się w moim protoplaście autentycznego zainteresowania tematem.

Wracałem więc ze szkoły – i już widziałem, jak dziadek, przestępując nerwowo z nogi na nogę, obwieszcza mi: „Nie uwierzysz, co się stało! No więc walczyli, a potem...", na co reagowałem rozpaczliwym „Cicho, nie mów...!", świadom, że muszę obejrzeć odcinek jak najszybciej, gdyż inaczej będę miał dziadka na sumieniu. Fanowaliśmy więc razem.

Chciałoby się powiedzieć: „dziś sam jestem dziadkiem...". Na razie jednak razem z nastoletnimi dziećmi wymieniamy się opiniami o ulubionych mangach i anime. Zwykle wieczorami, gdy wrócę z uczelni, na której opowiadam studentom o japońskiej popkulturze. Ot tak, jakby to było coś najzwyklejszego na świecie. Bo chyba już właśnie jest. © PAWEŁ DYBAŁA

Korzystałem z książki „Narodziny i rozkwit Polskiej Rzeczypospolitej Mangowej" autorstwa Łukasza Reczulskiego (wyd. Instytut Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego; Stowarzyszenie Naukowe Archeologów Polskich, Oddział w Łodzi, 2023).

Autor jest tłumaczem mang i wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego.

eprasa.pl 997335f986

Przyszłość już była

ŁUKASZ STOKŁOSA, MALARZ:

PRACOWNIA | Interesuje mnie moment zmierzchu, kiedy coś się kończy, a nowe jeszcze nie nadchodzi. Z tego bierze się gasnące światło w moich obrazach.



Łukasz Stokłosa, Lady Macbeth, 2025 r.

ARCHIWUM ARTYSTY

JACEK TARAN: Twoje mieszkanie jest jednocześnie pracownią. Rozgraniczasz czas pracy od innych zajęć?

ŁUKASZ STOKŁOSA: Nie stawiam sobie wyraźnej granicy. Na przykład pokój, w którym teraz siedzimy, miał być „przestrzenią czystą". Miały tu stać kanapa, półki z książkami. Ale moja działalność malarska ostatecznie rozlała się także na to pomieszczenie. Gdy mieszka się w miejscu, w którym się pracuje, jedno przenika drugie.

To pomaga czy przeszkadza?

Mam poczucie, że pomaga. Chociaż mówię to z pewną ostrożnością, bo nie sprawdziłem innego wariantu. Nie wiem, czy rzeczywiście byłoby mi łatwiej malować, gdybym miał pracownię w osobnej przestrzeni. Pracuję raczej nocą, więc trudno mi sobie wyobrazić sytuację, w której maluję do szóstej rano, a potem wracam do domu. Ta bliskość – fakt, że wszystko dzieje się w jednym miejscu – jest dla mnie naturalna.

Zacytuję Twoje słowa: „Wszystko zaczęło się od »Dynastii« i Kalwarii Zebrzydowskiej". Co to znaczy?

Wychowałem się w Kalwarii. Znajduje się tam sanktuarium maryjno-pasyjne, którego centralnym punktem są klasztor i bazylika barokowa z bogatym wystrojem. Oprócz tego jest zespół kaplic rozsianych w pejzażu, na dość rozległym terenie. Ceremoniał i teatralność religijnych widowisk przeniknęły stamtąd do moich obrazów. Myślę, że właśnie w Kalwarii należałoby szukać źródeł mojego zainteresowania wnętrzami, a może szerzej – historią i estetyką przestrzeni.

A „Dynastia" to jedna z pierwszych rzeczy, jakie pamiętam z telewizji. Ten trochę kiczowaty, a jednocześnie kampowy, pompatyczny i bombastyczny styl serialu mocno we mnie utkwił.

W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że to były dwie estetyczne bazy, z których wyrosłem. Zaczęły się one formować właśnie gdzieś między tym barokowym *sacrum* a telewizyjnym przepychem. Uzupełniają się na poziomie rozpasania, nadmiaru. A jednocześnie są wobec siebie kontrastem, bo jednak Kalwaria jest „na poważnie", a „Dynastia" trochę nie. I chyba właśnie ten punkt styku mnie interesuje.

Wchodzisz w dialog z popkulturą, historią, *sacrum*. To spór?

Raczej ciekawość i zadawanie pytań – takich, na które nie muszę otrzymać odpowiedzi. Czym jest to, na co patrzę? Czy to, co oglądamy i do czego jesteśmy przyzwyczajeni, jest prawdziwe?

Na przykład?

Jesteśmy przyzwyczajeni do myślenia, że Wawel „zawsze był" i wydaje nam się, że „zawsze wyglądał tak samo". Tymczasem można tam zobaczyć wystawę ze zdjęciami dokumentującymi odbudowę zamku na początku XX w. Widać tam mury ogołocone do kamienia. Czyli to, co dziś uznajemy za oczywiste i niezmienne, jest efektem rekonstrukcji.

Wszedłeś na Wawel jako jeden z nielicznych: współczesny artysta, który miał tam solową wystawę.

Było to bardzo ciekawe doświadczenie: konfrontacja z miejscem, historią, całym kontekstem kulturowym, a nawet, powiedziałbym, popkulturowym. To miejsce jest silnie symboliczne. Ale potraktowałem to przede wszystkim jako wyzwanie. Chyba tak w ogóle podchodzę do podobnych sytuacji: dostaję zadanie i staram się je opracować najlepiej, jak potrafię.

Nie obrosłeś w piórka?

Nie. I myślę, że to jest cecha, która pozwala mi pracować. Postawa, o której mówisz, byłaby paraliżująca. Gdybym zbyt mocno uświadomił sobie, jak wyjątkowe jest to wydarzenie – mogłoby mnie to zablokować. Dystans pozwala mi wykonać pracę najlepiej, jak się da.

Ten przepych i jednoczesny mrok na Twoich obrazach, zderzenie symboli

eprasa.pl 997335f986



JACEK TARAN

ŁUKASZ STOKŁOSA (ur. 1986) jest absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Ma na koncie kilkadziesiąt wystaw indywidualnych i zbiorowych w Polsce i za granicą. Jego prace znajdują się w kolekcjach m.in. Zamku Królewskiego na Wawelu oraz Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK w Krakowie.

władzy, bogactwa i zmierzchu – to zapowiedź apokalipsy?

To jest coś, co mnie bardzo interesuje. Moment zmierzchu, czyli sytuacja „pomiędzy": coś się skończyło, a nowe jeszcze się nie zaczęło. Miejsca i przedmioty, które maluję, są w pewnym zawieszeniu. Kiedyś miały konkretne funkcje, a dziś są ich pozbawione. Są jednocześnie żywe i nieżywe – nadal funkcjonują, ale nie tak, jak zostały zaplanowane i stworzone.

Myślę, że z tego bierze się to gasnące światło w obrazach. One są po prostu przygaszone.

Zresztą coraz bardziej akceptuję to, że pewne decyzje są intuicyjne i nie muszę ich do końca wyjaśniać ani analizować. Intuicyjnie wybieram taką konwencję i pozwalam jej wybrzmieć.

Czy malowanie w nocy w tym pomaga?

Myślę, że nie ma to bezpośredniego związku z ich wyglądem. Zdarza mi się, choć bardzo rzadko, malować w dzień i wtedy wyglądają tak samo.

Noc pomaga, bo jest ciszej i łatwiej się skupić. Poza tym ja po prostu lepiej funkcjonuję nocą. Rano nie jestem szczególnie aktywny – psychicznie i fizycznie zaczynam się rozkręcać koło szesnastej.

Jaki jest Twój stosunek do malowanych przedmiotów? Coś pomiędzy gloryfikacją a żartem?

Może pojawia się pewna ironia, ale przede wszystkim fascynacja. Te przedmioty bardzo mnie przyciągają, są magnetyczne. Chcę na nie patrzeć i zadaję sobie pytanie, dlaczego właśnie one tak na mnie działają – i dlatego je maluję. Pytanie o źródło ich fascynującej siły jest tym, co mnie do nich prowadzi. Traktuję je poważnie.

Fetysze władzy.

Tak, ale towarzyszy temu także świadomość konsekwencji – tego, skąd te rzeczy się wzięły. To nie jest wyłącznie „ładne". Interesuje mnie właśnie to napięcie: z jednej strony wszystko wygląda pięknie, uwodzicielsko, a z drugiej – kryje się za tym często coś tragicznego.

Ludzie władzy byli często nieszczęśliwi i unieszczęśliwiali innych. Można zapytać, skąd wzięły się metale szlachetne, z których wykonano te przedmioty, jakie procesy ekonomiczne i społeczne za tym stały. Wątki można by mnożyć.

Za przepychem i bogactwem kryje się cierpienie.

Prawie zawsze. I to jest kolejna warstwa pytania o to, na co właściwie patrzymy.

Obiekty historyczne mają w sobie coś niezwykłego – są obrośnięte kontekstami, przeszły przez wiele rąk. Weźmy choćby koronę królewską: zaczynasz o niej czytać i odkrywasz historię, potem następną, jeszcze jedną. Pojawiają się nowe konteksty, znaczenia. A kiedy zestawiam jeden obraz z drugim, znaczenia się mnożą. To się nigdy nie kończy.

Tym bardziej że czytając podręczniki czy źródła historyczne, widzimy, iż ta sama historia bywa opowiadana na różne sposoby.

Różne źródła podają odmienne wersje i czasami nie wiadomo, w którym kontekście się poruszamy.

Dlatego staram się pracować z obiektami muzealnymi. One są już opowiedziane, opisane. Interesuje mnie właśnie ta opowieść: jak coś zostało przedstawione, którą historię uznano za ważniejszą, czyją wersję wydarzeń uprzywilejowano – bo to jest zawsze jakaś wersja historii.

Mam wrażenie, że zbyt często przyjmujemy to, co dostajemy, jako niezmienne. Skoro zostało zapisane, uznajemy, że tak było i tak już zostanie. Rzadko to weryfikujemy. Pytanie o weryfikację jest dla mnie bardzo istotne.

Twoje malarstwo stawia to pytanie: która wersja historii jest prawdziwa?

Zadaję to pytanie sobie i jest mi ono potrzebne do pracy. Natomiast to, jakie pytania uruchamia moje malarstwo i co dzieje się z nimi potem, zależy już od patrzącego. W to staram się nie ingerować. Zauważyłem jednak, że reakcje odbiorców dość często są zbieżne z moimi intuicjami.

Opowiem Ci moją wersję. Patrząc na „Fałszywe widoki" na wernisażu, czułem zachwyt. Miałem wrażenie, że wchodzę w jakiś mrok, w przestrzeń niemal depresyjną, a jednocześnie bardzo pociągającą. Równocześnie jednak ten zachwyt budził lęk – chciałem tam być i jednocześnie chciałem uciec.

Idealnie. Właśnie o to mi chodziło.

W Twoich wcześniejszych pracach było dużo cielesności, erotyzmu.

To są procesy płynne. Teraz rzeczywiście bardziej interesują mnie, powiedzmy roboczo, wątki historyczne, choć to określenie jest zbyt wąskie. Erotyka jednak cały czas jest obecna w mojej twórczości. Może jest jej mniej, ale nie zniknęła, ma różne formy.

Budowanie wystawy to dla mnie także ustawianie proporcji. Na mojej ostatniej wystawie w krakowskim Bunkrze Sztuki ↦

eprasa.pl 997335f986



ARCHIWUM ARTYSTY

Łukasz Stokłosa, August II Wettyn, 2022 r.

↦ był jeden erotyk. A to dlatego, że czasem pokazanie jednej pracy działa silniej niż pokazanie kilku. To wszystko się zmienia, ale nie w sposób gwałtowny ani radykalny.

Pojawia się też wątek queerowy, jak choćby w obrazie przedstawiającym św. Sebastiana.

Tym świętym zajmowałem się podczas pracy nad dyplomem na Akademii Sztuk Pięknych w 2010 r. Tytuł pracy brzmiał: „Śmierć i pożądanie. Motyw świętego Sebastiana w kulturze i sztuce". Badałem, dlaczego postać Sebastiana stała się gejowską ikoną i skąd jej popularność w tym fragmencie popkultury. Przyglądałem się też historii tego motywu, sięgając do „Złotej legendy" i analizując, jak kształtowała się jego recepcja. W ramach tej pracy powstała również seria obrazów poświęconych św. Sebastianowi.

Czy w tych pracach również jest historia?

Korzystam z gejowskiej pornografii *vintage*, to są materiały z przeszłości. To także opowieść o pozie i o performatywności. Pornografia jest performatywna – coś dzieje się naprawdę, a jednocześnie nie do końca dzieje się naprawdę. To sytuacja zawieszenia: nie wiadomo, po której stronie lustra jesteśmy. I znowu wracamy do motywu „pomiędzy".

A ogrody, które pojawiają się w nowych pracach? Sprawiają wrażenie opuszczonych, oddanych naturze, a jednak takie nie są.

Patrzymy na ogród, w którym wszystko rośnie swobodnie i naturalnie, ale wiemy, że to złudzenie. Za tą „naturalnością" stoi projekt, armia ogrodników, przesadzanie dorosłych drzew, zaplanowane kompozycje. To nie jest coś wystudiowanego i kontrolowanego. Widzimy coś i wierzymy, że jest to takie, jakie się jawi. Tymczasem to nie to, na co patrzymy.

I tu znowu wraca moja Kalwaria. Wychowałem się właściwie na łące, więc zdecydowanie bliższe są mi ogrody dzikie, mniej kontrolowane.

A kogo oszukujemy ogrodem?

Przede wszystkim samych siebie. Tworzymy je, by dać sobie przyjemność i rozrywkę, uwierzyć w iluzję natury. Ogród wygląda naturalnie, ale wiemy, że nie jest naturalny. I właśnie w tym napięciu między pozorem a świadomością konstrukcji coś się wydarza.

Na jednym z obrazów pojawia się nawet ołtarz z Kalwarii.

Tak. W Zamku Królewskim w Warszawie pokazuję teraz dużą serię z ołtarzami z Kalwarii.

Ciągle do niej wracasz.

Kiedy rozmawialiśmy z Katarzyną Wąs, kuratorką wystawy w Bunkrze, doszliśmy do wniosku, że ta wystawa jest bardzo religijna. Nawet wąż, który się tam pojawia, jest kampowym mrugnięciem do widza. Jest bardzo poważny i bardzo niepoważny jednocześnie. Ten wąż pochodzi z „Pasji" Mela Gibsona – to element kostiumu, rekwizyt z filmu, który tam broni określonego porządku symbolicznego.

Pojawia się też Brad Pitt jako wampir.

Tak, to postać, która również dotyka religijnego imaginarium. Jest też Rachel z „Łowcy androidów", która stała się dla nas kimś pomiędzy Ewą a Frankensteinem.

Ten film jest mroczny zupełnie jak Twoje obrazy.

I dla mnie szczególny. To film o przyszłości, która już się wydarzyła – akcja toczy się w roku 2019, a więc w czasie, który mamy już za sobą. Ta przyszłość miała nadejść, a jednak nie nadeszła w taki sposób, jak to sobie wyobrażaliśmy. Żyjemy w momencie, w którym przyszłość z filmów *science fiction* naszego dzieciństwa minęła. Wizje się nie sprawdziły, albo sprawdziły się tylko częściowo.

„Łowcę androidów" obejrzałem zresztą bardzo późno, chyba właśnie około 2019 r., kiedy uświadomiłem sobie, że żyjemy w czasie, w którym rozgrywa się jego akcja.

Dużo podróżujesz nie tylko w czasie, ale też w przestrzeni.

Czasami po to, żeby znaleźć nowy obiekt do namalowania, czasem z konkretnym zamiarem – wiem, że w danym miejscu znajduje się coś, co chcę zobaczyć. Na przykład Order Świętego Ducha.

Znalazłeś go w Luwrze.

Tak. Ale jednocześnie przy okazji takich wyjazdów znajduję przypadkowo mnóstwo innych rzeczy, które prowadzą mnie do następnych miejsc. Robię sobie kwerendy, sprawdzam, jak coś się zmieniło, wracam. Ten proces się rozrasta i prowadzi mnie coraz dalej.

Muzea i ogrody powstały, żeby spacerowali w nich ludzie. U Ciebie jest pusto. Czy to opowieść o czymś, co po ludziach pozostaje?

Ostatnio uświadomiłem sobie, że ludzie w tych obrazach jednak są – tylko w inny sposób. To wszystko zostało przecież stworzone przez człowieka, jego obecność jest wpisana w materię przedstawienia.

Zwykle maluję rzeczy, które są dotknięte przez człowieka. Nawet pejzaże są naznaczone jego ingerencją. Maluję widok Tatr – można powiedzieć: czysta natura. Ale to jest Kasprowy Wierch, na który wyjechałem kolejką linową. I właśnie o to w tym obrazie chodzi.

A może to ja jestem człowiekiem obecnym w tych pracach. Moje spojrzenie rejestruje przecież wszystkie te rzeczy, moje oczy na nie patrzą.

©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

eprasa.pl 997335f986

Najlepsze rozmowy

Macieja Kaweckiego!

TYTANI

Książka twórcy kanału

THIS IS IT



REKLAMA

eprasa.pl



MATERIAŁY PRASOWE MONOLITH FILMS

Morgane Polanski (z lewej) w filmie „Skarbek", reż. James Marquand, 2024 r.

Gra na remis

MICHAŁ WALKIEWICZ

OPINIE | W naszym kinie historycznym dominują militaria. Dlaczego nie kręcimy filmów o emigracji, emancypacji i ruchach robotniczych?

Wpowracającej jak bumerang pieśni o niedoli polskiego kina historycznego zmieniają się zwrotki, lecz refren pozostaje ten sam: już nigdy nie będzie takiego lata. Zamknięci w prywatnych światach, skupieni na intymnych doświadczeniach, jesteśmy odwróceni od teraźniejszości. Nic dziwnego, że nie potrafimy opowiadać o przeszłości.

Jest w filmie „Nikt nie woła" (1960) Kazimierza Kutza przepiękna scena rozkwitu miłości i zarazem jej gwałtownej erozji. Najpierw widzimy ściekające z dachu jęzory stopionej papy. To elegancka metafora zmiany „stanu skupienia" w momencie, gdy przestajemy żyć dla siebie, a zaczynamy dla kogoś innego. Chwilę później główny bohater, dezerter z AK, który uciekł na Ziemie Odzyskane i wbrew zdrowemu rozsądkowi wpadł w sidła miłości, stoi na tyłach odjeżdżającego pociągu. Zostawia za sobą azyl – dziewczynę, brukowane uliczki, winiarnię.

Proszę Państwa, oto kino, czyli same paradoksy: epicka skala i kameralna perspektywa, wielka historia oraz intymne uczucie, melodramatyczna struktura i awangardowa forma.

Zadyszka

Wspominam tę scenę nie po to, by pogrzmiewać na polskich filmowców z palcem przytkniętym do czoła i kabotyńskimi bzdurami na ustach. Pomyślałem o niej, gdyż trafiłem na arcydzieło Kutza w katalogu jednego z serwisów streamingowych.

Leży sobie to wspomnienie lepszych czasów tuż obok „Tajemnicy Westerplatte" albo innych „Czerwonych maków". I mało kto wie, że mówi więcej o historii (a także o kinie) niż cały nasz dorobek z ostatnich dwóch dekad.

Podobne zestawienia są oczywiście ciosem poniżej pasa. I to nie tylko dlatego, że w powojennej rzeczywistości powstawały lepsze filmy. Kręcono je natomiast w warunkach, które wymagały pomysłowości. Tu metafora, tam zmyłka, gdzie indziej precyzyjna elipsa, to znów szczypta surrealizmu. Wszystko w myśl zasady, że nic tak nie pobudza artysty jak walka o haust powietrza pod buciorem władzy.

Gdy myślimy o „Kanale" Andrzeja Wajdy, „Eroice" Andrzeja Munka czy „Pociągu" Jerzego Kawalerowicza, też mamy do czynienia z paradoksem, tyle że systemowym. A do tego stylistycznym oraz tematycznym wielogłosem i zarazem artystycznym monolitem. Wielkim, choć nie skodyfikowanym projektem kina o teraźniejszości lat 40. i 50., które z oczywistych względów dopiero z czasem stało się żelazną klasyką narracji historycznych.

A dziś? Jako że przez ostatnie dwie-trzy dekady kino historyczne było lepem na wycieczki szkolne, polską współczesność zaś traktowaliśmy jako kłopotliwy balast w drodze do „uniwersalnych tematów", zostaje nam wyłącznie pogoń za tą

eprasa.pl 997335f986

tradycją. Nic dziwnego, że co chwilę łapiemy zadyszkę.

Telegram

Pamiętacie jeszcze wizję rodzimej kinematografii z okresu polityki kulturalnej prowadzonej przez PiS? Tę, w której Mel Gibson przyjeżdża do Wrocławia i za 200 milionów dolarów kręci film o żołnierzach wyklętych? W której na seansie „Historii Roja" trzeba dostawiać krzesła, a o biografię majora Łupaszki biją się telewizyjni publicyści?

Jeśli tak, to wiecie doskonale, że skończyło się na groźbach. Fabryka snów nie otworzyła oddziału w Polsce, kina świeciły pustkami, a miliony złotych wyrzucono w błoto (czego najjaskrawszym symbolem stał się film-widmo o rotmistrzu Pileckim).

Już w latach 2005-2015 Polski Instytut Sztuki Filmowej przyznał ponad 350 milionów złotych dotacji na kino historyczne. Na przestrzeni kolejnego dziesięciolecia kwota ta była o kilkanaście milionów niższa, ale wciąż imponująca. Pamiętajmy też, że przez dwa lata pandemii polskie kino wjeżdżało pod górkę na jałowym biegu.

Czy zatem w tym interesującym dla kina historycznego okresie doczekaliśmy się jakiejś alternatywy? Czegoś, co zbiłoby martyrologiczną gorączkę władzy? Nie bardzo, gdyż na jeden „Wołyń" przypadało pół tuzina „Legionów", „Piłsudskich" i „Kurierów". W najlepszym wypadku kręconych od linijki bryków z historii. W najgorszym – telegramów udających filmy. Jan Nowak Jeziorański urodził się w 1914 r. w Berlinie. Stop. Do niemieckiej niewoli trafił we wrześniu 1939. Stop. Nosił się elegancko, kolekcjonował dzieła sztuki. Stop.

Wojna

Opowiadaliśmy w tym czasie głównie o II wojnie światowej (ponad połowa filmów!), niekiedy o II RP, rzadziej o odwilży i PRL-u. Insurekcja kościuszkowska („Kos" Pawła Maślony), powstanie styczniowe („Powstaniec 1863" Tadeusza Syki), losy boksera Tadeusza Pietrzykowskiego w Auschwitz („Mistrz" Macieja Barczewskiego), tragiczny rejs „Orła" („Orzeł. Ostatni patrol" Jacka Bławuta), życie w okupowanej Warszawie („Czarny mercedes" Janusza Majewskiego), ułani i walka narodowo-wyzwoleńcza („Legiony" Dariusza Gajewskiego), Kaszuby („Kamerdyner" Filipa Bajona), do tego aż dwa filmy o Dywizjonie 303 („Dywizjon 303. Historia prawdziwa" Denisa Delicia i koprodukcja „303. Bitwa o Anglię" Davida Blaira).

Nazwałbym to grą na remis z historią. Jest to bowiem „jakiś" zakres tematyczny, ale czy naprawdę aż tak szeroki i ciekawy? Pomijając fakt, że tradycja militarna zawsze wypiera u nas tradycję społeczną, przydałoby się więcej filmów o dziejach mniejszości, rodzimych wynalazcach i przedsiębiorcach, doświadczeniu emigracji, emancypacji kobiet i ruchach robotniczych. I choć od każdej reguły są wyjątki, to nawet historie chłopskie są w zasadzie nieobecne.

Wszystko to przecież pomosty do współczesności. Ziarnka, z których mogłoby wykiełkować coś wartościowego kulturowo i społecznie. Czy takie filmy ↦

REKLAMA



eprasa.pl 997335f986



MATERIAŁY PRASOWE TVP VOD

Jakub Gierszał w filmie „Pojedynek", reż. Łukasz Palkowski, 2026 r.

↦ zarobiłyby w kinach dużo pieniędzy? Zapewne nie. Przypomnę jednak, że żyjemy w kraju, w którym nakręconą za astronomiczne 72 miliony złotych biografię Chopina obejrzało zaledwie pół miliona widzów.

Realizm

Nie mam pojęcia, kiedy wyryto w kamieniu, że dominującą poetyką polskiego kina historycznego powinien być realizm. Na pewno nie zrobiono tego ani w latach powojennych, ani po transformacji ustrojowej. Tradycja eksperymentowania z formą, wbrew pozorom, jest w naszej kinematografii silna. Rozciąga się od Wajdy oraz klaustrofobicznego horroru, jakim był „Kanał", przez komediowe wycieczki Kutza w „Pułkowniku Kwiatkowskim", aż po Jana Komasę oraz jego dubstepowy poemat „Miasto '44".

Pomimo tych niewątpliwych osiągnięć, ekranowa walka o niepodległą Polskę toczy się najczęściej w bezwzględnej poetyce stylu zerowego. Zupełnie jakby wdrukowany w naszą kulturę odwieczny dualizm cierpienia i heroizmu unieważniał wszelkiego rodzaju eksperymenty, zabawy, transgresje.

Sęk w tym, że aby hołubiony przez nas realizm historyczny działał, musi mieć oparcie w budżecie oraz warunkach produkcyjnych. Czy tego chcemy, czy nie, na granicy dzielącej ekscytujący patos od obezwładniającej nudy pracuje machina wielkiego spektaklu. Nie bez powodu to właśnie na fundamentach tej konwencji potęgę swojego kina wznieśli Amerykanie.

Rację miał aktor Jacek Braciak, gdy wskazywał fundamentalne różnice między polskim i hollywoodzkim kinem wojennym. I w jednym, i w drugim umęczeni faceci siedzą w okopach, wspominając ciepełko domowego ogniska. Tyle że w tym drugim ich koledzy „nieźle się dookoła napier...".

Przydałoby się w naszym kinie więcej luzu, zabawy popkulturowymi klockami, zderzenia konwencji i tematu.

Doczekaliśmy się w ostatnich latach zaledwie dwóch filmów, które nieźle poradziły sobie w tym realistycznym kluczu. Pierwszym z nich jest „Biała odwaga" Marcina Koszałki – trochę z racji finezji w ukrywaniu budżetowych niedostatków, a trochę z powodu zamaszystej roboty faktograficznej. Drugim – „Filip" Michała Kwiecińskiego, w którym pojemna konwencja thrillera szpiegowskiego wchłania zarówno realizm, jak i elementy impresjonizmu.

Przygoda

Dałbym wiele, by zobaczyć miny jurorów konkursu na film o powstaniu wielkopolskim w momencie, gdy wyróżniona przez nich „Hiszpanka" (2014) trafiła do kin. Zapomniane dzieło Łukasza Barczyka trudno cenić – to artystyczna i finansowa klapa. Łatwo je natomiast lubić, bo opowiada o grupie młodych patriotów walczących z czarownikiem-telepatą o duszę Ignacego Jana Paderewskiego.

Zły film, dobry kierunek – stąd istotność „Hiszpanki" także we współczesnych rozmowach o polskim kinie historycznym. Na papierze wszystko się bowiem zgadza. Z jednej strony rebelia, czyli Naczelna Rada Ludowa oraz imperium zła w postaci Republiki Weimarskiej. Z drugiej – paranormalne zjawiska, krajobrazy niczym z Narnii, popkultura na szóstym biegu i odpowiedź na pytanie, jak uczynić historię atrakcyjną dla nowego pokolenia.

Oczywiście w praktyce wyszło jak wyszło i nic dziwnego, że śladami Barczyka nikt nie podążył. Przydałoby się jednak w naszym kinie nieco więcej luzu, zabawy popkulturowymi klockami, nieoczywistego zderzenia konwencji i tematu.

Można to zrobić tak sobie, jak Maciej Kawulski w „Dzikim" – wystarczy zamienić historię Janosika w dwugodzinny teledysk, wysłać do boju eskadrę dronów z kamerami, a później zmontować całość na zasadzie rzutu kostką. A można dobrze, jak Paweł Maślona w „Kosie", gdzie opowieść łotrzykowska spotyka kino przygodowe, eastern oraz tragifarsę i żadna z tych konwencji nie unieważnia refleksji historycznej. Zwłaszcza tej na temat narodowej apatii.

Serial

Odpowiedzi na pytanie o sukces filmów Pawła Pawlikowskiego również szukałbym w finezji, z jaką reżyser korzysta z tych uniwersalnych kodów. Zarówno „Ida", jak i „Zimna wojna" dotykają wprawdzie lokalnych tematów, ale pracują „na silniku" rytualnego kina: melodramatu, czarnego kryminału, psychodramy, wreszcie – polskiej szkoły filmowej, tyle że zredukowanej do stylu, klimatu, pojedynczych pociągnięć pędzla.

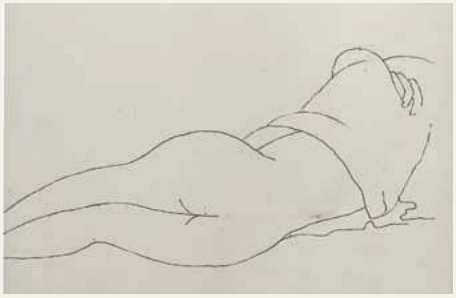
Nie mam żadnej dobrej rady dla naszych filmowców. Mam natomiast dwie refleksje. Po pierwsze: seriale robią to dobrze. Jak pokazuje przykład „Breslau" czy „Piekła kobiet", czasem wystarczy odpowiednio ustawiony ton, wolny od martyrologii, lekki, kojarzący się z ambitną, ale jednak rozrywką.

Po drugie – istnieje szansa, że w ramach rytualnego lamentu nad polskim kinem historycznym glanuję właśnie arcydzieła. „Nikt nie woła" też miało pod górkę i potrzeba było paru dekad, by ktoś porównał Kutza do Antonioniego. Czy będzie to *casus* „Piłsudskiego", „Wyklętego" albo „Orła"? Przyjmujmy zakłady, a na razie – jeszcze więcej Dywizjonu 303, kino wytrzyma!

© MICHAŁ WALKIEWICZ

eprasa.pl 997335f986





KULISIEWICZ. AKTY

Ponad 160 prac Tadeusza Kulisiewicza pokazuje, jak niewiele potrzeba, by zarysować ciało – i jak wiele pozostaje poza linią.

Na papierze kilka linii płynie spokojnym ruchem. Tło rysunku jest neutralne, nic nie odwraca uwagi od sportretowanej osoby. Postać – ukazana jedynie za pomocą konturu – wyłania się z niczego. Mimika nie jest ważna. Mimo że ciało jest nagie, postać nie daje wglądu w swoje myśli. Nagość niczego tu nie symbolizuje, jest treścią samą w sobie. Tak właśnie Tadeusz Kulisiewicz najczęściej je przedstawia – kobiety, które choć pozbawione ubrania i zdawałoby się odsłaniające wszystko, dla nas, widzów, pozostają tajemnicą.

Nie znamy ich imion, trudno oszacować ich wiek ani domyślić się koloru skóry. Intryguje więc pytanie: kim są dziewczyny z tych portretów? Na kilku pracach rozpoznać można żonę artysty, jednak tożsamość pozostałych modelek pozostaje dla nas nieuchwytna.

KIM BYŁ KULISIEWICZ

Profesor Tadeusz Kulisiewicz (1899-1988), absolwent Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, zadebiutował na stołecznych salonach artystycznych w latach 20. jako twórca drzeworytów. Choć na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie aż do emerytury wykładał grafikę, od 1945 roku niemal całkowicie poświęcił się rysunkowi. W czasach PRL był jednym z najczęściej promowanych za granicą polskich artystów. Podróżował m.in. do Chin, Indii, Meksyku, Brazylii i na Kubę, a każdy z tych wyjazdów przynosił cykle znakomitych rysunków.

Jego prace pokazywano na setkach wystaw zbiorowych i indywidualnych na całym świecie – we Florencji, Tokio, Paryżu, Nowym Jorku, São Paulo, New Delhi czy Rio de Janeiro. Największą rozpoznawalność przyniosły mu przedstawienia ubogich górali ze Szlembarku w Gorcach, jednak artysta stworzył również setki kobiecych aktów.

Większość z nich przechowywał aż do końca życia w teczkach w swojej pracowni przy ul. Mazowieckiej w Warszawie. Na wystawie „Kulisiewicz. Akty" w Muzeum Okręgowym Ziemi Kaliskiej zaprezentowanych zostanie ponad 160 jego prac. Przyjrzyjmy się kilku z nich.

CIAŁO I KRESKA

Na tym rysunku głowa wychodzi poza kadr, w tym czysto erotycznym akcie głowa nie ma znaczenia. Kobieta leży na plecach, w wygodnej pozie, jedną ręką otula się w pasie, druga ręka swobodnie ułożona jest wzdłuż jej ciała. Dłoń znika na łonie, jakby ten fragment był zbyt intymny, aby go narysować. Dziewczyna jest sama ze sobą, niczym nieskrępowana, reszta świata nie istnieje. Artysta nie osadził jej w żadnej przestrzeni – pod względem kompozycji jest jak wykrojona foremką.

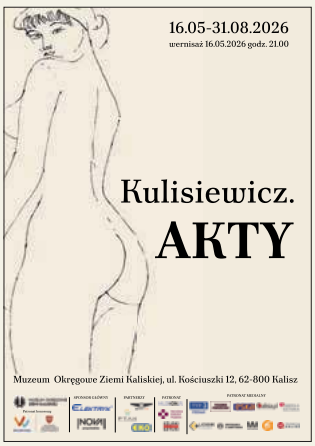
Zdecydowanie seksualny wyraz ma inny rysunek, gdzie kobieta stoi na czworakach, bokiem do widza. Trwa w jednoznacznie prowokującej pozycji. Jej stopy i dłonie, zarysowane tylko schematycznie, nie są tu ważne. Dziewczyna odwraca głowę, zerka w tył, w kierunku widza. Pierwszy plan tworzą jej wypięte pośladki.

Kolejny akt. Parę pociągnięć piórka wystarczyło, aby nakreślić to, co tworzy treść tego rysunku: biodra, pośladki, głowę. Choć kreska jest maksymalnie syntetyczna, kobiecość wyraża się czytelnie, jak w pradawnych figurkach Wenus.

Nagość w rysunkach Kulisiewicza nie zawsze niesie seksualne skojarzenia. Może być potraktowana jako synonim człowieczeństwa w najczystszej postaci. Kobieta z tego rysunku jest Meksykanką. Wiemy to wyłącznie z tytułu, Kulisiewicz pozbawił ją bowiem jakichkolwiek rysów twarzy, które naznaczałyby jej etniczne pochodzenie. Kobieta-matka, zarysowana samym konturem, ale z wyraźnie zaznaczonymi piersiami i wzgórkiem łonowym trzyma w ramionach niemowlę. Dziecko narysowane jest minimalistycznie, okrąg to główka, dwie kreski – rączka. Za pomocą kilku linii artysta wyraził czułość, bezpieczeństwo niemowlęcia w ramionach mamy.

Dalej widzimy scenę rodzajową. Ta dziewczyna stoi tyłem, naga, pochylona nad miednicą. Myje się. Kulisiewicz przedstawia ją bez żadnej klasycznej idealizacji, podczas czynności, która zdawałoby się jest zbyt powszednia, aby stać się tematem dzieła sztuki. A jednak się nim staje.

Wystawa „Kulisiewicz. Akty" prezentowana będzie od 16 maja do 31 sierpnia 2026 r. w Muzeum Okręgowym Ziemi Kaliskiej w Kaliszu.



MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 997335f986

Awanturka



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Romantyczna komedia czy społeczny thriller? Mieszając gatunki, „Drama" szuka recepty na współczesne kryzysy i lęki.

Zigły widły – można by swojsko przetłumaczyć modne obecnie słowo „drama". Wzięte ze starożytnej greki, do niedawna kojarzone głównie z teatrem, ale dziś przeszczepione, jako anglicyzm, do języka potocznego. Określa się nim awantury z błahego zwykle powodu i często w formie nadmiernie teatralnej, zapewniającej publiczną widoczność.

Filmowa „Drama" jest ciekawa dlatego, że owa igła zdaje się wcale nie błahostką, a norweski reżyser Kristoffer Borgli sięga po amerykańską komedię romantyczną, żeby wkłuć się we wrażliwe społecznie miejsca. I sam film tak właśnie działa: kilka tygodni po premierze nadal się o nim mówi i pisze, pomniejszając bądź powiększając jego znaczeniową pojemność.

Czy w tym przypadku rzeczywiście jest o co robić dramę?

Na pierwszy rzut oka film Borgliego wydaje się czymś w rodzaju „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie" – włoskiej komedii sprzed dekady. Przypomnijmy: uczestnicy pewnego przyjęcia postanowili zabawić się w „sprawdzam" i ujawnić zawartość swoich smartfonów, co zwłaszcza dla życiowych partnerów mogło być sporym szokiem.

Młodzi bohaterowie Borgliego są na innym etapie – spotykają się z przyjaciółmi w przededniu swego ślubu i w ramach podobnej gry towarzyskiej każde z nich ujawnia najgorszą rzecz, jaką zrobiło w życiu. Tymczasem najgorsze okazuje się to, czego się jednak nie zrobiło. Bowiem Emma, przyszła panna młoda, przyznaje na rauszu, że będąc piętnastolatką, planowała masową strzelaninę.

Takiej „igły" nie sposób dzisiaj zignorować, zwłaszcza w USA. Wyrażenia typu *mass shooting* wykropkowuje się przecież w internecie, by nie wywoływać paniki, nie prowokować ani nie popularyzować zjawiska – a tym samym nie drażnić algorytmów. Chociaż w tak zwanym realu bywa ono jeszcze drażliwszym tabu.

Toteż „Drama" balansuje pomiędzy rom-comem, lekkim niczym pianka na sojowym latte (czy Charlie poślubi Emmę, poznawszy jej mroczną stronę?), grubą farsą i parodią thrillera a społeczną krytyką, wymierzoną w zbiorowe fantazje. W instagramowe wyobrażenia o perfekcyjnie dopasowanych związkach, dizajnersko urządzonych apartamentach, prestiżowych i pasjonujących pracach. Tudzież o gustownych weselach, wyreżyserowanych w każdym detalu.

To dlatego na ostatniej prostej przyszły pan młody będzie musiał przeredagować swoją weselną mowę. Ukochana przestała pasować do wyidealizowanego obrazka, a jej defekt słuchu, który kiedyś wydawał się Charliemu seksowny, teraz przypomina o wstydliwych okolicznościach wypadku. Cóż, miłość bywa często głucha na jedno ucho.

Narzeczony przeżywa swój przedślubny koszmar, widząc w Emmie potencjalną zabójczynię, ale rychło zaczyna szukać dla niej usprawiedliwień – bo wciąż ją kocha. Pyta więc „Drama" o granice szczerości w związku, skoro rzucona luźno anegdota wywołuje aż taką burzę, na miarę tych internetowych. Albowiem „Drama" jest filmem również o tym, jak toksyczne zachowania w sieci, nakręcanie afer i paniczny strach przed publicznym osądem przenoszą się pod strzechy.

Moralne oburzenie ze strony Rachel, przyjaciółki pary i przyszłej druhny, przypomina powszechne dziś sądy kapturowe w internecie. Oto czyjaś prywatna trauma, związana ze szkolną strzelaniną, daje przyzwolenie na ukaranie za samą „myślozbrodnię", w dodatku popełnioną w dzieciństwie.

Niektórzy widzą u Borgliego po prostu „chorych na siebie", nawiązując do jego filmu z 2022 r., czyli: współczesnych wielkomiejskich egoistów, nieuleczalnych atencjuszy i „królowe dram". Oglądamy wszak filmowy teatr życia codziennego, i to w bardzo umownych dekoracjach (chociaż nawet zabawne rytualne gesty – ściąganie sobie nawzajem spodni czy próby zrestartowania całej znajomości – kryją w sobie jakąś mikroprawdę o dynamice dzisiejszych związków).

Tymczasem osadzony w Bostonie romans brytyjskiego muzealnika i dziewczyny z księgarni wcale nie jest aż taką odklejką od rzeczywistości, jak ją niektórzy postrzegają. Przede wszystkim wchodzi co i raz na jakieś grząskie rejony i fakt, iż nie dociska pewnych tematów, działa moim zdaniem na korzyść „Dramy".

Weźmy choćby wątek rasowy – Emma jest Afroamerykanką, lecz nie ma to wpływu na przebieg akcji, a mogłoby wiele znaczyć w historii szykanowanej

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl 997335f986



MATERIAŁY PRASOWE

DRAMA
(The Drama) – reż. Kristoffer Borgli. Prod. USA 2026. W kinach.

Kristoffer Borgli zaczynał od krótkich metraży, które przyniosły mu nagrody m.in. na festiwalu Sundance. Zadebiutował w ojczystej Norwegii mockumentem „Drib" (2017), ale przełomem był satyryczny film fabularny „Chora na siebie" (2022), który miał premierę w Cannes. Rok później za oceanem, pod skrzydłami Ariego Astera i studia A24, nakręcił komedię „Dream Scenario" z Nicolasem Cage'em.

Powyżej: Zendaya jako Emma i Robert Pattinson jako Charlie w filmie „Drama"

przez rówieśników uczennicy, która dosłownie chwyta za broń. Ale jak było naprawdę i dlaczego dziewczynka nie zrobiła użytku z ojcowskiej strzelby, to jeszcze jeden ukryty przypis pozostawiony naszym interpretacjom.

Borgli nie mydli nam oczu banałem, że ludzie są lepsi od swoich historii; woli zakrzywiać i rozszczepiać swoją opowieść, mieszając obiektywne z subiektywnym, realne z wyobrażonym. Aż po finał, który rozbraja wszystko typową dla tego gatunku serią wtop i przypałów, pocukrowanych sceną ostatnią.

Mimo konwencjonalnego zakończenia, film Borgliego sprawdza się i jako ślubna awanturka, i jako diagnoza współczesnych kryzysów zaufania, fałszywych wyobrażeń i wygórowanych oczekiwań. Napędzane – powtórzmy to po raz ostatni – w dużej mierze przez świat wirtualny i jego kreacje.

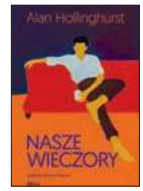
Z czego zresztą marketingowcy tego filmu sami skorzystali, promując go, dla reklamy i równocześnie dla zmyłki, niczym typowy produkt z gwiazdami – Robertem Pattinsonem i Zendayą. Ogrywając przy okazji brytyjskie sztywniactwo jego bohatera tudzież jej rolę potencjalnej awanturnicy (premiera „Dramy" zbiegła się w czasie z trzecim sezonem „Euforii").

Właśnie obecność na ekranie tej pary (plus brawurowa Alana Haim w roli prokuratorskiej Rachel) dodaje substancjalności tej wykoncypowanej historii. Dla jednych pewnie zbyt ryzykownej ze względu na wspomniane „zabawy z bronią", dla innych odpalającej raczej kapiszony niż prawdziwe wystrzały pod adresem współczesnej kultury narcystycznej.

Jedno z pewnością trzeba Borgliemu przyznać: jest bardzo sprawnym agentem chaosu i takimż jego pogromcą. W „Chorej na siebie" i „Dream Scenario" udowodnił, że potrafi wywoływać w swoim widzu różne rodzaje zakłopotania naraz – od poczucia złego smaku, przez dezorientację w wielopiętrowej narracji, aż po niepoważno-poważne rozkminy.

Pytając na przykład, gdzie w całym tym pędzie do projektowania najlepszej wersji siebie jest miejsce na związek dwojga ludzi. Być może więc w tytułowej dramie chodzi po prostu o szukający pretekstu lęk przed wiązaniem się, tak powszechny w czasach nazywanych epidemią samotności. ©

Lektor:
W świecie podziałów



▪ *Alan Hollinghurst*, **NASZE WIECZORY**, *tłum. Katarzyna Makaruk, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2026*

Jak dobrze zanurzyć się w świetnej prozie i przypomnieć sobie przyjemność, jaką daje lektura pełnokrwistej powieści! Do tego takiej, w której znajdziemy panoramę powojennej Anglii, aż po brexit i epidemię covidu, ale zobaczoną nie poprzez wydarzenia polityczne, a przez losy indywidualnych bohaterów.

Bohaterem głównym jest David Win, półkrwi Birmańczyk. Jego birmański ojciec to właściwie enigma, a w Birmie nigdy nie był. Dziedzictwo kulturowe sprowadza się do paru strojów przechowywanych przez matkę, która pracowała krótko w Rangunie jako sekretarka, a teraz wychowuje samotnie syna utrzymując się z krawiectwa; z jedną z klientek połączy ją biznes, a następnie związek uczuciowy.

David trafia do prestiżowej szkoły z internatem jako beneficjent stypendium zamożnego Marka Hadlowa. Z Markiem i jego żoną, artystką Carą, się zaprzyjaźni, z ich synem, niesympatycznym i mniej zdolnym Gilesem – raczej nie. Czy wychowaliśmy potwora? – zastanawia się szlachetna Cara. Niestety tak – w dodatku zręcznego polityka, który stanie się jednym z architektów brexitu. Tak znanym, że część mediów żegnając znacznie bardziej zasłużonego Marka, informować będzie, że zmarł „ojciec Gilesa"...

Bo taki właśnie jest ten portretowany przez Hollinghursta świat. Niesprawiedliwy i często okrutny. Żywy jest w nim rasizm, obecny nawet w potocznym języku, a temat pochodzenia Dave'a wciąż okazuje się drażliwy. Rasizm i inne uprzedzenia – lesbijski związek matki chłopca okazuje się nie do przyjęcia dla jej krewnych, pochodzących z warstw niższych.

Bo „Nasze wieczory" to portret społeczeństwa klasowego, w którym podziały tylko pozornie wydają się zatarte. I subtelna opowieść o odnajdywaniu tożsamości przez młodego geja, jakim jest David. Tożsamości seksualnej i powołania artystycznego.

Urodzony w 1954 r. Alan Hollinghurst nazywany jest pisarzem gejowskim. Jeśli wspominam o tym na końcu, to dlatego, że – w odróżnieniu na przykład od „Klubu korynckiego", pierwszej tłumaczonej u nas jego książki (1993) – „Wieczory" nie są „powieścią środowiskową". „Postanowiłem, że będę pisać książki z gejowskiej perspektywy – mówił Juliuszowi Kurkiewiczowi („Książki. Magazyn do czytania"). – A zarazem byłem trochę zdziwiony, gdy ludzie byli moją postawą zaskoczeni, albo gdy »Linia piękna« dostała Bookera jako »pierwsza powieść gejowska«".

Cóż, są to po prostu znakomite powieści. ©℗

eprasa.pl 997335f986

PAWEŁ

Bravo:

W miarę



Udowodnij, że jesteś człowiekiem. Chwileczkę, gdzieś zapodziałem egzemplarz „Obcego", tam było co nieco na ten temat i do jutra chyba dałbym radę się przygotować. A może jest opcja uproszczona i wystarczy katechizm, dział drugi, paragraf szósty, punkt 355 i kolejne? Aha, mówicie, że chodzi tylko o dziewięć obrazków i trzeba wybrać te, na których jest rower. Albo samochód. Albo semafor. Prędko prędko, ten kawałek blachy to błotnik czy mi się zdaje?

Bardzo uliczny charakter ma człowieczeństwo, z jakiego jesteśmy rozliczani przed sądem najwyższym naszej codzienności cyfrowej. Jeśli ktoś żyje wysoko w górach albo dawno nie wyjeżdżał z mazurskiej kniei dalej niż po kwit na węgiel do gminy, to może mieć kłopoty z dopuszczeniem do sakramentu aplikacji.

Takiej osobie (a raczej istocie dopiero mającej stać się pełnoprawną osobą w oczach algorytmu) o wiele prościej byłoby rozkazać: wskaż obrazki, na których są rzeczy jadalne. A może to za proste, bo na prawie każdym zdjęciu wykonanym na zewnątrz, pod gołym niebem, choćby był to peron kolejki podmiejskiej albo zrewitalizowany betonem plac miasteczka, wprawne oko znajdzie coś jadalnego. Np. mniszek wyłażący spod krawężnika albo niemal dowolne drzewo: zjeść się bezpośrednio raczej nie da, ale wypić napar z kory, liścia albo kwiatu – owszem.

Zatem może nieco trudniej – dać zdjęcia ze straganów i zadanie: wskaż obrazki, na których są warzywa i owoce sezonowe. Z początkiem maja to jednak byłoby aż za proste – wystarczy znaleźć ten jeden, jedyny kafelek ze szparagami. A może dwa, bo są wszak i zielone, i białe. A nawet fioletowe. A niech będą jakie bądź, bylebym mógł już jeść, choćby „nieidealne", jak napisano na stronie z codzienną ofertą mojego ulubionego dostawcy.

Zastanawiam się nad tą nie-idealnością, czy to znaczy po prostu, że wyszły z nazbyt wciąż zimnej ziemi krzywe i nierówne, z poskręcanym, nieregularnie uformowanym czubkiem? Tylko tak napisać nie wypada, bo zniechęci to klientów, zwłaszcza tych, którzy muszą podjechać spory kawałek. Analogicznie w świecie wielkiej mody, modelek, wybiegów i wszelkiego diabła odzianego u Prady, na modelki 30 plus nie mówi się, że są stare (taka jest w owym piekle granica starości), lecz *generational*, czyli pokoleniowe. A to znaczy, że „pokolenie" ewidentnie kojarzy się nam ze starszą częścią ludzkości, na czym korzysta ów śliski eufemizm.

Przeskakujemy obojętnie nad tymi obrazkowymi testami, mającymi odsiać w internecie ruch generowany przez



FORNSTUDIO / ADOBE STOCK

roboty niczym irytujący płotek, nie na tyle jednak wysoki, żeby się na serio zatrzymać i kopnąć weń ze złością. Podobnie, jak znudzeni klikamy w idiotyczne komunikaty o ciasteczkach, które raz po raz akceptujemy, byle szybciej, byle już się wyświetliło, bo przecież nikt nie ma czasu przeglądać listy „zaufanych dostawców" – z góry przecież wiadomo, że jeśli chodzi o reklamę i manipulację w internecie, to lepiej nikomu nie ufać. Także urzędnikom wystrzelonym na któryś z księżyców Jowisza lub dalej, którym się wydawało, że naprawdę ktoś będzie wdzięczny za taką formę ochrony prywatności. Już każdorazowe odrywanie zakrętki, żeby nie przeszkadzała w piciu, jest mniej uciążliwe od udzielania tuzin razy dziennie zgody na ciastka.

Test na człowieka to tylko kilka straconych sekund i na ogół nie zwracamy uwagi na sens tych słów. A powinny walić nas pięścią między oczy. Udowodnij. Wytłumacz się. Jesteś podejrzany, jesteś niepewna, kto cię w ogóle widział i kto cię zna? Już my tu sobie ustalimy, jak się wykażesz – np. rozwiąż prosty test poznawczy, którego na razie, w obecnym stanie rozwoju AI, robot jeszcze nie pokona. Ale jak się wyspryci, to damy ci coś jeszcze trudniejszego. W postaci zoptymalizowanej przez psychologów dla grupy społecznej i wiekowej, co do której założyliśmy sobie, że nas interesuje. Jak się w niej nie mieścisz, to idź sobie z tym niepewnym człowieczeństwem gdzie indziej.

Otóż może w byciu jak ten krzywy, niewyrośnięty szparag tkwi najskuteczniejszy dowód bycia człowiekiem? Poprzerywani i niecałkowici, jak ta tęcza u Leśmiana, co się „śniła ludz-

eprasa.pl 997335f986



kiemu oku". Jestem tego pewien, im bardziej wszechobecna nieludzka aparatura, podtrzymująca coraz liczniejsze funkcje życiowe i społeczne, chwali się wobec nas niezawodnością.

Potrzeba nam znów rozsądnego oswojenia koślawości. Bez przesady w drugą stronę. Przecież nawet w kuchni nieobliczonej na pokaz, niehołdującej celom malarskiego efektu, szuka się rzeczy równych i regularnych. Szparagi (znów one, jeszcze z tydzień będę miał obsesję, proszę o cierpliwość), jeśli dajemy je do brytfanki z oliwą, to chcemy je mieć równej długości i grubości, żeby doszły w tym samym momencie. Nieraz grzebię długo w skrzyni, żeby wyciągnąć podobne w kształcie ziemniaki, które potem nożem doprowadzę do identycznych ćwiartek, bo inaczej potem część zacznie się palić, a reszta będzie niegotowa. Serce się raduje, kiedy się ułoży sałatkę *caprese* tak, by średnica plasterków sera i pomidora się zgadzała. Wszystko to prawda. Taka jest tylko różnica, że to harmonia „w miarę", z dużym marginesem błędu. A nawet to, co znajdzie się poza tym marginesem, nie idzie precz na śmietnik.

Nieforemne ścinki i przerośnięte warzywo mają rację bytu, której czasami odmawiamy sobie, w strachu rozwiązując test z semaforkiem.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Risotto szparagowe najlepsze

Około majówki robię się monotematyczny w swoich apetytach. Świadom tego, co roku obiecuję sobie, żeby nie zanudzać was żadnym przepisem szparagowym, bo – tak mniemałem – było tu ich już multum. Tymczasem sprawdziłem właśnie, że wcale nie tak wiele. Dlatego pozwolę sobie teraz przywrócić przepis na pracochłonne, ale zdecydowanie najlepsze na świecie risotto szparagowe, który pojawił się w „Tygodniku" 12 (!) lat temu.

SKŁADNIKI:
320 g ryżu 2 pęczki (ok 1 kg) białych szparagów
1 mały pęczek włoszczyzny (bez korzenia pietruszki)
▪ cebula ▪ masło ▪ parmezan ▪ dużo cierpliwości

Z każdego szparaga odcinamy po umyciu dolną jedną trzecią i te łodygi wrzucamy do garnka wraz z małą włoszczyzną, kilkoma ziarnkami pieprzu, zalewamy 1,5 litra wody i gotujemy na bardzo wolnym ogniu godzinę, a pod koniec solimy. Z pozostałych szparagów odcinamy łebki i wrzucamy je do miseczki z wodą. Resztę jędrnych łodyg starannie obieramy i kroimy na drobne kawałki. Wkładamy do garnuszka z jedną posiekaną cebulą, solimy, podlewamy ok. 50 ml wody, przykrywamy i gotujemy na wolnym ogniu przez kilka minut, co jakiś czas mieszając, aż zrobią się miękkie. Po przestudzeniu miksujemy zawartość garnuszka na gładką papkę. Na suchej dużej patelni o grubym dnie prażymy ryż na dużym ogniu, delikatnie go poruszając drewnianą łyżką, by się cały równomiernie ogrzał. Dalej, jak zwykle, „gasimy" go winem, czekamy aż prawie całe odparuje i zalewamy wrzącym bulionem warzywno-szparagowym tak, by płyn pokrył ryż na ok. 1 cm. Ponieważ uprażony na sucho ryż będzie się nam sklejał w grudki, rozbijamy je delikatnie drewnianą łyżką. Cierpliwie gotujemy na średnim ogniu, aż ryż wypije większość płynu. Wtedy dolewamy kolejną porcję, lekko co jakiś czas mieszamy. Przy trzeciej dolewce płynu dodajemy połowę szparagowej papki. Przy czwartej dolewce – jej resztę. Kiedy upłynie ok. 16-18 minut, zaczynamy uważać – ryż zacznie być już miękki, więc ewentualne dolewki muszą być niewielkie – choć z racji obecności zmiksowanych szparagów to risotto zawsze wyjdzie nam raczej „płynne": jak to mówią Włosi all'onda, czyli falujące. Równolegle blanszujemy łebki szparagów przez dwie minuty i przekładamy na risotto w ostatniej fazie dochodzenia. Na koniec dodajemy dwie łyżki masła i intensywnie mieszamy – brutalną siłą chcemy uwolnić maksimum skrobi z ryżu, żeby uzyskać maksimum kremowości. Potem pora na odpoczynek – minuta lub dwie pod przykryciem. Na wydaniu dodajemy parmezan, ale oszczędnie. Jeśli chcemy, żeby było ładniej na zdjęciach, możemy w ostatnich minutach dodać do gotowania garstkę mrożonego groszku (chyba że mieszkacie w kraju, gdzie jest już świeży, czego zazdroszczę). ©℗



ZORYANCHIK / ADOBE STOCK

eprasa.pl 997335f986

ZMYSŁY

POWRÓT PLANSZY

Wszyscy skarżą się na brak czasu,
ale nie wahają się poświęcać go na aktywność,
która nie przynosi żadnych wymiernych korzyści,
wymaga wysiłku i niemałej logistyki.

DOROTA MALINA



HRYSHCHYSHEN SERHII / SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 997335f986

Przed pierwszym proszonym obiadem u rodziców mojego obecnego partnera mocno się stresowałam. Mam za dużo kompleksów, żeby w sztuce pod tytułem „Meet the parents" grać ze swobodną dezynwolturą. W dodatku w obcym języku, w kraju fetyszyzującym kuchnię i konwersacje przy stole. Kilka tygodni poprzedzających wizytę spędziłam więc na czytaniu podręczników do savoir-vivre'u i sumiennej prasówce. Nerwowo przyswajałam wiedzę o widelczykach, sposobach jedzenia bezy i francuskiej scenie politycznej.

Nie miałam jednak okazji popisać się ani biegłością w używaniu sztućców, ani przemyśleniami na temat rządu Jeana Casteksa. Posiłek podano w ogródku, bez pompy, za to w niejakim pośpiechu. I kiedy już nastawiałam się na długie rozmowy przy kawie, na stół zamiast deseru wjechały planszówki.



A wtedy dorośli ludzie, przedstawiciele poważnych profesji, ojcowie rodzin i pracujące matki, rzucili się do „Scrabble", „Monopoly" i „Dixita".

Bakcyl planszówek

Gra wcale nie była tylko pretekstem do wspólnego spędzania czasu, sposobem na przełamanie lodów czy okazją do swobodnych pogawędek. Nie – wszyscy byli skupieni. I zdeterminowani, żeby wygrać. Na nic moje zagajanie o pięknie regionu Morbihan. Najważniejsze było, jak radzę sobie w „Jungle Speed".

Początkowo spisałam to na karb ekscentryzmu rodziny partnera. Jest duża, patchworkowa, pokoleniowo rozpięta między dziewięćdziesięcioletnim dziadkiem, wytrawnym szachistą, a kilkulatkami, które siekły w „Uno". Myślałam, że grają, bo pewnie trudno byłoby wszystkich wciągnąć do rozmowy. Albo że to nowa pandemiczna tradycja, którą szybko porzucą.

Potem odkryłam jednak, że bakcyl planszówek nie umarł wraz z covidem. A amatorów analogowych gier jest więcej, niż przypuszczałam. Nie tylko w małych bretońskich wioskach, również w Paryżu, gdzie planszówki skutecznie konkurują z bogatą ofertą kulturalną.

Choć to Francja wiedzie prym w rankingach popularności gier planszowych, w Polsce też nie brakuje ich miłośników. Do światka krakowskich graczy wprowadziła mnie siostra – poważna pani doktor, która w dzień reperuje żywych, a wieczorami w gronie przyjaciół buduje „7 Cudów Świata" albo łupie w „Tajniaków".

Z domu i z ludoteki

Od czasów pandemii Francuzi kupują ponad 30 mln gier planszowych rocznie. Co roku ukazuje się około tysiąca nowych pozycji, które na przełomie lutego i marca, podczas Festiwalu Gier w Cannes (nie mylić z festiwalem filmowym) konkurują o złote, srebrne i brązowe Asy. W 2024 r. Francuzi z dziką satysfakcją wyprzedzili dotychczasowego europejskiego lidera gier planszowych, czyli Niemcy. Wynik był imponujący: 34 mln sprzedanych planszówek i rynkowe obroty w wysokości 587 mln euro.

Zdaniem socjologa i badacza gier Vincenta Berry'ego pandemia przyspieszyła tylko tendencję wzrostową, która rozpoczęła się kilka dekad wcześniej. Co ciekawe, o ile dawniej gry, zwłaszcza karciane, były rozrywką niższych warstw społecznych (patrz film „Mariusz" na podstawie trylogii marsylskiej Pagnola), od lat 80. grywa głównie klasa średnia. Popołudnia z planszówkami stały się synonimem odpowiedzialnego rodzicielstwa (zamiast sadzać maluchy przed ekranem, poświęcamy im czas i angażujemy w wartościową aktywność), a jak wiadomo, czym skorupka za młodu... Wielu dzisiejszych graczy przyznaje, że grywało już w domu rodzinnym. Schemat często jest ten sam: międzypokoleniowe partyjki „Monopoly" i „Cluedo", nastoletni bunt i porzucenie pionków, a potem powrót do planszy z przyjaciółmi na studiach.

Gdzie grają Francuzi? W kraju działa ponad dwieście lokali z grami (*bar à jeu*), głównie w większych ośrodkach miejskich. Tym, którzy nie chcą gier kupować, biblioteki i tak zwane ludoteki oferują planszówki do wypożyczenia, a kilka razy w roku organizują wieczorne turnieje. Te cieszą się tak dużą popularnością, że jeszcze nigdy nie udało mi się na żaden zapisać. Chyba muszę zmienić strategię.

Gry paragrafowe i bitewniaki

Nad Wisłą planszówkowicze też trzymają się mocno. Przyjrzyjmy się choćby Krakowowi: od 2019 r. wiele filii biblioteki miejskiej wypożycza czytelnikom gry. Prężnie działają liczne sklepy z planszówkami (o radośnie słowotwórczych nazwach, np. Shop Gracz), stowarzyszenie promocji gier planszowych Gralicja oraz kluby, takie jak nowohucki Wersalik, gdzie dwa razy w miesiącu organizowane są sesje planszówek. Wstęp kosztuje całe pięć złotych, można przynieść własne gry lub skorzystać z bogatej ludoteki klubowej. Zaletą tego typu wydarzeń jest ich wymiar towarzyski oraz fakt, że nie trzeba wgryzać się w instrukcje, bo obecni na sali animatorzy klarownie je wyjaśniają. Da się więc poznać znajomych i polubić nową grę.

O renesansie gier planszowych świadczy też fakt, że od czterech lat w Krakowie odbywają się Festiwal i Targi Gier Planszowych Book Game. Przez trzy dni w wielkiej hali Expo na fanów rozrywek analogowych czekają „wystawcy z grami planszowymi, bitewniakami, puzzlami, klockami LEGO, zabawkami kreatywnymi, książkami, komiksami, grami paragrafowymi i podręcznikami RPG; największy ↦

eprasa.pl 997335f986

Laureaci tegorocznego Festiwalu Gier w Cannes

Zwycięzców wybiera jury złożone z fachowców (projektant gier, wyspecjalizowana bibliotekarka, autor komiksów itp.), którzy testują gry z poprzedniego roku i przyznają im „złote asy”.

1. GRA DLA WSZYSTKICH: „TOY BATTLE”

Jak sama nazwa wskazuje, na planszach przedstawiających różne światy, od dżungli po kosmos, toczą się wojny zabawek. Wygrywa ten, kto zajmie największe terytorium albo zdobędzie najwięcej medali. To tyle z dydaktycznego pacyfizmu.

2. GRA DLA DZIECI: „L'ÎLE DES MOOKIES”

Dwoje graczy wyciąga karty przedstawiające tajemnicze stworzonka, tytułowe Mookies. Wygrywa ten, kto zbierze najwięcej przedstawicieli danej rodziny. Idealna dla dzieci od lat czterech. I rodziców, bo partia zamyka się w dziesięciu minutach.

3. GRA DLA WTAJEMNICZONYCH: „ZENITH”

Gra taktyczna, w której dwoje graczy (albo dwie ekipy) stara się przejąć kontrolę nad układem słonecznym. Instrukcja ma dwanaście stron, ale, jak zapewniają gracze, „jak już człowiek zrozumie, to potem jest łatwo” (to samo słyszałam *à propos* całek na matematyce. Nadal czekam).

4. GRA DLA EKSPERTÓW: „CIVOLUTION”

Instrukcja liczy czterdzieści pięć stron (drobnym drukiem), ale nic dziwnego, skoro celem graczy jest budowa zaawansowanej cywilizacji.
Jak głosi opis wydawcy, „»Civolution« to złożona gra dla zaawansowanych, która wykorzystuje nowatorski mechanizm wyboru kości do inicjowania różnych akcji w rozbudowanej strukturze drzewiastej”. Stawiam dolary przeciwko orzechom, że gracze, których ten opis zachęcił, całki mają w małym palcu.

Gry nagrodzone podczas Book Game Awards

Gry z 2025 r., które zdobyły najwięcej głosów w plebiscycie przeprowadzonym wśród odwiedzających targi.

1. GRA DLA DZIECI DO LAT 6: „ŚWIETLNI DETEKTYWI”

Gra oparta jest na współpracy, nie na rywalizacji, i daje mnóstwo frajdy. Gracze, wyposażeni w specjalne latarki, podświetlają tarczę, szukając ukrytych w mroku (czyli za przyciemnioną folią) postaci. Jak określiła to jedna z blogerek, „Świetlni detektywi” to „wyszukiwanka na sterydach”.

2. GRA RODZINNA: „SŁOWAKI”

Rodzaj „Scrabble” bez planszy i z kostkami zamiast płytek, doskonałe remedium na uzależnienie od smartfonów, atrofię ortografii i wrodzonego pecha tych, którzy w „Scrabble” losują same spółgłoski.

3. GRA IMPREZOWA: „KONSPIRA”

„Gracze wcielają się w opozycjonistów działających przeciwko władzy komunistycznej. Wspólny cel – realizacja tajnej misji – zderza się tu z nieufnością, blefem i ryzykiem zdrady”. Planszówka powstała we wrocławskim oddziale IPN i, jak zapewniają twórcy, „to połączenie dobrej zabawy z solidną dawką wiedzy historycznej”.

4. GRA ZAAWANSOWANA: „SETI: POSZUKIWANIA POZAZIEMSKICH CYWILIZACJI”

„Każdy z graczy stoi na czele agencji zajmującej się badaniem kosmosu i wykorzystuje rzeczywiste technologie i techniki, by znaleźć odpowiedź na pytanie trapiące ludzkość – czy jesteśmy tutaj sami?”. Odpowiedzi gracze szukają nawet trzy godziny, przebrnąwszy przez długą i skomplikowaną instrukcję. Podobno warto.

5. GRA LOGICZNA: „QWIRKLE”

Gracze losują płytki, z których potem układają poziome i pionowe linie elementów w tym samym kolorze albo z tym samym symbolem. Brzmi zwodniczo prosto, ale w praktyce przypomina zadania z testów na inteligencję (nie polecam na pierwszą randkę).

↦ w Polsce Games Room o powierzchni 5 tys. m² z wypożyczalnią gier i instruktorami oraz bogaty program stworzony z myślą o dzieciach i dorosłych”. Aż mnie korci, żeby sprawdzić, czym są „gry paragrafowe” albo „bitewniaki”.

W tym roku Targi, gdzie prezentowało się ponad stu wystawców, odwiedziło 14 tys. osób, co jest dotychczasowym rekordem frekwencyjnym. Z roku na rok liczba fanów planszówek, którzy przychodzą wypróbować nowości i spotkać współgraczy, rośnie. Dane udostępnione przez organizatorów wskazują wyraźną tendencję zwyżkową – w 2023 r. targi odwiedziło 8 tys. osób, w roku 2024 było ich 12 tys., a w 2025 r. ponad 13 tys. Przyciąga ich nie tylko bogata oferta, lecz także możliwość skorzystania z największej w Polsce przestrzeni do grania, czyli z owego Games Roomu. W tym roku do dyspozycji było w nim 1,6 tys. różnych gier. Gracze bawili się tak dobrze, że o 22, czyli o godzinie oficjalnego zamknięcia, wcale nie mieli ochoty kończyć.

Oczywiście, oprócz oficjalnych wydarzeń i miejscówek promowanych w sieci, w wielu krakowskich mieszkaniach odbywają się planszówkowe prywatki, na których gracze, że posłużę się słowami noblistki: „W dzień jasny albo pod osłoną nocy / łączą się w pary, trójkąty i koła / Dowolna jest tu płeć i wiek partnerów / Oczy im błyszczą, policzki pałają”. Moja siostra grywa z czwórką kolegów. Dla przyjemności, choć jak stwierdził jeden z nich: żeby atmosfera była dobra, młoda lekarka musi parę razy wygrać.

Chińska choroba

Jak wytłumaczyć popularność gier planszowych? Wszyscy skarżą się na brak czasu, ale nie wahają się poświęcać go na aktywność, która nie przynosi żadnych wymiernych korzyści, wymaga wysiłku (książeczki z regułami mają czasem kilkadziesiąt stron!) i niemałej logistyki (trzeba zgrać kalendarze kilku osób). Owszem, gry podobno rozwijają inteligencję i pozwalają w miłym towarzystwie odpocząć od ekranów, ale przecież dużo łatwiej poczytać książkę, rozwiązać krzyżówkę czy umówić się na piwo.

Dotychczas naiwnie i niesprawiedliwie planszówkowiczów wkładałam do szufladki „nieszkodliwi dziwacy”, gdzie rezydowali również układacze puzzli i amatorzy RPG. Przecież prawdziwi

eprasa.pl 997335f986



SEBASTIAN NOGIER / EPA / PAP

Dlaczego gramy

Czemu jednak od początku lat 20. XXI wieku szczególnie chętnie gramy w planszówki? Powodów jest co najmniej kilka.

1. **TĘSKNOTA ZA ANALOGOWYM ŚWIATEM.** Największym segmentem rynku rozrywki nadal są gry komputerowe, ale coraz więcej osób po dniu pracy przed ekranem chce odpocząć od niebieskiego światła i szybkiej akcji. Właśnie dlatego planszówki – jak papierowe książki czy płyty winylowe – w dobie cyfrowego detoksu wracają do łask.

2. **CIAŁ OBCOWANIE.** Tęsknimy nie tylko za namacalnym pionkiem, lecz także za sobą nawzajem. Nie bez kozery renesans planszówek rozpoczął się w pandemii, kiedy większość kontaktów międzyludzkich sprowadzała się do oglądania główek na ekranie. W przeciwieństwie do gier komputerowych, gdzie gracze mogą być rozproszeni po całym świecie, planszówka wymaga prawdziwego spotkania – w barze, bibliotece lub w domu, gdzie przy paluszkach i winie toczą się kolejne partyjki.

3. **ZLOT LUDZI NIEŚMIAŁYCH.** Owszem, spotykać można się również na prywatki i pogaduchy, ale sesje planszówkowe szczególnie cenią sobie osoby nieśmiałe. Jest struktura, przewidywalny scenariusz, rozmawiać można, ale nie trzeba.

   Romantyczny potencjał planszówek dostrzegł m.in. Singlowy Klub Randkowy, który w Krakowie i na Śląsku organizuje Planszówkowe Warsztaty Singlowe, czyli „luźne, integracyjne spotkania dla singli, którzy chcą poznać nowych ludzi w naturalny sposób – przy planszówkach, rozmowie i dobrej zabawie". Cóż bardziej naturalnego niż amory nad „Rummikubem"?

4. **PROBIERZ CHARAKTERÓW.** Pozostając w klimatach towarzysko-sercowych: gra jest podobno idealną okazją do sprawdzenia kandydata na przyjaciela czy życiową partnerkę. To, jak człowiek znosi porażkę, jaki ma stosunek do reguł i jak szybko chwyta skomplikowane zasady, wiele o nim mówi.

5. **MAGICZNY KRĄG.** Metafora życia jako gry jest tak wszechobecna, że przeniknęła do języka. Mówimy o regułach społecznego współżycia i taktykach politycznych, o przegranych transformacji i politycznych pionkach. Problem w tym, że – jak to w metaforze pojęciowej – odwzorowanie nie jest idealne. Bo reguły życia nie są do końca jasne, a ich nieprzestrzeganie nie zawsze grozi dyskwalifikacją. Kiedy więc zewsząd płyną informacje o łamaniu praw człowieka, na które kiedyś się umówiliśmy, i o niespodziewanych wojnach, na które się nie umawialiśmy, nic dziwnego, że chronimy się w świecie planszówek. Tam obowiązują bardzo jasne zasady, a rezultat zależy od naszej bystrości albo od najczystszego przypadku (rzut kostką). Owszem, niektórzy oszukują, ale wśród prawdziwych graczy to zjawisko marginalne.

   W artykule dla „New York Timesa" projektant gier Sam Von Ehren pisze o przebywaniu w magicznym kręgu: „Wyobraź sobie okrąg narysowany kredą na chodniku. Kiedy stoimy wewnątrz okręgu, gramy w grę. Robimy tylko to, na co pozwalają jej zasady. Staramy się wygrać. Kiedy gra się kończy, wychodzimy poza okrąg i powracamy do normalności. Magiczne koło oddziela grę od rzeczywistości".
   A kto czasem nie chciałby się od niej oddzielić?

   Sama jakoś nigdy nie połknęłam bakcyla planszówek. Pewnie dlatego, że najbardziej na świecie lubię gadać i kiedy już się z kimś spotykam, szkoda mi czasu na inne aktywności.
   Co nie znaczy, że nie gram. Trenuję, żeby zaimponować teściom.

dorośli w planszówki grają tylko z dziećmi, które nudzą się w deszczowej Jastarni. Szachy i „Scrabble" to co innego, ale kostki, plansze i pionki były dla mnie domeną przedszkoli i staroświeckich domów wczasowych.

Dzięki badaniom terenowym i kwerendzie bibliotecznej odkryłam, że takie myślenie to typowy objaw chińskiej choroby – pogląd wyznawany przez tych, którzy z planszówek znają wyłącznie chińczyka. Bo tak naprawdę świat gier planszowych jest fascynująco bogaty i pełen „zwykłych ludzi", którzy nad planszą realizują normalne ludzkie potrzeby.

Pytanie „po co gramy" jest niebezpiecznie filozoficzne. Po co robić coś raczej niż nic? Człowiek, jak wiemy nie od dziś, ma naturalną potrzebę rozrywki. Jest *homo ludens*, który od czasu do czasu musi się wyszaleć, wysiąść z pociągu produktywności na stacji Zabawa, gdzie, jak pisał francuski socjolog i filozof Roger Caillois, oddaje się czynnościom „dobrowolnym, wyodrębnionym, zawierającym element niepewności, bezproduktywnym, ujętym w normy i fikcyjnym" („Gry i ludzie", przeł. A. Tatarkiewicz, M. Żurowska).

Badacze odróżniają grę od zabawy – każda gra jest zabawą, ale nie każda zabawa jest grą, bo ta wymaga reguł i pewnego ustrukturyzowania. Innymi słowy, kiedy szalejemy w Bachtinowskim karnawale, bawimy się, a kiedy układamy bierki, przesuwamy pionki w „Gęsi" albo kupujemy nieruchomości w „Eurobusinessie" – gramy. W obu przypadkach jest to jednak chwilowe zawieszenie normalnego życia, działań celowych i racjonalnych.

Owszem, niektórzy grają na pieniądze, z reguły jednak gramy... dla zabawy. Nie od dziś, bo grę planszową (tzw. królewskę grę z Ur) znaleziono w grobowcu mezopotamskiego władcy.

© DOROTA MALINA

eprasa.pl 997335f986

TOMASZ

Stawiszyński: *Wielki Bunbury*



Po raz pierwszy usłyszałem Héroes del Silencio w dobrym roku 1993. Nie tylko dlatego dobrym, że miałem 15 lat i wkraczałem w tyleż trudny, co pełen emocji, zachwytów i fundamentalnych doświadczeń czas, ale również dlatego, że ukazało się wtedy wiele płyt prawdziwie przełomowych. Przykłady? Proszę bardzo: „In Utero" Nirvany albo „Rid of Me" PJ Harvey. Ale przede wszystkim – ma się rozumieć – „Songs of Faith and Devotion" Depeche Mode. Majstersztyk, w którym każdy utwór jest osobną rzeczywistością, a teksty, melodie i aranżacje splatają się w całość o bez mała hipnotycznej mocy.

Jako zapamiętały i ortodoksyjny depesz nie uznawałem oczywiście innych muzyków, niemniej w naszym małym depeszowskim gronie z Chomiczówki, którego liderem był mój serdeczny kolega, a zarazem trochę guru Maciek Więckowski, dopuszczało się pewne zróżnicowania. W szczególności wolno nam było słuchać Soft Cellu oraz Marca Almonda solo, ba, nie tylko słuchać, lecz także się do tego przyznawać. Zamiłowaniem do twórczości Almonda zaraził nas Michał, brat Maćka, depesz starszy i bardziej doświadczony, a skoro on twierdził, że nie ma tu żadnej moralnej dwuznaczności – po prostu musiało tak być. Sympatii do powszechnie granego i hołubionego wówczas rocka *à la* Guns'n'Roses czy grunge'u raczej nie odczuwaliśmy – z wyjątkiem może Nirvany oraz Soundgarden – ale otwarcie ceniliśmy Elvisa Presleya i Beatlesów oraz niektóre kapele grające rockabilly.

Nic już jednak nie wyglądało jak wcześniej, odkąd to pewnego dnia nasz przyjaciel Hubert Panowski przyniósł kasetę hiszpańskiego zespołu o wspomnianej nazwie: Héroes del Silencio (Bohaterowie ciszy). Okładka utrzymana była w tonacjach czerwieni i upstrzona dziwnymi symbolami, a tytuł brzmiał nader dostojnie: „El espiritu del vino" („Duch wina"). Owszem, zagadkowa obecność tej kasety w ofercie sprzedawców urzędujących pod Pałacem Kultury – bo to od nich ją Hubert nabył – nie była taka znowu zagadkowa. Ówczesne okno na muzyczne światy, czyli stacja MTV, od trzech lat grało regularnie utwór „Entre dos tierras" („Między dwoma światami"). Wielki hit lat 90., który sprawił, że Enrique Bunbury, Juan Valdivia, Pedro Andreu i Joaquin Cardiel – z obiecującego i dobrze w rodzinnym kraju przyjmowanego zespołu grającego najpierw pop-rocka, a potem, stopniowo, sięgającego po brzmienia coraz cięższe – stali się nagle międzynarodowymi gwiazdami. Do dziś zresztą żadna hiszpańska grupa nie pobiła parametrów ich globalnej popularności. Jeśli ktoś chciałby usystematyzować wiedzę na ten temat, polecam dokument „Héroes: Silencio y Rock'n'Roll" dostępny na platformie Netflix.

A co nam się wtedy w HdS najbardziej spodobało? Za innych nie będę się wypowiadał, ale mnie momentalnie zafascynowały m.in. utwory „La herida" („Rana"), „La sirena varada" („Syrena wyrzucona na brzeg"), „El camino del exceso" („Droga nadmiaru") czy „La apariencia no es sincera" („Pozory mylą"; znana też ze ścieżki dźwiękowej do filmu Wima Wendersa „Lisbon story"). Może sprawiły to wykwintne melodie, a może mocny i oryginalny baryton Bunbury'ego – który tak naprawdę nazywa się Enrique Ortiz de Landázuri Izarduy, a pseudonim wziął ze sztuki Oscara Wilda „Bądźmy poważni na serio" – wraz z jego unikalną charyzmą. Zaczęliśmy więc z przyjaciółmi-depeszami na potęgę słuchać HdS, a, nie ma co ukrywać, pewnego smaku dodawał temu fakt, że, po pierwsze, nie rozumieliśmy wówczas, o czym oni śpiewają, a po drugie, że w naszych kręgach nikt poza nami ich nie znał.

Ale nie piszę tego wyłącznie w ramach sentymentalnych wspomnień. Zespół Héroes del Silencio przestał istnieć w 1996 r., a Bunbury z powodzeniem rozwija solową karierę. Nie tylko muzyczną skądinąd, w ostatnich latach opublikował również trzy znakomicie przyjęte książki poetyckie. Znany jest w zasadzie wyłącznie w kręgu hiszpańskojęzycznym, w Hiszpanii czy Ameryce Łacińskiej ma status twórcy wielkiego i kultowego. Fani – w tym i niżej podpisany, oczywiście – mawiają o nim nie inaczej, jak „grande Bunbury". I bardzo słusznie, jest to bowiem artysta wybitny, bez żadnej przesady mówiąc: geniusz, który ze swobodą porusza się po najrozmaitszych muzycznych terytoriach i trajektoriach. Jego pierwszy solowy album „Radical sonora" z 1997 r. to alternatywna muzyka elektroniczna, a ostatni – czternasty, który ukazał się 17 kwietnia br. pod tytułem „De un siglo anterior" („Z poprzedniego wieku") – to z kolei klasyczne hiszpańskie i latynoamerykańskie rytmy, do których nawiązywał już na poprzednich płytach. Warto tu jeszcze dodać, że osobną zupełnie jakością są jego koncerty, rozpoczynające się punktualnie co do sekundy, świetnie przygotowane, zapięte na ostatni guzik.

Co tu dużo mówić, muzyka Bunbury'ego stała się niezbędną, integralną częścią mojego życia. Łączy mnie z nim przedziwna więź, za którą stoi osobliwy przypadek – przecież gdyby Hubert nie trafił na tę kasetę pod Pałacem Kultury, być może nigdy bym się nie dowiedział, że ktoś taki w ogóle istnieje. No ale, jak wiadomo, życie składa się w większości z takich koincydencji. Być może więc – kto wie, kto wie – dla ciebie, drogi czytelniku, niniejszy felieton również okaże się podobnym zbiegiem okoliczności – i któregoś dnia spotkamy się na koncercie wielkiego Bunbury'ego? ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 997335f986

REKLAMA

35. Festiwal Kultury
Żydowskiej w Krakowie
01.07–05.07.26

Sha'ar
Brama

GATE שער

jewishfestival.pl

35. FKŻ jest współfinansowany ze środków Miasta Krakowa oraz ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu Muzyka, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.

Kraków

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

TAUBE PHILANTHROPIES

The Kronhill Pletka Foundation

KORET FOUNDATION

eprasa.pl 997335f986

REKLAMA

WYPRZEDAŻ ROCZNIKA SUBARU CROSSTREK Z ATRAKCYJNYM FINANSOWANIEM

JUŻ OD 76 450 PLN BRUTTO W KREDYCIE 50/50*
LUB W ELASTYCZNYM LEASINGU



SZCZEGÓŁY U DEALERÓW
DEALERZY.SUBARU.PL

*Podmiotem finansującym jest Santander F24 S.A. Propozycja nie jest ofertą w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego. Decyzja o przyznaniu finansowania oraz warunki umowy zależą od wyniku badania zdolności kredytowej oraz oceny ryzyka kredytowego. Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) ustalona na dzień 23.12.2025 na podstawie reprezentatywnego przykładu dla samochodu Subaru Crosstrek o cenie 152 900,00 zł i przy udziale własnym klienta w wysokości 50% wynosi 2,05%, całkowita kwota pożyczki (bez kredytowanych kosztów) 76 450,00 zł, całkowita kwota do zapłaty 77 979,00 zł, oprocentowanie stałe 0%, całkowity koszt pożyczki 1 529,00 zł (w tym: prowizja stanowiąca 2 % całkowitej kwoty pożyczki, to jest 1 529,00 zł oraz odsetki 0 zł), umowa zawarta na okres 13 miesięcy, w 1 racie. Ubezpieczenie pojazdu w zakresie OC oraz Autocasco (wraz z ryzykiem kradzieży) jest obowiązkowe. Jego kosztu nie da się przewidzieć – nie został wliczony do RRSO. Obowiązuje wyłącznie dla samochodów z rocznika produkcji 2025. Liczba egzemplarzy ograniczona.

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI SUBARU SAFE8

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU
KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS
warta.
ERSTE Leasing
ENEOS MOTOR OIL
ERGO HESTIA
YOKOHAMA

eprasa.pl 997335f986